

# LUCJAN WOLANOWSKI

## BUNTOWNICY MÓRZ

### POŁUDNIOWYCH

*REPORTER NA TROPIE BUNTU \NA OKRĘCIE JEGO  
KRÓLEWSKIEJ MOŚCI »BOUNTY«*

Tropikalna noc płaszczem milczenia spowijała narady spiskowców na pokładzie okrętu Jego Królewskiej Mości „Bounty”. Gdy przybladł na nieboskłonie Krzyż Południa, Fletcher Christian skrzyknął kamratów. O świcie okręt był już w ich rękach. Dowódca William Bligh i ci z załogi, którzy dochowali mu wierności, zostali przez buntowników wrzuceni do szalupy i zostawieni na łasce losu na bezkresnym oceanie. Gdy mała łupinka, kołysana fisiami, znikła im z oczu, zbuntowani marynarze ruszyli w dalszy rejs. Nie znali portu docelowego, nie wiedzieli, jak ułożą się ich losy. Ale marzyło im się ustronne miejsce, daleko, gdzieś po drugiej stronie tęczy, gdzie nie dosięgnie ich karzące ramię brytyjskiej sprawiedliwości. Jakaś wyspa na uboczu morskich szlaków, gdzie już na tym świecie założą sobie raj i żyć będą z dala od żelaznej dyscypliny i gniewu kapitana.

Podnieśli żagle, aby poprzez Tysiąc i Jedną Przygodę wpłynąć na karty Historii.

Oto są ich dzieje, opowiedziane przez autora, który w dwa wieki później wędrował ich tropem przez wyspy Oceanii.

#### ROZDZIAŁ PIERWSZY

w którym wraz z autorem wędrujemy na Tahiti i oglądamy pewne wydarzenie, wiodące do narodzin pomysłu tej opowieści. Potem słów kilka o długiej wędrówce śladami tematu i o tymj dlaczego wydał się on godny opowieści.

Knajpa „Pod Błękitnym Kołnierzem” w Papeete na Tahiti nie jest już może marynarską knajpą, jak ją wspominają kronikarze. Kogo z marynarskiej braci stać na płacenie horrendalnych cen za mały kieliszek jałowcówki i odpowiednio wysokich opłat za wodę sodową, z którą miesza się ten trunk?

Owszem, wstępują tu czasem marynarze, ale właściwie — jak tyle innych knajp w portach Mórz Południowych — „Pod Błękitnym Kołnierzem” jest jednym więcej miejscem obdzierania z pieniędzy turystów. Zjawiają się tam w poszukiwaniu właśnie owego nastroju marynarskich knajp, opiewanych przez mistrzów pióra. Ale czasy, kiedy można było na Tahiti wegetować za psi grosz, minęły bezpowrotnie. Marynarska knajpa bez marynarzy pozostała czymś w rodzaju widowiska „dźwięk i światło”, gdzie sztuczne efekty zastępują autentyczność wydarzenia.

Owego wieczoru siedziałem z przyjaciółmi w tym lokalu, sącząc powoli wino dowieszone ze słodkiej Francji. Drzwi tu nie ma, zasłona z nanizanych na sznurki kolorowych paciorków zupełnie wystarczy. Przez tę zasłonę w ciszę tahitańskiej nocy wylewa się na ulicę zgiełk orkiestry i tańczących gości. Niepotrzebny byłby nawet i jaskrawy szyld, skoro zaduch piwa i wódki, doprawiony kłębam dymu tytoniowego, zwabia przechodniów szukających rozrywki.

Odchyliwszy tę zasłonę, weszło tuż przed północą do knajpy kilku kanadyjskich marynarzy. Zaczęli od baru, potem wmieszali się w tłum tańczących na parkiecie turystów czy zasiedziały na wyspie francuskich kupców lub plantatorów. Nie, wcale nie wyglądali, jakby zeszedli z kart powieści Londona. Gładko ogoleni, dobrze odżywieni i czysto ubrani młodzi chłopcy byli podobniejsi do uczestników studenckiej wycieczki niż do członków załogi, która miała za sobą daleki rejs przez Ocean Spokojny.

Właściwie można się było spodziewać, że zjawią się tu, kiedy — po długiej żegludze — poczują grunt pod nogami. Radio Kokos już od rana mówiło tylko o nich. Ma ono w knajpie „Pod Błękitnym Kołnierzem” swoje nadajniki. No i przekaźniki tudzież odbiorniki. m

Radio Kokos jest czymś w rodzaju giełdy plotek Mórz Południowych. Pan Marconi jeszcze się nie narodził w dalekich Włoszech, kiedy wyspiarze zbierali się na polankach czy na targowisku rybnym, w chińskich sklepikach, aby dowiedzieć się, kto złowił właśnie taaaką rybę, a więc można by ewentualnie odwiedzić go i przymówić się o poczęstunek. Radio Kokos rzetelnie informowało swych słuchaczy, która z dziewczyn umiała ostatnio postój w porcie Papeete żeglarzom z Wielkiej Pirogi „popaas”. Tak, nie da się zaprzeczyć: Radio Kokos miało zawsze sprawną i rzetelną służbę informacyjną. Nazwa — bądźmy szczerzy — jest natomiast raczej symboliczna. Kto przy zdrowych zmysłach zasiada pod palmą kokosową? Kiedy zakolysze nią wiatr od morza, ciężki orzech — spadający z dużej wysokości — zabija lub okalecza lekkomyślnego człowieka, który szuka cienia pod tym drzewem.

W knajpie „Pod Błękitnym Kołnierzem” orkiestra ma już dobrze w czubie. Klientela nie narzeka, ale właściwie to każdy grajek inną melodię wydobywa ze swego instrumentu. Ciemnoskóre dziewczęta, miętoszone w tańcu przez kanadyjskich marynarzy, mają poczucie rytmu we krwi. Pokolenia wyspiarzy od niepamiętnych czasów tańczyły całymi godzinami przy wtórze bębnow, melodia nie była potrzebna do płaśów dziewczynom z wysp Mórz Południowych.

Kanadyjczycy też trochę sobie popili, nim tu przyszli, teraz kakofonia kapeli im nie przeszkadza. Kilku z nich pewnie wywodzi się z francuskich prowincji kraju, który ma w herbie liść klonu. Nie mają trudności z dogadaniem się z partnerkami, które niedawno, na pewno bardzo jeszcze niedawno, siedziały na ławkach wiejskiej szkółki i dukały w ślad za panią nauczycielką: „Nasi przodkowie Galowie...”

Jesteśmy przecież na terenie Oceanii Francuskiej, dawne słowo „kolonia” brzmi teraz brzydko i nie na czasie. Trójkolorowa flaga łopocze na wietrze. Od czasu do czasu wstępuje patrol żandarmerii w tropikalnych mundurach, „władza” zdejmuje kepi i ociera pot z czoła, nim ochłodzi się jakimś napojem wyciągniętym przez barmana z dużej szafy chłodniczej.

Przy barze> pod ścianami, nawet na chodniku przed knajpą — Radio Kokos nadaje ostatnie już wiadomości. Dziś w nocy mówi o tym cała Tahiti, jutro przekażą sobie nowinę ludziska na targowisku w Bora Bora. Za kilka dni, kiedy pocztowy statek „Ptak z Wysp” dotrze do wysepki Makatea w archipelagu Tuamotu, zwanej „Piekieł Pacyfiku” — powtarzać ją będą w kantine górniczej z kopalni fosfatów. Słuchajcie, słuchajcie! Jest o czym mówić! Ostatnie wiadomości dziennika wieczornego!

Hm, gdybym miał to cytować dokładnie, należałoby zgodnie z tradycją podbarwić całą opowieść ciekawymi, choć niekoniecznie prawdziwymi dodatkami. Na przykład o sprawach obcych naszej opowieści, ale za to dotyczących chatki sąsiada i burzliwych kłótni, które rozegrały się tam przed kilku godzinami, lub nowinka o panu żandarmie, który — jak wieść

gminna głosi, a Radio Kokos powtarza — prezentuje się nader groźnie w swym białym mundurze, natomiast bez uniformu jest postacią raczej pożałowania godną...

Przeto zrezygnuję z ploteczek, tak miłych gawędziarzom Mórz Południowych. Co powiadacie? Że takie drobiazgi też są ciekawe? Zgoda, będą i ploteczki, ale nieco później. Teraz suche fakty, opowiedziane zwięzłym stylem „popaa”, czyli białego człowieka.

Otóż dokładnie w dwa wieki i osiem dni, które minęły od przybycia na

Tahiti dzielnego okrętu Jego Królewskiej Mości „Bounty” pod dowództwem imię Williama Bligha — okręt ten pojawił się ponownie u wybrzeży wyspy. Historia jakby powtórzyła się raz jeszcze, kiedy dumny żaglowiec wpłynął do zatoki Aiatavai, nie opodal latarni morskiej, na wschód od Tahiti.

Dzień był piękny, jakby sam Ocean Spokojny chciał akurat w tej uroczystej chwili zasłużyć na tę nazwę. Niebo było bez chmurki, jaskrawe promienie słońca zalewały okręt, białe żagle odbijały się w błękitnych wodach zatoki. Przez całą poprzednią noc biły bębny w Faaa koło lotniska, przekazując z wioski do wioski nowinę o spodziewanym przybyciu „Bounty”. Kiedy wreszcie statek zbliżył się do wyspy, wyszła w morze na spotkanie gości podwójna piroga. Na niej dwa tuziny wiosłarzy, strojnych w pareu i zdobnych wieńcami z kwiatów na głowach, puło fale, aby powitać gości... Zupełnie jak wtedy.

Wiedzieliśmy wszyscy, że dawnego „Bounty” już dawno nie ma, nie ma też już między żyjącymi nikogo z załogi. To jest oczywiste. Ale warto wiedzieć, jak starannie przygotowywano się do tej powtórki z historii.

Z archiwów Admiralicji w Londynie wydobyto na światło dzienne i odkurzono oryginalne, stare plany, sporządzone przez budowniczych okrętu, który niemal dwa wieki temu wypłynął z Anglii i wpłynął... na karty dziejów Wielkiej Przygody.

Okręt Jego Królewskiej Mości „Bounty” (wydanie drugie, poprawione) zbudowany został na podstawie tych planów — tyle tylko, że pokład jest nieco dłuższy — przez stocznnię Smith and Rhuland w Luneburgu, Nova Scotia, w Kanadzie. Budulcem jest dębina, dla obserwatora z zewnątrz — replika jest dokładna, ale wewnątrz okrętu kryje nowoczesne silniki Diesla, o których nie śniło się budowniczym prawzoru. No i oczywiście zainstalowana jest klimatyzacja. Bez niej trudno zwerbować załogę do służby w tropikach, innymi słowy, przywoity bunt na „Bounty” w XX wieku bez klimatyzacji byłby trudny do zrealizowania.

Nowy „Bounty” nie służy królowi Anglii, ale królom srebrnego ekranu, miłościwie władającym imperium Metro Goldwyn Meyer w znacym grodzie Hollywood. Kanadyjska stocznia otrzymała od nich za ten statek okrągłą sumkę sześćset siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów.

Kiedy nowe wcielenie historycznego okrętu było już na ukończeniu, zwerbowano i przeszkolono załogę. Kanadyjscy marynarze nadają się do tańca i do różańca, czyli potrafią żeglować zarówno na skrzydłach wiatru, jak i z... włączonymi silnikami Diesla. Urządzenia nawigacyjne są naturalnie nowoczesne, bez tego statek nie dostałby nawet zgody na wypłynięcie na pełne morze, a cóż dopiero na ogromny rejs — siedem tygodni przez ocean! Żegluga była monotonna, tylko niegroźny pożar pod pokładem, zlikwidowany błyskawicznie gaśnicą pianową — mógł być godny odnotowania w kronice okrętu.

Radar pokładowy, silniki Diesla, nadajniki i odbiorniki radiowe, klimatyzacja tłocząca chłodne powietrze do pomieszczeń mieszkalnych i maszynowni, chłodnie z zamrożonymi dwoma wołami i innym prowiantem dla załogi, gaśnice pianowe... Ej, zdumiałby się imię William Bligh, gdyby znowu kazano mu objąć dowództwo nad okrętem „Bounty”! Kim był Bligh? Cierpliwości, o tym będzie za chwilę! Tymczasem jesteśmy dalej w zatoce Matayai, „Bounty” znowu wpływa

na wody pięknej wyspy Tahiti. Teraz otacza go jui chmara piróg, wyspiarze lekko i zwinnie wdrapują się na pokład, aby okazać polinezyjską gościnność kanadyjskim żeglarzom.

Mniej zwinnie, ale bardziej dostojnie wstępują na „Bounty” miejscowi notable, przybyli na białych motorówkach pod trójkolorową flagą Francji. Pan gubernator, pan prokurator Republiki, pan szef żandarmerii w białych, tropikalnych strojach, w towarzystwie małżonek.

Rzecz jasna, zjawiają się też i filmowcy, których wytwórnia MGM przysłała samolotami pasażerskimi. Czas gwiazdy filmowej, operatora czy reżysera jest drogi, nie dla nich siedem tygodni rejsu na statku! Liczy się każda godzina przestoju kosztownego sprzętu, więc przed kilku zaledwie dniami dowieziono go wynajętymi samolotami frachtowymi prosto z Kalifornii na lotnisko w Faaa. Na lotnisku, które jest po prostu zalaną betonem rafą koralową, transportery wyciągały w spiekocie tropików wielkie skrzynie z napisami „Handle with care!” — „Przetaczać ostrożnie!” — z przepastnych wnętrz transportowców. Karawany ciężarówek wiozły potem sprzęt i dekoracje na wyznaczone miejsca lub do prowizorycznych magazynów. Amerykańscy specjaliści spedycyjni szaleli, kiedy ich programy pracy, zmyślnie sporządzone przez komputery, zawaliły się zaraz pierwszego dnia.

Nie uwzględniały bowiem jednego słowa „fiu”, którym na Tahiti wyspiarze wyrażają szeroką gamę uczuć. „Mam dość, znudziło mi się, szlus, więcej się nie bawię, odczep się, innym razem, może jutro” — jest z czego wybrać, kiedy się chce przełożyć to jedno słówko.

Kierowcy ciężarówek bosymi stopami wyduszający ze swych sfatygowanych maszyn zawrotne szybkości — znudzili się nową zabawką, cała ta gra w dokładność była obca ich mentalności. Fiu! Panowie powiadają, że ta skrzynia ma być odebrana z komory celnej o godzinie jedenastej zero siedem, załadowana na ciężarówkę o dwunastej czternaście i dostarczona nad Zatokę Matavai do wioski Mahina punktualnie o piętnastej trzydzieści dwa? Tak? Skąd ten pośpiech, kiedy słońeczko przygrzewa, dobrze by było akurat w samo południe zdrzemnąć się gdzieś w cieniu. Że jakiś rozkład wykorzystania środków komunikacji? Fiu! Że zawalenie planów zdjęć? Fiu! Naturalnie, monsieur Donovan, ja się nie narzucam, skoro ma pan wrzeszczeć i złościć się, to ja sobie idę. Fiu!

Ostatecznie jednak ekipy budowlane w kilka dni zbudowały całą „wioskę tubylczą” Mahina, dekoratorzy posługiwali się sztychami dołączonymi do opisów podróży odkrywczych na Tahiti przed dwoma wiekami, aby upewnić się, że bystre oko kamery nie zanotuje jakiegoś szczegółu, psującego autentyczność obrazu.

Mówi Radio Kokos! „Popaas” werbują do swej zabawy w film naszych ludzi z Tahiti, płacą im po trzysta pięćdziesiąt franków Pacyfiku za dzień, do tego dochodzi pełne wyżywienie! Tancerze mają dostawać pięć tysięcy franków tygodniowo, zaś dobosze bijący rytmicznie w bębny kryte skórą rekina — nawet sześć tysięcy dwieście pięćdziesiąt franków! Mówi Radio Kokos! Oto dalsze wiadomości dziennika wieczornego. Dziewięćset piróg ma zawinąć do zatoki Matavai, na nich trzy tysiące wioślarzy...

28 listopada 1960 roku rozpoczęto zdjęcia, najpierw na wyspie Bora Bora, potem zaś na Tahiti. Bazą ekipy filmowej było oczywiście Papeete. Codziennie o świcie nowe wcielenie starego okrętu wypływało na morze, o zmroku zaś, okrążywszy małą, zalesioną wysepkę Fare Ute — „Bounty” zawijał do portu w Papeete.

Stałem w tłumie na molo, wpatrzony w urzekająco piękny obraz żaglowca, oglądałem znużone dwunastogodzinnym dniem roboczym oblicza realizatorów filmu. Można było ujrzeć z bliska, bez szminki, twarz Marlona Brando czy innych aktorów, których nazwiska pojawić się miały na ekranach świata tuż przed wyświetleniem tego filmu. Jakież to dramat przenoszono na taśmę filmową? Jeszcze chwila cierpliwości, na wszystko przyjdzie czas!

Mówi rzecznik prasowy wytwórni MGM, ocierając z czoła pot: — Panie i panowie z prasy! Scena przybycia „Bounty” do zatoki Matavai przekroczy wszystko, co dotąd pokazano na srebrnym ekranie. Nie chcę nudzić państwa szczegółami, ale zbudowaliśmy wielkie

obozowisko, gdzie półtora tysiąca baraków (powtarzam: jeden tysiąc pięćset) ma służyć za mieszkanie zaangażowanym przez nas statystom. Są to wszystko wyspiarze z Tahiti i okolicznych wysepek. Nasza wytwórnia płaci im świetnie i — proszę zanotować! — właściwie tylko za to, co sami czynią najchętniej. Mam tu na myśli tańczenie i śpiewanie. Wyżywienie ludzi na miejscu — aby byli w gotowości i nie rozłazili się do swych wiosek — jest w warunkach tutejszych trudną sprawą. Nasi specjaliści od cateringu podpisali więc kontrakt z trzema miejscowymi piekarniami, które pracują na trzy zmiany i tylko dla nas. Świeże pieczywo dostarczane jest do kantyn w obozowisku, gdzie wprowadziliśmy najnowocześniejszy i najbardziej sprawny system wydawania posiłków. Są one przygotowywane według gustów tahitańskich, dużo ryb i dużo owoców. Ryby sprowadza się mrożone z Nowej Zelandii, tu nikt nie potrafi zapewnić nam regularnych dostaw, rybacy wypływają na połów, kiedy — he, he, he — mają na to ochotę... Owoce sprowadzamy z Australii, stamtąd też przychodzi mrożone mięso dla naszych ekip specjalistów, gdyż chłodnie „Bounty” mają niewielką pojemność, to maleńki stateczek...

Panie i panowie z prasy! Nasi operatorzy, którymi kieruje słynny John Surtees (tak jest, ten sam, który odpowiadał za zdjęcia do filmu „Ben Hur”) — uczynili, co było możliwe, aby zabezpieczyć kamery i filmy przed wilgo-

ŁUCJAN WOLANOWSKI

14

cią tropików. Wszystko zostało przewidziane, o wszystkim pomyśleliśmy. Każdej nocy kasety z naświetloną przed kilku godzinami taśmą odlatują frachtem lotniczym do naszych laboratoriów w Kalifornii. W ten sposób zachowujemy świeże, autentyczne, niewyblakłe barwy naszego dzieła.

Mam zaszczyt przekazać państwu zaproszenie na ekskluzywny pokaz, który odbędzie się pojutrze rano w sali kina „Bambou”. Oto otrzymaliśmy próbne zdjęcia. Wyświetlimy je tylko dla państwa, aby dać przedsmak wielkiego filmu, który obiegnie ekrany świata. Po projekcji nasza wytwórnia podejmować będzie prasę lunchem. Surowa ryba, palmowe wino, inne miejscowe specjały, ale gdyby ktoś miał bardziej tradycyjne gusty, to proszę tylko szepnąć słówko kelnerowi, jesteśmy przygotowani i na tę ewentualność... A więc — do widzenia pojutrze 1

Wyspiarze Mórz Południowych nie są bardzo wybredni w doborze oglądanych filmów. Dzieła je z grubsza na dwie kategorie, a mianowicie: „cmok- cmok”, czyli takie, gdzie się dużo całują, oraz „pif-paf”, co nie wymaga wyjaśnienia. Fabuła nie jest ważna. Najlepiej kiedy nie jest zbyt subtelna i skomplikowana, wtedy nudzi i nuży, zamiast bawić. Dlatego też najlepiej jest chodzić — twierdzą wyspiarze — na filmy, które już się kilka razy oglądało, wtedy nie naraża się człowiek na niemiłe niespodzianki. Wiadomo z góry, co i jak będzie, najważniejsze, że coś się dzieje na ekranie. Nowość może okazać się zbyt niezrozumiała dla ludzi, którzy żyją w świecie innych pojęć i zwyczajów. Kiedy więc właściciel kina sparzy się na jakimś dopiero co importowanym filmie, kiedy w kasie są jakieś mamę centymy — wtedy wydobywa się z magazynu nieco już napoczęte przez wilgoć, ale wypróbowane, wszystkim dobrze znane szlagiery i wiadomo, że sala ma murowany komplet widzów tego wieczoru.

Zdziwienie Czytelnika musi być zaproszeniem do wyjaśnienia. A więc Polinezja nie jest tu czymś wyjątkowym. W tej części świata wątek w utworze artystycznym nie jest najważniejszy. Ileż to razy wędrowałem wraz z Chińczykami Mórz Południowych na ich tradycyjne opery. Nawet dla takiego jak ja, z odległych stron przybysza, akcja dała się przewidzieć niemal bezbłędnie, a przecież każde widowisko oglądałem tylko raz. Natomiast inni widzowie znali libretto niemal na pamięć, każdy widział ten spektakl kilka razy, a obejrzy go jeszcze kilka, jakkolwiek jest to impreza na pięć czy siedem godzin...

Tego dnia jednak bywalcy kina „Le Bambou” odeszli zawiedzeni sprzed kasy przybytku. Sala była zarezerwowana na projekcję prasową. I tak zetknąłem się z tematem, który przez kilkanaście lat miał ocierać się o mnie niby kot o nogę.

Bunt na okręcie Jego Królewskiej Mości „Bounty” na południowym

15

POD BŁĘKITNYM KOŁNIERZEM

Oceanie Spokojnym znany jest świetnie w obszarze języka angielskiego, był natchnieniem poetów. Jeszcze w ubiegłym stuleciu poematy Byrona o tej rewolcie doczekały się polskich przekładów. Już w naszym stuleciu nakręcono kilka filmów o tym buncie, tak w wersji niemej, jak i dźwiękowej.

Wszystkie owe utwory są jednak oczywiście tylko poetycką czy reżyserską wizją prawdziwych wydarzeń. A przecież to, co napisało samo życie, jest arcyciekawą opowieścią. Jest w niej i „pif-paf”, i „cmok-cmok”, są małe, ludzkie podłostki i jest wielki dramat. Jest zaduch marynarskich spelunek starej, kochanej Anglii i gorący, słony wiatr Mórz Południowych. Jest sąd

i szubienica, są miłosne perypetie marynarzy i dziewcząt z Tahiti, ucieczka przed brutalną sprawiedliwością na małą wysepkę i tajemnicze losy głównego bohatera dramatu.

Dlaczego więc opowieść o ludziach z „Bounty” pozostała niejako na marginesie lektury przygodowej w Polsce? Trudno na to odpowiedzieć. Kto wie, może w relacji poetów była zbyt dostojna. Kronikarze epoki przedstawiali ją stroniczo i — zgodnie z ówczesnym zwyczajem — doprawiali potężnymi dawkami morałów.

Było to chyba obce nastrojowi tej opowieści. Buntownicy byli przecież żywymi ludźmi, działali pod wpływem tych wszystkich bodźców, które rządzą nami, mieli swe radości i smutki, nadzieje i wątplenia. Zostały po nich ślady, trzeba je było odnaleźć, a potem — spróbować opowiedzieć stare-dzie- je nowoczesnym językiem.

Przez kilkanaście lat szukałem tych śladów na wyspach Oceanii i na Wyspach Brytyjskich. W Nantucket, skąd niegdyś wyruszały amerykańskie statki wielorybnicze, studiowałem dziennik pokładowy kapitana Mateusza Folgera, pierwszego po Bogu na statku „Topaz”, który w 1808 roku przez zupełny przypadek natrafił na małą wysepkę Pitcairn na Oceanie Spokojnym, gdzie widział potomków buntowników. Z następnymi pokoleniami marynarzy z „Bounty” i ich tahitańskich żon zetknąłem się na wysepce Norfolk, gdzie dostałem się w 1975 roku po siedmiu godzinach lotu 2 Sydney.

(Zresztą sam kapitan Bligh był u schyłku swej kariery gubernatorem w Sydney, jego życie można przestudiować w australijskich archiwach niemal dzień po dniu). Byłem na Timorze, gdzie Bligh z garstką lojalnych podwładnych trafił po niebywałej żegludze w szalupie, mając właściwie jedną szansę na milion, iż jeszcze ujrzy brzegi swej dalekiej ojczyzny. Na statku australijskim przepląnąłem sporą część trasy, którą wtedy pokonała ta łupinka, kołysząca się na falach niemal zupełnie nieznanymi cieśninami i morzami. Inna moja podróż wiodła szlakiem Mary Bryant, która wstępuje na karty tej opowieści, bo przez jeden z tych niezwykle przypadków, jakie reżyseruje Życie, losy jej splótły się z losami niektórych członków zbuntowanej załogi.

Tyle przygód i tyle wątków. I tyle zagadek.

Nie wszystkie są rozwiązane, są sytuacje, gdzie legenda przekazana ustnie zadaje kłopot faktom w dokumentach. Losy przywódcy buntu są właściwie doprowadzone aż do tragicznego końca, a jednak... Przytoczę też i tę drugą wersję ostatnich dni buntownika, bo jakkolwiek opiera się ona na relacji jednego tylko człowieka, trudno wykluczyć, że może właśnie ta wersja była prawdziwa. Mogą być w tej opowieści luki i niezbyt jasne, słabo udokumentowane epizody. Lecz jeżeli upór i trud ma być ceną tej całej historii, to rzeknę bez wstydu, że cenę tę zapłaciłem.

Czy warto było? Chyba tak. Współcześni historycy, jak Alexander McKee, którego cytuję wielokrotnie na kartach tej książki, inaczej niż ich poprzednicy patrzą na dzieje „Bounty”. Owszem, zryw części załogi, doprowadzonej do rozpaczliwej brutalności dowódcy. Ale w sprawie tej doszukiwać się też trzeba z perspektywy niemal dwóch stuleci znacznie głębszego znaczenia.

Bligh — właśnie ten, któremu załoga odebrała władzę na „Bounty” i którego zostawiła w szalupie na pełnym morzu — był dzielnym żeglarzem. Sam Nelson, bo pod jego rozkazami Bligh służył w bitwie pod Kopenhagą, wymienia go w rozkazie dziennym. Zanim więc wypłyniemy na błękitne wody wydarzeń na Morzach Południowych, sięgnijmy do wspomnień z bitwy pod Trafalgarem<..



Gdzie Rzym, a gdzie Krym? Gdzie Trafalgar, a gdzie Tahiti? — zapyta zdumiony Czytelnik.

Otóż weszliśmy w naszą opowieść właśnie na Tahiti, czyli — jak ją nazywano w czasach, kiedy pojawił się tam okręt JKM „Bounty” — Otaheite. Podobnie jak niektóre inne wyspy Oceanii, Tahiti raz po raz pojawiać się będzie w tej książce. Trafalgar wymaga jednak pewnego istotnego przypomnienia.

W roku 1805 Napoleon szykował się do najazdu na Wyspy Brytyjskie. Zgromadził swe wojska lądowe w Boulogne, admirałom rozkazał, aby zjawili się tam ze swymi flotami między 10 czerwca a 10 lipca. Wykracza poza temat omawianie tu skomplikowanych i nawet sprzecznych rozkazów, które uprzednio mieli spełnić przywódcy potęgi morskiej Francji. Wiele tam było zamieszania, nieporozumień, aż wreszcie stawily sobie czoło siły morskie obu przeciwników.

Brytyjczycy wiodli w bój dwie kolumny okrętów. Jedną prowadził Col- lingwood, drugą zaś — Nelson.

Głos ma podwładny tego ęstatniego imć John Pasco, który w swych pamiętnikach opowiada: „(...) Jego lordowska mość przybył do mnie na rufę i zleciwszy przekazanie pewnych rozkazów, w kwadrans po jedenastej rzekł: •Panie Pasco, chciałbym powiedzieć flocie: Anglia ufa, iż każdy człek spełni, swą powinność«. (...) Odparłem: »Jeżeli wasza lordowska mość zezwoli mi na zastąpienie słowa: ufa słowem: spodziewa się, rozkaz przekazemy bezzwłocznie, jako że słowo spodziewać się jest w książce kodów, zaś słowo ufa musimy literować«. Jego lordowska mość odpowiedział z miejsca, z nieukrywanym zadowoleniem: "Otóż to, Pasco, bierz się do dzieła.\*

To, że największa wtedy potęga morska świata mogła liczyć na patriotyzm swych marynarzy, nie zawsze było W jej dziejach czymś oczywistym. Dole i niedole ludzi morza będą się raz po raz przewijać na kanwie naszej opowieści. I kto wie, czy nie stanie się jasne, że bunt na okręcie o tysiące mil od Anglii mógł się w znacznym stopniu przyczynić do ukazania prawdziwej sytuacji we flocie, gdzie marynarz służył dosłownie pod batem. I otóż — twierdzą historycy — proces buntowników wstrząsnął nie tylko sumieniem opinii publicznej, ale i umysłami dostojnych panów z Admiralicji. Złagodzone nieludzki regulamin, patriotyzm nie był już tylko czczym frazesem bez pokrycia dla tych, którym przyszło walczyć za króla i kraj na morzach i oceanach świata.

Robert Merle zwraca uwagę, że „bunt na okręcie \*Bounty« na wodach Oceanii poprzedza o dwa miesiące zdobycie Bastylji we Francji. Jakkolwiek nie może być mowy o równorzędnym znaczeniu obu tych wydarzeń, to jednak uderzające jest podobieństwo motywów, tkwiących u źródeł rebelii na morzu i francuskiego zrywu rewolucyjnego. W obu wydarzeniach chodziło o zachowanie godności ludzkiej wobec przemocy. W wypadku »Bounty ♦ wysłano pościg za buntownikami, aresztowano ich i osądzono, trzech zawisło na szubienicy. I jakkolwiek ^sprawiedliwości stało się zadość\*, to

jednak było to pyrrusowe zwycięstwo. Bowiem zeznania na temat warunków życia na pokładzie »Bounty«, złożone na jawnej rozprawie, przeraziły i wzburzyły nie tylko bardziej światłe umysły i bardziej liberalne środowiska Wielkiej Brytanii, ale i samą Admiralicję. I od tego momentu datuje się złagodzenie regulaminów morskich. Bowiem' uświadomiono sobie, iż słynna zasada głosząca, że \*kapitan jest na pokładzie pierwszym po Bogu\* stwarzała pole do wszelkich możliwych nadużyć, kiedy akurat kapitan »nie uznaje ani Boga, ani prawa\*. Marynarze, którzy w brytyjskiej flocie walczyli przeciw rewolucji francuskiej i cesarstwu Napoleona, zawdzięczają buntownikom z •> Bounty? to, że sami zaczęli być traktowani znacznie sprawiedliwiej niż ich poprzednicy na okrętach Jego Królewskiej Mości. Nelson, ów największy brytyjski dowódca morski wszystkich czasów, troszczył się ogromnie o byt swych marynarzy, a kiedy poległ, załogi jego floty ogarnęła szczerza i głęboka rozpacz". A więc dzieje \*Bounty« to nie tylko — jak wspomniałem na wstępie — pasjonująca, wielka przygoda, ale także i wydarzenia o znaczeniu wielkiej miary. U schyłku XVIII wieku marynarz brytyjski przestał być chłopem pańszczyźnianym. Stał się wolnym obywatelem, dumnym ze swego kraju i swego okrętu.

#### ROZDZIAŁ DRUGI

gdzie przedstawione są przyczyny, dla których Admiralicja wysyła na koniec świata okręt Jego Królewskiej Mości „Bounty". Poznajemy dowódcę i jego podwładnych. Niedługo podniosą kotwicę, niektórzy z załogi już nigdy nie ujrzą ojczystych brzegów. Inni — powrócą, ale w kajdanach.

Cała ta opowieść zaczyna się właściwie od ... chleba. Nie byłoby w tym nic dziwnego. Powiada Henri Fabre, ii „historia opiewa pola bitwy, gdzie śmierć zbiera żniwo, ale nie opowiada nam o polach z łanami zboża, które nas żywi; wylicza imiona królewskich bękartów, ale nie potrafi nam podać, jakie jest pochodzenie żyta. Oto głupota człowiecza 1”

Prawdę mówiąc, chleb — o którym będzie tu mowa — nie ma nic wspólnego z tym, jaki przywykliśmy uważać za powszedni. Wielu z nas nie oglądało go nigdy i chyba małe są szanse na to, abyśmy go kiedyś mogli zobaczyć.

John Barrow w swej klasycznej już dziś relacji o wyprawie na okręcie „Bounty”, relacji, która ukazała się w roku 1831, używa napuszonego, pom? patycznego stylu, trudnego do strawienia dla dzisiejszego czytelnika. Ale wprowadza nas w istotę sprawy i sam ten fakt trzeba za nim odnotować. •

Otóż w roku 1787, czyli w siedemnaście lat po powrocie kapitana Cooka z jego pierwszej wyprawy, kupcy i plantatorzy zainteresowani rozwojem plantacji w koloniach Indii Zachodnich najuniżej przedłożyli Królowi Jegomości pewien godny uwagi projekt. Jeśli usuniemy całą słodycz dwornych komplementów i górnolotnych sformułowań, tak miłych duchowi owych czasów, sam pomysł przedstawi się w następującej szacie:

Otóż uprowadzeni do Indii Zachodnich z Afryki murzyńscy niewolnicy musieli jednak być żywieni. Praca na roli, bardzo wtedy prymitywna, wymagała wiele zachodu, aby wyprodukować choćby tyle jada, ile dawano tym nieszczęśnikom, żeby zachować ich przy życiu. Tak więc, kiedy niewolnicy wyprodukowali już prowiant dla samych siebie, niewiele zostawało im czasu czy sił, aby można było zagnać ich jeszcze do uprawy tych roślin, które — dostarczone do Europy — uzyskiwały wysokie ceny w kramach kupieckich Londynu czy Liverpoolu! Skoro więc miałyby się naprawdę rozwinąć przywóz z kolonii atrakcyjnych towarów, to trzeba by harującym na plantacjach niewolnikom dać takie pożywienie, którego produkcja nie wymagałaby zbyt wielkiego zachodu.

Brytyjczycy byli ludźmi interesu. Ich odkrywcy w przeciwieństwie do żeglarzy hiszpańskich nie mieli ambicji nawracania świata. Toteż plantatorzy i kupcy z uwagą śledzili sprawozdania kapitana Cooka, a właściwie towarzyszących mu uczonych botaników, gdzie mowa była o chlebowcach rosnących na wyspach Mórz Południowych.

Gdyby — przemyśleli sobie — zdobyć takie drzewa, na których chleb rośnie, i dostarczyć je tam, gdzie gnieźdzą się czarni niewolnicy, to byłby kłopot z głowy. Czarnuchy miałyby obiad prosto z drzewa i ganiałoby się ich do roboty na plantacjach. Mieliby czas i siły, aby produkować i ładować na statki towary, za jakie potem godziwą czy nawet wręcz atrakcyjną cenę uzyskuje się u europejskich hurtowników.

W Indiach Zachodnich nie występuje chlebowiec w stanie dzikim. Należałoby więc co rychlej dostarczyć go z wysp Mórz Południowych. Taka inwestycja na pewno szybko się opłaci. Uprasza się więc Koronę, aby wysłała okręt, który drzewka chlebowca zabierze z Otaheite i dostarczy do Indii Zachodnich, a to dla niezmiernych korzyści, jakie osiągnie wtedy gospodarka brytyjska.

„Król zechciał łaskawie przychylić się do tej prośby” — informuje nas John Barrow.

Z królewskiego rozkazu i pod dostojnym błogosławieństwem Royal Society, patronującej, krzewieniu wiedzy, nabyto niewielki w naszym współczesnym pojęciu statek i nazwano go „Bounty”. Nazwa ta może mieć różne znaczenia, tu jednak pasować będzie najbardziej „szczodrość” czy „hojność”, jako że monarcha nie poskąpił grosza swej zasobnej szkatuły na tę wyprawę.

W skład załogi weszli także dwaj botanicy. Mieli oni czuwać nad dostarczeniem chlebowca do Indii Zachodnich, jak też — kiedy okręt będzie wracał do macierzystego portu — do królewskiego ogrodu botanicznego w Kew. Aby „Bounty” mógł sprostać swym zadaniom — na tę wyprawę zamieniono go w pływającą szklarnię. W specjalnych uchwytach

osadzono wielkie donice, w skrzynkach obitych blachą miano wieźć sadzonki drzewa, po którym obiecywano sobie tak wiele. W owym czasie na statkach woda słodka była cennym i skrupulatnie wydzielanym załodze dobrem. Stworzono więc zmyślny system, coś w rodzaju obwodu zamkniętego, aby każda kropla wody użytej do podlewania chlebowca, przeciekająca przez ziemię pojemnika — została ujęta i ponownie użyta do zwilżania gruntu z sadzonkami.

Teraz trzeba było jeszcze skompletować załogę i powierzyć okręt odpowiedniemu, godnemu zaufania dowódcy. Musiał to być wytrawny żeglarz. Czekwały go trudne zadania.

Byłem przed kilku laty na Przylądku Kennedy'ego na Florydzie w Stanach Zjednoczonych i tam, na poligonie lotnictwa USA, oglądałem start pojazdu kosmicznego Gemini 5. Twierdzę, iż ci młodzi Amerykanie, startujący w kosmos, wiedzieli znacznie więcej, co czeka ich w tej wyprawie, niż załoga „Bounty”, jak ułoży się jej podróż morska. Pojazd kosmiczny ani na chwilę nie tracił łączności z bazą, „Bounty” ruszał w drogę planowaną na lata, z dala od portów brytyjskich i punktów oparcia, gdzie by można było zejść na ląd bez obawy ataku ze strony tubylców.

Jakkolwiek Ocean Spokojny zajmuje niemal połowę naszej planety, to jednak Europejczycy dowiedzieli się o nim dość późno. Trudno wyprawę „Bounty” nazwać odkrywczą — nawet gdyby nie miała tragicznego finału.

Ale skoro zgadało nam się o ryzyku wyprawy w rejony tak słabo znane czy

wcale nie znane ówczesnym żeglarzom, skoro nie było wtedy jeszcze map wielu obszarów, zaś te, które były, miały mnóstwo białych plam, to trzeba chyba wspomnieć o tym wielkim przedsięwzięciu „Bounty”, przez Pacyfik. Bowiem, jak zwykle się mawiać w tym rejonie świata, „wędrując drogą, westchnij za tych, którzy szli tamtędy, jeszcze zanim drogę tę wytyczono...”-

Przedziwni są aktorzy dramatu zwanego Pacyfikiem! Żeglarze z Hiszpanii i Portugalii, jezuici i franciszkanie, potem jeszcze Londyńskie Towarzystwo Misyjne... Widzimy holenderskich kapitanów, żeglujących wokoło Aftyki i przez Ocean Indyjski, aby zdobyć ładunek cennych korzeni. Słali tych kapitanów panowie kupcy z Amsterdamu o twarzach zadumanych i dostojnych, które po dziś dzień patrzą na nas z portretów mistrza Rembrandta w Rijks- muzeum. Złoty Wiek Amsterdamu zbudowany został na jedwabiach z Japonii i korzeniach z Indii.

Płynęli na Pacyfik żeglarze z rybackich wiosek Anglii i Holandii, szkoccy misjonarze z Biblią i żołnierze z orężem, skazańcy wysłani w dół globusa, aby już nigdy nie wrócić w ojczyście strony. Osadnicy i piraci.

Nie ulega kwestii, że o wielu z nich nie dowiemy się już nigdy, ponieważ wpłynęli na Ocean Spokojny niejako od kuchni, bez rozgłosu, cichcem, bez zgody króla czy przemożnych kompanii handlowych. Po prostu na bezkresnym oceanie pojawiał się od czasu do czasu mały stateczek z rzeźbioną rufą i jaskrawo barwionymi żaglami i potem słuch wszelki o nim ginął. Wiele z nich rozbiło się na rafach koralowych, kiedy usiłowały przedostać się szlakami nie oznaczonymi nawet i na tych prymitywnych mapach, jakimi dysponowała wtedy żegluga. Tylko nieliczni z tych samotników-żeglarzy zdobyli fortunę, jak ów Cavendish, który wrócił do Anglii mając na masztach żagle z adamaszku, flagi szamerowane złotem i załogę odzianą w jedwabie.

Nie dowiemy się pewnie nigdy, jakie były dole i niedole tych mnichów i niewolników, szpiegów i handlarzy. Jak układały się losy wielorybników, łowców fok i handlarzy futrami, którzy coraz częściej zaczęli zaglądać na Ocean Spokojny. Zjawiali się na małych wyspach, aby za rum, błyskotki, siekiery i gwoździe kupować żywność, wodę i kobiety. A były to transakcje brzemienne w niebezpieczeństwo, pomni krzywdy wypiarze czyhali na żeglarzy, którzy często płacili za przewiny tych, co zawinęli na tę wyspę przed nimi. Spływały krwią plaże, kiedy rozgorzały spory o towar i jego cenę.

Nie dowiemy się pewnie nigdy, kto na małej bezludnej wyspie u wybrzeży Australii posadził dwa długie szeregi drzew w linii prostej, a są to drzewa z gatunku, jaki nie występuje wcale w tych rejonach świata. Rozbitkowie? Chyba mieli ważniejsze problemy niż robótki sadownicze na wysepce. Piraci, którzy upamiętniali miejsce ukrycia skarbów? Chyba nie musieli

czynić tego z takim nakładem pracy, zresztą na pewno były bardziej dyskretne sposoby znakowania składu zagrabionych dóbr.

Takich zagadek jest wiele na wyspach Mórz Południowych. Wyzbądźmy się też złudzeń, że jedynie europejscy żeglarze mieli monopol odkryć. To tylko myśmy nawykli do tego sposobu patrzenia na sprawy. Przecież japońskie i chińskie dżonki prawdopodobnie na falach prądów morskich trafiały aż na zachodnie wybrzeże Australii. Arabowie handlowali na Sumatrze, wystawiali swe towary na sprzedaż nawet w Kantonie, potem opowiadali niedowiarkom w dalekiej Europie, że są w szerokim świecie zwierzęta-tor- bacze...

Hindusi mieli swe wpływy aż na Filipinach, a Brytyjczyk, wspomniany już Tomasz Cavendish, kiedy dotarł aż na Bantam w 1587 roku, zastał tam „dwóch Portugalów”. Ci przedstawili go królowi, „człękowi w bardzo już podeszłym wieku, ale mającemu sto żon”. Aby wyjaśnić obecność „Portugalów” w tym miejscu, trzeba przypomnieć, że w 1494 roku Hiszpania

i Portugalia podzieliły między siebie świat. Trudno nam dziś nawet pojąć ambicje tych państw. Cała Portugalia, która w czasie jednego zaledwie pokolenia dotarła aż w tak odległe strony, miała wtedy coś około miliona mieszkańców.

Portugalskie statki przemyciły się trasami, strzeżonymi zazdrośnie. Jezuita Stevens, pierwszy Brytyjczyk, który stanął na ziemi indyjskiej, tak wspomina (1579) długie miesiące morskiej włości z Portugalczykami: „Nie masz ptaka czy znaku na morzu lub w powietrzu, którego by nie zapisali...” Tyle tylko, że mapy te i zapiski strzeżone były przed niepowołanym okiem, bano się wtedy, by rywale nie podążyli przetartym już szlakiem.

Jednym z tych wielkich żeglarzy, którzy wcześniej zjawili się na scenie, mającej służyć za tło naszej opowieści — był Pedro Fernandez de Quiros, w służbie korony hiszpańskiej. Szukał złota i korzeni, nowych ziem dla królestwa Hiszpanii, zaś wieczystego wice królestwa na nowo odkrytych ziemiach — dla własnego rodu. Marzył też o założeniu Królestwa Bożego na wyspach Oceanu Spokojnego. Przez wiele lat kołatał do wrót Watykanu i Madrytu, zabiegając o dotację na swą wyprawę. I oto prośby jego zostały wysłuchane. Wyłynął z Limy na czele eskadry, podjął się nawrócenia i skolonizowania jednej piątej świata...

Był rok pański 1606, kiedy w maju Quiros dotarł z Peru do brzegu jednej z wysp archipelagu zwanego teraz Nowe Hebrydy. Założył tam swoje wymarzone Królestwo Boże. Ba, miało ono krótkie życie, trwało ledwie kilka miesięcy. Nie mogła istnieć ta kolonia utopijna, gdyż — jak zauważa dziejopis McGuire — imć Quiros „miłował Boga bardziej niż ludzi, jako że gdyby bardziej kochał ludzi, toby znał ich lepiej”.

Quiros chciał bowiem swe zbożne cele urzeczywistnić poprzez zakon rycerski, coś w rodzaju Krzyżaków Mórzu Południowych. Ta organizacja na poły wojskowa, a na poły misyjna rychło zapomniała o swym posłannictwie, za to znęcała się nad miejscową ludnością, wiodła krwawe waśnie i spory.

Holendrzy, jak wspominałem, nie chcieli nawracać. Bardziej niż zakładanie Królestwa Bożego na ziemi frapowała ich myśl, co też by można było dowieźć na te wyspy z Amsterdamu, wymienić na towary, które z kolei byłyby godne uwagi kupców w Utrechcie. Byli uparci i odważni, gnębił ich szkorbut, dokuczały trudności żeglugi wątlymi stateczkami, nie mieli też towarów na eksport. Bowiem o brzasku wielkich odkryć Europa niewiele miała produktów, które interesowałyby Azję. Wreszcie doszło wśród Holendrów do stworzenia wspólnymi siłami z mniejszych firm jednej potężnej kompanii handlowej. Jej hasłem było „A przeto zaoraj morza I”, zaś w herbie miała żaglowiec.

Wtedy to właśnie mistrzowie palety, których dzieła żyją po dziś dzień — zmienili przedmiot swych zainteresowań. Zostawili jakby na uboczu pobożne tematy, zabrali się do malowania podobizn czcigodnych kupców, akcjonariuszy wielkich kompanii, tudzież ich pulchnych małżonek.

Kiedy jednak ci wielcy kupcy żyli dostatnio, spokojnie i bezpiecznie w swych bogatych kamienicach, ustawionych ciasno nad kanałami Amsterdamu — „orali” dla nich morza żeglarze i odkrywcy. Otoczeni obcym, wrogim światem wysp Oceanu Spokojnego Europejczycy w pojedynkę czy w małych grupkach działali na rzecz swych dalekich mocodawców, zakładając plantacje, wyprawiając w drogę żaglowce z towarem, budując faktorie handlowe dla wymiany wszelkich dóbr z tubylcami. Była to najczęściej praca do kresu życia. A życie wówczas było krótkie, nie znano leków przeciw chorobom, których sama nazwa jeszcze dziś budzi grozę, nie potrafiono zabezpieczyć się szczepionkami. W każdej chwili miejscowy władca mógł zmienić swe nastroje i z dobrodusznego partnera stać się podstępny wrogiem, atakującym znieścacka.

Nie wiedziano, co to są urlopy, nie umiano konserwować żywności, jak to czynimy dziś, listy wędrowały latami, o ile w ogóle zastawały jeszcze adresatów przy życiu.

Oglądałem na cmentarzach małych wysp Oceanii nagrobki, gdzie można z trudem odczytać zamazane przez czas napisy, wspominające ludzi młodych, których zabiła samotność i choroby tropików lub włóczęga gniewnego wyspiarza.

Do wyjątków zaliczali się odkrywcy, którzy jak Cook chcieli uszanować zwyczaje ludów Pacyfiku, nie patrzyli na nich tylko jak na dwunogie zwierzęta, które należy ujarzmić i eksploatować.

Wyprzedził swą epokę co najmniej o wiek zmarły w 1888 roku, liczący sobie zaledwie czterdzieści dwa lata, rosyjski badacz Nowej Gwinei Mikołaj Mikołajewicz Mikłuchomakłaj. Druga co do wielkości wyspa świata była na jego oczach ćwiartowana przez Brytyjczyków, Niemców i Holendrów. Daremnie siał memoriały do kanclerza Bismarcka, wzywając go do zrozumienia obyczajów ludów, które określano jako dzikie. On miał inne zdanie. Dla niego ci mieszkańcy Nowej Gwinei byli po prostu świetnie dopasowani do środowiska, w którym przyszło im żyć. Zostawił nam notatki, wynika z nich, że właśnie ci ludzie o brunatnej skórze uważali, iż to on jest ogromnie pocieszny, chcieli mu wpoić swe zwyczaje, aby jakoś podnieść go na wyższy poziom...

Będzie jeszcze w tej opowieści nieraz mowa o konfrontacji dwóch obcych sobie światów na wyspach Móz Półudniowych. I sam Czytelnik będzie mógł osądzić, jak zachowali się bohaterowie naszej relacji tam, gdzie stanęli oko w oko z wyspiarzami Oceanii.

Będziemy tu i ówdzie przeskakować czas, aby lepiej zrozumieć pewne sprawy. I chyba już nadeszła pora, żeby — nim poznamy bliżej brunatnoskórych mieszkańców dalekich wysp — przedstawić Czytelnikowi choćby kilku ludzi z załogi okrętu Jego Królewskiej Mości „Bounty”. Przede wszystkim zaś — kapitana.

William Bligh został dowódcą wyprawy, gdyż miał za sobą mimo młodego wieku już spore doświadczenie, tak w marynarce wojennej, jak i handlowej. Kiedy kapitan Cook żeglował poprzez Morza Południowe, Bligh był jego podwładnym, zajmował się nawigacją i hydrografią. Miał szesnaście lat, kiedy zaczął swą służbę na okręcie Jego Królewskiej Mości „Hunter”. Był na Hawajach razem z kapitanem Cookiem, kiedy ten został tam zamordowany przez wyspiarzy w 1779 roku.

Walczył przeciw Holendrom pod dowództwem admirała Hyde Parkera na okręcie „Belle Poule”, brał udział w akcji pod Gibraltarem.

Oryginalny dziennik pokładowy „Bounty” przechowywany jest teraz w Mitchell Library w Sydney w Australii. Złożył go tam w darze w roku 1902 William Russell Wilson Bligh, prawnuk bohatera tej opowieści. Kopia tego dokumentu spoczywa w Public Record Office w Londynie.

Inny uczestnik wyprawy, James Morrison, też notował liczne wydarzenia, udało mu się zachować ten notatnik mimo różnych przypadków, jakie były udziałem żeglarza w tej pamiętnej wyprawie. Są zapiski Johna Fryera, zaś Peter Heywood, sądzony potem za udział w buncie, przedstawił swój punkt widzenia nie tylko zeznając przed trybunałem, ale też w formie listów.

Niemal cała załoga „Bounty” to Anglosasi. Bligh wywodzi się natomiast z celtyckiej ludności zachodnich rubieży Wysp Brytyjskich. Alexander McKee powiada, że instynktowna niechęć dzieliła dowódcę od podwładnych. Bligh znany był bowiem z nieopanowanych wybuchów złości, nriał akurat te przywary, które Brytyjczyków z krwi i kości tak drażnią u cudzoziemców. Gestykulował, kiedy mówił, miotał plugawe przekleństwa, szafował pogrozkami, których nie mógł ani nie miał zamiaru wprowadzać w życie. Wydaje się, iż nie zdawał sobie sprawy, że jego obelżywy stosunek do podwładnych przysparzał mu wiele wrogów.

Lżył swych oficerów niekiedy w obecności prostych majtków, wygrażał im pięścią z błahaego powodu. Miał kilka spraw o zachowanie „niegodne oficera i dżentelmena”, zbierał nagany z tego powodu.

A jednak są historycy, którzy twierdzą, że nie był tyranem. Kto wie, gdyby nim był w istocie, może załoga „Bounty” wcale by się nie zbuntowała? Człowiek ciężkiej ręki, ale potrafiący panować nad swymi nastrojami, miałby chyba szacunek podwładnych. Buntownikami zaś władała nienawiść do kapitana, zrodzona w tygodniach żeglugi, kiedy wyładowywał na marynarzach swe złości. Po latach wspominał jeden z jego podwładnych, iż Bligh obrzucał go wyzwiskami, raz podarł na nim koszulę, kiedy indziej znowu wrzeszczał: „No, niech ja cię tylko dopadnę w ciemnym kącie, to mnie popamiętasz!” Jednak ten sam człowiek zdobywa się na trzeźwą ocenę dowódcy: „Kapitan Bligh jest porywczy i szorstki, ale nie da się zaprzeczyć, iż kiedy się wyszu- mi — złość jego przemija”.

Z relacji współczesnych wynika, że Bligh celował w dobieraniu wymyślnych epitetów dla swych podwładnych, ale może nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo ranił ich godność osobistą.

Nie da się powiedzieć, aby przygotowywana daleka wyprawa już u zarania nosiła znamiona tragedii. Opuszczając ojczyście brzegi, dowódca „Bounty” wysłał list, w którym stwierdza: „Mój mały okręci- k sprawuje się dobrze,



a moi oficerowie i załoga są doskonali, są szczęśliwi, iż dane im jest służyć pod moimi rozkazami".

W porcie Spithead całej załodze wypłacono żołd na dwa miesiące naprzód, w dobrych humorach szykowała się więc brać marynarska do wyprawy na koniec świata. Może nam się co prawda wydawać dziwne, że w czasie oczekiwania na rozkaz wypłynięcia — aż trzydziestu dwóch marynarzy zdezerterowało z pokładu, ale jak przedstawimy dalej, nie było to wtedy niczym wyjątkowym. Można natomiast zakładać, że element skory do buntu sam niejako usunął się, co powinno było wpłynąć korzystnie na załogę pozostałą z własnej woli na okręcie. Wydaje się też, że w przeciwieństwie do rozpowszechnionego wtedy w królewskiej flocie systemu — akurat na „Bounty” nie było marynarzy wcielonych przymusowo, lecz sami ochotnicy.

Z mroków historii wynurzają się inne postaci dramatu. Oto John Fryer, zastępca. Ma za sobą długie lata służby na morzu, wychwalany jest w raportach Bligha. Jego droga życia musiała więc być skomplikowana, pewnie nie była tu obojętna postawa dowódcy, który poniżając go swymi epitetami, zrobił sobie zeń wroga.

Oto jest Fletcher Christian, rodem z wyspy Man, skąd zresztą pochodziła żona Bligha, a także Peter Heywood, o którym będzie nieraz jeszcze mowa. Bligh czuł pewnie z tytułu tych powiązań sympatię dla młodego Christiana, który w czasie rejsu mimo swych dwudziestu czterech lat niejako „przeskoczył” we wspinaczkę po drabinie służbowej Fryera. Brat Christiana był prawnikiem, został z czasem profesorem słynnej uczelni w Cambridge, co nie jest obojętne dla zrozumienia dalszej akcji.

Młody Christian pływał kilkakrotnie pod rozkazami Bligha, względy okazywane ziomkowi były przedmiotem zawiści ze strony innych oficerów.

Zachował się do dziś jakby list gończy, który już po buncie sporządzony został przez Bligha z charakterystyką uczestników rewolty. Christian, czytamy w rym dokumencie, „...poci się obficie, zwłaszcza dłonie ma stale spocone i kala nimi wszystko, czego się tknie. Ma cerę blondyna, a włosy jasno- kasztanowate. Pokryty jest gęstym tatuażem, mówi z wyraźnym akcentem wyspy Man”.

Z wyspy tej pochodził też — jak się rzekło — Heywood. Miał zaledwie szesnaście lat, kiedy znalazł się na liście buntowników. Rodzina Heywooda była spowinowacana z żoną dowódcy „Bounty”, zaś rodzice młodzieńca dobrze znani Blighowi. W ostatecznym rachunku nie przeszkodziło to wcale usilnym zabiegom Bligha, aby Heywooda posłać na szubienicę. Gdyby dane nam było przejść się wtedy po pokładzie „Bounty”, ujrzelibyśmy jeszcze Mulata z Indii Zachodnich, nazwiskiem George Stewart. List gończy stwierdza, że był wątłej budowy, miał gwiazdę wytatuowaną na lewej pięci, tak samo na lewym ramieniu, gdzie również znajdował się inny tatuaż, przedstawiający serce przebite strzałą.

Taki sam tatuaż miał Edward Young, pod tym rysunkiem monogram „E. Y.”. Czytamy, że „postradał kilka zębów na przedzie, wszystkie inne są spróchniałe”.

Laurence Lebogue i John Norton żeglowali już pod rozkazami Bligha na statku handlowym „Britannia”. William Peckover służył pod rozkazami kapitana Cooka, też więc był znany dowódcy „Bounty”. Thomas Hayward i John Hallet byli zaprzyjaźnieni z rodziną żony Bligha.

Bligh szczerze i serdecznie nie znosił lekarza okrętowego, doktora Thomasa Huggana, którego — jak stwierdzał — „tusza i lenistwo sprawiają, iż nie

jest przydatny w tej wyprawie. Chciałbym go wymienić". Do tego jednak nie doszło, tyle tylko, że tuż przed podniesieniem kotwicy zaangażowano pomocnika lekarza, nazwiskiem Thomas Ledward. Nie było zgody admiralicji na obsadzenie tego stanowiska, ale że Bligh nie chciał ruszać w tak daleką podróż z jednym tylko medykiem, więc zatrudniony cichcem Ledward figurował oficjalnie w spisie załogi jako „majtek wykwalifikowany”.

Był na pokładzie „Bounty” Henry Hillbrant, Niemiec z Hanoweru, a więc niejako rodak monarchy Jerzego III. Jego kiepska angielszczyzna została również wspomniana w liście gończym.

Księgowym z zawodu był John Samuel, Żyd z Londynu, którego w raportach Bligh nazywa ustawicznie „absolutnie nieudolnym”, jakkolwiek to on właśnie pozostał mu wierny w najczarniejszych godzinach wyprawy.

Ale nie opóźnijmy akcji, innych bohaterów poznawać będziemy w kolejnym rozwoju wydarzeń. 23 grudnia 1787 roku uzbrojony okręt Jego Królewskiej Mości „Bounty” podniósł kotwicę w porcie Spithead i ruszył w drogę, skąd nie miał już nigdy powrócić. Przed załogą stał daleki cel: piękna wyspa Otaheite.

### ROZDZIAŁ TRZECI

' w którym mowa jest o tym, jak bardzo

„yspy Mórz Południowych pociągały wyobraźnię Europy przed dwoma wiekami. Próbuje się tu oddzielić fakty od fikcji i pokazać świat, ku któremu miał płynąć „Bounty”.

Kiedy 26 sierpnia 1768 roku czterdziestoletni kapitan James Cook opuszczał port w Plymouth na swym okręcie „Endeavour” („Wysilek”) i ruszał w podróż dookoła świata — nie wiedziano Jeszcze wiele o archipelagach Oceanu Spokojnego, jakkolwiek miano już relacje z uprzednich podróży Quirosa, Torresa, Tasmana, Dampiera i Bougainville'a. Nigdy jeszcze żaden Europejczyk nie stanął na wschodnim wybrzeżu Australii, nikt nie opłynął Antarktydy, nie wiedziano, że Nowa Zelandia to wyspy. Świat białego człowieka nie znał istnienia wielu wysp, o których potem pieśń głosiła, iż „są zrodzone z marzeń”.

Na południowej półkuli żeglarze poruszali się posługując się mapami nader niedokładnymi. Wielkie i małe lądy, wyspy, wysepki, wybrzeża naszkicowane były dość fantazyjnie. Ten margines błędu niejednego marynarza pozbawił życia. Dla wielu kapitanów określenie położenia na pełnym morzu było trudną zagadką, obliczenie kursu — zgadywanką nawet dla bardziej bystrych. Dla wielu żeglarzy posługiwanie się urządzeniami nawigacyjnymi graniczyło z czarnoksięstwem, a właśnie kapitan Cook opanował tę sztukę po mistrzowsku. Owszem, były już w połowie XVIII wieku dokładne przyrządy nawigacyjne, trzeba jednak było poczekać, nim wyrosło nowe pokolenie ludzi morza, którzy potrafili praktycznie wykorzystać teoretyczną wiedzę.

Cook umiał prowadzić ludzi. Był wysmienitym kartografem, wytrawnym żeglarzem. W roku jego zgonu (1779) niemało białych plam na mapach świata powleczonech zostało farbą. Rzekłby Seneka, iż Thule nie jest już ostatnim lądem...

Dużo wysp i kontynentów oznaczono europejskimi nazwami, dość często potem zresztą pozmienianymi, tak na przykład Nowa Holandia została przemianowana na Australię. I nie bez znaczenia jest dla opowieści, że nazwy okrętów pod dowództwem Cook<sup>^</sup> wyraźnie przedstawiały jego program działania: „Wysilek”, „Postanowienie”, „Odkrycie” i „Przygoda”. Ale jednocześnie wprowadzając ten program ważycie Cook nie wykreślił zeń wielkiego słowa: Człowieczeństwo.

Uczył swych marynarzy poszanowania dla ludzi innych ras i odmiennego koloru skóry. A były to przecież czasy, kiedy między zastrzeleniem kangura a posłaniem porcji ołowiu czarnemu tubylcowi różnica była raczej nikła. Gdy „Endeavour” w roku 1769 zbliżał się do Tahiti, Cook wydał rozkaz zaczynający się od słów: „Trzeba ze wszech sił zabiegać o przyjaźń z tubylcami. Należy ich traktować nader przyjaźnie”. Kiedy w drugiej podróży zbliżał się do Nowych Hebrydów, pod datą 11 sierpnia 1774 roku zapisał w dzienniku pokładowym: „Po południu dwaj czy trzej chłopcy skryli się w gąszczu i stamtąd cisnęli dwa albo trzy kamienie na naszych ludzi zatrudnionych przy wyrębie lasu. Zostali za to ostrzelani przez obecnego tam wtedy

podoficera. Wielce mnie zgniewało takie nadużycie broni palnej i podjąłem kroki, aby w przyszłości nic podobnego nie mogło się powtórzyć...”

Znamienne jest to, co pisał o nim porucznik King: „Jego ostatnie rozkazy dotyczyły uspokojenia umysłów tubylców po naszej stronie rzeki i zapew-

nienia ich, iż nic im nie grozi. Dalej, miałem zebrać ludzi i mieć się na baczności..." A potem już — rzecz działa się na Hawajach — dodaje: „Gdy nasz nieszczęsny dowódca był po raz ostatni wyraźnie widziany, stał na brzegu i wołał ku łodziom, aby zatrzymać ogień i wiosłować z powrotem. Jeśli jest prawdą, iż — jak twierdzą niektórzy z tych, co byli przy tym — piechota morska i wiosłarze bez jego rozkazu otworzyli ogień i że chciał on uniknąć dalszego rozlewu krwi, to jest dość prawdopodobne, że jego miłosierdzie skończyło się w tym wypadku dlań tragicznie. Dostrzeżono jeszcze, iż jak długo stał on twarzą w twarz przed tubylcami, to żaden z nich nie odważył się na jakiegokolwiek napaści. Dopiero wtedy, kiedy odwrócił się od nich, aby wydać swym ludziom rozkazy, dostał cios w plecy i runął w wodę twarzą naprzód. Widząc, jak pada, wyspiarze gromko krzyknęli, błyskawicznie ciało jego zostało wydobyte na brzeg i otoczone wrogami. Wyrwali sobie nawzajem sztylet i zjednoczyło ich złowrogie pragnienie uczestniczenia w zagładzie..."

Porucznik King nadmienia, że ten szal niszczenia wcale nie wywodził się z nienawiści do Cooka czy jakichś sadystycznych skłonności.

Natomiast Cook i jego załoga nie bardzo jasno zdali sobie sprawę z sytuacji, w jakiej się znaleźli. Otóż wyspiarze z Hawajów początkowo brali europejskich żeglarzy za bogów. Ich statki stanęły na kotwicy w zatoce Kealakekua, siedzibie Kanaloa, najwyższego bóstwa Hawajów. Wyspiarze uważali, że Cook jest właśnie tym wracającym na ziemię bogiem lub też jakimś innym bóstwem. Z wolna jednak rodziła się w nich świadomość, że przybysze to po prostu też ludzie, tyle tylko, że mający skórę innego koloru. Ostatecznie mit został obalony, kiedy zmarł jeden z marynarzy. Píše King: „To do reszty zburzyło ich wiarę w naszą nieśmiertelność. Równocześnie skończyło się też poważanie, jakie dla nas żywili”.

Trzeba tu dodać, że wyspiarze mieli na pewno dość przybyszów, których apetyty przekraczały znacznie możliwości dostaw z Hawajów-. Cook opuścił był bowiem Hawaje na kilka miesięcy, badał wybrzeża Ameryki Północnej i Alaski, dotarł aż do Cieśniny Beringa. Potem jednak znów powrócił na Hawaje. Wydaje się, że perspektywa aprowizacji floty nie bardzo się uśmiechała wyspiarzom. A potem sztylet w plecach białoskórego wodza utwierdził ich w przekonaniu, że jest on człowiekiem tak jak oni, nie zaś żadnym bogiem...

Pisał Jerzy Forster, gdańszczanin, który wyruszył z Cookiem na jego drugą wyprawę: „Zaiste skoro wiedza i uczoność poszczególnych ludzi opłacane są szczęśliwością całych ludów, to byłoby lepiej dla odkrywców i odkrywanych, aby morza Południa po wsze czasy zostały nie znane niespokojnym Europejczykom..." I tu chciałbym wspomnieć o ciekawej pracy, która wyszła spod pióra

ZRODZONE Z MARZEŃ

świernego australijskiego popularyzatora historii. Alan Moorehead napisał książkę, której tytuł oryginału „Złowrogie zderzenie" nie jest tak przekonujący jak ten, który dano francuskiemu przekładowi: „Białe niebezpieczeństwo”.

Rzecz w tym, że ludzkość żyła już pod strachem niebezpieczeństw różnej maści, ale przecież także i ludzie biali byli groźni, zwłaszcza w rejonie południowego Oceanu Spokojnego. Nie liczyli się z życiem ludów, które chcieli podbić, wieźli w bagażu choroby i zwyczaje nie pasujące do miejscowych warunków życia. Właśnie przykład Tahiti jest dowodem rzeczowym w tym procesie przed trybunałem historii...

Jednym z tych paradoksów — jakich tak obficie dostarczają nam dzieje świata — jest to, że archipelag, o którym nie wiedzieli biali ludzie nic bliższego, niemal równocześnie doczekał się odwiedzin flot trzech krajów, budujących imperia kolonialne: Anglia, Francja i Hiszpania sięgnęły po dalekie wyspy. Kapitan Wallis pojawił się u wybrzeży Tahiti w czerwcu 1767 roku, Bougainville w kwietniu roku następnego, kapitan Cook w czerwcu 1769 roku, Boenechea w roku 1772.

Różne epoki rozmaicie marzą o odmianie swego losu. W XVIII wieku cywilizowana Europa śniła o ziemskim raju. Rousseau w roku 1749 napisał „Discours sur les arts et sciences”, gdzie tworzy wizję prymitywnego człowieka, który wiezie poczciwy żywot w swym nieskomplikowanym raju. Podniecało to wyobraźnię ludzi a właśnie Tahiti pasowała jak ulał do tego sielankowego obrazka. Powiada Jean-Maria Loursin, iż „wyspa była niczym niedostrzegalna gwiazda, która zabłysła nagle, kiedy wreszcie astronomowie dowiedli, że musi ona istnieć...”

Od dwóch stuleci Polinezja francuska frapuje ludzi pióra. W 1931 roku raczej niepełna bibliografia Jorego wyliczała osiemset pięćdziesiąt jeden książek na temat dalekiego archipelagu. Teraz cyfra ta przekroczyła już dwa tysiące pozycji!

Pojęcie „poczciwego dzikusa” było starannie pielęgnowane. Po dziś dzień wielkie biura podróży wbijają w świadomość turystów, iż nazwa Tahiti musi się łączyć z beztróskim bytowaniem. W Europie i Ameryce czy Australii albo Japonii sprzedaje się „paczkowany pobyt”, plamy z dołu, w dogodnych dwunastu miesięcznych ratach... Ale, jak słusznie zauważa Loursin, „tak od zarania ludzkości rodzą się baśnie nieśmiertelne, bez których jednak od dawna już ludziom nie starczyłoby odwagi, aby żyć...”

Po południu 19 czerwca 1767 roku na fregacie Jego Królewskiej Mości „Dolphin”, płynącej przez bezkresne wody Oceanu Spokojnego, dostrzeżono szczyt górski, spowity lekką mgiełką. Potem w blaskach zachodzącego słońca widać już było wyraźnie cały grzbiet górski. Załoga znalazła się w stanie radosnego podniecenia. W czasie żeglugi po oceanach ludzi morza dręczył szkorbut. Nie było warzyw ani owoców, kucharz gotował to, co miał akurat

pod ręką. Dziś marynarze nie przelknęliby czegoś podobnego: nadpsute, zawsze przesolone peklowane mięso kiepskiej jakości, groch suszony, suchary, do których w wilgoci tropików dobierały się robaki. To wszystko popijano stęchlą wodą, chyba że na rozgrzewkę i dla dodania animuszu wlewano w marynarzy gorzałkę.

A więc miano teraz nadzieję na świeże jadalno i czystą wodę, na grunt pod nogami po półroczej żegludze. Kto wie, może też i jakieś ważne odkrycie uświetni wyprawę? Zapisał owego wieczoru w swym dzienniku George Robertson: „Oto, mniemamy, jest ów wymarzony Łąd Południowy, tylekroć już omawiany, ale nigdy jeszcze przez Europejczyków nie oglądany...” Była to bowiem niejako wyprawa na zamówienie. Królewski okręt płynął jakby po tropach wyobraźni imię Ch. de Brossesa, który w roku 1756 opublikował w rodzinnej Francji swe rozważania. Twierdził mianowicie, że gdzieś na południowym Oceanie Spokojnym znajdują się niechybnie bogate wyspy czekające na odkrywcę. Odnalezienie takich łądów — pisał — „byłoby, zaiste, największym, najszlachetniejszym, najbardziej owocnym przedsięwzięciem, godnym suwerennego władcy”.

Brytyjczycy pilnie nastawili uszu. Ich imperium zrodziło się nie tylko z odwagi i przedsiębiorczości jednostek, ale i umiejętnego wykorzystywania pomysłów, niekiedy własnych.

Z rozkazu Jerzego III ruszył więc w czerwcu 1764 roku na okręcie „Dolphin” komandor John Byron, zresztą dziadek słynnego później poety. Przykazano mu, aby odszukał ów południowy kontynent. Ale misja nie powiodła się. Wrócił tylko ze skromnym bagażem informacji.

Z królewskiego rozkazu „Dolphin” ponownie popłynął w dół. Tym razem dowódcą był kapitan Samuel Wallis. 22 sierpnia 1767 roku opuścił Anglię, towarzyszył mu okręt „Swallow” oraz statek zaopatrzenia „Prince Frederick”. Po drodze Wallis obejrzał sobie jeszcze Patagończyków, o których wieść gminna głosiła, iż są narodem olbrzymów. Pomiary nieco go rozczarowały. Owszem, chłop w chłopa, przeciętna 182 cm, ale gdzie tam znowu olbrzymy!

Przez Atlantyk przepławiano się cztery miesiące, tyle przez szlak z jednego oceanu na drugi. Jeszcze nigdy chyba ta droga nie miała tak zasłużenie swej ponurej sławy. Pisze Jean Riverain, że Wallis w strugach ulewnego deszczu, w nieustannej walce z wichrem, w ustawicznym lęku przed rozbiciem okrętu żeglował na trasie pięćset osiemdziesięciu trzech km. 11 kwietnia 1767 roku „Dolphin” stracił łączność z „Swallowem”, oba okręty już się więcej nie spotkały.

W połowie czerwca „Dolphin” przedzierał się przez zdradliwe wody archipelagu Tuamotu. Musiała to być wyprawa pełna grozy. W dwa wieki później

wałęsałem się tam na pocztowym statku „L'Oiseau des Isles”, nowoczesnym, sprawnym, uzbrojonym we wszelkie urządzenia do podpatrywania tajemnic morza. A jednak kapitan zwierzył się, że wolałby dowodzić statkiem na bardziej człękowi życzliwych wodach...

Owego pamiętnego wieczoru załoga szybko ustaliła, że nie ma przed sobą tego obstalowanego przez króla łądu. Ale nie krzywdowali sobie. Cieszył się pan kapitan Wallis, chociaż przykuty był szkorbutem do swego legowiska, cieszył się pierwszy oficer, radowali majtkowie. Byli w pobliżu Tahiti. Robertson w uniesieniu zanotował: „Zaiste, wyspa to piękna ponad wszelkie wyobrażenia”. Robert Langdon zauważa, że „po tym wrażeniu, jakie Tahiti- tanki wywarły na załodze «Dolphina», Europa już nigdy nie przyszła do siebie...” Ten sam autor nazywa bowiem Tahiti „koszykiem pełnym kwiatów i owoców, rzuconym na Ocean...”

Tak więc zuchy z „Dolphina” oblizywali się, na myśl o owocach z tahitańskich drzew. Tuż po wschodzie słońca 20 czerwca sto piróg wyruszyło na spotkanie statku opływającego wschodni kraniec wyspy, nazywany potem przez kapitana Cooka stosowną nazwą Przyłądka Wenus.

Kilku wyspiarzy weszło nawet na pokład okrętu, a marynarze chcieli ich namówić do zamiany żywności na europejskie noże, tkaniny i inne towary. Niektórzy marynarze chrząkali więc głośno, aby bez słów okazać zainteresowanie nierogacizną, inni zaś gdakali, by wyspiarze zrozumieli, że drób też jest mile widziany na pokładzie „Dolphina”.

Bystrzy Tahitańczycy odgadli szybko treść tego orędzia i pośpieszyli na wyspę po dostawy do garnka. Ci, którzy pozostali na okręcie — szamotali się z uchwytami, hakami i innymi metalowymi przedmiotami. Bez żelaza nie chcieli odejść. Ich starania były tak uporczywe, że wreszcie, -aby się pozbyć kolekcjonerów, załoga strzeliła z działa. Wystraszeni hukiem wyspiarze skoczyli za burtę i wplaw wrócili do domu.

Gdy nazajutrz rano „Dolphin” zawinął do zatoki Matavai, obieży go pirogi załadowane owocami, orzechami kokosowymi, kurami i wieprzkami. Przez dwa dni toczył się ożywiony handelek. Kiedy jednak Anglicy wylądowali na wyspie, by uzupełnić zapas wody słodkiej — onieśmieliła ich obecność Tahitańczyków o niezbyt wyraźnych zamiarach, przeto ledwie z kilkoma beczkami zawrócili na okręt.

24 czerwca o brzasku zjawilo się pół tysiąca łodzi. Około czterech tysięcy Tahitańczyków znalazło się tuż przy okręcie Jego Królewskiej Mości. Na każdej zaś łodzi była — jak skrętnie zanotował nasz informator Robertson — „jedna lub dwie urocze młode dziewczęta”, które „pokazały mnogość pociesznych, wyuzdanych gestów”, by zwrócić uwagę marynarzy.

Załoga wyległa tłumnie, aby popatrzeć na to widowisko. Któż by nie chciał zobaczyć? Kiedy jednak dziewczęta figlowały na łodziach, towarzyszący im mężczyźni niespodziewanie obrzucili marynarzy gradem kamieni, sprytnie ukrytych na dnie łodzi.

Padły głosy komendy, z okrętu warta ostrzelała napastników, ale to wzmogło jeszcze siłę ich ataku. Wtedy odezwała się artyleria okrętowa. Huk dział odstraszył wyspiarzy.

Następny dzień przyniósł radykalną zmianę nastrojów. Manifestacja przyjaźni była teraz tak szczerą, iż Brytyjczycy ostatecznie zdecydowali się na wylądowanie na wyspie i zagarnięcie jej na chwałę swego monarchy.

Kapitan Wallis był dalej złożony chorobą. Akcją dowodził więc Tobiasz Furneaux. Wszystko odbyło się przepisowo. Flaga na maszcie, Tahiti dostała nazwę wyspy Jerzego III. Ceremonię obserwowali z bezpiecznej odległości mieszkańcy. Może ta zmiana obywatelstwa nie odpowiadała im — jeśli zrozumieli, o co chodzi — bo już dnia następnego stali się znów groźni i grupka marynarzy z okrętu celowo uszkodziła ich pirogi. Ta demonstracja przewagi białego człowieka nad „dzikusami” ostatecznie chyba pokazała im, kto ma rację...

Kiedy Furneaux zjawił się po południu po wodę słodką, wyspiarze czekali już nań z podarunkami, witali lądujących marynarzy wymachując liśćmi palmy. W komitecie powitalnym było też sporo ładnych buziaków. Starszyzna kazała tym dziewczętom, aby stanęły w szeregu, tak że marynarze mogli — notuje Robertson — „u pa trzeć sobie tę, która widzi im się najbardziej miła. W obawie, iż ludzie nasi są nieporadni i nie wiedzą, jak mają sobie poczynać z tymi biednymi, młodymi dziewczętami — starcy na migi pokazywali, jak przystało zachować się wobec kobiet”.

Furneaux pozostał głuchy wobec zaklęć swych chłopców, którzy chcieli zerwać z samotnością także i na samym okręcie. Dał jednak do zrozumienia zwolenniczkom czynnego witania, iż także i w przyszłości mogą liczyć na dalsze odwiedziny marynarzy z „Dolphina”.

Dłu<sup>^</sup> w noc szczęśliwcy, którzy przywieźli z wyspy słodką wodę i słodkie wspomnienia, opQwiadali zawistnym kolegom o swych wrażeniach. Ba, ich zdaniem „nie uświadczyli jeszcze na oczy bardziej powabnych istot”. Pod wpływem tych żeglarskich relacji rwała się na brzeg brać marynarska. Chorzy, którzy tygodniami już kwękali, teraz wmawiali w lekarza, że właśnie na brzegu znajdą dobrą opiekę u miejscowych dziewcząt i szybko odzyskają zdrowie.

Imć Wallis był dogładany osobiście przez roslą i postawną kobietę Oberea, którą przybysze zwali królową. Jean Riverain opowiada, jak na cześć kapitana



królowa wydała bankiet na tysiąc osób, sama zasiadła na podium u boku swego gościa. Piękne dziewczęta paluszkami wtykały do ust dostojnym gościom najlepsze kęsy mięsa, kawałki kokosów i smakowite skorupiaki. W czasie wizyty na pokładzie okrętu królowa olśniona była teleskopem.

Przykład idzie z góry. Tahitańskie ślicznotki widziały codziennie, jak na plaży gwoździe i inne przedmioty wymieniane są na wszelką żywność. Píše Robertson, iż powstał „nowy rodzaj handlu” pasjonującego marynarzy, „jakkolwiek bardziej by tu przystało nazwać to starodawnym handlem”. Obie umawiające się strony szybko się dogadały w sprawie taryfy. Jedna randka — jeden gwóźdź. Trudno uznać cenę za wygórowaną, skoro w porcie macierzystym marynarz nabywał setkę gwoździ za dwa szylingi i sześć pensów.

„I tak owego dnia Tahiti przeszła z epoki kamiennej do epoki żelaznej...” — zauważa Riverain.

Prywatne zasoby gwoździ szybko się wyczerpały. Marynarze zdobywali je najpierw w warsztacie cieśli okrętowego, potem zaś wrywali ze ściany nawet te, na których trzymały się zaczepy do hamaków. Prerażony cieśla zameldował kapitanowi, że „wyrwano już każdy metalowy kołek i wyniesiono każdy gwóźdź”. Wyglądało na to, że nie będzie na czym wracać do domu, gdyż łajba nie wytrzyma tych miłosnych uniesień załogi i rozpadnie się, kiedy powieje silniejszy wiatr. Robertson skasował przepustki na brzeg, ostrzegł załogę, że jeśli złodziej gwoździ będzie dalej nieuchwytny — sielankowe wycieczki ustaną raz na zawsze.

Tegoż wieczora usłyszał gniewne głosy z pomieszczeń dla załogi. Wiedziony ciekawością, przyczołgał się ukradkiem do uchylonych drzwi. Usłyszał, że marynarze zgromadzili się, aby we własnym zakresie wymierzyć sprawiedliwość. Sześciu kolegów doczekało się nagany za... podbijanie ceny. Okazało się mianowicie, że płacą nie małymi ćwiekami, ale mugimi gwoździami. Na usprawiedliwienie podali, że byli za to uszczęśliwieni w dwójnasób.

Oficjalna kara dosięgła natomiast majtka nazwiskiem Francis Pinckney, złapanego na gorącym uczynku wrywania gwoźdźcia. Ostatecznie kapitan Wallis, uzdrowiony całkowicie (podobnie jak i inni chorzy), doszedł do wniosku, że pięć tygodni na Tahiti zupełnie wystarczy i że czas szukać dalej tego łądu, jak to król jegomość mu przykazał. Polały się łzy kochliwej Oba-rea, kiedy „Dolphin” podniósł kotwicę. Łądu jak nie było, tak nie było, ale w drodze do domu odkryto wyspy, które noszą po dziś dzień nazwę Wallis.

25 maja 1768 ekspedycja zawinęła do portu brytyjskiego. A że akurat szykował się do podróży kapitan Cook — przekazano mu kozę, która na „Dolphinie” odbyła podróż dookoła świata w charakterze dostawcy mleka na stół kapitański. Ten sam etat czekał na dzielną kozę na okręcie Cooka. Zaraz się tam przesiadła.

Flegmatyczne to stworzenie bez specjalnych wzruszeń odbyło więc i drugą podróż dookoła świata, bijąc na pewno wszelkie kozie rekordy. Swymi okrągłymi oczyma koza patrzyła na dziwy, które żyły potem w opowieściach

żeglarzy. Sam Johnson opiewał kozę po powrocie w łacińskim poemacie, przyrównując ją do mitologicznych postaci i głosząc, iż zasłużyła sobie, na opiekę i dożywotnie pastwisko.

Prawdę mówiąc, nie koza przysporzyła sławy kapitanowi Cookowi, ale... kiszona kapusta. Nie był lekarzem, piął się mozolnie o własnych siłach po drabince marynarskiej kariery. Syn uprawiającego cudzą ziemię wieśniaka zasłynął z odwagi w czasie wojny brytyjsko-francuskiej o Kanadę, dokonując tuż pod nosem francuskich baterii sondażu Zatoki Świętego Wawrzyńca. Jego praktyczny umysł stwierdził, że skorbut dolega tym żeglarzom, którzy nie mogą w warunkach ówczesnej żeglugi jeść owoców i warzyw. Innymi słowy, w dalekich rejsach załogom dała się we znaki — jakbyśmy to dziś określili — awitaminoza.

O chłodniach okrętowych nikomu się wtedy nie śniło, ówczesne metody konserwowania żywności były zabójcze dla witamin. Cook więc wymyślił swą prywatną wojnę przeciw skorbutowi. Uważał, że kiszona kapusta okaże się skutecznym środkiem zapobiegawczym. Jego nadzieje były słuszne, ale od pomysłu do praktycznego zastosowania jeszcze daleka droga...

Znał swych marynarzy na tyle dobrze, by wiedzieć, że przymusem wskóra u nich niewiele. Wpadł więc na pomysł, o którym opowiada w swej relacji z podróży z Anglii na Tahiti: „... ludzie początkowo nie chcieli jeść kiszonej kapusty. Doprowadziłem do jej spożycia dzięki metodzie, która w odniesieniu do marynarzy tيفا niezawodna. Polegała ona mianowicie na tym, iż codziennie dodawano kiszoną kapustę do posiłku oficerskiego, wszyscy oficerowie mogli ją jeść bez ograniczeń. Nie minął tydzień, kiedy już trzeba było każdemu na pokładzie dawać jego porcję. Takie to już bowiem jest usposobienie i powszechne są u marynarzy skłonności, że gdy dasz im coś, co odbiega od ich utartego zwyczaju, to im to >nie podchodzi«, nawet gdyby miało być dla ich dobra. Słyszysz się zewsząd wtedy tylko same zarzuty wobec tego, »komu to strzeliło do głowy«. Gdy jednak zauważą, że przełożeni cenią takie jadlo, wtedy z miejsca staje się ono najlepsze na świecie, zaś pomysłodawca jest godny szacunku...”

Cook liczył sobie czterdzieści lat, kiedy dostał dowództwo nad wyprawą mającą dokonać dokładnych obserwacji przejścia Wenus przez tarczę słoneczną. Przy okazji, rzecz jasna, miał się też rozejrzeć nie tylko po niebie, ale i po ziemi, a to dla ustalenia, czy aby nie znajdzie się czegoś odpowiedniego dla większej chwały króla jegomości....

Początkowo zamierzał badania astronomiczne przeprowadzić na Markizach, które Mendana odkrył dwa wieki wcześniej. Ale zjawił się właśnie z powrotem kapitan Samuel Wallis, przywiózł nie tylko kozę, lecz i sprawozdania z odbytej podróży. Rozkazy więc zmieniono, Cook miał mszyć na Tahiti. Tymczasem jednak daleką wyspę odwiedził inny gość. Był nim Ludwik Antoni hrabia de Bougainville; zjawił się na Tahiti w osiem miesięcy po Wallisie nic nie wiedząc o jego odkryciu. W naszej opowieści francuski żeglarz ma wielkie zasługi- dla mitu Tahiti. Jego relacje są znacznie bardziej liryczne niż te, które zostawił potomnym dowódca „Dolphina”. Trudno się dziwić, że Europejczyk czytając wywody hrabiego urabiał sobie zdecydowany pogląd, iż Tahiti jest czymś w rodzaju Raju (wydanie II poprawione i uzupełnione), gdzie miłość kwitnie, a Matka Przyroda jest tak hojna, iż człek nie wala sobie rąk żadną pracą.

Bougainville żeglarzem został dość późno. Był natomiast dzielnym obrońcą Quebecu; jednym z tych paradoksów, jakie płata historia, jest to, że Cook był też wtedy uczestnikiem tych walk, tyle tylko, że po drugiej stronie frontu... Bougainville był przez jakiś czas adwokatem, sekretarzem ambasady, matematykiem i pułkownikiem wojsk lądowych. W przedmowie do swych pamiętników poucza nas, iż jest pierwszym Francuzem, który odbył podróż dookoła świata. Zaprzecza, jakoby miał nim być („nie byłś to zaiste ani oficjalna, ani naukowa podróż”) Legentil Labartinais. Ten jego rodak był przemysłowcem morskim, rzemiosło swe uprawiał u wybrzeży Chile i Peru. Stamtąd poniosło go do Chin, wrócił przez Cieśninę Magellana. Miałby więc słuszne roszczenia do pierwszeństwa.

I jeszcze jedna dygresja, nim wrócimy do naszych rozważań. Oto inny kandydat do tytułu pierwszego Francuza, który odbył podróż wokół naszej planety. Jest nim urodzony u schyłku XVI wieku Pierre Olivier Malherbe. Oglądał Meksyk, potem Panamę „ten skarbiec”, z którego złoto peruwiańskie wieziono do Europy. Wędrował przez Peru, gdzie — jak pisze Jean Riverain — „wygasały wtedy ostatnie światła cywilizacji Inków”.

Przez Cieśninę Magellana i Filipiny droga wiodła do Chin. Zdjęty podziwem, oglądał w Kantonie „tłum liczny wielce”, dżonki, których skupiska tworzyły na rzece odrębne miasto. W Indiach był gościem Wielkiego Mogoła, podziwiał uczonych, poetów i artystów żyjących w cieniu władcy. Odwiedził Samarkandę „wcale nie mniejszą niż Paryż, chociaż nie tak już jak niegdyś zaludnioną”, podziwiał na swym szlaku wędrowki kopalnie diamentów czy wielką twierdzę w Agra.

Jest rok pański 1605, gdy w Persji poznaje szacha Abbasa, przyjaciela Europejczyków. Łączy go z nimi wspólna niechęć do Turków. Szach — jak wspomina Malherbe — stara się o umniejszenie szacunku, jakim otoczona jest Mekka. Każe więc w jednym z meczetów powiesić „nogę wielbłąda Mahometa” i czcić ją niby słynny czarny kamień w Kaaba. Wędrowiec wraca przez Arabię do słodkiej Francji. Nie było go w kraju przpż ćwierć wieku. Ludziska podróżowali wtedy rzadko, ale dostojnie i solidnie, bez zbędnego pośpiechu... Jeden z biografów nazywa Bougainville'a filozofem-amatorem. Wziął sobie do serca nauki Rousseau. Pasowały jak ułaf do tego, co sam ujrzał na dalekich wyspach. Był entuzjastą wszystkiego, co widział: „... zieleń radowała oko, palmy kokosowe wszędzie ofiarowały nam swe owoce i rzucały cień na trawniki poprzetykanę kwiatami. Tysiące ptaków fruwało nad wybrzeżem, zwiastując obfitość ryb”. Zauważa Jean Riverain, iż miejsce było niezawodnie jak ułaf dlaekliwej duszy, miłującej przyrodę. „Jednakże przyroda była tu reprezentowana także i przez nagich, roślących mężczyzn o brązowej skórze. Wywijali oni zaciekłe swymi dzidami...” Bougainville elegancko nazwał tę wysepkę „Wyspą Lansjerów”.

Około dziesiątej rano dnia 2 marca 1769 roku Bougainville miał już przed sobą Tahiti. Oglądał ją w roku 1606 Queiros i nazwał Sagittaria. Tuż przed Francuzem imię Samuel Wallis nadał jej imię Jerzego III. Nie widzi w tym nic niezwykłego Jean Riverain: „Dzieje podróży odkrywczych pełne są ponownych, w dobrej wierze dokonywanych odkryć. Trzeba tu mieć na uwadze ignorancję żeglarza co do identyczności napotykanych miejsc, które kolejno miały różne nazwy. Zdarza się, iż jedna i ta sama wyspa zaznaczona jest na mapach dwukrotnie, za każdym razem pod inną nazwą. A skądinąd tajemniczość, jaką poszczególni podróżnicy otaczają swe odkrycia — nie przyczynia się do jasnego obrazu na mapie świata”.

Innymi słowy, tak jak Queiros dla Hiszpanii, a brytyjski żeglarz dla Anglii, tak i Bougainville bierze wyspę w posiadanie dla króla Francji. W butelce zamyka się uroczyście odpowiedni dokument: „W roku 1768, dwunastego dnia kwietnia, my, Ludwik Antoni de\* Bougainville, pułkownik piechoty, kapitan królewskich okrętów...”

Monarcha zyskuje piękną wyspę, może z nieco już przez poprzednich zdobywców obciążoną hipoteką. Bougainville natomiast ma temat do zachwyków. Jego „Podróż dookoła

świata" jest relacją sielankową. „... niezwykłą zaletą tej wyspy jest to, iż nie nawiedzają jej hordy owadów, plagi tropików. Nie dostrzeżliśmy też żadnego jadowitego stworzenia"... Zachwyca się nie tylko urodą kobiet, ale i mężczyzn, zwie ich „doskonałymi modelami do malowania postaci Marsa czy Herkulesa”.

Gdy nawet dostrzeże wady u wyspiarzy, to przedstawia je niby urok dużego dziecka: „Wszystko ich interesuje, ale nie zajmuje na dłużej; byli otoczeni nowymi przedmiotami, które im pokazywaliśmy, a jednak nie udało nam się nigdy skoncentrować uwagi któregoś z tych ludzi na jakimś obiekcie przez czas dłuższy niż dwie minuty. Wydaje się, że zastanawianie się jest dla nich mozołem nie do zniesienia i że wystrzegają się bardziej jeszcze zmęczenia umysłu niż ciała. Nie zarzuciłbym im natomiast braku inteligencji: świadczy o tym ich zapobiegliwość i zręczność, okazywana przy tych nielicznych pracach, jakie są niezbędne do wykonania mimo zasobów tego kraju i uroków klimatu... Zdrowie i siła cechują wyspiarzy, zamieszkujących domostwa otwarte dla wszystkich wiatrów, rozpościerających tylko jakieś listowie na ziemi służącej im za łożę, szczęśliwa starość, do której dochodzą bez żadnych kłopotów, bystrość ich wszystkich zmysłów i niezwykła piękność uzębienia, które zachowują nawet w bardzo podeszłym wieku. Dniem i nocą — obojętne czy są w domu, czy poza domem — ich domostwa stoją otworem. Każdy zrywa sobie owoce z pierwszego lepszego drzewa, wnosi je do

domu... Ryby i warzywa są ich głównym pożywieniem. Rzadko tylko jedzą mięso. Dzieci i dziewczęta nie jadają go «wcale i myślę, że ten sposób odżywiania przyczynia się bez wątpienia do tego, iż nie zapadają niemal na żadną z trapiących nas chorób. To samo da się powiedzieć o ich napojach. Już sam zapach wina jest dla nich odrażający..."

„Na wyspie nie ma żadnych wojen domowych, żadnych nienawiści, jakkolwiek kraj podzielony jest na małe okręgi, każdy kierowany zaś przez niezawisłego przywódcę..." Bougainville wspomina też i o uroczych dziewczętach, stwierdzając, iż „Wenus jest tu boginią gościnności". Opowiadając o pięknościach, które wabiły z łodzi marynarzy, oraz zachęcie do tych kusi:

cielskich działań przez towarzyszących im mężczyzn, Bougainville zwierza nam się ze swych kłopotów, „ego westchnienie pełne troski przetrwaćH dwa stulecia: • i ■ <sup>przez</sup>

„Zapytuję przeto, jak wobec podobnych scen można utrzymać przy oracv czterystu Francuzów, młodych marynarzy, nie oglądających od pół roku kobiety?"

Nie on jeden miał te problemy. Zanotował Cook: „Przyjęcie, jakie zgotowano nam na wyspie, skłoniło jednego z kanonierów do opracowania planu pozostania tam na zawsze. W jednym z najprzyjemniejszych klimatów miałby nie tylko to, co niezbędne jest do życia, ale i uroki bytowania w dostatku i obfitości".

Wspomagany przez arcykapłana imieniem Tupaia — Cook opracował w 1769 pierwszą mapę Tahiti i sąsiednich wysp. Na wyspie Raiatea gdzie teraz turyści dostają się wodnopłatowcem po krótkim locie z Tahiti — podejmowano Cooka z honorami należnymi wielkim wodzom. Na spotkanie jego okrętu wyszły w morze dwie pirogi z podarkami. Każda wiozła w darze dla białego przybysza jedną dziewczynę i jednego wieprzka. Francuskie źródła uporczywie twierdzą, że Anglicy z wdzięcznością przyjęli nierogaciznę, a obie dziewczyny zwrócili ofiarodawcom...

Bougainville, łzawo żegnany przez wyspiarzy, pewnie do końca życia wspominał z żalem Tahiti, której nadał nazwę Nowej Cytery, a to w nawiązaniu do wyspy greckiej, gdzie po raz pierwszy miała wynurzyć się na brzeg z morskich fal bogini Afrodyta, czyli Wenus. W drodze powrotnej do słodkiej Francji załódze dobrze dokuczył głód, spożyto więc psa, skórzane części sprzętu żeglarskiego, było już tak krucho z jadem, iż Bougainville zapisał nawet w dzienniku: „Na wieczerzę mieliśmy kilka szczurów, smakowały nam wcale nieźle".

Monotonia codziennego, trudnego bytowania na okręcie została na pełnym morzu niespodziewanie urozmaicona. Otóż jeszcze na Tahiti, przez samego pana kapitana ustawicznie kojarzonej z boginią miłości, jeden z majtków jakoś stronił od uciech załogi i nie interesował się ślicznotkami z wyspy.

Potem dopiero okazało się, iż majtek jest rodzaju żeńskiego, a więc jego obojętność była w tym wypadku całkowicie prawidłowa. Jak pisze John R. Hale, dzielna dziewczyna, kiedy odumarli ją rodzice, zaciągnęła się na okręt | ciekawości i dla zaspokojenia pasji przygody. Ujawnienie płci marynarza niezawodnie stanowiło swoistą sensację dla załogi, ale gwanmMCA ciasnoty ówczesnych pomieszczeń, wywołało sporo komplikacją 1gg inaczej, Jeanne Barć nie miała tak rozkosznych wspomnień z lamn, |g

reszta marynarskiej braci, ale weszła na karty historii jako pierwsza kobieta, która odbyła podróż dookoła świata.

Innym, jakkolwiek zdecydowanie niepożądanym, urozmaiceniem żeglugi były, jak już wspominałem, ówczesne mapy, stanowiące dość dowolną interpretację niekiedy fantastycznych sprawozdań żeglarzy, którzy zapuszczali się w te dalekie strony lub sami słyszeli jakieś relacje o odległych lądach i ludach. Znużony kolejną rozbieżnością między mapą a morzem westchnął pod adresem kartografa imię Bougainville: „Ach, Bellin, ileż ty nas kosztujesz!”

Wreszcie z uczuciem ulgi zawinięto do ojczystych brzegów. Tak dotarli do kraju francuscy żeglarze. Wraz z nimi zsiadł też na obcy ląd pewien dwudziestoletni mieszkaniec Tahiti, imieniem Aoturu.

Ależ nie, skąd te posądzenia — żadnego uprowadzenia nie było! Młody wyspiarz bardzo chciał popłynąć w dal, jego też, podobnie jak tę młodą Francuzkę, ciągnęły podróże, ale on chciał ujrzeć akurat te strony świata, które dla niej były ojczyzną. •

W Paryżu Aoturu przebywał przez jedenaście miesięcy i — jak notuje kronikarz — „wcale nie okazywał oznak znudzenia”. Nie potrafił jakoś nauczyć się francuskiego, co zjednało mu opinię głuptaka. Bardzo się tą oceną oburzał Bougainville, tym bardziej że młody wyspiarz w wielkim mieście okazał za to inne talenty. Biegał mianowicie krętymi zaułkami, nigdy nie błędząc, wiedziony do celu tym samym zmysłem orientacji, który prowadził jego ziomków w ich śmiałych wyprawach. Często trafiał tak do Opery, gdyż lubił muzykę i ładne kostiumy...

Był pupilkiem księżny de Choiseul, która opiekowała się nim podczas jego pobytu w stolicy. Bougainville, który na lądzie miał na pewno więcej wolnego czasu niż w okresie żeglugi, z wielkim trudem dogadywał się ze swym „zacnym dzikusiem” i nieco późno zmienił cokolwiek swe dawne poglądy na obyczaje Tahitańczyków. Był człowiekiem słownym, a przecież obiecał wyspiarzowi, że odstawi go z powrotem na koniec świata, kiedy tylko pokaże mu Paryż. I tak pewnego dnia pożegnał go i wyprawił w drogę okrętem króla Francji. Ale Aoturu już nigdy nie ujrzął Tahiti, nie mógł opowiedzieć swym rodakom o wielkim mieście. Jak każdy Polinezyjczyk, był niezmiernie podatny na choroby zakaźne, nie miał przeciw tym zarazkom owej odporności, właściwej ludziom rasy białej. Zmarł, kiedy okręt opuścił Madagaskar.

Bougainville zapamiętał z tych rozmów istotne sprawy: społeczeństwo Tahiti jest bardzo wyraźnie podzielone na warstwy społeczne, królowie są panami życia i śmierci swych poddanych i niewolników.

Mimo trudności językowych, Bougainville poprawnie zrozumiał relację swego pasażera. Znawcy tematu: Hubert Deschamps i Jean Guiart, zwracają

całą uwagę w swej obszernej monografii Tahiti, że w tym czasie, kiedy pojawiły się okręty europejskich odkrywców, tamtejsze społeczeństwo było zróżnicowane. Składało się z czterech klas społecznych. A więc: królowie, arystokracja, której przysługiwał przywilej noszenia pasa z czerwonych piór, drobna szlachta i najliczniejsze —zwłaszcza na samej wyspie Tahiti — pospólstwo. Opowieści o czynach wodzów miały poważne znaczenie religijne i polityczne, przekazywali je pospołu z innymi tradycyjnymi relacjami urzędowi gawędziarze, zwani „mocnymi wędrowcami”, pamięć swą ćwiczyli bowiem w czasie nocnych recytacji.

Jean Lousin zauważa, że mieszkańcy archipelagu nie byli wcale przynależni do jednej rasy, najeźdźcy maoryjscy zastali bowiem małe grupki Melanezyjczyków o ciemnej skórze. Jeszcze kilka lat temu widziałem na wyspach archipelagu Tuamotu ciemnoskórych ludzi, których przodkowie wyparci zostali z Tahiti. Do dziś nie wyjaśnione dla naukowców jest

wyraźne stwierdzenie pierwszych Europejczyków na Tahiti, że zastali tam ludzi o skórze zupełnie jasnej.

Maximo Rodriguez wspomina w swych notatkach, że spotkał między wyspiarzami piękną kobietę, która miała błękitne oczy, rude włosy i różową skórę. Znow zagadka! Był to pierwszy biały człowiek, który tak długo —

niemal cały rok — żył między Tahitańczykami. Odznaczał się zdolnościami językowymi i szybko opanował miejscowe dialekty.

Z relacji jego nie wynika, aby poniosła go fantazja, właściwa żeglarzom, którzy w dalekich rejsach budują własne wyobrażenie ideału kobiecego. Jego pamiętniki są przez uczonych uważane za wzór sumienności i zdrowego roz

sądku. Owszem, szczerze lubił swych tahitańskich przyjaciół, ale jakoś nie bardzo mu pasowali do modnego wzorca „zacnych dzikusów”. Dostrzegł popełniane przez nich morderstwa rytualne, opowiadał, jak okradali siebie nawzajem i Hiszpanów, zauważył, że różne ich tabu religijne były nieznośne dla uciskanych ludzi z plebsu, choć przebywał na Tahiti w czasach względnego spokoju, kiedy ludność nękana poprzednio częstymi wojnami bratobójczymi, napadami i masakrami — miała nieco wytchnienia.

Każda wyspa była podzielona na okręgi, kierowane przez wodzów. Niektóre wyspy zjednoczyły się i wspólnie podbiły inne. Tak powstały terytoria lenne, rządzone przez pomniejszych wodzów. Decyzje o wojnie podejmowali przywódcy w porozumieniu ze swymi doradcami. Orężem była maczuga i dzida. Wojownicy nosili coś w rodzaju pancerza z włókien palmy kokosowej. Ceremonie religijne oraz ofiary z ludzi poprzedzały napaść zbrojną. Według wierzeń wyspiarzy, bóstwa, jak u Homera, walczyły razem z ludźmi. Przed starciem wojownicy wyzywali się i lżyli, potem dochodziło do walki wręcz. Jeńców mordowano: Śmierć wodza zazwyczaj prowadziła do pokoju. Dochodziło do prawdziwych bitew morskich. Pokonani tracili życie, ich pirogi tryumfalnie holowano do brzegów jako trofea wojenne.

Tak więc sielankowy obraz powoli zasnuwa się ciemną mgiełką. Prawdziwe tragedie wyspiarze mieli jeszcze przed sobą. Proroczo przekazuje nam Bougainville relacje o pewnym spotkaniu: „Starzec był ojcem naszego gospodarza. Głowę zdobiły mu siwe włosy i długa broda. Jego jędrnego ciała nie zryła żadna zmarszczka, nie widać było zwiotczenia. Czcigodny ten człek zdawał się ledwie zauważać nasze przybycie. Odszedł, nie odpowiadając nawet na okazywane mu przez nas względy, nie zdradzając ani lęku, ani zdziwienia, ani ciekawości. Jakże daleki był od owego uniesienia, w jakie na nasz widok wpadał ten cały lud. Jego zadumana i pełna troski postawa jakby świadczyła o obawie, iż szczęśliwe dni, które przeżył w spokoju, zmaćcone będą pojawieniem się innej rasy...!”\*

Filozof Diderot w „Dodatku do podróży Bougainville'a” ostrzegał wyspiarzy przed tymi, którzy „pojawią się dnia pewnego z krucyfiksem w jednym ręku, a sztyletem w drugim, aby poderżnąć wam gardła lub narzucić wam swe poglądy i obyczaje. Aż wreszcie pod ich władzą staniecie się tak nieszczęśliwi, jak oni sami...”

Wróćmy jeszcze na chwilę do wyglądu i budowy mieszkańców archipelagu. Sprawa wymaga zastanowienia. Tak Cook, jak i inni żeglarze europejscy byli zaskoczeni, że na wyspach Mórz Południowych widywali ludzi o jasnej skórze, rudych włosach i piegowatych obliczach... W roku 1768 lekarz wy



prawy Bougainville'a, nazwiskiem François Vivic, opisuje „Mulatów” oglądanych na archipelagu Tuamotu. Inny z uczestników ekspedycji notuje, jako naoczny świadek, że 6 kwietnia 1768 roku nie opodal Tahiti do francuskiego statku podpłynęła piroga, na której był mężczyzna oraz kobieta o białej skórze. „Zdumiało nas, iż tak daleko od Europy spotkać można tak białych i uroczych ludzi” — pisze. Ciekawa też jest publikacja francuskiego misjonarza Monitona, który przed stu laty zwrócił uwagę, że mitologia wyspiarzy Tuamotu, przekazywana z pokolenia na pokolenie, zawiera sporo elementów- zastanawiająco zbieżnych z wątkami biblijnymi.

Przeszło dwa wieki temu lekarz i botanik wyprawy Bougainville'a, Philibert de Commerson, w liście do przyjaciela opublikowanym w listopadzie 1769 roku na łamach „Mercure de France”, wystąpił z ciekawą teorią. Kiedy przebrniemy przez lawinę kwiecistych zwrotów — a jedno tylko zdanie w oryginale francuskim liczy dwieście czternaście słów! — dowiadujemy się, że wyspiarze z Tahiti są mieszkanką miejscowej, rodzimej ludności oraz... rozbitków z hiszpańskich statków. „A będę niewątpliwie pytany, z jakich to stron i z jakiego ludu wywodzą się owi wyspiarze? Mam pewien domysł, ochoczo przedstawiam go tym wszystkim, którym miłe są rozważania na takie tematy. Otom znalazł w języku tahitańskim cztery czy pięć słów pochodzących z hiszpańskiego... Czyżby więc jacyś Hiszpanie, rozbitkowie pierwszych wypraw na Ocean Spokojny, przekazali Tahitańczykom te słowa wraz ze znajomością pojęć, których one dotyczą?” Wylicza też Commerson szereg narzędzi mogących być naśladownictwem europejskich, opowiada o zwyczajach, które mogły być przeniesione z Europy, a są odmienne od tych, z którymi można się było zetknąć w tej części świata. Dodaje wreszcie, że „katastrofa rozbicia statku przydarzyć się mogła na rafie o jakieś sto czy dwieście mil stąd...”

Ta zapomniana teoria zajmuje teraz znowu wyobraźnię ludzi. Scenerią całej opowieści jest siedemdziesiąt sześć wysp we wschodniej części południowego Oceanu Spokojnego, znanych jako archipelag Tuamotu.

Pamiętam te wysepki z mych wędrówek francuskim statkiem pocztowym „L'Oiseau des Isles”. Rify koralowe — na których przez stulecia osiadał piasek, co umożliwiło przyjęciu się kilku palm kokosowych oraz drzew puka-puka — z trudem dostrzega się z morza, w czasie przypływu ledwie wystają one z fal, a to z kolei sprawia, iż były i są postrachem żeglarzów. Holenderski podróżnik Roggeveen, który postradał tam w roku 1722 jeden ze swych statków, przezwiał ów archipelag Labiryntem. Znacznie później trafił w te strony Francuz Bougainville. On z kolei określał tę grupę wysp jako Archipelag Groźny. Wszędobylski kapitan Cook powiada, że są to „wyspy na poły zatopione”, zaleca żeglarzom, aby — zwłaszcza po zmroku — poruszali się na tych wodach z największą uwagą. Osobliwością archipelagu jest to, że leży on od jakiegokolwiek kontynentu dalej niż każdy inny archipelag czy nawet jakaś pojedyncza wyspa.

Jednym z paradoksów, jakie ma zawsze w zanadru historia, jest chyba to, że akurat pierwszą wyspą, którą dostrzegli tu Europejczycy, była mała Pukapuka na północno-wschodnim krańcu archipelagu. Był rok 1521, gdy Magellanowi powiodło się przepłynięcie Oceanu Spokojnego. Ciekawe, że dopiero w 1835 roku, czyli w trzy wieki później, gdy pojawił się tam olpęt Jego Królewskiej Mości — „Beagle” z Karolem Darwinem na pokładzie, ostatnie dwie wyspy zostały niejako urzędowo odkryte i naniesione na mapy europejskie.

Zresztą, jak mi pokazywał kapitan „L'Oiseau des Isles” w czasie rejsu, archipelag Tuamotu w dalszym ciągu nie ma jakoś szczęścia do kartografów. Nawet w epoce fotografii lotniczej mapy są tu wielce niedokładne i zaawansowane w latach... Mapa wyspy Hao na przykład, wydana przez admiralicję brytyjską, opiera się na szkicach kapitana Beechey z roku 1826 i kapitana Belchera z roku 1840, zaś admiralicja USA opiera swoje mapy na ustaleniach

amerykańskiej wyprawy badawczej w roku 1839! A jednak — twierdzi australijski specjalista Robert Langdon — nie trzeba gardzić tymi mapami, jako że kilka atoli nie jest jeszcze dotąd zbadanych...

Robert Langdon kieruje obecnie zbiorami rękopisów dotyczących Oceanu Spokojnego na Australijskim Uniwersytecie Narodowym w Canberra. Jest on autorem lansowanych tu tez, które pochodzą z jego, wydanej w Sydney, książki pt. „Zaginiona karawela”, gdzie na prawie czterystu stronach zapoznaje nas z wynikami swych prac. Książkę czyta się niby powieść kryminalną: są to bowiem wyniki śledztwa prowadzonego niezmordowanie przez wiele lat. Rzecz jasna/nie jestem w stanie przytoczyć pełnej argumentacji uczonego, który równie wnikliwie analizuje podwodne znaleziska, jak różne aspekty teorii genów mieszkańców Tuamotu. 0

Langdon wspiera zapomnianą teorię Commersona własnymi rozważaniami o zaginionej karaweli. Twierdzi mianowicie, że 26 maja 1526 roku cztery okręty hiszpańskie przepłynęły przez Cieśninę Magellana na Ocean Spokojny w drodze ku zasobnym — w tak powszechnie poszukiwane i cenione korzenie — Indiom Wschodnim. Dowódcą był Garcia Jofre de Loaisa. Wyprawa została rozproszona przez nawałnicę, jeden z okrętów, karawela „San Lesmes”, przepadła bez wieści. Karawela ta — jak przekonuje nas Langdon — rozbiła się na rafie koralowej. Rozbitkowie doczekali się potomstwa z miejscowymi kobietami, przez następne dwieście pięćdziesiąt lat wnuki ich wnuków docierały na różne wyspy Polinezji. Stąd też owe „przeszczepy” kultury iberyjskiej. Langdon jest zdania, że sporo z tego, co zwykło

się uważać za twory geniuszu Polinezyjczyków, w gruncie rzeczy wywodzi się z Europy. Jego zdaniem rozbitkowie wywarli przemożny wpływ na sztukę nawigacji i budownictwa okrętowego, a nawet — zastanawia się — owa legendarna flota, która miała przewieźć wyspiarzy ze wschodniej Polinezji na obecną Nową Zelandię, być może w rzeczywistości była rozpaczliwą wyprawą hiszpańskich rozbitków, usiłujących szlakiem wokół Przylądka Dobrej Nadziei dostać się jakoś w ojczyste strony...

Tezy śmiało. Nie nam polemizować z australijskim uczonym, ale sięgnijmy do jego worka z faktami. Zebrał ich sporo, i przyznać trzeba, są one nader interesujące.

Wędrujemy więc za siódme morze, z dala stąd. Jesteśmy znowu na wyspach archipelagu Tuamotu, kalendarz pokazuje rok 1929. Na atolu Amanu zjawia się kapitan François Herve. Wywodzi się on ze starej, francuskiej rodziny żeglarskiej, niemal całe dorosłe życie spędził na Polinezji. Jego małe stateczki krążą z wyspy na wyspę, aby kupować koprę i dostarczać ją do składów na Tahiti. Z nominacji gubernatora Oceanii Francuskiej — przez jedenaście lat Herve jest kolonialnym administratorem Tuamotu. Dwa razy w roku na pokładzie rządowego szkunera „Mouette” wędruje między wyspami. Rozsądza spory wśród ich mieszkańców, wymierza sprawiedliwość, troszczy się o zaopatrzenie w wodę słodką, usiłuje wpoić zasady nowoczesnej higieny. Przy okazji prowadzi też prace kartograficzne, nanosi poprawki na „mapy z myszką”.

Atol Amanu był naniesiony na mapę już w roku 1823 przez francuski statek „Coquille”, a że jeszcze w pierwszej połowie dwudziestego wieku > zjawiali się w tych stronach niekiedy poławiacze pereł czy kupcy, więc Hervé postanowił mapę poprawić, uwzględnić stan aktualny.

Zastanawiało go w czasie tych prac, że w przeciwieństwie do innych wysp archipelagu, których wody są cmentarzyskiem zatopionych okrętów — u wybrzeży Amanu nie ląją żaden wrak. „Otóż nie — rzekł mu miejscowy kacyk — o jakieś osiem pokoleń wstecz rozbiła się tu na rafie wielka piroga białego człowieka. Żeglarze zostali zjedzeni przez miejscowych wyspiarzy”. Kacyk ów zaprowadził Hervégo na miejsce, gdzie na płytkiej wodzie leżały cztery ciężkie działa, częściowo już obrośnięte koralem. Był tam też stos głazów, nie występujących wcale na Tuamotu. Jedno z dział, a także kilka owych kamieni Hervé podniósł z dna i zabrał na Tahiti. Badania wskazywały, że działo było częścią uzbrojenia hiszpańskiego okrętu, a głazy — balastem.

W kilkadziesiąt lat później, podczas francuskich doświadczeń z bombą wodorową, inny francuski oficer, kapitan Le Goaziou, sprowadził śmigłowce, które podniosły z wody dwa działa z Amanu i dostarczyły je na wyspę Hao.

Znalezisko owo wskazywałoby na to, iż działa mogły być wyposażeniem karaweli „San Lesmes”. Po raz ostatni widziano ją 1 czerwca 1526 roku. Była to pierwsza po Magellanie próba przepłynięcia Oceanu Spokojnego z południowego krańca Ameryki Łacińskiej. Na następną hiszpańską wyprawę przyjdzie czekać sto lat. Że jednak świat zapomina szybko o tych, którym się nie powiodło, ekspedycja Loaisa szybko poszła w niepamięć. Pomijają ją monografie, nawet czterotomowy podręcznik wysp Pacyfiku, opracowany przez brytyjski wywiad morski, zbywa tę wyprawę wzmianką na półtora wiersza, zresztą bez wymieniania nazwiska przywódcy.

W historycznej ekspedycji Magellana Bask Juan Sebastian Elcano dowodził statkiem „Victoria”, pierwszym, który opłynął świat. Słał z Sewilli listy do Karola V, w których prosił o względy dla swych ludzi. Była to straszna podróż: dwudziestu dwóch marynarzy zmarło z głodu: „... a niech będzie to nam policzone, żeśmy praktycznie udowodnili, że ziemia jest kulą, jako że żeglowaliśmy wokoło, wypłynąwszy ku zachodowi, a przypluwając od wschodu. I dopraszam się łaski Majestatu w uznaniu znojnego trudu, głodu i pragnienia, spiekoty i mrozu, które znosili moi ludzie w służbie Jego Królewskiej Mości...”

Monarcha podziękował Baskowi za ofiarność, przyjął na dworze, a w następnej wyprawie—Elcano został zastępcą dowódcy karaweli „San Lesmes”.

Wśród załogi było trzech Malajów, którzy poprzednio-służyli pod Elcano na „Victorii”, kilku flamandzkich kanonierów i chyba jeden Murzyn. Trzon załogi jednak zwerbowany został w Hiszpanii, Elcano osobiście zaangażował na „San Lesmes” Basków, którzy stanowili mniej więcej jedną trzecią całej załogi. Początkowo kapitan karaweli Francisco de Hoces miał pod swymi rozkazami trzydziestu pięciu ludzi, potem jednak „San Lesmes” przejął na pokład marynarzy z innych jednostek floty, które nie były już zdadne do żeglugi. Istotne dla dalszej opowieści jest to, że były na karaweli, zgodnie ze zwyczajem epoki, psy rasy zwanej perros de agua, przezywane przez Anglików spanielami. Wiadomo, że psy te wspaniale pływają, zabierano więc je

•

. rm

na hiszpańskie statki, aby aportowały upolowane ptactwo czy przedmioty, które mogły się stoczyć do morza.

Dzieje wyprawy stały pod znakiem zażartych waśni między Hiszpanami a Portugalczykami o podział świata między oba państwa. Dotyczyło to szczególnie Wysp Korzennych. Wszystkie chwyty były dozwolone, ba, nawet nakazane. I Gdy Hiszpanie na dalekiej wyspie zabrali się do budowy okrętu, który miałby zastąpić uszkodzony w boju „Santa Maria de la Victoria” — Portugalczycy wysłali tajnego agenta do zaimprovizowanej stoczni, aby wysadził w powietrze gotową już niemal jednostkę. Hiszpański komandor, Carquisano, wyprawiony został przez Portugalczyków na tamten świat, ponieważ dosypali mu trucizny do wina. |

Ostatecznie w Europie traktatem w Saragossie Karol V zrzekł się swych roszczeń do Wysp Korzennych na rzecz Portugalii za trzysta pięćdziesiąt \* tysięcy dukatów. Wieść o tej wyprzedaży dotarła do wynędzniałych-hiszpańskich marynarzy dopiero po trzech latach, jeszcze rok przyszło im czekać, nim Portugalczycy postarali się o dostarczenie statku na rejs powrotny w rodzinne strony, bowiem Hiszpanom nie zależało już na poszukiwaniu zaginionej karaweli.

Langdon zmuślnie analizuje kroniki morskie i uważa, że szanse przeżycia ■ załogi statku, który wpadł na rafę koralową, były znaczne. Spośród piętnastu przypadków wpadnięcia statków europejskich na nie oznaczoną na mapach rafę koralową na Morzach Południowych, cztery zostały naprawione, trzy poszły na dno, reszta osiadła na rafie. Nie było sytuacji, w której zginęła cała załoga. W ośmiu katastrofach nie było wcale strat w ludziach, w trzech — bardzo nieznaczne, w pozostałych ocalało od trzydziestu do siedemdziesięciu czterech procent załogi.

Różne czynniki decydowały o ocaleniu: pogoda, umiejętności kapitana, posłuszeństwo jego podwładnych, sztuka pływania wśród marynarzy (wcale wtedy nie powszechna), stan szalup, no i bliskość lądu. „Najważniejszy jest jednak wrodzony człowiekowi instynkt przeżycia” — powiada Langdon. I dodaje, że bez względu na losy samej karaweli, załoga „San Lesmes” mogła wcale nie zginąć.

Znalezienie dział czy balastu może wręcz świadczyć o tym, że marynarze chcieli przez zmniejszenie ciężaru statku doprowadzić do zepchnięcia go z rafy na morze. Wtedy byłoby istotną sprawą znalezienie spokojnego miejsca, gdzie można by przystąpić do naprawy „San Lesmes”. Langdon cytuje liczne argumenty świadczące, że karawela została doprowadzona na wyspę Hao. Wypiarze nie mieli żadnych metali ani nawet kamieni, które nadawałyby się do sporządzenia prymitywnych narzędzi, drewno obrabiali ogniem albo zębami rekina czy ostrymi krawędziami muszli. Budowa czółna była wielkim przedsięwzięciem, nie było na Hao pni tak wielkich, aby można wydrążyć w nich miejsce dla człowieka. Mozolnie zestawiano więc małe deseczki.

W społeczności, gdzie życie jest tak trudne i rację bytu mają tylko najlepsi — snuje swe rozważania Langdon — pojawienie się przybyszów musiało wywołać reakcję co najmniej powściągliwą lub może nawet wrogą. Wcale nie jest wykluczone, że — aby zejść na ląd — Hiszpanie musieli stoczyć krwawą bitwę. Wiarygodne relacje z innych wysp tego rejonu podają, że wypiarze byli pod wrażeniem wielkości okrętów, zaś marynarzy o białej skórze uważali za upiory czy bóstwa. Kilka strzałów z broni palnej mogło jeszcze pogłębić to wrażenie.

Jest nader wątpliwe, aby „San Lesmes” nadawał się do dalszej żeglugi. Drzewo mogło być zbutwiałe, uszkodzenia, do których doszło na rafie koralowej — nie do naprawienia. W takich sytuacjach zwykle przystępowano do rozbiórki statku, i budowano inny „na bazie” przydatnego jeszcze drewna oraz miejscowego surowca. Była to ciężka praca, a biorąc pod uwagę charakter marynarskiej braci, można przyjąć, że musiały nastąpić spory o podział zajęć, zapasów żywności, wina, a pewnie i o kobiety z Hao. Być może, jakaś grupa żeglarzy oderwała się od swych kolegów, aby na drugim krańcu wyspy osiąść w społeczności polinezyjskiej. Nie są to czcze domysły.

Katolicki misjonarz, ojciec Audran, na początku naszego stulecia skrzętnie notował zasłyszane na Hao tradycyjne opowieści wypiarzy. Były w nich wzmianki o rozbitku lub rozbitkach będących dawno, dawno temu postrachem wyspy. Rozbitkowie ci, podobno, gdy wpadali w gniew, przewracali palmy kokosowe (może je ścinali ?), a że drzewa te stanowiły wówczas na Hao rzadkość, więc były to sprawy poważne, przekazywane następnym pokoleniom. Inne groźne wybryki przybyszów polegały na ciskaniu wielkimi głazami niby kamykami, co raniło ludzi. Czyżby to były pociski armatnie? Gwoli sprawiedliwości trzeba

dodać, że Europejczycy nie potrafili tak zwinnie jak wyspiarze wdrapywać się na palmy, kiedy mieli chętkę na kokosy, upraszczali więc sobie sprawę ścinając całe drzewa. Stare kroniki pełne są przerażających relacji o takiej rabunkowej gospodarce.

Amerykański językoznawca, J. Frank Stimson, zapisał opowieść z Hao o wielkiej pirodze, którą tam niegdyś zbudowano, mogącej zabrać nawet 1 setkę ludzi. „Odplynęła ona w daleki rejs i nigdy nie powróciła”. W 1824 roku poddany rosyjski Otto von Kotzebue oglądał w tych rejonach duże i solidnie zbudowane pirogi, które niewątpliwie przeznaczone były do dalekich podróży.

Z Hao załoga „San Lesmes” dotarła być może do Anaa. Kilku marynarzy, znużonych wyprawą, mogło zostać, reszta zaś ruszyła zapewne na Raiatea, wyspę o bujnej roślinności, gdzie po dziś dzień żyje się przyjemnie. Hiszpanie — twierdzi Langdon — ruszyli dalej, na Nową Zelandię, ale rodziny rozbitków zapoczątkowały całe dynastie iberyjsko-polinezyjskie. Przetrwały one przez dwa i pół wieku, aż do czasów kapitana Cooka.

Badania w ojczyściej prowincji Elcana (Guipuzcoa) wykazały, że niemal dwadzieścia procent ludności ma jasne oczy, ponad piętnaście procent to ludzie rudowłosi lub blondyni. Można bez ryzyka pomyłki przyjąć, że żeglarze, którzy na maleńkich (w naszym pojęciu współczesnym) łupinkach po\* płynęli na koniec świata i tam jeszcze znaleźli się w dramatycznej sytuacji — byli ludźmi dzielnymi, zdecydowanymi na wszystko. Zapewne zdominowali żyjącą spokojnie społeczność .wysp, choć marynarzy była tylko garstka.

Tak, smutne, lecz prawdziwe jest to, że wyspiarze ginęli masowo, gdy ich nieudpornione organizmy zetknęły się z zawleczonymi przez europejskich żeglarzy chorobami. Być więc może, iż nawet i licznie rozbitkowie stali się większością na niektórych wyspach.

Przez osiemdziesiąt lat od czasu wyprawy Loaisa nie jest znany fakt, aby zawędrowały jakieś statki europejskie w te strony. Quiros, gdy zjawił się na Hao, przemianował wyspę na La Conversion de San Pablo, czyli Nawrócenie Świętego Pawła. Brat Juan de Torquemada oraz księgowy Juan de Iturbe zaskoczeni byli jasnością skóry wyspiarzy. -

Brat Martin de Munilla przekazał nam opis spotkania Hiszpanów z kobietą w bardzo podeszłym wieku. Była rosła, postawna, jej szpakowate włosy „uczesane były na modłę hiszpańską”. U stóp jej kręcił się pies, który — jak zapisał Gonzalez de Leza — „był zupełnie taki, jak nasze psy”. Na okręcie hiszpańskim poczęstowano ją zupą i mięsem, kiedy nie mogła ugryźć twardych sucharów, bez wahania namaczała je w winie. Quiros twierdził, że musiała mieć ogładę, najbardziej zdumiał jednak Hiszpanów jej złoty pierścień ze szmaragdem.

Gdy zjawiła się grupa wyspiarzy z innego krańca Hao, wiódł ją mężczyzna, który — notuje Torquemada — „miał rude, kędzierzawe włosy, spadające mu na ramiona. Naszych ludzi wielce to zadziwiło, że w rasie, która nie jest biała, trafiają się takie rude włosy...”

Holendrzy jeszcze w 1616 roku zawadzili o archipelag Tuamotu i na jednej z bezludnych wysp dostrzegli „trzy hiszpańskie psy, wychudzone wielce”, co było dla żeglarzy takim wydarzeniem, iż nazwali wyspę Honden Eylandt (Psia Wyspa) i tak figurowała na mapach europejskich przez następne dwa i pół wieku. Psy polinezyjskie wywodzą się z psów azjatyckich i zupełnie są do psów europejskich niepodobne.

Gdy w roku 1774 ekspedycja hiszpańska opuściła Callao i po długiej żegludze dotarła na wyspę Anaa, ujrzano tam „krzyż drewniany na piaszczystej plaży, wielkości umiarkowanej, regularnych kształtów, wygląda na to, że postawiono go dawno temu...”

Kto postawił krzyż na wysepce Mórz Południowych, który już w XVIII wieku dźwigał brzemień lat? Warto przypomnieć, że instrukcje dla wypfawy de Loaisa nakazywały wyraźnie, aby w razie awarii rozbitkowie stawiali na plaży krzyż, który byłby znakiem wołania o pomoc i wskazówką dla pozostałych okrętów ekspedycji.

Powiada Andrew Sharp w „Dawnych wędrowcach Polinezji”, że „atrakcyjność prehistorii Oceanu Spokojnego polega na zespołach intrygujących łamigłówek. Próby rozwiązania ich sprawiają przyjemność wielu ludziom. Oby pasje te trwały nadal!”

Alexander McKee opowiada, że w rejonie Portsmouth leżał przez długie lata na dnie wrak okrętu wojennego „Royal George”, a w nim szkielety ośmiuset ludzi, którzy zatonęli razem z dumnym królewskim okrętem. Nurkowie, kiedy po latach dostali się do wnętrza „Royal George”, znaleźli splecione nadal ze sobą w mokrym grobie szczątki kobiety i małej dziewczynki. Stało się jasne, że to matka i córka czekały razem na śmierć. Skąd na pokładzie okrętu wojennego kobiety i dzieci? Wy tłumaczenie jest może niezwykle dla współczesnego Czytelnika, ale przecież to były inne czasy i inne zwyczaje.

Otóż kapitanowie okrętów Królewskiej Floty bali się dezercji swych ludzi i woleli, aby pożegnania z rodzinami, przed rozłąką, która w wielu wypadkach miała trwać lata całe — odbywały się na pokładzie okrętów, żeby marynarze nie musieli schodzić na ląd.

Ten sam autor przytacza kilka cyfr, które pomogą w zrozumieniu sytuacji. Na przełomie XVIII i XIX wieku Wielka Brytania miała najpotężniejszą flotę wojenną świata. A przecież na Wyspach Brytyjskich mieszkało wtedy ledwie dziesięć milionów ludzi, rywalizujące z nią o władanie morzami narody były kilkakrotnie liczebniejsze. W roku 1802 w marynarce wojennej Jego Królewskiej Mości służyło sto dwadzieścia dziewięć tysięcy mężczyzn — niezwykła potęga na tle ówczesnego słabego zaludnienia Anglii. W wojnie 1774—80 zaciąg do floty wojennej objął sto siedemdziesiąt pięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesięciu ludzi. W boju poległo tysiąc dwustu czterdziestu trzech, choroby zabrały osiemnaście tysięcy pięćset czterdziestu jeden marynarzy, zaś czterdzieści dwa tysiące sześćset sześćdziesięciu dziewięciu po prostu zdezerterowało.

Trudno się dziwić, że choroby zbierały takie żniwo wśród ludzi morza. Stęchła woda do picia, kiepski i jednostajny prowiant bez świeżych owoców czy warzyw, ciasnota pomieszczeń dla załogi — były zjawiskiem normalnym w żegludze owej epoki. Lekarz okrętowy dysponował nader skromnymi lekami ówczesnej medycyny, jego wiedza też była raczej skromna.

Dezercja — powiada McKee — tłumaczy się niskim żołdem i brakiem urlopów. Od czasu Cromwella nie zmieniły się płace marynarzy, zaś przepustki na ląd dawano opornie, gdyż obawiano się, że załoga nie będzie wracać potem na pokład.

Innymi słowy powstaje błędne koło. Marynarze tęskniący za swymi rodzinami dezzerterowali, skoro tylko trafiła się okazja ku temu, zaś Królewska Flota nie dawała im urlopów, gdyż... dezzerterowali. Pisał w roku 1774 porucznik Tomlison, że dobrowolny zaciąg do marynarki byłby naprawdę skutecznym wtedy, kiedy ludziom określono by dokładnie czas ich służby.

Królowi> potrzebował ludzi dla swych okrętów. Straty uzupełniano werbunkiem przymusowym „marynarzy i innych osób zatrudnionych w żegludze morskiej i rzecznej”. To sformułowanie nabiera jednak innego znaczenia na tle ówczesnych stosunków. Żadnych wezwań imiennych nie wysyłano do domów, a to dlatego, że centralna ewidencja ludności w dzisiejszym pojęciu nie istniała. Władze nie bardzo się orientowały, kto się urodził, a komu się zmarło.

Tak że najprostszym sposobem znalezienia ludzi było zabranie ich z... marynarki handlowej. Owszem, służba na statkach handlowych była wtedy też trudna i niebezpieczna, jednak znacznie lepiej płatna, marynarze mieli większą swobodę w zejściu na ląd w portach, a tym samym — mogli wieść życie rodzinne, przynajmniej w czasie, gdy ich statki przebywały w ojczyźnie. • v

Łapacze wypływali więc na spotkanie wracających do portów statków handlowych. Ale rzecz w tym, że marynarka handlowa też przecież potrzebowała ludzi. Wobec tego z kolei jej werbownicy kręcili się wokół marynarzy Jego Królewskiej Mości, kusząc ich rumem, lepszą płacą i fałszywymi papierami osobistymi dla zatarcia śladów dezercji.



Te „murowane” dowody osobiste pochodziły jednak z masowej produkcji amatorskiej\* nie wytrzymały żadnej dokładniejszej kontroli. Tak więc majtek Cato Martin ze statku handlowego „Doily”, pływającego na szlaku do Indii Wschodnich, z dumą pokazał patrolowi nabrzeżnemu swój dokument tożsamości. Wystawcy stwierdzili w rysopisie, iż okaziciel jest rudy i ma niebieskie oczy. Biedny Martin nawet się nie spostrzegł, kiedy błyskawicznie dostarczono go na pokład okrętu wojennego, który miał ruszyć w daleki rejs, Martin był bowiem Murzynem...

Rzecz w tym, że wielu marynarzy nie miało wtedy najbardziej nawet prymitywnego wykształcenia i nie potrafiło przeczytać własnej legitymacji. Do dziś zachowały się wprost niezwykle opisy formalnych bitew, jakie brytyjska marynarka wojenna czy — wyrażając się bardziej precyzyjnie — jej łapacze staczali przeciw statkom handlowym własnego kraju.

Widać już było w oddali ojczyście brzegi, po latach żeglugi pod obcym niebem marynarze ze statków handlowych cieszyli się ze spotkania z rodzinami, usłyszenia mowy ojczyściej, kiedy tylko poczują wreszcie grunt pod nogami. A tu dybali na nich łapacze z Królewskiej Floty. Statki handlowe były jednak często uzbrojone, ich załogom nie uśmiechała się przymusowa przesiadka na okręt wojenny i natychmiastowe ponowne wypłynięcie na morze i w tej sytuacji dochodziło do ostrych starć.

Tak więc szalupa „Princess Augusta”, na której płynęli z Portsmouth łapacze floty wojennej — dostała się w ogień ze statku „Britannia”, którego załoga wracająca do kraju postanowiła drogo sprzedać swą wolność. Pod osłoną muszkietów królewscy łapacze wdarli się jednak na pokład „Britanii”

doszło do walki wręcz, majtkowie»zaatakowanego na macierzystych wodach statku bronili się harpunami i... rożnem z kuchni. Jednak to wcale nie było zabawne. Trzej marynarze z „Britanii” znieśli jakoś trudy i niebezpieczeństwa dalekiego rejsu po to, aby zginąć u ojczystych brzegów z rąk rodaków. W każdym razie trudno się nawet dziwić, że ci, którzy dali się złapać — nie \* byli entuzjastami służby.

Jako się rzekło, marynarka handlowa też miała swych naganiaczy, płat-'nych „od łebka” zabranego flocie Jego Królewskiej Mości. Zachowały się nawet nazwiska kilku werbowników. Dwaj z nich, panowie Henry Nathan i Sampson Samuel, popełnili jednak brzemienne w skutki pomyłkę, a mianowicie dali się złapać... kolegom po fachu z floty wojennej. Ci zaś, w uznaniu ich zasług, załadowali w trybie przyśpieszonym panów Nathana i Samuela na pierwszy okręt, który z rozkazu Admiralicji miał właśnie wypłynąć w bardzo, bardzo daleki rejs...

Owszem, nie da się zaprzeczyć, że byli na pokładach okrętów wojennych autentyczni ochotnicy. Niektórzy zaciągali się z pobudek patriotycznych, kiedy stara, kochana Anglia potrzebowała ludzi do obrony. Innych kusiała przygoda, mieli raczej mgliste wyobrażenie o warunkach życia na morzu, jako że Admiralicja miała już wtedy dość nowocześnie pracujący aparat re-klamowo-propagandowy.

Ochotnicy czy ofiary łapanek dostawały się pospółu w tryby niehumanitarnej dyscypliny. „Kot o dziewięciu ogonach” uważany był za najlepszy środek wychowawczy dla marynarzy. John Masefield w swym dziele „Życie na morzu za czasów Nelsona” stwierdza wyraźnie: „Bito według uznania kapitana. Uważano, że chłosta jest jedyną skuteczną karą dla ludzi z załogi królewskich okrętów. Niezawodnie była to najokrutniejsza, a zarazem najbardziej chybiona kara, jaką kiedykolwiek stosowano. Sam system był z gruntu wadliwy, jako że wielu kapitanów wszelkie przewinienia bez żadnej różnicy karało chłostą. Smagano więc biczem zarówno złodzieja, jak i pijaka, chłostano za opieszałość...”

Żartobliwa nazwa narzędzia karni nie powinna nas mylić. Zachowały się relacje o tych karach „kotem o dziewięciu ogonach”. Siła uderzenia była tak straszna, że wyduszała z bitego tchnienie wraz z bezwiednym jękiem. Jeden cios wystarczył, aby zderzyć skórę i aby połała się krew tam, gdzie wryły się w ciało wielkie supły na sznurze bicia. Sześć uderzeń całkowicie zdierało skórę z pleców. Tuzin zawsze przeorał je głęboko i zostawiał czerwone, straszliwe wyrwy, których sam już widok napawał przerażeniem. A przecież trzy tuziny uderzeń były powszechną karą, nie było nic niezwykłego w sześciu tuzinach ciosów. Bardzo często stosowano trzysta uderzeń. Może nas zainteresować, co też czuli ludzie tak karani?

Kawał chłopca był ze skazańca, który wspominał: „no, to właściwie nic takiego. Najpierw jest, och, potem, och, mój Boże! a potem już można włożyć znowu koszulę...” To naturalnie nie wszystko. Bardzo wytrzymały zuch mógł jakoś względnie łatwo znieść tuzin uderzeń. Ale inna to sprawa, kiedy chłosta miała być dłuższa.

Zachowały się notatki żołnierza brytyjskiego, który był chłostany w 1832 roku, ale dokładnie takim samym biczem, jak ten, który był w użyciu w królewskiej flocie:

„Między łopatkami i pod szyją poczułem zatrważający ból, który przeszywał mnie aż po koniuszki palców tak rąk, jak i nóg. Kłuł mnie w serce, jak gdyby ktoś dźgnął mnie nożem. Drugie uderzenie spadło kilka cali niżej, pomyślałem sobie, że to pierwsze było niewinne i znośne w porównaniu z tym następnym. Czułem, jak mięśnie moje drżały w każdym nerwie, od stóp do głów. Zamierało się w oczekiwaniu na następne, kolejne uderzenie, a jednak zdawało się, że nadchodziło ono zbyt wcześnie. Bóle w płucach były bardziej dotkliwie niż na grzbiecie, jako że miałem wrażenie, iż bat wdziera się w moje wnętrzności. Język miałem między zębami, niemalże go przegryzłem. Twarz mi poczerniała, gdyż zachłysnąłem się krwią z języka, pogryzionych w męce warg, krwią z płuc czy innych narządów wewnętrznych. Dostałem pięćdziesiąt uderzeń, ale zdawało mi się, że od początku chłosty upłynęło bardzo wiele czasu w mym życiu. Zdawało mi się, że to mój cały żywot przeszedł w męce i bólu, zaś czas, kiedy istnienie było przyjemnym uczuciem — był jakąś uludą, która rozwiąła się dawno, dawno temu...”

Również William Spavens przekazał nam (1796) beznamiętne i rzeczowe zapiski, z których wynika, że marynarzy karano często i okrutnie. Za błahę przewinę zakuwano w ciężkie dyby, chłosta była zjawiskiem powszechnym. Zawdzięczamy mu notatkę naocznego świadka ponurej parodii sprawiedliwości, jaką były wtedy trybunały marynarki wojennej:

„Jedna z tych rozpraw odbyła się w Portsmouth, na pokładzie okrętu

•Newark«(osiemdziesiąt dział), kiedy sądzono dwóch aresztantów należących do załogi »Woolwich«. Obaj sądzeni byli za dezercję, zaś jeden z nich, który był sługą kapitana — miał jeszcze dodatkowo sprawę za przywłaszczenie pewnych przedmiotów swego pana. Przewód sądowy zakończył się wyrokiem, na mocy którego jeden ze skazanych miał dostać sześćset, zaś drugi — siedemset uderzeń batem na obu statkach Jego Królewskiej Mości. Sługa ów, słysząc wyrok, zwrócił się do sądu i z przejęciem, najbardziej pokornie prosił, aby go powieszono. Zapytany o przyczynę tej prośby odrzekł: •Ja nie wytrzymam takiej chłosty...«

Na co z kolei odpowiedział z gniewną miną sir William Burnaby: »Nie ma w tym wyroku nic ponad to, co sąd orzec zechciał. Wyrok musi być więc wykonany, na człowieku żywym czy na zwłokach...\*“

W Portsmouth na jednym z okrętów wojennych odbywało się wieszanie skazańców, zawsze publiczne. Już z dala można było dostrzec szerniałe, dyndające na wietrze postaci wisielców. Ten budzący widok miał służyć jako straszak dla tych, którzy złamać by chcieli przepisy prawa. W roku

1782, a więc w epoce, która jest kanwą naszej narracji — niejaki David Tyrie oskarżony został o zdradę. Po wyroku skazującym go na rozrywanie czterema końmi doszło do makabrycznych zajść. Tłum — sycący oczy widowiskiem ćwiartowania wrzeszczącego człowieka — przerwał kordon straży i walczył zajadłe o ochłapy porąbanego skazańca. Ostatecznie w tej bójce los uśmiechnął się do knajpiarza z Gosport, który zdobył głowę straconego i wystawił ją na pokaz w swej oberży. Tam tłumy gapiów ściągały, aby popatrzeć, no a przy okazji łyknąć coś niecoś w knajpie zapobiegliwego karczmarza.

Gdy już mowa o marynarskich knajpach, to połowa spelunek Portsmouth była skupiona na niewielkim skrawku ziemi koło przystani dla statków handlowych. Zwał się ten rejon Camber, ale przezywano go Wyspą Korzeni, co miało być ironiczną aluzją do smrodliwych wyziewów grząskiego terenu, na którym mieściły się przybytki uciech. Marynarz na lądzie miał tam dostęp do brutalnych rozrywek, miłych brytyjskiemu obyczajowi owej epoki.

Przez długie lata można było oglądać metalowe kółko, służące do przytwierdzania żywego buhaja, którego następnie szczuto psami. Na Broad - Street zabawa marynarskiej

braci polegała na zanurzeniu szczurów w łatwopalnym płynie, następnie zaś puszczeniu ich na ulicę jako żywych pochodni. Z czasem uciechy tej zakazano nie ze względów humanitarnych, ale dlatego iż obawiano się, aby oszalałe ze strachu i bólu szczury nie wpadały na teren pobliskiej prochowni. Walki kogutów były rozpowszechnioną formą hazardu. A przecież każdy, kto oglądał tę zabawę w krajach, gdzie ona nadal jest dozwolona, wie świetnie, jak okrutne jest to zmaganie ptaków, często przez człowieka jeszcze wyposażonych w metalową ostrogę.

Takie rozkosze czekały na tych, którym dane było zejść na ląd. Naoczny świadek wspominał, że „z nadejściem nocy Portsmouth był widownią prawdziwego rozpasania, kłótni i bijatyk, co sprawiało, iż cudzoziemiec uważał, że znalazł się w piekle”.

Przypomnieć należy, że przecież tym marynarzom, którzy zostali uprowadzeni czy zmuszeni do służby na okrętach podstępem — niezmiernie rzadko zezwalało na zejście na ląd, zwłaszcza kiedy nie był nim daleki port na obczyźnie, lecz ojczyste strony.

Nie znaczy to jednak, aby musieli beczynn timer spędzać czas, kiedy ich okręt stał w porcie. Oto co przekazał nam pamiętnikarz, który służył w owych latach w królewskiej flocie wojennej: „Kiedy zarzuciliśmy kotwicę, otoczyła nas chmara stateczków. Niektóre były barkami z zaopatrzeniem, to znaczy że stanowiły coś w rodzaju pływających sklepików. Wiele z nich natomiast wiozło ładunek pań, co było zaiste zabawne... Właściciel takiego statku dobiera je starannie, jeszcze nim odbija od brzegu. Stary Charon bacznie ogląda je zebrane razem od dziobu aż po rufę, wycenia bystrym okiem żydowskiego

kramarza. Wybiera najładniejsze i najlepiej ubrane. Zdarza się, iż odmawia zaokrętowania niektórych, oświadczając im grzecznie, że są albo zbyt stare, albo zbyt szpetne i że nie sposób mu będzie znaleźć na nie nabywcę. Niekiedy bowiem, oficer służbowy wpada w gniew, każe przewoźnikowi, aby zabrał swój ładunek ładacznic, jako że nie pozwoli swym ludziom nawet, aby je tknęli. Ze wszystkich istot ludzkich te młode stworzenia są najbardziej godne pożałowania. Pióro wzdraga się przed opisem tych upokorzeń, które są ich udziałem. Ostatecznie jednak ten sposób bycia z czasem hartuje je i sprawia, że stają się obojętne wobec delikatnych słów czy zachowania. Wstyd jest im obcy i może się zdawać, iż postradały te wszystkie cechy charakteru, które są znamionami kobiety. Kobietami bowiem są już one tylko z nazwy i wyglądu."

Kronikarz zapisał, że jedna z pijanych dziewczyn wdrapała się nawet któregoś dnia na bocianie gniazdo, aby tam, zadarłszy kiecki, oddać salut przepływającemu nie opodał okrętowi admirała...

Służba w marynarce wojennej owego okresu stała pod znakiem brutalnej przemocy ze strony rozkazujących, którzy oczekiwali ślepego posłuchu od swych podwładnych. John Wetherell dzień po dniu notował swoje przeżycia w czasie służby na fregacie Jego Królewskiej Mości „Hussar”.

On sam zmuszony został do służby. Jego dowódcą był sir Philip Wilkin- t son, który nie miał opinii sadysty, był tylko rzecznikiem żelaznej dyscypliny i wszelkie przewinienia karał\* tak, jak to było w zwyczaju owej epoki. Opisany przez Wetherella incydent wydarzył się w 1803 roku, same pamiętniki wydano stosunkowo niedawno, gdyż w 1953 roku.

„Ten chłopiec miał jakieś siedemnaście lat. W owym czasie przydzielono nam stateczek pomocniczy, który z brzegu dostarczał na pokład listy, piwo, chleb i słodką wodę. Dowodził tym stateczkiem sąsiad matki owego chłopca. Zwał się ten stary Lancaster. A że stateczek miał być przez całą noc zakotwiczony nic opodał nas, młody nieszczęśnik mniemał, że kiedy tylko dostanie się tam na pokład, to ów Lancaster dowiezie go bezpiecznie do ukochanej matki, której młodzian ten był jedynym żywicielem. Takie przeto powziął postanowienie i nocą zeskoczył z fregaty, wpław dostając się na stateczek, gdzie —jak myślał— jest już bezpieczny. Biedaczysko! Ku jego zdziwieniu, kiedy tylko noga jego stanęła na tym stateczku, domniemany przyjaciel Lancaster zaraz go dostarczył z powrotem na pokład \* Hussara\*. Na fregacie zakuto mu nogi w dyby i miał czekać na wyrok...”

Wetherell opisuje szczegółowo przygotowania do kary chłosty, która już nazajutrz została wymierzona zbiegowi, i notuje, jak delikwent błagał o wyrozumiałość:

„— Kapitanie, przez wzgląd na biedną, nieszczęsną matkę moją, miej dla mnie litość i przebac mi!

— Nie, gdybym ci przebaczył, to chyba Bóg nigdy nie przebaczyłby mnie...”

Zaczyna się systematyczne smaganie uciekiniera „kotem o dziewięciu ogonach”, wreszcie ofiara po siedemnastu uderzeniach traci przytomność. Zgodnie z regulaminem lekarz obecny przy egzekucji nakazuje wstrzymanie kary, ale kapitan się sprzeciwia: „— Nie, on tylko udaje! Dalej, powiadam!

Chłopiec leżał jak martwy. Zaś był to czas, kiedy każde serce nie z kamienia domagało się odwetu. Gdyby nie to, że »Antelope« i »Athelion • znajdowały się w pobliżu, zemsta [...] zdeptałaby swą stopą sztandar okrutnej tyranii.”

Ostatecznie stęskniony za domem i matką młodzieniec dostał dwa tuziny uderzeń\* batem.

Opowiada Wetherell: „Nie dawał już znaku życia. Doktor zbadał jego tętno i rozkazał, aby już nie chłostać go dalej, jako że wszelkie odczucia już doń nie docierają.

— Dobrze — rzekł Wilkinson — pod tym względem zalecenia będą spełnione, ale pod innym względem wykona się moje rozkazy. Panie Hill, weźcie no go na sznur i zanurzcie za burtą. To go zaraz ocuci...”

Rozkaz kapita&a wprowadzono w czyn. Trzy razy pograżono chłopca w morzu i trzy razy opuszczano na pokład, ale nie było już oznak życia. Doktor Graham kazał wreszcie znieść go pod pokład i tam opatulić w koc. Po godzinie puszczo mu krew, zaczął jęczeć i płaczliwie wzywać matkę..."

Ten sam narrator wspomina beznamiętnie, jak na fregacie „Hussar” ukarany został za jakieś błahe przewinienie — chyba picia alkoholu bez zezwolenia — stary marynarz Andrew McCarthy. Otóż przemocą wlewano mu w gardło wodę tak długo „aż wyciekała zeń tak czysta, jak była, kiedy mu ją aplikowano”. Potem związanego w kij żeglarza zostawiano na pokładzie, a był mroźny poranek na Morzu Północnym. Ukarany mało życiem nie przypłacił swego przewinienia, był tak przemarznięty, że z trudem go odratowano.

Jego pokusą był pewno grog, czyli tradycyjny napój w brytyjskiej marynarce wojennej. Ładowano go zapewne przed dalekim rejsiem. Nazwa ma się wywodzić od admirała Edwarda Vernon, który w roku 1740 rozkazał, aby czysty rum, wydawany marynarzom na rozgrzewkę, zastąpić mieszaniną tego alkoholu z czystą wodą. Admirał ów zwany był we flocie jako „Old Grog”, gdyż chadzał zawsze w płaszczu z tkaniny „grogram”, czyli mieszanki jedwabiu, moheru i wełny.

Ładowano też na okręty prowiant, przeważnie dość kiepskiej jakości. Wspomina Alexander Anderson w „Windjammer Yarns”: „Nasza ostatnia beczka z soloną wołowiną przemianowana została przez marynarzy na soloną koninę. Było to niezrównane paskudztwo i nie byliśmy w stanie tego zjeść.

Z jednej ćwiartki marynarze sporządzili model statku, wyglądało to jak mahoń po wypolerowaniu.”

Benton Williams przekazał potomnym opis małego „obchodu”, który urządzano na statku, kiedy mięso było już całkowicie niejadalne. Zanim wyrzucano je za burtę — recytowano okolicznościowy tekst. Mam go w różnych wersjach, ale istotna treść jest mniej więcej taka: „Szkapo, stara szkapo, co cię tu przywiodło? — Mój panie, przez-wiele lat wioziłam kamienie z grodu Dublin do Ballyhack, nim wreszcie skręciłam kark. Mój właściciel, kiedy przekazano mu tę złowrogą wieść, powiedział jeno: No to trzeba ją zasolic na prowiant dla marynarzy...”

„Po czym — opowiada Williams — Irlandczyk Paddy Bymes podniósł w górę żylasty, sękaty kawał mahoni, który miał być naszym posiłkiem, i cisnął go w morze...”

Wreszcie kiedy był już na okręcie prowiant i ładunek, trzeba było żegnać ojczyste brzegi. Wabiła daleka przygoda, ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że droga jest najeżona przeciwnościami, że tylko szczęśliwcom uda się wrócić i ujrzeć ojczyste brzegi. Marynarz służący w królewskiej flocie ma znowu głos: „Nie jest to przyjemny moment w życiu żeglarza, kiedy rozstać się trzeba z przyjaciółką. Ale smutek uważany jest tu za dziecinadę. Zazwyczaj ludzie rzucają za burtę tak swe żale, jak i przelotne miłostki, niczym zbędne przedmioty. Są więc tacy, których żarty się trzymają i którzy wytwornie ofiarują swym bogdankom cebule, jako że bez tej pomocy nie byłyby one skłonne uронić ni łezki. Damy na tego rodzaju krotochwile nie droczą się długo, jako że serca ich nie tają zbyt łatwo. Są jednak mężczyźni, dla których i takie rozstania są bolesne...”

Ar jednak mimo tych wszystkich niedoli żeglarskiego bytowania, morze wolało ku sobie ludzi z Wysp Brytyjskich, byli tacy, którzy spędzili na oceanach całe swe życie.

Pisał John Nicol, stary żeglarz, u schyłku XVIII wieku:

„Chociem w podeszłym wieku, serce moje dalej pozostało niezmienione. Gdybym miał znów być młody i dzielny, tak jak to dawniej bywało, wypłynąłbym jeszcze raz w pogoni za odkryciami. Ale żem teraz stary i niedołężny, więc mogę jeno słać modły za dzielnym statkiem i jego zuchami. Przez całe życie byłem wędrowcem zdanym na los szczęścia. Teraz czeka mnie wejście już tylko na mój ostatni statek, zostanę zakotwiczony na stałe, z zieloną murawą na piersi. Nie dbam, kiedy rozkaz wyjścia w rejs ten zostanie mi dany...”

Ale nie czas teraz na sentymentalne rozważania. Oto bowiem chrobocze już łańcuch kotwiczny, wtóruje mu tradycyjna pieśń „Krople gorzałki”, której autorstwo ginie gdzieś w mrokach niepamięci. Czasami jest jeszcze na pokładzie grajek. Tak na przykład „Bounty” w podróż na koniec świata

zabrał niemal niewidomego irlandzkiego skrzypka. W zgiełku wielkiego portu kwiliły  
pewnie cicho biedne skrzypeczki, kiedy marynarze śpiewali:

I kupi Johnny czapkę nową

• ' 4

I Johnny na jarmark już kroczy. Tam wstążkę kupi granatową, By spleść swe kucze włosy.

A czemuż nie miałabym go pokochać? A Johnny dlaczego miałby nie miłować mnie? A

czemuż nie miałabym go pokochać Jak tylu innych chłopców kochać chcę...

ROZDZIAŁ PIĄTY



Allan Moorehead pokusił się o odtworzenie Tahiti, uroków i wad wyspy takiej, jaką oglądały wtedy oczy europejskich żeglarzy „znużone rozkołysanym horyzontem”. Wyspa jest niezbyt duża, liczy nieco ponad tysiąc kilometrów kwadratowych powierzchni i pisarz australijski porównuje jej wygląd do klepsydry, czyli prymitywnego zegara piaskowego, zwężonego między dwoma zbiornikami, tam, którędy przesypuje się piasek. Istotnie, dodałbym: tak widzi ją dziś pasażer samolotu, który podchodzi do lądowania na lotnisku w Faaa.

Ale ta kropka na Oceanie dostrzegalna była z#daleka, z morza sterczały wysoko nad wodą jej góry. Zbocza górskie pokrywał gęsty las tropikalny, natomiast na wybrzeżu Tahitańczycy żyli między gajami palm kokosowych i chlebowcami, tym „pra-tematem” naszej opowieści.

Kokos to drzewo cywilizacji polinezyjskiej. Orzech jest smacznym pożywieniem, płynem w skorupie można gasić pragnienie, liście służą jako poszycie dachu w chatach, jako koszyki i kobiałki, pień jest budulcem.

(Chlebowiec był przedmiotem szczególnego zainteresowania Europejczyków. Szły raporty do Londynu: „Sezon na owoce chlebowca trwa tylko osiem czy dziewięć miesięcy, a że są te owoce podstawą pożywienia wyspiarzy, więc trzeba gromadzić zapasy na miesiące, kiedy nie ma ich w stanie świeżym. Składa się przeto owoce w kopcach i tam zaczyna się fermentacja. Owoce pozbawia się pestek, sam miąższ wrzuca do dołu. Tam przebiega ponowna fermentacja i chlebowiec można tak przechowywać przez dziesięć do dwunastu miesięcy. Z tych owoców sporządza się kulki, owija w liście i piecze. Wtedy można je przechować w tym stanie jeszcze przez dalszy miesiąc czy sześć tygodni.”

Wioski na wyspach w naszym europejskim pojęciu nie istniały. Domy były od siebie oddalone, rozproszone między drzewami, które osłaniały je swym cieniem. Chaty bez ścian chłodził każdy podmuch wiatru. Jakkolwiek Tahiti ma klimat gorący, wilgotny, ale jest on zupełnie znośny, potoki płynące z gór niosą obfitość wody słodkiej, kwiaty i owoce rosną wszędzie.

Kiedy pojawił się tam kapitan Cook, wyspa liczyła około dwu tysięcy ludności. Powiada Moorehead, że „w oczach żeglarzy ludzie ci byli tak samo piękni, jak okolica”.

Zajrzyjmy do dzienników Cooka. Data 13 lipca, 1769 roku: „Osoby mają różne odcienie skóry. Te pośledniej klasy, więcej wystawione na działanie słońca, mają skóry ciemnobrunatne. Lepiej urodzeni, którzy większość życia spędzają w cieniu, nie są tak ciemnoskórzy. Ba, niektóre kobiety są niemal tak jasne, jak Europejki. Włosy, które noszą krótkie, niemal powszechnie są czarne. Mają piękne białe zęby oraz przeważnie krótkie, płaskie nosy i wydatne wargi. Zachowanie ich wobec obcych, jak i we własnym gronie cechuje

Z wiekiem stawali się otyli. Tatuaż dokonywany ostrą kością szpecił ich nogi i tułów — twarzy na ogół nie tatuowali. Twierdzą niektórzy autorzy, że europejscy marynarze stamtąd właśnie przywieźli modę na tatuaż, ale to już jest chyba tylko domysł.

Wyspiarze z Tahiti namaszczały się olejem kokosowym, co nie było przyjemne dla otoczenia, jako że tłuszcz ten szybko jęłczał. Mężczyźni wrywali sobie wąsy, usuwali też, podobnie jak i kobiety, włosy spod pach. Tahitańczycy byli nienagannie czysti, dzień zaczynali od kąpieli, potem kąpali się w południe i jeszcze raz, nim poszli spać.

Nie musieli się przemęczać pracą, jako że żywności było na wyspie pod dostatkiem. W lagunach roilo się od ryb, banany i trzcina cukrowa rosły dziko, owoce drzewa chlebowego i kokosy w obfitości. Od święta piekli drób i prosiaki w podziemnych piecach. Nie znali tytoniu, nie używali narkotyków, czasem jednak popijali oszałamiający napój z korzenia pewnego krzewu. Rzadko występowały u nich dolegliwości skórne, próchnica nie niszczyła ich pięknych zębów, porody przebiegały łatwo; właściwie nie chorowali, po latach życia czekał ich uwiąd starczy i zgon. Nie wspinali się na góry, gdyż nie mieli w tym żadnego celu,

a poza tym — nie bardzo im się chciało. To, co było im potrzebne do życia — sporządzali sami. Tkaniny preparowali z kory drzewnej i upiększali naturalnymi barwnikami. Z liści pletli maty i liśćmi pokrywali dachy. Skorupy orzechów kokosowych służyły im za kubki do picia. Łodzie, które sięgały dwudziestu metrów długości, wyrabiali sami z dostępnego na miejscu drzewa. Mebli nie potrzebowali, gdyż zasiadali na podłodze, sypiali też na niej. Zimy nie znali, nie wiedzieli więc, co to ziąb, natomiast w najgorętsze dni wiatr od morza przynosił ochłodę.

Na Tahiti nie było wtedy zwierząt drapieżnych ani żmij, bardzo rzadko występują tam huragany czy trzęsienia ziemi. Czytać nie umieli, ale to też nie było im potrzebne.

Poza kilkoma rzeźbionymi wizerunkami nie mieli więc żadnych zapisków z przeszłości, która zresztą fśsf jak twierdzi dalej Moorehead — wcale ich nie interesowała. Mieli mgliste pojęcie o jakiejś najwyższej Istocie. Na polanach czy nad brzegiem morza budowali swe ołtarze. Starodawne legendy przekazywane były z pokolenia na pokolenie, urządzali festiwale religijne. Pluskali się w morzu, tańczyli i śpiewali przy wtórze bębnów i fletów. Urządzali widowiska teatralne oraz turnieje zapaśnicze. Rok dzielili na trzynaście miesięcy, lecz nie miało to właściwie praktycznego znaczenia. Każdy dzień był podobny do następnego. Żyli „w nieustającym nigdy cyklu, kontrolowanym tylko przez ich głód i żądze, niczym się nie krępowali, jedząc, śpiąc, tańcząc,

łowiąc ryby, warząc strawę, gwarząc, Kochając, zawsze pospołu i zawsze pod gołym niebem."

A więc — powie Czytelnik — mają rację ci, którzy uważali, iż wyspy te są rajem na ziemi. Wobec tego powinno się chyba odrzucić ocenę takich podróżników jak Reverzy, który nazywa poszczególne wyspy Oceanii „cuchnącymi piekielkami”.

Tymczasem ten sam Moorehead uważa, że tylko pobieżnego obserwatora mógł zmylić ten sielankowy, ale jakże powierzchowny obraz Tahiti. Bardziej bystre spojrzenie ukazuje obraz mocno skomplikowany i już na pewno nie tak radosny.

Całe to społeczeństwo dzieliło się na plemiona. Każde z tych plemion było we władaniu rodziny panującej, wokół której skupiała się arystokracja. Najniżej w tej drabinie społecznej znajdowało się pospółstwo oraz słudzy czy poddani, co — jak zauważa ten autor — odpowiadało z grubsza strukturze społecznej Europy owej epoki. Rozwiąłość obyczajów rzeczywiście była rozpowszechniona, ale tylko w zupełnie wyjątkowych okolicznościach mogło dojść do romansu między Europejczykiem a kobietą z rodu panującego lub arystokracji. Było to społeczeństwo monogamiczne, w warstwach średnich więzy małżeńskie traktowano z całą powagą. Istotnie, już dziesięcioletnie dziewczęta rwały się do uciech cielesnych i nie znały uczucia wstydu, toteż były wielce ubawione i zdziwione, kiedy marynarze ciągnęli je w celach romansowych w chaszczę. Wywodziły się te dziewczyny z nizin społecznych, ale w całym społeczeństwie zajęcie dziewczyny w ciążę oznaczało poślubienie jej przez ojca dziecka.

Owszem, był to lud pogodny i skory do zabawy, jednak wojował z całą zajadłością, prowadząc bratobójcze walki. Na jakieś pół roku przed przybyciem Cooka obie części Tahiti wiodły zażarty bój. Było wielu rannych i zabitych, ' tak między mężczyznami, jak kobietami czy dziećmi. Przed walkami lub po nich składano często ofiary z ludzi, mordowano jeńców lub sługi, wokół ołtarzy piętrzyły się ludzkie czaszki.

Do stanu kapłańskiego należeli tak mężczyźni, jak i kobiety. Tu już panowały obyczaje bardzo brutalne. Tylko najwyżsi rangą mieli potomstwo, które — według wierzeń — miało wywodzić się od bogów. Inni natomiast prowadzili nader bujne życie erotyczne, ale potomstwo ich duszono tuż po narodzeniu. Może chodziło o prymitywną formę kontroli przyrostu ludności na małej wyspie, może dbano o ekskluzywność stanu kapłańskiego. Liczba mordowanych noworodków musiała być spora, gdyż sama kasta kapłańska była dość liczna. Zresztą, stan ten miał kilka stopni, piastowane godności zaznaczane były odpowiednio zróżnicowanymi ubiorami. W poświęcanych pirogach wędrowali kapłani na obchody religijne i festiwale.

Alain Huetz de Lemps zwraca zresztą uwagę, iż odległości między wyspami są bardzo poważne. Z Tahiti na Nową Kaledonię jest ponad cztery tysiące kilometrów. Gdyby wyspy Oceanii rzucić na mapę Europy i Tahiti ulokować na miejscu Paryża — okazałoby się, że Wyspy Towarzystwa rozciągają się aż po Anglię, wyspy Gambier są na miejscu Jugosławii, zaś Markizy — w Skandynawii.

Kobietom nie wolno było jeść w towarzystwie mężczyzn. Ten, kto należał do rodziny panującej, nie mógł sam sięgnąć po jadło, ale musiał być karmiony. Kiedy rodził się następca tronu, dotychczasowy władca bezzwłocznie abdykował na jego rzecz i stawał się regentem. Wodzowie podróżowali po łądzie niesieni „na barana”, gdyż do każdego skrawka ziemi, na którym postawili stopę, nabywali automatycznie prawo własności.

Trzeba powiedzieć, że rodzimi władcy Tahiti nader szybko opanowali reguły polityki europejskiej owego okresu. Intrygi, spory o władzę, krwawe walki międzyplemienne istniały oczywiście od niepamiętnych czasów, ale po przybyciu europejskich odkrywców właśnie rozgorzały na skalę dawniej nie spotykaną.

Powiada Alain Moorehead, że istotnie Europejczycy wprawdzie przywieźli ze sobą leki przeciw truciznom i zarazom, ale uprzednio Tahitańczycy wcale tych leków nie potrzebowali. Gdyby zostawiono ich własnemu losowi, mogliby obyć się bez nich po wieczne czasy, jak również i bez sprowadzonych z Europy lekarzy, duchownych, urzędników i policjantów. Kiedy pojawił się tam Cook, byli akurat bardziej szczęśliwi niż kiedykolwiek przedtem.

Chcąc zobrazować kłopoty władców Tahiti, muszę uczynić spory krok naprzód w naszej relacji. Trzeba od razu wspomnieć, że wódz Vairatoa rządził jako król Pomaré I od roku 1791, ale nie szło mu to wcale gładko. Wiele miał kłopotów z buntownikami, przeciwnikami każdej centralnej władzy.

7 marca 1796 roku zjawia się statek „Dufl”, wysłany przez Londyńskie Towarzystwo Misyjne. Na pokładzie — kilkunastu misjonarzy protestanckich wraz z żonami i dziećmi. Pomaré przyjął ich życzliwie i podarował działki ziemi. Tahitańczycy, ciekawi niczym dzieci, chętnie uczestniczyli w nabożeństwach. Potem jednak modły białych ludzi znudziły ich niczym zabawka, która przestała bawić. Stali się nawet niebezpieczni, kilkunastu misjonarzy wyjechało, nie mogąc znieść życia w stanie ustawicznego zagrożenia. Ale dopiero Pomaré II przyjął chrzest na wyspie Moorea, wypędzony z Tahiti. Wielki kapłan uroczyście spalił bożka. Opierając się na misjonarzach, Pomaré II wrócił na Tahiti, gdzie doszło do krwawej bitwy, w czasie

której poległ wódz Upufara, główny oponent króla. Cała Tahiti przyjęła chrześcijaństwo, płonęły posągi starych bóstw. Byli jeszcze i tacy poddani, którzy nie przejmowali się poczynaniami królewskimi. Rozgromieni zostali ostatecznie w bitwie pod Fei Pi. Budowano kościoły, bożki wrzucano do morza lub palono. W roku 1819 Pomarć II był już tak mocny w swej władzy nad wyspą, że wydał skomplikowane przepisy obalające dawne obyczaje i nakazujące bezwzględne przestrzeganie wypoczynku niedzielnego. Skończyły się tany, zaczęły się modły. Zanotował w roku 1825 nie bez tryumfu wielebny Tyerman: „Ani jedno ognisko nie płonie owego dnia, ani jeden owoc nie zostaje zebrany. Ubierają się na modłę angielską, noszą angielskie wyroby...”

Sam chytry Pomarć II u szczytu swej potęgi popłynął na wysepkę Motu-uta nie opodal Tahiti, aby przełożyć Biblię na język wyspiarzy. Zabrał się do tego dzieła — jak notuje kronikarz — „dzierżąc księgę w jednej dłoni, zaś butelkę w drugiej...”

Potem doszło do gorszących waśni między misjonarzami protestanckimi (zawsze Brytyjczykami) a katolickimi (wywodzącymi się z Francji). Były to rozgrywki o owieczki do nawracania, ale miały też wyraźnie polityczne podłoże. Nabrzmiwały spory wielkich mocarstw o władze nad wyspami i wy-\*sepkami, których rytm życia nie zmienił się od stuleci. Misjonarze wpajali europejską moralność ludziom zrodzonym pod innym niebem, wychowanym w innych obyczajach. Píše J. M. Nankivell: „Przerażający był w swym gniewie MacPherson, kiedy wygłaszał kazanie i rozdeptywał grzechy ludzkości swą ciężką stopą, nie bacząc na maluczkich, którzy bezwiednie weszli mu w drogę...”

Ponury paradoks sytuacji polegał na tym, że misjonarze płynęli na koniec świata nie orientując się zupełnie w mentalności tych, których chcieli nawracać. Straszili więc wyspiarzy, iż spadnie na nich gniew boży, jeżeli nadal trwać będą w swych pogańskich praktykach. Nie przyszło im do głowy, że Polinezyjczycy nie znają przenośni, że przyjmują dosłownie to, co zostaje im powiedziane. Kiedy więc na wyspie zaczęły szerzyć się choroby, uważali zupełnie logicznie, że to jest właśnie ta kara zapowiadana przez misjonarzy. Innymi słowy: to misjonarze są winni. Doszło do zmasakrowania kilkunastu rodzin misjonarskich na różnych wyspach.

Misjonarze na wyspach Pacyfiku rzucali się z siekierami na posągi bożków. Wyspiarze najpierw uważnie spoglądali na porąbane kawałki bóstw, potem na okręt białych ludzi, szczerzący w zatoce jadowite żądło swych dział. Zestawiali sobie fakty i wysnuwali wnioski, że bóstwo przybyszy jest znacznie potężniejsze niż ich własne. I tak niemal z dnia na dzień wyspiarzom zmieniano sposób bycia, obdzierano z tradycji, zabierano obyczaj.

#### UKOŁYSANY HORYZONT

Zdarzało się, że w ferworze nawracania misjonarze zaczęli od zwalczania wojen między poszczególnymi plemionami. Wojny takie przysparzały zwycięzcom surowca do uczt oraz niewolników do robót. Sam zamiar zlikwidowania tych bratobójczych bojów niewątpliwie był godny pochwały, ale kiedy

misjonarze cieszyli się pierwszymi sukcesami swych pokojowych zabiegów, dowiadywali się ze zgrozą, że rozbrojone perswazją ich owieczki zostały pozjadane przez tych wyspiarzy, do których słowo boże jeszcze nie dotarło. Nie śmiejmy się, nawracanie za wszelką cenę było też jedną z krzywd, jakie europejska cywilizacja przyniosła ludom na wyspach Oceanu Spokojnego.

Zmieniona została flora i fauna. Na wielu wyspach całkowicie wyniszczono drzewo sandałowe, pojawiła się tam natomiast uprawa trzciny cukrowej, kawy i pomarańcz, przybyły też zawleczone z daleka pasożyty tych roślin. Jelenie, sprowadzone na Nową Kaledonię przez nudzącego się gubernatora francuskiego, tak się rozmnożyły, że w czasie ostatniej wojny żołnierze z garnizonów amerykańskich strzelali do nich z pistoletów maszynowych. ■ Zawleczono zimnicę. Ospa, grypa, choroby płuc zbierały krwawe żniwo. Alain Huetz de Lemps zauważa, że narzucona przez misjonarzy surowość obyczajów była tylko pozorna. Kazano wyspiarzom na Tahiti nosić odzież z tkanin angielskich, wyrabianych dla zupełnie innego klimatu, ale dziewczęta dalej „witały statki”, czyli szybko i bez oporów nawiązywały bliższe znajomości z marynarzami.

Alain Huetz de Lemps twierdzi, że kiła zawleczona została na wyspy Polinezji jeszcze przed pojawieniem się na tych wyspach hiszpańskich żeglarzy. Jego zdaniem, docierali tam bliżej nieokreśleni żeglarze z Ameryki Południowej. Ten problem rozmaicie jest przedstawiany przez kronikarzy, kolejnych wypraw.

Bougainville oświadczył, że choroby weneryczne pojawiły się w Polinezji za sprawą marynarzy kapitana Wallisa. Urażony Wallis odrzucił twierdzenie to jako potwarz i wyraził przekonanie, że to właśnie Bougainville i jego ludzie zarazili „pocziwych dzikusów”. Dyskusja na ten temat trwała latami.

Co ma do powiedzenia Moorehead? Zwraca uwagę, że „Dolphin” był o całe dziesięć miesięcy wcześniej na Tahiti niż „La Boudeuse” Bougainville'a i że trudno przypuścić; aby w całej brytyjskiej załodze nie było nikogo chorego. W świetle naszych wcześniejszych relacji o uciechach marynarzy w brytyjskich portach — istotnie nie chce się w to wierzyć. Jednakże w dzienniku pokładowym „Dolphina” czerwonym atramentem wypisano „No venereal”, zaś Robertson notuje: „Lekarz ręczył nam swym honorem, że ani jeden człowiek na pokładzie nie jest dotknięty żadną chorobą, którą mógłby zarazić tubylców tej malowniczej wyspy”.

Bougainville uporczywie twierdzi, że kiła była tam już znana, kiedy zjawił się jego okręt. Być może jednak — przypuszcza Moorehead — pomylił on objawy malinicy i kiły. Przebieg obu schorzeń jest podobny, malinica jest chorobą tropikalną i teraz leczy się ją nawet tymi samymi środkami co kiłę, wtedy jednak wiedza medyczna nie dysponowała ani lekami, ani też dokładną znajomością obu chorób jak obecnie. I czy znowu można przypuścić, że czterystu młodych Francuzów ustrzegło się chorób wenerycznych jeszcze przed wypłynięciem z macierzystych portów?

Cook z właściwą sobie dokładnością zarządził dokładne badania lekarskie jeszcze na długo nim „Endeavour” zawinął na Tahiti. Wypadły one pomyślnie, cała załoga była zdrowa. Natomiast już w kilka tygodni po wylądowaniu na wyspie jedna trzecia załogi była zarażona. Prorocznie brzmiały słowa wielkiego żeglarza: „choroby płciowe mogą z czasem rozprzestrzenić się po wszystkich wyspach Mórz Południowych, okrywając niesławą po wsze czasy tych, którzy je tu zawlekli...”

Miodowe miesiące między białymi żeglarzami a Polinezyjczykami minęły szybko. Kiedy na Tahiti pojawił się okręt „Bounty”, wyspa miała już złą sławę. Dr Thomas Huggan dostał więc rozkaz od kapitana Bligha, aby przebadał całą załogę. Pisał Bligh: „Mam powody do przypuszczenia, że od wyprawy kapitana Cooka wyspiarze nie mieli innych odwiedzin i

żywie nadzieję, iż w oparciu o swój styl życia znaleźli sposoby na pozbycie się chorób wenerycznych. Dla usunięcia obawy, że znowu ich pozarażamy, kazałem lekarzowi, aby dokładnie przebadał każdego marynarza czy oficera i aby złożył mi raport ze swych ustaleń. Tak się też stało i doktor Huggan oświadczył, iż nikt nie cierpi na chorobę weneryczną".

Pobożife życzenia kapitana Bligha zostały obalone przez życie. Kilku marynarzy oraz dwaj oficerowie — Fletcher Christian i Peter Heywood — zarazili się kiłą na Tahiti.

Dramat Oceanii — pisze profesor Charles A. Julien — polega na zagładzie miejscowej ludności. Stwierdza on, że Melanezja postradała co najmniej połowę zaludnienia, Nowa Kaledonia — może nawet więcej. Na Nowych He- brydach po pierwszych kontaktach z Europejczykami ocalała jedna dziesiąta wyspiarzy. Tahiti — gdzie może nieco przesadnie Cook oceniał liczbę wyspiarzy na dwieście tysięcy osób w roku 1769 — obecnie liczy sobie ledwie dwadzieścia tysięcy Polinezyjczyków, a i tak większość z nich ma silną domieszkę krwi chińskiej czy europejskiej.

Ale — ostrzega ów uczony — byłoby uproszczeniem, gdyby tylko białych przybyszów obwiniać o ten stan rzeczy. Zaludnienie wysp gwałtownie malało jeszcze przed przybyciem europejskich żeglarzy, nie tylko na skutek wojen czy ludożerstwa, ale i słabej rozrodczości. Eickstedt wspomina, że Oceania była nawiedzana przez żeglarzy różnego autoramentu, potem pojawili się handlarze, wreszcie wyspy nawiedziła fala straszliwego pijaństwa.

Europa była zafascynowana wyspami Mórz Południowych.

Z uczonych książek i licznych relacji — mit Tahiti trafił na deski sceniczne. Oto jesteśmy w Londynie, jest rok 1785, kiedy Królewski Teatr w Covent

Garden wystawia w czasie świąt Bożego Narodzenia pantomimę pióra Johna O'Keefe. Cisną się więc ludziska, aby obejrzeć „Omai, czyli podróż dookoła świata”. Można by rzec, że widowisko sklecone zostało według nowoczesnej formuły. Usiłowano bowiem przedstawić romantyczne przeżycia bohatera na kanwie aktualnych wydarzeń. W Londynie była to jakby próba podania papki doprawionej jeszcze do smaku ówczesnej publiki „egzotycznymi” dekoracjami, na tle których biały bohater wielbiony jest przez tłumy prymitywnych dzikusów. Widzowie pchali się drzwiami i oknami, czegoś podobnego nie oglądano jeszcze w Londynie \ Pięćdziesiąt wy sprzedanych przedstawień, rzadkość w owych czasach, potem jeszcze dwa sezony teatralne \

Zasiądźmy między publicznością. Dostojni panowie i wytworne damy z zapartym tchem śledzą akcję, oto kurtyna idzie w górę. Następca tronu tahitańskiego imieniem Omai dowiaduje się od proroka, iż jest mu sądzone, aby ruszył do Anglii i tam ubiegał się o rękę angielskiego dziewczęcia o znaczącym imieniu Londina. Londina też kocha swego ciemnoskórego Otella, darzy go subtelną miłością, której obca jest wszelka zmysłowość. Para wyrusza z Anglii na Tahiti, gdzie Omai wstępuje na tron w Matavai, ale najpierw jeszcze wyprowadza w pole paskudną czarownicę Obarea. Kiedy już emocje mają się ku końcowi i wiadomo, że bohaterom ułoży się życie pomyślnie — na scenę zjeżdża wielki portret kapitana Cooka, zaś chór brytyjskich marynarzy śpiewa hymn pochwalny na cześć znakomitego odkrywcy.

Powodzenie swe widowisko zawdzięczało znanemu scenografowi z Alzacji; był nim Philippe de Louthembourg, który zadbał o to, aby widzowie nie znudzili się cnotliwymi gruchaniami zakochanej pary. Kostiumy były efektowne. Obarea została obwieszona paciorkami i muszelkami, proroka grał aktor o potężnym wzroście, dźwigający jeszcze na głowie coś w rodzaju kołpaka na półtora metra. Pewnym odstępstwem od realizmu były też kostiumy tahitańskich tancerek, płasających w czerwono-złoty krynolinach. Widzowie mogli obejrzeć lekko przyćmiony księżyc tropików, burzę na morzu, groźną górę lodową tudzież samą zatokę Matavai i szereg innych uroczych zakątków Mórz Południowych.

Po drugiej stronie kanału La Manche też nie zasypiano gruszek w popiele. Imc Arnould pokazał na scenie zdumionej publiczności wybuch wulkanu oraz pantomimę, która zwała się „Śmierć kapitana Cooka”. Wielki żeglarz był tu wplątany w miłosną tragedię dwojga kochanków z wyspy Mórz Południowych.

Po sukcesie w Paryżu widowisko trafiło w 1789 roku na scenę w Covent Garden. Tytuł jak wyżej, ale w wersji angielskiej okraszony jeszcze dodatkiem: „Wielka Poważna Pantomima Balet w Częściach Trzech, tak jak wystawiona w Paryżu z niebywałym Poklaskiem, z Muzyką Francuską, Nową Oprawą Sceniczną, Maszynerią i Innymi Dekoracjami”.

W rzeczywistości polinezyjskiej niegroźny był wulkan, nie bano się góry lodowej. Znacznie bardziej bliskie i widoczne było „białe niebezpieczeństwo”.

W Europie zaś z biegiem czasu jakby przybladł mit o szlachetnym dzikusie. Marion Dufresne wpadł na Nowej Zelandii w zasadzkę Maorysów (1772) i został przez nich spożyty wraz z kilkunastoma ludźmi ze swej załogi. Biesiadnicy byli zawiedzeni, uskarżali się, iż mięso białego człowieka jest zbyt słone.

Skargami tymi nie wzruszył się porucznik Julien Crozet, podwładny zjedzonego Francuza, stwierdzał natomiast, że „między wszystkimi istotami



nie uświadczysz nic bardziej groźnego jak dzikie ludy. Chciałem pobudzić ich ciekawość, aby ustalić, jakie też uczucia mogą drzeć w ich duszach, ale u tych dzieci natury znalazłem tylko złe skłonności. Jest to tym bardziej niebezpieczne, że siłą fizyczną górują znacznie nad Europejczykami. Widziałem, jak w ciągu kwadransu z dziecinnej uciechy przechodzą do najgłębszej rozpacz, od całkowitego spokoju do wybuchów zażartej wściekłości, aby w kilka chwil potem zatrzęść się niepohamowanym śmiechem".

Wielki odkrywca La Pérouse zanim przepadł ze swymi dwoma okrętami na Oceanie Spokojnym, zdążył przekazać do Paryża takie poglądy: „Najbardziej bezczelni łajdacy w Europie są jeszcze mniej obłudni niż ci wyspiarze...”

Gdzież więc podział się dawny ich wizerunek? Czyżby dzikus nie był już ani zacny, ani szlachetny, lecz — w najlepszym wypadku — ubogi duchem smoluch, zaś w najgorszym — zdradliwy morderca? Wyspy miłości i wrodzonej dobroci stawały się z wolna w oczach Europejczyka kłębowskiem złodziei, rozpustników, pogan i ludożerców. Skoro tak, to cóż innego pozostało cywilizacji, jak nie szczytne zadanie, by bronić tych wyspiarzy przed nimi samymi?

Ważnie plemienne stały się za sprawą europejskich przybyszów znacznie bardziej mordercze. Już nie dzidy czy maczugi, ale broń palna były teraz w użyciu. Pojętni wodzowie plemion uczyli się szybko nowej taktyki wojennej. Jednym z takich nauczycieli był majtek Churchill, dezertor ze statku „Bounty”. Z powodu jakiejś błażostki zastrzelony został przez innego dezertera, w dramatycznym sporze samotnych białych ludzi na wyspie Mórż Południowych. I pomyśleć, że tak niewiele brakowało, aby dynastia Churchilla władała na Tahiti!

Biali przybysze byli okrutni instynktownie lub — dla interesu. Kiedy okazało się, że spreparowane głowy ludzkie można korzystnie sprzedać zbieraczom osobliwości — handlarze kazali sobie na różnych wyspach pokazywać żywych jeńców wojennych. Wybierali tych, których oblicza były zdobione najbardziej „chodliwym” tatuażem, zostawiali zamówienie... Potem przy kolejnym pobycie na tej wyspie odbierali gotowy już „towar”. Doszło nawet do tego, że wprowadzono tatuaż o motywach specjalnie „eksportowych”, lokalni władcy byli pojętni i w lot zgłębili gusty swych dostawców wódki czy broni palnej.

Uprawianie ludzi z wysp Mórż Południowych do pracy na plantacjach w nowo powstałych koloniach na lądzie australijskim — to osobny rozdział. Jeszcze u schyłku minionego stulecia trwały te ponure praktyki, nim wreszcie zwyciężyło hasło „nie masz niewolnika pod brytyjską flagą” i odesłano z powrotem na wyspy tych, którzy przetrwali ciężką pracę na plantacjach trzciny cukrowej.

Poszły w zapomnienie tradycyjne rzemiosła Polinezji. Profesor P. H. Buck z uniwersytetu w Yale zwraca uwagę, że piroga może nam się wydawać prymitywna, ale przecież było wielką sztuką ścięcie drzewa i precyzyjna obróbka surowca bez kawałka metalu.

Teuira Henry, pisząc o budownictwie okrętowym na Tahiti, wprowadza nas w świat tego zdumiewającego rękodziela. Wódz plemienia, który planował daleką wyprawę morską, a więc potrzebne mu były odpowiednie pirogi do jego floty — zabierał się do rzeczy systematycznie i niejako z planem długofalowym.

Najpierw więc rozkazywał swym poddanym, aby zwiększyli uprawę, jako że rzemieślnicy musieli być żywieni, potrzebne też były produkty na podarki.

Dlaczego?

Otóż wybór drzew był sprawą niesłychanie ważną. Sam wódz razem z budowniczymi rozglądał się za czymś odpowiednim. Kiedy jednak sygnalizowano mu, że piękny okaz rośnie w lesie należącym do innego plemienia, trzeba było prowadzić skomplikowane rokowania dyplomatyczne. Potem słano wodzowi z sąsiedztwa eleganckie upominki, żywność czy znajduwane z trudem czerwone pióra, ogromnie cenione na wyspach Polinezji. Kiedy dary zostały przyjęte, obdarowany zwyczajowo musiał przystać na wyręb tego czy innego drzewa. Gdyby odmówił, jego presz zmalełby nie tylko w innych plemionach, ale między jego własnymi poddanymi. Niezależnie od zgody wodza, należało jeszcze uzyskać pozwolenie Tane, bóstwa lasu, gdyż drzewa były przecież jego synami. To było ważne, wszyscy pamiętali o tym, co spotkało młodziana imieniem Rata.

Otóż dawno, dawno temu Rata ściął drzewo bez pozwolenia bóstwa. Potem pozbawił je kory, odrąbał konary i gałązki, a następnie zadowolony z siebie poszedł spać. Nazajutrz znalazł drzewo rosnące sobie spokojnie na dawnym miejscu, bez śladu ciężkiej pracy drwala. Rata zabrał się znowu do dzieła, ale kiedy drzewo runęło na ziemię, młodzian zaszył się w pobliskie krzaki i czekał na rozwój wydarzeń. Wokół powalonego drzewa pojawiły się leśne duszki, które wypowiedziały zakłęcie sprawiające, iż na oczach zdumionego Raty pień odrósł, gałęzie przylepiły się same do niego, a wierzchołek drzewa jak dawniej kołysał się pod podmuchem wiatru od morza. Rata wdał się w dyskurs z duszkami leśnymi, które wyjaśniły mu, że stoją na straży własności bóstwa Tane i że przecież on, Rata, nie uzyskał zgody na wyręb.

Młodzian zrozumiał, że nic nie wskóra, jeśli nie dopełni odpowiednich obrzędów. Skoro to uczynił, te same moce, które działały przeciw niemu, zbudowały przez noc piękną pirogę sposobną do dalekich rejsów, a następnie spuściły ją po tęczy tak, że o świcie Rata znalazł ją na wodach tuż przed swą chatą.

Pomni tej nauczki budowniczywie nieśli swe toporki z bazaltu do świątyni bóstwa. Tam ceremonialnie „kładli je do snu” w specjalnych wnękach. Po upływie jednej nocy odmawiali litanie do Tane:

Umieść te toporki w świętym miejscu, Aby nabrały boskiej mocy, Aby były lekkie w dłoni rzemieślnika I aby, iskrząc, dokonały swej pracy.

Inna sprawa, że ponieważ życie nie jest poezją, a iskrzenie toporków nie wróżyło nic dobrego, gdyż stawały się one kruche od przegrzania, więc na budowie leżały powalone soczyste bananowce, w które wbijano od czasu do czasu narzędzia pracy, aby je ostudzić.

Skomplikowane wiązadła z plecionek z włókna pokrywającego kokos miały nie tylko znaczenie praktyczne, ale były też symbolem obecności Tane na samej pirodze. Starannie dobierano różne gatunki drewna, wszystko zostawało dokładnie przemyślane, najmniejszy szczegół uznawano za ważny. Stare pieśni, nucone na terenie tej polinezyjskiej stoczni, miały sprawić, że — jak pisze Teuira Henry — piroga „mogła płynąć tak na krótkiej, jak i długiej fali, aby sięgać tak bliskich, jak i dalekich horyzontów”.

Budowniczywie składali ofiary Tane, częstując bóstwo świeżą wieprzowiną, posilali się też sami. O świcie zanurzali swe „kpiące” toporki w morzu, aby zdobyły lepsze rozeznanie w żywiole, który miał nosić ich dzieło.

Spuszczenie pirogi na wodę było wielkim świętem, cały lud śpieszył na przystań. Bialj, czyli „popaa”, oblewają u siebie przy tej okazji statki szampanem, Polinezyjczycy natomiast tradycyjnie poili pirogę wodą morską. Ocean jest ołtarzem bóstw, ceremonia polegała więc na takim rozkołysaniu pirogi, aby do wnętrza wlała się woda i aby zaraz posłużono się nowymi czerpakami, które przy okazji nauczą się swej powinności.

Polinezyjczycy wiosłowali zawsze twarzą do dzioba pirogi, musieli mieć przed sobą groźne fale i zbliżające się horyzonty. Legendy, które opiewają wyczyny dawnych żeglarzy, podają nazwy nie tylko łodzi, ale i wiosła. Mieszkające w dziesiątym niebie bóstwo Rehua miało więc wiosło zwane Blaskiem Błyskawicy.

James Hornell omawia uczuciowe zaangażowanie Polinezyjczyków w ich sprzęt żeglarski. Bóstwu Tane wznoszono na pirodze ołtarzyk, w czasie dalekiego rejsu codziennie składano mu ofiary. Załoga miała bezgraniczne zaufanie do opieki bóstwa, śmiało ruszała na wyprawy, które dziś jeszcze zdumiewają odwagą. Żeglarzom polinezyjskim nie były znane obawy przed wędrownką w Nieznane, które nieraz były przyczyną buntów załogi na statkach europejskich. Ani morze, ani bóstwo nie były winne, gdy z wyprawy nie wracała łódź i bez wieści ginęła jej załoga. Winien był tylko żeglarz... gdyż nie potrafił w porę odczytać odpowiednich znaków, gdyż zaniedbał jakichś czynności rytualnych. Innym pewnie powiedzie się to, czego nie dokonał poprzednik.

Ta wiara w bóstwo, własne statki i w samych siebie wiodła Polinezyjczyków w ich dalekich rejsach przez Ocean Spokojny.

Pojawienie się „wielkich piróg” białych ludzi doprowadziło do upadku dawnej techniki i dawnego rytuału. Zwykle czołno, wyciosane z drzewa — teraz zupełnie wystarczyło. Szybko zapomniano sposobu wyrobu tkanin z kory drzewnej, komuż by się chciało sporządzać naturalne barwniki ?

Pierwszy statek misyjny „Duff”, który w drodze na Tahiti przepłynął czternaście tysięcy mil nie dając załodze okazji obejrzenia lądu — pobił tym samym ówczesny rekord najdłuższej żeglugi morskiej. Takiej podróży nie odbyli pewnie ani Wikingowie, ani Polinezyjczycy. Zostawiając na brzegu zatoki Matavai (1797) czterech duchownych oraz gromadkę rzemieślników z Anglii, sześć kobiet i troje dzieci — statek ten zapoczątkował w dziejach Polinezji nieodwracalne przemiany.

Uczeni pragnęli badaniami swymi objąć południowy Pacyfik, kupcy chcieli handlować, politykom marzyły się imperia, zaś misjonarzom pozyskanie pogan dla chrześcijaństwa. Duchowni oraz protestancy do szpiku kości rzemieślnicy byli ludźmi, dla których Biblia stanowiła ostateczny autorytet, nic ich nie łączyło z ówczesnym światem nauki. „Godne podziwu były ich wiara i zapał nawracania, ale akurat oni nie nadawali się do misji na wyspach Mórz Południowych” — notuje kronikarz.

Pisząc o misjonarzach C. Hartley Gratts stwierdza, iż „nienawidzili oni nagości, tańca, seksu (poza małżeństwem monogamicznym), opilstwa, beztroskiego rozkoszowania się bezczynnością, dobrowolnego ubóstwa, wojny (chyba, że w imię wiary), pogaństwa oraz rzymskiego katolicyzmu”. Nie tylko nie interesowali się tahitańskimi obrzędami i zwyczajami, ale zjawiali się po to, aby je zniszczyć. Obce im było poczucie kompromisu, nie mieli zainteresowań naukowych, marzyło im się przerobienie wysp Mórz Południowych na modłę drobnomieszczańskiej, protestanckiej Anglii.

Nie trzeba się z tych ludzi natrzęsać. Wielu z nich miało swoje dziwactwa, ale zdarzali się między nimi ludzie niezwykli. Tak uporczywie grzmocili w tahitański styl bycia, aż wreszcie runął w gruzy. Trafiali na podatny grunt, jako że — zdaniem historyka — wyspiarzom imponowało to, co przybywało z Zachodu, zaś misjonarze niby niańki wiedzieli zawsze, co cacy, a co niuniu. Mieli poczucie władzy. Sprytnie opierali się na lokalnych władcach. Ci z kolei rządzili pospółstwem.

Melville zostawił nam portret króla Pomaręgo II: „Jakkolwiek żaloszny rozpustnik i pijaczyna, oskarżany nawet o różne zbrodnie, był wielkim przyjacielem misjonarzy i jednym z pierwszych nawróconych.” Królewscy wojownicy zaganiali wyspiarzy bambusowymi kijami do kościoła. Niedowiarków zabijano. Król postawił na Tahiti wielką katedrę, która miała dwieście trzysta metrów długości, przez wnętrze jej przepływały czyste wody górskiego potoku. W czasie poświęcenia budowli z trzech ambon wygłaszano równocześnie trzy kazania.

Wielkie szkody narobiła zażarta walka przeciw niewinnej nagości wyspiarzy. Zdaniem badaczy, gruźlica zbierała krwawe żniwo nie tylko dlatego, że prątki trafiały na nie uodporniony z natury organizm, ale i dlatego, że kazano wyspiarzom chodzić w ubraniach europejskich, tak do codziennej kąpieli (III), jak i w strugach deszczu. Wbijano w głowy wyspiarzy pojęcia obce im dotąd całkowicie, jak poczucie winy czy określenie grzechu. „Zairacili wolę życia, którego siły tkwią w dziedzictwie przeszłości i w nadziei na ju- • tro” — pisze historyk.

Cytowany Melville używa, jak niemal wszyscy inni współcześni mu kronikarze, określenia „Indianie” także w stosunku do Polinezyjczyków. Zastanawia się nad sytuacją z pozycji naocznego świadka: „... Indianie, których każde życzenie jest spełnione, których Opatrzność szczerze wyposażyła we wszystko, co daje radość naturalną i czystą, którym

oszczędzone było wiele chorób i dolegliwości życiowych — czegoż jeszcze mieliby obiecywać sobie po cywilizacji? Dlaczego Tahitańczycy mieliby bywać w obcym kościele, być poddanymi obcego rządu, przyswoić sobie obce i szkodliwe obyczaje? Czy nie należałoby raczej zostawić ich w spokoju?"

Byznes i szczytne zadania nawracania pogan — jakoś nie były ze sobą w sprzeczności. Misjonarze często szamotali się z losem, ich chude pensyjki nie starczały na utrzymanie rodzin. Otwierali więc sklepiki z produktami dla załóg statków zjawiających się na Tahiti. Za tkaniny czy cukier — dawali marynarzom nawet alkohol i — jak rzecz dziejopis — „radowali się, kiedy danym im było okryć bezwstydną nagość perkalikiem z Manchesteru". Ich wpływy w Londynie były znaczne, zgadzali się z politykami, że Anglia ma dyskretnie roztaczać swój protektorat nad wyspami, nie podporządkowując ich formalnie swej władzy. Wspomniany Pomarć II wysyłał wieprzki do Sydney, dostając w zamian broń i proch strzelniczy, co walenie przyczyniało się do umocnienia jego władzy i pokazania wyższości jego nowej wiary nad poganami.

Tahiti obrastało w sławę „złej wyspy". W małym królestwie niedobre obyczaje pogańskie harmonijnie splatały się z importowanymi plagami. Urok wyspy został ten sam, podobnie jak klimat, choć Wenus zastąpiona została przez Marię Magdalenę...

Sielskie dotąd ryciny zaczęto gwałtownie przerabiać w Europie, dostrzeżono nagle u Polinezyjczyków okrutne rysy, na dalszym planie widoczków z wysp — pojawiły się stosy ludzkich czaszek. Trzysta gwinei dostał malarz Robert Smirke za swe dzieło, przedstawiające hołd składany przez dzikusów

z Tahiti dobrotliwym misjonarzom. Kobiety wstydliwie zasłaniają piersi, mężczyźni odziani są w powłóczyste togi...

Pojawili się biali, przeważnie dezercerzy ze statków, którzy wiedli nędzną egzystencję na skraju wioski wyspiarzy. Było to żebracze bytowanie, byleby przeżyć z dnia na dzień. Na małych wysepkach Polinezji dezercer, który przezornie zabrał ze sobą kilka pistoletów i amunicję, mógł zostać wodzem i terroryzować wyspiarzy. Docierali tu zesłańcy z kolonii karnych w Australii, którym udało się zbiec z katorgi i którym groziła szubienica, gdyby dali się złapać. Szły do Londynu raporty, donoszące, iż wyspa „jest w rękach setki białych ludzi, przeważnie zesłańców. Stali się oni najemnymi żołdakami tych wodzów, którzy dali im najlepsze wynagrodzenie w kobietach czy wieprzkach. Dowiadujemy się, iż rzeźmieszki poprzez przyniesione choroby i wszelkie europejskie barbarzyństwa spowodowały spadek ludności do jednej dziesiątej zaledwie tej, która żyła w momencie, kiedy zawiął okręt JKM •Endeavour« w roku 1769”.

Ale chyba wyjątkową rolę w dziele zagłady odegrali wielorybnicy. W Mystic w stanie Connecticut, skąd niegdyś wyruszały na Morza Południowe statki wielorybnicze, studiowałem oryginalne zapiski tych stalowych ludzi, którzy na drewnianych łupinkach śpieszyli na koniec świata w pogoni za największymi ssakami naszej planety. Przeciętny rejs w niewypowiedzianej ciasnocie trwał dwadzieścia siedem miesięcy i Załogi dobierano głównie z obwiesiów, starano się, aby były różnorodne w kolorze skóry i wyznaniu, gdyż — uważano — zmniejsza to szanse na bunty na statku. Właściciele byli przeważnie kwakrami, a więc stronili od wódki — co jednak nie przeszkadzało im w płaceniu wódką tam, gdzie mogli okazjnie nabyć świeży pro- wiant.

Imię Frederick Debell Bennett, lekarz na statku wielorybniczym, zostawił nam relację z Tahiti: „Obfitość i nieograniczony wyszynk alkoholu, jak też i elastyczność przepisów sprawiły, że rozwiązłość portu morskiego osiągnęła niesłychane rozmiary. Noc w noc dochodzi na Tahiti do bijatyk i rozpusty, które byłyby hańbą najbardziej wyuzdanych spelunek Londynu. Tubylcy, którzy w tym uczestniczą, zeszli na dno nie tylko w sensie upodlenia fizycznego, ale i moralnego. W tych niechlujnych, wynędzniałych, schorowanych mieszkańcach portu daremnie by dopatrywać się ujmujących postaci Tahitańczyków z relacji Cooka...”

Poddali się bez trudu wyspiarze, szarpani w jedną stronę przez misjonarzy, zaś w drugą — przez wielorybników. Ubywało nie tylko ludzi, zniknęły też i małe, roślinożerne odmiany psów, opisane przez Cooka, a wygryzione (dosłownie) przez europejskie czworonogi ze statków.

Misjonarze sprowadzili maszynę tkacką. Przez miesiące czy dwa dziewczęta pracowały na niej z zapalem, ale potem minął urok nowości, maszyna zardzewiała gdzieś w jakiejś szopie. Zakładano plantacje trzciny cukrowej czy bawełny, ale wyspiarze nie mieli naw/ku regularnej pracy.

Rosyjski żeglarz Bellinghausen w roku 1820 zastał na Tahiti mężczyzn i kobiety z ostrzyżonymi głowami, nie było już kruczych splotów, które dziewczętom spadały na ramiona. Zakazany był taniec, wieńce z kwiatów też ile były widziane. Nocami wyspę przetrząsały patrole policji obyczajowej, tropiącej zakochane pary. Żeglarzy żegnał hymnami religijnymi chór bardzo odzianych dziewcząt. Wyspa Oceanu Spokojnego zbliżała się do pobożnego przedmieścia angielskiego miasta.

Król Pomarć II ukradkiem prosił Bellinghausena, aby mu dal po rosyjsku pisemko, zlecające wydanie okazicielowi rumu i wina. Schował szybko ten paperek, kiedy nadeszli inni uczestnicy wizyty u monarchy. Królowa przy-, mówiła się o butelkę rumu. Bellinghausen zapewnił ją, że niezwłocznie przekaże taki upominek królowi, ale jej to nie zadowoliło: „On zawsze wypija całą flaszkę sam, dla mnie nie zostawi ani kropelki...”

Dynastia Pomarć wywodzi się od Arii Rahi, którego nocą męczył uporczywy kaszel. „Po” — znaczy „noc”, zaś „mare” — „kaszel” po tahitańsku.

Pupilek misjonarzy Pomarć II do domu swego wprowadził jako żony dwie rodzone siostry. Jedna z nich była mu „poślubiona-poślubigna”, czyli był to związek zawarty w kościele, druga natomiast była tylko „poślubiona”, czyli że obyło się bez tej formalności. Dziejopis powiada górnolotnie, że monarchę zgubiło wielkie pragnienie. Innymi słowy zapił się na śmierć. Jego następca zmarł w młodym wieku jako student uczelni na wyspie Moorea, uczelni noszącej dumną nazwę Akademii Mórz Południowych.

Na tron wstąpiła siostra owego chłopca, która miała wtedy zaledwie szesnaście lat i władała potem przez pół wieku jako Pomarć IV. Jej właściwe imię brzmiało Aimata czyli Pożeraczka Oczu. Była to zgrabna aluzja do okresu, kiedy praktykowano składanie ofiar z ludzi, a wodzowi przysługiwał największy przysmak, czyli oko zamordowanego.

Pomarć IV była ogromnie kochliwa. Z wiekiem adoratorów miała coraz mniej, ustatkowała się przeto i stała wzorem cnót. Jej pierwszy małżonek Tapoa źle znosił pobyt na Tahiti, jak również licznych pomocników w pożyciu małżeńskim. Ostatecznie dokonał żywota na Bora Bora. Królowa poślubiła swego kuzyna Tenania z wyspy Raiatea. Żyli szczęśliwie, zanim ich śmierć nie rozłączyła. Słynny pisarz Pierre Lati wzdycha, że z królową zeszyły do grobu resztki tahitańskiego wdzięku, powabu i dawnego obyczaju.

Jej syn Pomarć V władał tylko kilka lat. Spoczywa w spokoju w cieniu palm kokosowych nad brzegami laguny Matavai, która była portem wyspy Tahiti, nim w 1826 roku Papeete nie przejęło tej roli. Na grobie poddani po-

stawili wyciosaną starannie z kamienia podobiznę butelki likieru „Bénédic- rine”. Radość ostatniego monarchy Tahiti stała się jego zgubą.

Przyjrzyjcie się uważnie obrazom Gauguina. Został już wyspę ujarzmioną, wyspiarzy zapijaczonych. Nikt nie uśmiecha się na jego obrazach: Ludzie są rozmarzeni, jakby myślami wracali do świetnej przeszłości. Urodziwe dziewczęta nie tańczą. Leżą w bezruchu, nie czekając na nic, nie spodziewając się niczego po dniu, który nadchodzi.

Gauguin nie był jedynym europejskim artystą, który stworzył na Tahiti wielkie dzieła.

W 1913 roku pojawił się tam Rupert Chawner Brooke, młody brytyjski poeta, który ruszył z Anglii w daleką podróż, aby kurować się z nieszczęśliwej miłości. Związał się na Tahiti z dziewczyną imieniem Taatemata, którą przezwiał Mamua, pochodzącą z wioski Mataiea. W lutym 1914 napisał dla niej poemat „Tiarę Tahiti”, gdzie opiewa swą lubą z wyspy „palm, słońca % i południa”:

Gdy zmiłknie śmiech, gdy nasze serca I białe i brązowe ciała  
U drzwi przyjaciół będą prochem I tchnieniem aromatu nocy,  
Wtedy, Mamua, właśnie wtedy Zacznie się nasza  
nieśmiertelność^

W kilka miesięcy potem poeta rozstał się z piękną Mórz Południowych, pośpieszył do Europy, gdzie rozgorzała wojna. Zmarł na francuskim statku szpitalnym na Morzu Egejskim w kwietniu 1915 roku, na pewno wspominając swój raj utracony na Tahiti.

Miał już tam chyba wtedy przeczucie zbliżającego się kresu życia. Można tak sądzić, kiedy zestawia się tamten poemat miłosny z klasycznym już dziś wierszem „Żołnierz”:  
Gdybym miał kiedyś umrzeć — pomyśl czasem o mnie, Że gdzieś tam, na obczyźnie, jest  
obcy szmat pola, Co zawsze będzie Anglią... i że tam, najskromniej, Bogaty proch bogata  
skryła w sobie rola\*\*.

w którym wступujemy na pokład okrętu „Bounty” płynącego na koniec świata po drzewo chlebowe. Jednak codzienna kromka chleba dla załogi staje się coraz mniejsza, dowiadujemy się też, że dwa bochny sera i baryłka octu z zapasów okrętowych trafiły do... domostwa kapitana. Ale i bez octu cierpka coraz bardziej staje się żegluga ku pięknej wyspie Otaheite.



Myszę, że dla zrozumienia istoty buntu, trzeba sięgnąć do pewnych danych, które imć kapitan Bligh zamieścił na samym początku swych wspomnień. Mam tu na myśli rozmiary „Bounty”, które w przełożeniu na system metryczny dają nam pojęcie o tym, jak śmiała była decyzja wyprawy na tym statku dosłownie na koniec świata.

Pokład miał około dwudziestu siedmiu metrów długości, szerokość w najszerszym miejscu — około siedmiu metrów, wyporność — około dwustu piętnastu ton.

Jak wspomnieliśmy, część pomieszczeń przerobiona została na pływającą szklarnię. W tej ciasnocie trzeba było ustawić prowiant i amunicję. Załoga wzmocniona została jeszcze personelem rzadko chyba pływającym na okrętach Jego Królewskiej Mości — botanikami, mającymi opiekować się ładunkiem z Tahiti do Indii Zachodnich. Wszyscy tu wszystkim deptali po piętach. I w tych warunkach zrodziła się sytuacja, którą można zwięzle określić: samotność kapitana.

W aktach Admiralicji zachowało się coś w rodzaju charakterystyki personalnej kapitana Bligha, zestawionej jeszcze przez wojska lądowe. Mowa w niej o tym, że William Bligh dźwiga na sobie brzemień dwóch wad: „nienasycona żądza despotycznej władzy i równie niepohamowana chęć dojścia do majątku”.

Bligh nie był tak czarnym charakterem, jak go przedstawiali powieścio- pisarze, ani też dobroczyńcą marynarskiej braci, za jakiego chętnie uważał się sam. A skory był do zachwalania swych cnót w listach słanych do mocodawców! Powiada się, że dobre pojęcie o sobie to połowa szczęścia w życiu, Bligh opanował sztukę samochwalstwa — to pewne. Inna sprawa, że z biegiem czasu może i sam uwierzył w swą dobroć, że ta wiara z kolei wytworzyła jakby otoczkę wokół jego osoby. Żył we własnym świecie i tak powstawała samotność kapitana.

Był pojętnym uczniem wielkiego żeglarza Cooka. Dbał więc o to, aby zawsze była otwarta i dla każdego dostępna beczułka kiszzonej kapusty, ten ówczesny skuteczny środek przeciw skorbutowi. W czasie ogromnego rejsu dbał o uzupełnianie zapasów wody słodkiej. W Teneryfie nabył filtry, przez które przepuszczano wodę tuż przed podaniem załodze. Być może poprawiało to trochę smak owej cieczy, w której podczas miesięcy żeglugi w spiekocie tropików na pewno roiło się od przeróżnych żyjątek. W Teneryfie Bligh nabył też świeże owoce, ogromnie ważne dla zdrowia żeglarzy żywionych peklowanym mięsem.

Stamtąd słał listy, z których w dalekiej Anglii odczytać można było sielankowy obraz życia dzielnych chłopców i ich dobrotliwego dowódcy. Inna sprawa, że już wtedy Bligh — jakby „na zapas” — uprzedza swych mocodawców, że mogą zaistnieć pewne tarcia między nim a załogą, mimo — jak twierdzi — jego najlepszych chęci. O co? O przydziały prowiantu.

Czy w tym małym światku niewielkiego okrętu były to naprawdę błaźniny? Można by tak mniemać, gdybyśmy dysponowali tylko świadectwem samego Williama Bligha. Ale i James Morrison prowadził skrupulatnie notatki i mimo rozbieżności obu tych zapisów dają się odczytać pierwsze oznaki nadciągającej burzy.

Burza zresztą — bez przenośni — biła w królewski okręt wiele razy. W czasie pierwszego sztormu woda wdarła się do magazynów z zaopatrzeniem, trzeba było wyrzucić za burtę spore zapasy chleba i sera. Morrison daje do zrozumienia, że ser jakby ulotnił się trochę wcześniej: „Imć Bligh uważał, iż dwa bochny sera zostały skradzione”. Wtedy gwałtownie zaprotestował Niemiec z Hanoweru, Hillbrant. Jakże to — wołał w swej kiepskiej angielszczyźnie — przecież baryłki z serem zostały otwarte jeszcze przed wyruszeniem w rejs, kiedy statek znajdował się na wodach Anglii! Rozkaz był wtedy wyraźny, nie było mowy o żadnych nieporozumieniach. Po prostu dwa bochny sera zostały odniesione do domostwa kapitana Bligha.

Bligha poniósł wtedy jeden z tych napadów wściekłości, którymi wsławił się ponuro w królewskiej flocie. Najpierw wylądował się na Niemcu, potem zlorzeczył reszcie załogi. Kiedy marynarze zostali między sobą, zaczęły się gadki. Jak to — dziwił się majtek John Williams — o co właściwie chodzi w tej całej złości? Przecież on sam przypomina sobie świetnie, jak było naprawdę. Te właśnie sery, beczułkę octu i jeszcze trochę innego dobra z zapasów okrętowych odniósł do spiżarni kapitana Bligha. Co więcej, wiozła go na ląd z tym całym ładunkiem łódź z „Bounty”, czyli też nie tylko «za wiedzą, ale z rozkazu dowódcy...

W dni postne ser był podstawą wyżywienia załogi. Kiedy więc wydano marynarzom masło bez sera, doszło do jawnej manifestacji. Załoga odmówiła przyjęcia samego tylko masła. Jej zdaniem pobranie tego przydziału byłoby jednoznaczne z przyznaniem, że między marynarzami jest złodziej. A oni nie przyjmują tych fałszywych oskarżeń.

Drugi dzień postny był okazją do identycznej manifestacji. Wreszcie Bligh ustąpił, załodze wydano przewidziany uprzednio przydział sera.

Lukrowane listy do Anglii nie oddawały już faktycznego stanu rzeczy. Zabrał je spotkany 16 lutego statek wielorybiczny „British Queen”. Gdyby dane nam było wtedy zajrzeć do worka z pocztą, znaleźlibyśmy relację kapitana Bligha: „Morale nasze jest wyśmienite. Nasz mały stateczek mógłby wytrzymać tuzin podróży dookoła świata. Moi ludzie są pracowitymi, dzielnymi zuchami! Rad jestem, iż tak się złożyło, że nie byłem dotąd zmuszony

do karania ich. Oficerowie są ogromnie przyjemni i pogodni. Zawiązała się między nami przyjazna współpraca i pewien jestem, iż utrzyma się aż do końca naszej podróży. Kłopoty mam tylko z lekarzem, jako że dwanaście godzin na dobę spędza w łożu. Załoga jest dobrze odżywiona. Marynarzom wydaje się te same posiłki, co oficerom, tyle tylko że bez drobiu. Marynarze są bardzo zadowoleni, a kiedy jeszcze dodam, iż tańczą codziennie od czwartej po południu do ósmej wieczorem, to można zdać sobie sprawę z ich dobrego nastroju. Mniemam, iż danym mi będzie dowieźć ich wszystkich w zdrowiu do Anglii..." Na żaglowcu załoga miała dość ciężkiej pracy fizycznej i gimnastyka nie była potrzebna. Te tany męskie na ciasnym pokładzie były zapewne formą zabijania nudy. Bligh przywiązywał do nich ogromne znaczenie. Z wielkim trudem udało mu się tuż przed wypłynięciem z Anglii zwerbować niemal niewidomego Irlandczyka, którego skrzyпки wyznaczały rytm tych płaśów. Upór Bligha nawet i z tej rozrywki stworzył przymus.

Kiedy w dalszych miesiącach rejsu rozchorował się marynarz William Brown i lekarz stwierdził szkorbut, dowódca nie dopuszczał do siebie tej myśli.. Nie, nie; nic takiego nie mogło się zdarzyć na okręcie, gdzie tak pieczołowicie przestrzegać kazał higienicznych zaleceń kapitana Cooka!

Bligh uważał, że choroba wynikła z „nieznośnych upałów", kazał Brownowi, aby zwłóknął się z łoża boleści i tańczył wraz z innymi na pokładzie. Brown nie miał wcale ochoty na tany, chciał, aby mu dano spokój. Ściągnęło to nań gromy gniewu dowódcy, pozbawiono go przydziału grogu i zagrożono dalszymi karami.

Tak więc i rozrywka na rozkaz była wylęgarnią niechęci do kapitana okrętu, jego listy są może nie tylko świadectwem zarozumiałości, ale i usiłowaniem pokazania mocodawcom, jak rozsądną była ich decyzja powierzenia odpowiedzialności za całą wyprawę właśnie jemu, Blighowi.

Gdy „Bounty" zbliżał się do równika, dowódca zwołał załogę i rzekł, że trudno mu jest dokładnie przewidzieć, jak długo jeszcze trwać będzie rejs. Rozsądek nakazuje więc — powiedział — zmniejszyć o jedną trzecią przydział chleba. Decyzję tę załoga przyjęła bez szemrania, tak jak przyjmuje się zarządzenia, które podyktowało samo życie.

Do nowych tarć doszło natomiast wtedy, gdy okazało się, że dynie nabyte w Teneryfie psują się szybciej, niż przy widywano i — co za tym idzie — trzeba zabrać się do ich spożycia. Dynia nie jest może dla wszystkich przysmakiem, lecz ludzie morza nie byli wtedy rozpieszczani wytworną kuchnią. Objawili niezadowolenie dopiero wtedy, kiedy zostało postanowione, że dynia ma zastąpić pieczywo. — Ach, to tak? — zapytała załoga. — Ale jakie będzie pr<sup>o</sup>liczenie?

ap

Silili

— Jeden funt dyni będzie Wydawany zamiast dwóch funtów chieoa — poinformował ich John Samuel, niezawodnie z rozkazu dowódcy.

Zaczęły się narzekania. Załoga odmówiła przyjęcia takiego przydziału zastępczego. Bligh dostał znowu ataku złości.

Na oceanie, na pokładzie pod brytyjską flagą, ustawiła się cała załoga. Wrzeszczał Bligh: „Czekajcie, dranie, zanim was wszystkich wykończę, będziecie żreć trawę!”

Bunt przycichł. Każdy w milczeniu brał to, co mu wyznaczono. Oficerowie też dostawali dynię zamiast chleba. Właściwie sytuacja była dla nich bardziej niewygodna, majtkowie bowiem przeważnie zabierali z Anglii mały zapasik ziemniaków, niejako na czarną godzinę. Wydawało się, że właśnie teraz ona nadeszła.

Zresztą ziemniaki nie starczyły na długo. Teraz wszyscy pospołu zaciskali pasa, zmniejszono również przydziały peklowanego mięsiwa. Kronikarz Morrison notuje, że chodziło tu nie tylko o chwalebny zapobiegliwość, skoro nie można było przewidzieć, jak długo jeszcze okręt skazany będzie na zjedanie wiezionych zapasów. Rzecz w tym, że pojemniki z mięsem nie były nigdy ważone, teraz zaś, kiedy napoczynano je kolejno, zdawało się, że nie miały pełnej wagi.

Tak więc znowu podniosły się głosy oburzenia.

Bligh zarządził zbiórkę. Miotał się, wściekły, gestykulował jeszcze gwałtowniej, niż to było w jego zwyczaju. Beształ wszystkich, nie zważając na to, że miał do czynienia także z ludźmi starszymi od siebie. Jego wywody sprowadzały się do prostego stwierdzenia, którego nie próbował nawet uzasadnić. Otóż on i tylko on sam, Bligh, jest na okręcie „Bounty” jedynym autorytetem w sprawach rozdziału żywności. Tylko on wie, co należy, a czego nie należy czynić. Każdego, kto będzie miał czelność zaliczyć się na swój los — czeka kara chłosty. Tyle tylko miał załodze do powiedzenia.

Ludzie rozeszli się w ponurym milczeniu do swych zajęć. Nie znaczyło to wcale, by zgadzali się z tym, co właśnie usłyszeli. Już dawno porzekadło twierdziło, że „trzeba mieć się na baczności, kiedy Anglosas pochyli głowę niby rozjuszony byk i wymamrocze słowa: »Nie, nie — to nie jest fair«...”. Zwłaszcza że i panowie oficerowie mieli swe żale, kiedy widzieli, jak najlepsze kąski wędrują prosto na stół kapitana Bligha.

Gdyby istniał zegar, który ukazywałby narastanie niechęci, wskazówki jego posuwałyby się teraz coraz szybciej. Nie zanosilo się na to, aby można było cofnąć sytuację „załoga przeciw dowódcy”. Kapitan zraził już swym postępowaniem niemal wszystkich. Był przy nim tylko wzgardzony John Samuel.

Jak się nam dziś wydaje — istota sporu dotyczyła nie tyle jakości, co ilości pożywienia. Marynarze owej epoki wiedzieli, że stęchła woda będzie ich napojem, a nadpsuty prowiant — ich jadłem. Ale kiedy powtarzały się pogłoski o bogaceniu kapitańskiej kiesy kosztem żołądków marynarskich, kiedy nie jedli dó syta nawet i tych ochłapów, jakie im przyznawano — załoga zaczęła

się zastanawiać nad innymi rozwiązaniami. Głód jest złym doradcą. Skarżyć się nie było komu, zresztą zostało przecież powiedziane, że zażalenia będą karane.

Historyk Alexander McKee przez proste zestawienie dwóch kronikarskich zapisów pod tą samą datą łapie niejako za rękę dowódcę okrętu:

23 marca notuje kapitan Bligh: „Kazałem dziś rankiem zarznąć barana, podać załodze, zacny mieli posiłek”. Wygląda jednak na to, że ten baran przypominał raczej kaczkę dziennikarską, skoro Morrison wspomina wydarzenie nieco inaczej: „Ponieważ zdechł jeden baran, kapitan dziś rano kazał go przyrządzić z suszonym grochem, a to zamiast przydziału wieprzowiny. Rzekł, iż szykuje się wyśmienity obiadek, jako że baran waży ponad pięćdziesiąt funtów. Kiedy jednak poćwiartowano zwierzaka, okazało się, że mięso nadawało się przeważnie do wyrzucenia za burtę. Właściwie został tylko sam szkielet, na niedzielny obiad trzeba było wydać suszone mięso rekina...”

Jadłem kiedyś na Morzach Południowych suszone mięso rekina, zapewniam Was uroczyście, że nie będzie to moje hobby! Inna sprawa — zupa z płetw rekina. Ale to tylko tak na marginesie, współczesny komentarz do historycznej narracji.

Ani zdechły baran, ani suszony rekin nie poprawiły, rzecz jasna, nastrojów załogi „Bounty”. U marca wychłostany został Matthew Quintal „za brak, szacunku”. I cóż się stało z zapowiedzią kapitana Bligha, że nie sięgnie po bat na dowodzonym przez siebie okręcie? Mówiliśmy już uprzednio o tym, czym była chłosta w owych czasach. Na „Bounty” świślał bat coraz częściej i coraz mocniej. Tam, gdzie zaczęło się batożenie — rosła zawsze nienawiść do tego, kto kazał bić.

Załoga byłg już tak wygłodzona, że dochodziło do zwykłych bijatyk przy podziale prowiantu. W jednej takiej awanturze połamano żebra kucharzowi. Bligh odnotował tę kontuzję, tyle tylko, że zapisał, iż zawiniło... huśtanie statku.

Bligh w sytuacji, jaka się wytworzyła, pewno nie miał już innego wyjścia jak tylko ograniczenie żywności. Nie mógł spodziewać się żadnej pomocy, musiał radzić sam sobie. Ale była jeszcze szansa na skończenie samotności kapitana.

„Bounty” zbliżał się do Przylądka Horn. Zaczęła się walka po prostu o życie. Zziębnięci i przemoczeni marynarze manewrowali żaglami obciążonymi mokrym śniegiem. Samotny statek dygotał pod ciosami mas wody, mogło się wydawać, że rozpadnie się lada chwila, że całą załogę czeka mokry grób. Że nie ujrzą już nigdy ani rodzinnych wysp, ani zalanej słońcem, wymarzonej wyspy Otaheite.

Niedojadanie, mróz, wilgoć, praca ponad siły — wszystko to razem sprawiło, że marynarze zaczęli chorować. Być może, że niektórych dręczyła choroba morska, inni natomiast cierpieli chyba na jakiś rodzaj infekcji, gdyż uskarżali się na straszliwe bóle głowy, nie mogli opanować wymiotów.

Przelewające się przez pokład fale sprawiły, że pomieszczenia załogi były właściwie stale zalane, nie można już nawet było suszyć odzieży. 12 kwietnia kapitan Bligh oddał własną kajutę marynarzom, którzy strudzeni nieustającą walką przeciw morzu — nie mieli się nawet gdzie położyć na krótką drzemkę.

Nikt nie zaprzeczy, że w tych godzinach próby koło Przylądka Horn Bligh był prawdziwym dowódcą. Wydawać się mogło, że mając do wyboru metody „prośby” i „groźby” zrozumie ostatecznie, że pierwsza okaże się zawsze skuteczniejsza. Już nie złorzeczył załodze, teraz ludzie słyszeli pochwały z ust swego dowódcy. A było za co chwalić. Chorzy zwlekali się ze swych legowisk, sami stawali przy pompach, sianając się na nogach przy tej strasznej pracy. Czas przestał się Uczyć. „Jeden za wszystkich i wszyscy za jednego” — nie było czczym hasłem. Ośmiu ludzi było obłożnie chorych, trud musiano więc rozdzielić na pozostałych, którzy pogodzili się z tym stanem rzeczy, jakkolwiek wszyscy bez wyjątku wyczerpani byli pracą ponad siły.

Była to już chyba ostatnia okazja, aby spoistość załogi została przywrócona. Mogło się zdawać, że pójdą w niepamięć zniewagi i ciosy bata, że mała grupka marynarzy zjednoczy się ze swym dowódcą w walce przeciw oceanowi. Ale lekcja z Przylądka Horn została szybko zapomniana przez kapitana Bligha.

Zapewne nie bez wahania przyszło doświadczonemu żeglarzowi, jakim był Bligh, nakazać zmianę kursu od tego, który wytyczyła mu Admiralicja. „Bounty” cieszył się przychylnością bóstw morza, kiedy sprzyjające wiatry niosły żaglowiec ku Przylądkowi Dobrej Nadziei.

#

22 maja działa „Bounty” przemówiły salutem powitalnym dla twierdzy holenderskiej w Kapsztadzie. Jeszcze echa salwy niosły się nad falami oceanii, kiedy na pokładzie chłostano Johna Williama „za zaniechania”. Nie wdając się w analizę przewinienia, gdyby nawet było bezsporne, pozostaje pytanie, czy naprawdę kara odpowiadała winie. I czy miała nauczyć większej troski o okręt, czy też może pogłębiła przepaść między załogą a dowódcą. Teraz, kiedy śledzimy już miesiące tej żeglugi, dostrzegliśmy na pewno ciekawe zjawisko. Burza była sytuacją, w której niespożyta energia kapitana Bligha znajdowała ujście w kierunku współdziałania z załogą. Wybuchy złości miał w swym repertuarze na spokojniejsze czasy. Nie cofniemy zegara historii. Jałowe byłoby zastanawianie się nad tym, oo by było, gdyby... Ale jakkolwiek zrozumieć — nie znaczy przebaczyć, to jednak nasza współczesna ocena nie bardzo pasuje do wydarzeń sprzed dwóch niemal stuleci. Nie można było wtedy karać członków załogi pozbawieniem przepustki w porcie czy zatrzymaniem żołdu. Marynarz dostawał swoje pensy zawsze nieregularnie, przeważnie z dołu, zaś tamo pojęcie urlopu — właściwie nic istniało, w każdym razie urlopy stosowano niezmiernie rzadko. Zostawał argument bata. Bligh z każdym uderzeniem tego narzędzia karni zyskiwał jeszcze jednego wroga na okręcie. Ale chyba nie zdawał sobie z tego sprawy.

Kapsztad był w owej epoce oazą cywilizacji bitego człowieka. Dla „Bounty” — przystankiem na bardzo dalekiej trasie. Dowódca okrętu śle stąd sprawozdania do Europy. Są one świadectwem „radosnej twórczości” autora. Adresat tych listów musiał mieć przed oczyma wzorową wspólnotę zdrowych,

dobrze odżywionych marynarzy, krzątających się ochoczo pod okiem dobrotliwego kapitana, dbającego o nich z ojcowską czułością. Daremnie szukałoby się raportu o łamaniu żeber kucharzowi przy rozdziale jadła, płaszcz milczenia pokrywa drobne niesnaski i poważne zatargi na okręcie. Zachował się natomiast jeden list, niedwuznacznie wspominający o interesach pana kapitana, jakichś oszczędnościach na prowiancie. W ostatecznym rachunku oszczędności te miały stać się bardzo kosztowne dla ciułacza...

21 sierpnia widzimy „Bpunny” w Zatoce Przygody na wyspie, która obecnie zwie się Tasmania i jest jednym ze stanów Związku Australijskiego. W owym czasie jednak widniała na mapach jako Ziemia Van Diemena. Bligh szykował się do uzupełnienia zapasów słodkiej wody, chciał też na miejscowych łowiskach zyskać trochę prowiantu dla urozmaicenia monotonnego jadłospisu.

Półów był mizerny, smaczne ryby, w jakie po dziś dzień obfitują wody wokół Tasmanii — jakoś omijały sieci przybyszów. Na samej wyspie natomiast Bligh raz jeszcze zebrał żniwo posianej przez siebie niechęci.

Cieśla okrętowy William Purcell zabrał się tam do roboty. Chciał ściąć kilka drzew, porznąć je na deski, które miały mu się przydać do naprawy nadwerężonego w sztormach okrętu. Jak każdy fachowy rzemieślnik — systematyczny Anglik miał zapewne ambicję samodzielnej pracy i nie lubił, kiedy ktoś stał mu nad głową. Tymczasem Bligh ciągle okazywał niezadowolenie z pracy Purcella. Doszło między nimi do spięcia, Bligh wspomina nawet, że chciał zakuć cieślę w kajdany, ale trudno mu było rezygnować z pracy rąk człowieka, który zachował zdrowie. Jednak pewne jest, że Bligh działał wbrew regulaminowi, gdyż przepisy ówczesne zwalniały człowieka tej rangi co Purcell od wielu czynności. Miał więc rację cieśla, kiedy później odmówił dźwigania ciężkich beczek z wodą. Wtedy awantura wybuchła na nowo.

Na południe od Nowej Zelandii okręt płynął koło skalistych wysepek, których Bligh nie widział w poprzednich swych wyprawach w te strony. Naniósł więc je na mapy, nadał miano wysp Bounty. Pewnie był przekonany, że tylko tą drogą nazwa ta przetrwa w tradycjach ludzi morza. Chyba nie przypuszczał, że wpłynie ona na karty historii z odmiennych powodów.

W październiku doszło do nowych waśni. Bligh nie ukrywał, że nie znosi lekarza okrętowego. Była to niechęć żywiołowa, tryskająca raz po raz z dziennika poMadowego czy korespondencji. Thomas Huggan miał być niepoprawnym leniem, opojem, niewiele sobie robił z gniewnych wystąpień swego dowódcy. Mowa też jest o podręcznej piwniczce, czyli prywatnym zapasie wódki, który rzekomo miał posiadać medyk okrętowy. Bligh odgraża się nawet, iż wtargnie do kabiny lekarza i położy rękę na tej gorzałce. Ale jakoś nie doszło do tego.

Bligh miał teraz za złe Hugganowi, iż nie poinformował go o beznadziejnym stanie jednego z marynarzy, nazwiskiem James Valentine. Podobno dowiedział się o tym już wtedy, kiedy Valentine leżał na łożu śmierci. Jak na tak małym stateczku agonia jednego człowieka mogła zostać niezauważona przez dowódcę? Huggan obrzucony epitetami przez kapitana Bligha bronił się twierdzeniem, że nie chciał ze swym meldunkiem przeszkadzać dowódcy przy wieczerzy.

Los konającego z dala od ojczyzny marynarza niezbyt długo zaprzętał umysł dowódcy. Wkrótce nowy spór rozgorzał. Teraz między nim a jego zastępcą. John Fryer powinien był — jako zastępca dowódcy — podpisywać różne dokumenty gospodarcze okrętu. Gdy jednak John Samuel przedstawił mu jakieś rachunki, Fryer nie chciał uwierzytelnić ich swym podpisem. O co poszło? John Fryer chciał, aby w razie wykrycia nadużyć mógł być poza podejrzeniem o współudział. Bligh natomiast sprzeciwiał się stanowczo wstawieniu takiej klauzuli zabezpieczającej Fryera w razie kontroli, gdyż — jak zanotował — nie mógł dla zasady dopuścić do sytuacji, w której podwładny stawia mu jakieś warunki. Fryer postawił na

swoim. Przynajmniej na krótko. Nie wystraszył się wrzasków kapitana Bligha, po prostu wyszedł z pomieszczenia, w którym doszło do sporu.

Jak się to skończyło? Notuje Bligh: „Fryer, ów człek krnąbrny z natury, przyznał się do swego błędu i w obecności całej załogi podpisał sprawozdania. Raz jeszcze mu przebaczyłem.”

Morrison przekazał nam szczegóły. Oto zbiera się cała załoga, odczytane zostają na głos niektóre przepisy prawa morskiego i regulamin Królewskiej Floty. Potem przyniesiono pióro, atrament i owe dokumenty. Rozkazał Bligh: „podpisz pan”. Fryer sięgnął po pióro i powiedział: „Kładę mój



podpis na rozkaz pana, ale wiedz pan, że będzie on mógł być jeszcze później unieważniony..."

Samotność kapitana staje się już niemal absolutna. Stali współbiednicy — jego zastępca i lekarz — przestali jadać przy jego stole. W milczeniu zjawiali się obaj po swe jadlo, zabierali je i spożywali w jakimś kącie. Ba, przestali właściwie nawet rozmawiać z kapitanem, chyba tylko w sprawach wyłącznie służbowych, a i to jedynie wtedy, kiedy rozmowa była niezbędnie konieczna.

Zresztą dni lekarza były już policzone, ale Bligh nie zdawał sobie z tego sprawy.

25 października dostrzeżono z okrętu wysepkę Mehetia, nie opodal Tahiti. Na „Bounty” zapanowało radosne podniecenie. Po południu marynarze widzieli już palmy kokosowe, chaty i samych wyspiarzy, machających przyjaźnie ręką na znak powitania. Załoga miała za sobą dwadzieścia sześć tysięcy mil żeglugi, pełnej wyrzeczeń i niebezpieczeństw.

Teraz zjawiał się przed oczyma baśniowy świat Mórz Południowych. Błękitne wody oceanu, złociste piaski plaży, źródła czystej, chłodnej wody, soczyste, świeże owoce, grunt nie kołyszący się pod nogami. Na pewno czekają piękne kobiety. Z końca świata żeglarze przybyli tu po legendę. Teraz wystarczyło tylko sięgnąć dłonią, aby dotknąć wysp zrodzonych z marzeń.

M

...Jego żeglarzy tęskni umysł miody  
Do owych wysep słonecznego świata.  
Gdzie kobiet wdzięki równe żarom lata;  
Oni, swych ojców rzuciwszy spuścizny,  
Z dawna od własnej odwykli ojczyzny  
I na pół dzicy, dzikich ludzi groty  
Nad fal niepewnych przenoszą kłopoty.  
Słodkie owoców dojrzałych syropy  
I las, co ludzkiej jeszcze nie zna stopy,  
Pola, zasiane z obfitości roga,  
Kraj, gdzie nie gniecie żadna przemoc sroga.  
Chęć, której wieki w ludziach nie wygaszą,  
Nie poznać pana oprócz własnej chęci,                    a  
Te młode dusze do tych wysep nęci,  
Gdzie warstwy złota lice ziemi kraszą,  
Gdzie każda grotka jest domem swobody,  
Każdy krok wolny — gdzie ogrodem niwy,  
Gdzie cały naród jest dzieckiem przyrody,  
Wesoły, wolny, dziki, lecz szczęśliwy,  
Tam muszla, owoc i czółenko małe  
To wszystkie skarby, to bogactwo całe,  
Łowy, żegluga — jedynym igrzyskiem,  
A Europejczyk najnowszym zjawiskiem.

Pisząc w roku 1823 poemat „Wyspa, czyli Chrystian i jego towarzysze” (cytuję tu według przekładu Adama Pajgerta z roku 1859) lord Byron był oczywiście bliższy owym wydarzeniom niż my teraz, niemal dwa wieki później. Poemat ten jest poetycką wizją wydarzeń, a jednak — jak stwierdzimy później — nie jest to wierszowana literatura faktu. Poeta miał swe prawo do fantazji i chętnie zeń korzystał.

Wcale to jednak nie znaczy, bym sięgnął po ten cytat, ot tak sobie, aby zadziwić Czytelnika. Myślę, że trafnie przedstawiony został nastrój marynarzy z „Bounty”, kiedy ich okręt znalazł się u wybrzeży Otaheite. W dyspozycjach dla załogi przekazał Bligh surowo, aby nie wspomnieć, że kapitan Cook zabity został przez „Indian” czy że w ogóle już nie żyje. Dalej, nie wolno było wspominać o celu wyprawy. Bligh rozumował słusznie, że przy wymianie podarunków miejscowi wodzowie mogą mu dać sadzonki chlebowca, co byłoby rozwiązaniem nader wygodnym, gdyż nie musiałby wdawać się w żmudne rokowania. Inne rozkazy mówią o zyskaniu dobrej woli tubylców, strzelać wolno było tylko w obronie własnej. Bligh nakłada obowiązek czuwania nad mieniem okrętu i nawet ostrzega, że stratami wynikłymi z ewentualnych kradzieży obciążą się załogę i odpowiednie kwoty potrącone będą z żołdu.

To jest niezyciowe, Bligh żeglował z kapitanem Cookiem i wiedział najlepiej, że mienie na statku jest nie do upilnowania na Polinezji. Słusznie zabraniał sprzedaży czy wymiany mienia Korony, ale dziwne było zastrzeżenie, że nie wolno dokonywać bezpośrednio żadnych handelków z wyspiarzami. Upoważnił kilka osób do tego rodzaju transakcji, wszelkie wymiany miały być dokonywane wyłącznie za ich pośrednictwem.

Lekarz okrętowy, ów znienawidzony przez dowódcę doktor Huggan, miał polecenie przebadania całej załogi, aby się upewnić, czy nikt nie jest chory wenerycznie. Kontrola wypadła pomyślnie, wszyscy byli zdrowi. Bligh uzasadniał swe polecenie tym, że przypuszczał, iż od wyprawy Cooka nie dotarły tam inne ekspedycje i że wyspiarze mieli czas na wyleczenie się z nabytych uprzednio chorób.

I oto zaraz, kiedy 26 października 1788 roku „Bounty” wpłynął do zatoki Matavai, wdrapał się na pokład wyspiarz i przyniósł portret Cooka, rama była nadłamana, chciał, aby ją na statku naprawiono. Na pokład wszedł wódz Tinah, ogromny barczysty mężczyzna, miał 190 cm wzrostu. Tarli się powitalnie nosami z kapitanem i wymienili imiona. Żona wodza zwała się Iddeah, była ładna i inteligentna.

Zgodnie z domysłami, wśród podarków znalazły się nie tylko wieprze, ale i owoce chlebowca. Bligh w zamian obdarzył wodza takimi skarbami jak: toporki, lusterka, czerwone pióra i nawet dwie koszule... Żona wodza dostała kolczyki i naszyjnik. Zorganizowano zwiedzanie statku, tubylcy mogli na własne oczy zobaczyć, ile tam jest łakomych rzeczy, nawet raz wystrzelono z działa na ich żądanie, pocisk wpadł do wody daleko od statku.

Nazajutrz Bligh rewizytował wodza Tinah. Czytelnik tych relacji przeciera oczy: im bardziej ten ceremoniał się zmienia, tym bardziej w gruncie rzeczy pozostaje nie zmieniony. Opisy scen zupełnie jak współczesne sprawozdania z kampanii przedwyborczej w którymś bardzo ucywilizowanym kraju. Bligh wyrusza na wyspę opatrzony w upominki, rozdaje je dzieciom, głaszcze dziatwę po główkach. W późniejszych kartach notatnika w archiwum w Sydney wyczytać można, jak „żartował i igrał z dziatwą”.

W siedzibie wodza doszło do — jakbyśmy dziś powiedzieli — rozmów politycznych na tematy interesujące obie zaprzyjaźnione strony. Wódz nie był w ciemną bitą. Zwiedził się już, że biali ludzie zamierzają odwiedzić także inne wyspy. Zagrożony stałymi napaściami ze strony innych wodzów, Tinah zdawał sobie świetnie sprawę z tego, co może znaczyć dlań sojusz z posiadaczem kilkunastu „piorunów”, dla którego niegroźne są włącznie

wyspiarzy. Namawiał więc kapitana, aby pozostał z nim, nie zabraknie mu niczego. On, fanah, jest przecież — powtarzał — wiernym przyjacielem tak samego Bligha, jak i króla Jerzego.

Król Jerzy w dalekim Londynie pewnie nie bardzo był świadom tej przyjaźni, ale nie śmiejmy się — wyspiarze Polinezji nie mieli jeszcze wtedy kompleksu niższości wobec wyspiarzy ze Zjednoczonego Królestwa.

W każdym razie Bligh kul żelazo póki gorące. Zapisał wtedy: „Odpowiedziałem, że nasz monarcha za moim pośrednictwem wysyła dla Tinah upominki, które mu przekazałem, a to w uznaniu jego życzliwości dla Anglików. Jest też zamiarem monarchy, aby osobiście wspomagać wodza i jego kraj. Zagadnąłem też, czy nie miałby z kolei zamiaru posłania jakiegoś upominku królowi Jerzemu. — Ależ oczywiście — odpowiedział elegancko Tinah — pošlę mu wszystko, co mam. To rzekłszy, zabrał się do wyliczania swych bogactw, a między nimi też i chlebowca. Na to też tylko przecież czekałem. Korzystając z okazji, jaka się nadarzyła, zapewniłem go, że akurat chlebowce sprawią największą przyjemność królowi Jerzemu. Wódz niezwłocznie obiecał mi, że okazała liczba tych drzew zostanie załadowana na mój okręt, i zdawało się, że jest zachwycony, iż tak łatwo może zaspokoić zachcianki króla Jerzego. Tak więc, miast zabiegać o łaskę, powiodło mi się to, że przekonałem tubylców, iż to ja wyświadczam im przysługę zgadzając się na zabranie podarku...”

„Perfidny Albion”, jakby rzekli Francuzi lat późniejszych... Ale tak budowano imperia, nie tylko brytyjskie. Mnie przede wszystkim frapuje w relacjach Bligha sprawa tych skomplikowanych pertraktacji. Jak można było w języku tak ubogim przekazać te wszystkie niuanse, o których wspomina dowódca „Bounty”? Jałowe to może dziś rozważania.

Jest natomiast faktem niezbitym, że Bligh uwinął się gracko ze swym zadaniem. W dwa dni po przybyciu na wyspę — cel podróży został właściwie osiągnięty.

Botanicy zabrali się do pracy. Fletcher Christian wylądował na wyspie z garstką marynarzy, rozbito namiot, gdzie miały być czasowo przechowywane sadzonki chlebowca. Brytyjska zapobiegliwość przewidziała wszystko — prócz jednego. Był to właśnie okres kwitnienia drzew i nie można ich było przesadzać. Musiał kręcić nosem i burczeć gniewnie imć Bligh, kiedy złożono mu ten meldunek, ale był bezradny wobec praw rządzących przyrodą. Czy było do pomyślenia, że ruszy w drogę z sadzonkami, które zwiędną w czasie rejsu?

Botanicy — panowie Nelson i Brown — umieli mu wskazać tylko jedno wyjście z sytuacji: trzeba zaczekać pół roku na wyspie. Wtedy wezmą na siebie odpowiedzialność za dowiezienie sadzonek.

Pół roku na Tahiti! Nie była to ostatecznie perspektywa zatrważająca. Rozkazy dostarczenia sadzonek były wyraźne, zaś na wyspie, jak wcześniej zauważył kapitan Cook, nie „w pocie czoła zdobywać będziesz swój chleb powszedni”. Tak że żadnych kosztów dodatkowych nie mogło być. Nie były

to czasy, kiedy statek płynący z Europy zawija do odległych portów w oznaczonym dniu. Liczono się z tym, że załoga wysłana na koniec świata będzie z dala od ojczystych brzegów nie przez miesiące, ale może i przez lata. Botanicy powiedzieli więc dowódcy „Bounty” to, co dyktowała im wiedza.

Nie powiedzieli o kiełkowaniu i dojrzewaniu na pokładzie statku tego, co nie mieściło się w zakresie nauk przyrodniczych: nienawiści całej niemal załogi do kapitana Bligha.

Przekartkujemy dziennik pokładowy. 5 grudnia: ukarany Matthew Thompson za niewykonanie rozkazu. 27 grudnia: dwanaście uderzeń „kotem o dziewięciu ogonach” spada na plecy Williama Muspratta za zaniedbania służbowe. Nazajutrz chłostany był Robert Lamb, rzeźnik, za to, iż dopuścił, że skradziono mu tasak. Potem chłostano i zakuto w dyby grupkę marynarzy, która urządziła sobie wycieczkę na wyspę. Ostatniego dnia stycznia chłostany był Issac Martin, 14 lutego batożono jeszcze trzech marynarzy.

Kapitan Bligh batem dopisywał coraz to nowe nazwiska na liście tych, którzy później mieli sprzysiąc się przeciw niemu.

I trzeba tu jeszcze-zwrócić uwagę czytelnika na dość istotny szczegół. Zamiera już teraz na wyspach Polinezji dawny zwyczaj, który w czasie wizyty „Bounty” przestrzegany był pieczołowicie: otóż każdy z brytyjskich marynarzy stawał się na wyspie pobratymcem jakiejś polinezyjskiej rodziny.

Gość zjawiający się w chacie zostawał przyjęty do wspólnoty rodzinnej. Uczestniczył w radościach i smutkach rodu, przede wszystkim w uciesach, których na pokładzie okrętu najbardziej marynarzom brakowało.

Jak wspominaliśmy, gościnność polinezyjska była w pwym czasie bezgraniczna.

I tak to marynarze mieli teraz przed oczyma dwa światy: jeden — surowe), bezwzględnej dyscypliny, z całym arsenałem kar, bytowania w ciasnocie okrętu, pełen wyrzeczeń i niebezpieczeństwa żeglugi. Drugi — zaludniony pięknymi kobietami o złocistej skórze, świat, gdzie pito chłodną, źródlaną wodę, zjadano świeżą wieprzowinę i owoce prosto z drzewa, gdzie każdy czynił to, na co miał akurat ochotę, nie troszcząc się o przyszłość, skoro było wiadomo, że jutro będzie tak samo beztroskie i słoneczne jak dzień dzisiejszy.

Przychyłość tahitańskich dziewcząt, które — jak to się wytwornie mawia — zapraszały swych gości na wieczerzę i pierwsze śniadanie, doprowadziła jednak do ponurych wydarzeń, obalając nadzieje kapitana Bligha. Notuje on mianowicie: „Między kobietami, które odwiedzały załogę, była też i jedna taka, która przychodziła na pokład »Resolution« w roku 1777. Była to rozzębiona dziewczyna, przeto zadałem jej pytanie, czy szerzą się między nimi nadal choroby weneryczne. Padła odpowiedź twierdząca, wsparta bogactwem koszmarnych szczegółów składających się na obraz spustoszeń dokonanych przez tę chorobę. Byłem do głębi wstrząśnięty. ^iele pięknych dziewcząt na to zmarło...”

Tak więc „białe niebezpieczeństwo” zostawiło na wyspie trwałe ś\ a- dy. "Na skutki nie tizeba było zbyt długo czekać. Zaraził się "Peter Heywood, Fletcher Christian. 2 grudnia notuje Bligh- „Miło mi zapisać, że nie ma nowych zachorowań, natomiast \ista chorych wenerycznie \iczy \xb. czterech”.

W osiem dni później) umiera lekarz Huggan, żegnany przez kapitana Bhgha stwierdzeniem, że zapił się na śmierć. „Pił ten nieszczęśnik bardzo wiele, a tak był niechętny wszelkim ćwiczeniom, że nie chciało mu się nawet i pól tuzina razy przejść po pokładzie...”

111 CHEĆ, KTÓREJ WIEKI W

Obowiązki lekarza przejął medyk, zabrany z Anglii nie bardzo — jak pamiętamy — legalnie.

Wróćmy teraz jednak do najważniejszej sprawy: zwyczaju batożenia marynarzy na oczach tubylców. Marynarze ci przecież uważani byli przez poszczególne rody tahitańskie za współziomków. Te ponure widowiska były więc niejako obrazą honoru samych wyspiarzy.

Karząc swych ludzi za dopuszczenie do kradzieży mienia Korony z okrętu, kapitan Bligh, bywalec Mórz Południowych, przy całej bystrości swych obserwacji zdawał się nie dopuszczać do siebie jednego spostrzeżenia: otóż Polinezyjczycy byli mistrzami w nurkowaniu, potrafili przepłynąć pod wodą odległość, która nie mieściła się w europejskich pojęciach możliwości ludzkich. Innymi słowy, dostanie się na zakotwiczony blisko brzegu okręt nocą i pod powierzchnią morza, wdrapanie się na pokład i zabranie stamtąd czegoś — nie było żadnym wyczynem dla polinezyjskiego młodzieńca.

Właściwie więc statek nocą był nie do upilnowania, zwalanie winy na załogę było grubym nieporozumieniem. Znowu jednak świstał bat, znowu lista wrogów Bligha wydłużyła się o jedno nazwisko. Tym razem — był nim Alexander Smith.

Aby go poniżyć, chłostano go również na oczach wyspiarzy. Miało to podzielać odstrasżająco. Potem znalazł się „na muszce” cieśla okrętowy William Purcell. Tym razem zatarg spowodowało to, że cieśla nie chciał przekazać swych narzędzi do celów, które, jego zdaniem, nie były konieczne. Dbalność o narzędzia była chyba w pełni uzasadniona na okręcie pozostającym tak daleko od bazy, w warunkach, w których nie istniały możliwości uzupełnienia sprzętu.

Po chłoście plecy jakoś zablizniały się, ale zraniona duma nie goiła się szybko.

Marynarze handlowali z tubylcami, niemal każdy z nich miał podręczny składzik z różnymi drobiazgami. To był handel wymienny. Nabywali niemal wyłącznie żywność, co już samo świadczy, iż nie jedli do syta na statku. Ostatecznie podaż wieprzowiny na wyspie zmalała. Bligh w kolejnym ataku furii skonfiskował wieprzki nabyte przez marynarzy. Zaczęły się różne wybiegi. Gdy Bligh był na wyspie — wtedy kwiczące zaprowiantowanie wjeżdżało na statek. On kazał jednak notować ilość i wagę legalnych zakupów. Wtedy tubylcy działali inaczej. Ćwiartowali wieprzki, kładli mięso zawinięte w liście na dnie swych kobiałek, na wierzchu — dla zamaskowania — orzechy kokosowe czy owoce chlebowca.

Takie były zwady na wyspie. Tymczasem jednak szykowano donice z sadzonkami chlebowca. Nowy rok 1789 zaczął się pod znakiem dezercji. Majtkowie William Muspratt i John Millward oraz zbrojmistrz i administrator Charles Churchill zniknęli. Winnym niedopatrzania miał być Thomas Hayward, któremu obniżono rangę, ponadto przez jedenaście tygodni był skuty, co stanowiło straszną karę.

Wyspiarze odprowadzili na statek czółno, którym dezercerzy dostali się na ląd. Wściekły Bligh postanowił ująć winnych, a to systemem kapitana Cooka, czyli poprzez współpracę z miejscowym wodzem. Przestrzegał zasady, aby nie działać bez jego zgody. To jednak nie było takie proste, bo wyspiarze wcale nie chcieli ścigać ludzi uzbrojonych. Bligh dawał dobre rady swym wyspiarskim pomocnikom. Należało więc — powiadał — występować niby to z przyjaznymi zamiarami, otoczyć zbiegów znieścacka, a wtedy rozbrownienie ich okaże się drobiazgiem.

Znacznie poważniejszą sprawą było zbutwienie żagli przechowywanych w zapasie, co stwierdzono po wyniesieniu ich na wyspę dla przewietrzenia. Bligh uważał, że to jest poważne zaniedbanie. Dziennik roi się od epitetów pod adresem Johna Fryera. Można by się zastanawiać, czy nie miał Bligh racji, gdyby nie to, że w późniejszej karierze Fryer był wychwalany przez wszystkich swych dowódców i osiągnął szczyt możliwości awansowania.

Niezmiernie poważnie wyglądała inna, wcale zagadkowa sprawa, która wyszła na jaw 6 lutego. Otóż o świcie ustalono, iż tuż pod powierzchnią morza podcięty został sznur kotwicy,

właściwie „Bounty” zakotwiczony był dosłownie na włosku. Każdy silniejszy podmuch wiatru cisnąłby statek na wyspę, od której dzieliło go zaledwie kilkadziesiąt metrów.

Komu zależało na dokonaniu tego czynu? Bligh początkowo podejrzewał o to wyspiarzy. Doszło do gwałtownych wybuchów jego gniewu. Mimo ulewnego deszczu kilku jego tahitańskich przyjaciół wołało ująć w góry niż zostać w pobliżu rozzłoszczonego dowódcy. Później, zastanowiwszy się nad tym wydarzeniem, doszedł Bligh do przekonania, iż sznur podciął któryś z jego marynarzy, mając widocznie nadzieję, że osadzenie statku na wybrzeżu Tahiti unieruchomi na ponętnej wyspie całą ekspedycję na wiele miesięcy czy nawet na zawsze.

Morrison początkowo notuje jedynie domysły marynarzy, iż sabotaż dokonany został przez Tahitańczyków. Może liczyli oni na to, że zarobią dobrze, kiedy trzeba będzie podnieść kotwicę z dna morskiego, a „Bounty” stał wtedy na piętnastometrowej głębini.

Potem jednak Morrison informuje, jak było naprawdę. Otóż rozkaz podciącia sznura wydał przyjaciel Haywarda, wódz Wyetooa. Szykował się mianowicie do zgładzenia Bligha i przemyślał sobie dokładnie szczegóły. Przewidywał, że Hayward będzie chłostany za dezerę marynarzy. Tahitańczyk stanął za Blighem i dzierżył w dłoni maczugę, miał uderzyć nią z tyłu Bligha i skoczyć do wody, nim reszta obecnych przy chłóście, zafrapowana

okrutnym widowiskiem, zdąży ustalić zabójcę. Plan jego zakładał przepłynięcie pod wodą sześćdziesięciu sążni, jakie dzieliły statek od brzegu, ale nie było to wcale poza zasięgiem możliwości Tahitańczyka.

Śmierć otarła się więc o Bligha zupełnie blisko. Plan był realny, ale Bligh nie sięgnął po bat, kazał Haywarda uwięzić. I wtedy właśnie przyjaciel z wyspy chciał doprowadzić do osadzenia statku na Tahiti, gdyż — rozumował — cała załoga będzie wówczas na pewno zmuszona do opuszczenia statku i Hayward tym samym będzie miał szansę wymknięcia się spod tyranii Bligha.

Noc była wyjątkowo mroczna, ani jednej gwiazdy na niebie nad Tahiti, kiedy okradziono placówkę „Bounty” na wyspie, mającą doglądać drzew chlebowca. Wódz Tinah nie tylko odzyskał niemal wszystkie skradzione przedmioty, ale i doprowadził złodzieja do Bligha i wezwał go, aby zabił złoczynię.

Pocziwiec bardzo chciał dogodzić białemu wodzowi. Oświadczył mianowicie, że sam przecież oglądał chłostanie marynarzy brytyjskich za wykroczenia przeciw wyspiarzom. Widział, jak dziewiętnaście batów dostał Isaac Martin za to, iż uderzył Tahitańczyka, który ukradł mu kawałek żelaza. Tinah uważał, że teraz człowiek z jego plemienia powinien życiem zapłacić za popełnioną kradzież.

Bligh, który niedawno jeszcze rozczulał się nad wyspiarzami i notował w dzienniku, że musiał karać swych marynarzy za występki przeciw wyspiarzom — teraz jakoś wyszedł na spotkanie zachciankom wodza Tinah. Ciemnoskóły złodziejczek ukarany został wręcz nieludzko. Najpierw niewiarygodna kara stu batów, potem zakucie nóg w kajdany i osadzenie w areszcie. Tahitańczyk ku zdumieniu kapitana zniósł chłostę ze spokojem, tylko dwa razy prosił o łaskę, jakkolwiek śmierć zajrzała mu w oczy w czasie takiego batożenia.

Aby Wam nie było smutno, dodam, że Tahitańczyk, mający plecy przeorane batogiem i skute nogi, już w pięć dni później skoczył za burtę i znikł w mrokach nocy. Pościg nie dopadł uciekiniera.

Nietrudno zgadnąć, że gniew Bligha spadł na głowę „winnego”. Tym razem był nim Stewart, ongiś osobiście przyjęty do służby na „Bounty” przez Bligha.

Gdybyśmy mogli stanąć na pokładzie „Bounty” i rozejrzeć się wokoło, to właściwie wtedy, kiedy pobyt statku u wybrzeży Tahiti miał się ku końcowi — trudno by nam było znaleźć przyjazne dla dowódcy oblicze. Lista tych, którzy dojrzeli do spisku, była coraz dłuższa. Oto Hayward, z zaprzyjaźnionej rodziny, uwięziony w kajdanach, Stewart w niełasce, Christian, protegowany kapitana, głęboko urażony w swej dumie, gdyż Bligh pewnego

dnia powiedział któremuś z wyspiarzy, że właściwie Christian jest tylko sługą kapitana. Fryer, Purcell i Cole, mający za sobą lata żeglugi na morzach świata, teraz przeżywają w milczeniu zniewagi, jakimi obsypał ich kapitan. Muspratt, Miliwart, Thompson, Churchill, Quintal, Williams, Smith — mają plecy pokryte bliznami po chłoście, nienawiść jest ich doradcą.

Zastanawiają się niektórzy historycy, dlaczego właściwie Bligh nie wykorzystał okresu czekania, gdy chlebowce będą gotowe do transportu — na podróże wokół sąsiednich wysp czy na prace nad nowymi mapami archipelagu. Kto wie, może słony wiatr złagodziłby napięcia między załogą a jej dowódcą?

Zbliżał się czas wielkiej wyprawy do Indii Zachodnich. Mała społeczność okrętu Jego Królewskiej Mości szykowała się do pożegnania gościnnej wyspy. „Bounty” przebywał u wybrzeży na Tahiti około stu sześćdziesięciu dni. Nadszedł czas pożegnań i rozstania. 31 marca Bligh nie bez dumy zapisał dla potomności, że ma już na pokładzie „łącznie tysiąc piętnaście sadzonek chlebowca, do tego jeszcze zabraliśmy sporo innych roślin”.



Nastąpiła jeszcze jedna wymiana podarków. Wódz Tinah dostał portret króla Jerzego, zrewanżował się dwoma strojami, które Bligh miał zawieźć swemu monarsze. Tinah głośno wznosił modły wzywając króla Anglii, aby dalej pozostał jego przyjacielem i nigdy go nie zapomniał.

Na początku kwietnia połały się szczere łzy Tinah i innych „Indian”. Przez cały dzień wyspiarze ładowali na statek prezenty pożegnalne. Dźwigali orzechy kokosowe i owoce chlebowca, wciągali na pokład żywe wieprzki i kozy. Bligh rozdawał piły i toporki, potem w kabinie swej sięgnął po pióro i zapisał: „Zapasy mam tak wielkie, jak tylko mogę zabrać. Dwadzieścia pięć świń, siedemnaście kóz, czterdzieści siedem ton wody słodkiej. Na liście chorych: dwaj weneryczni”. Bligh, pożegnawszy Tinah i jego żonę, odesłał ich na wyspę, ale łódź wróciła załadowana znowu podarkami. Wciągnął ją na pokład.

Spodziewać się należało, że plantatorzy dostaną szybko drzewka, które rodzic będą tani pokarm dla zaganianych do roboty czarnuchów. Dalsza droga wiodła do Anglii, tam na pewno panowie z Admiralicji ocenią należycie zasługi kapitana Bligha. Pewnie czeka go awans, może obejmie dowództwo nad okrętem większym niż „Bounty”.

Cisza panowała nad wyspą owej ostatniej nocy, wbrew zwyczajowi nie było tanów na brzegu Tahiti ani zabaw.

4 kwietnia o świcie podniesiono kotwicę, ale że nie wiał nawet najłżejszy wietrzyk, „Bounty” został wzięty na hol przez barki i przez cały dzień stał na pełnym morzu, widziany świetnie z Tahiti. Były jeszcze nalegania, aby czekać na wyspie, lecz Bligh nie chciał powtarzać pożegnania. Cała załoga 8\*

stanęła w szeregu na pokładzie, gromko zabrzmiało trzykrotne hura na cześć wodza Tinah.

Tak to pod niebem Oceanu Spokojnego angielskie zawołanie zęgnało pogodne dni między wyspiarzami. Ze ściśniętym gardłem patrzyli marynarze, jak zwisające żagle zaczynają się marszczyć pod podmuchem wiatru, jak ich okręt powoli oddala się od brzegu i jak mrok spowija wyspę Otaheite.

Reporter, który w dwa wieki potem opuszcza wyspę nie na żaglowcu, ale na pokładzie odrzutowca, zostaje pouczony, iż tradycja nakazuje, aby nie oglądać się po starcie. Albowiem — jak wierzą wędrowcy — kto chociaż raz obejrzy się za siebie, ten już nigdy nie wróci na Tahiti.

im

w którym śledzimy z niepokojem, jak zbliża się nieuchronnie moment, kiedy przeznaczenie kościstym palcem zastuka do drzwi kajuty kapitańskiej na okręcie „Bounty”. Mała społeczność żeglarzy na bezkresnych wodach południowego

Oceanu Spokojnego rozpada się coraz szybciej. Nie można już cofnąć wskazówek zegara. Rachunek krzywd musi być przedstawiony do zapłacenia.

Nie wiemy jeszcze tylko% co będzie ową przysłowiową słomką, która złamie nwhiot ęnidflhłnnn

W swej ciekawej monografii „Les Compagnies des Indes” autorzy R. Picard, J. P. Kerneis oraz Y. Bruneau cytują historyczne przemówienie do załogi kapitana jednego ze statków Kompanii. Otóż w dniu wypłynięcia z macierzystego portu kapitan tak odezwał się do swych marynarzy: „Gdybyście mieli coś przeszkrobać, gdyby moje rozkazy nie były nienagannie wykonywane lub gdyby były jakieś zażalenia na wyżywienie, to obiecuję wam, iż statek ten stanie się prześlicznym piekiełkiem, a ja sam, osobiście, będę pełnił funkcję diabła...”

Mało jest prawdopodobne, by kapitan Bligh znał to wystąpienie. Właściwie nie miał się czego uczyć. Jego repertuar wyzwisk i pogroźek wobec ludzi, z którymi przyszło mu żeglować dookoła świata na małym stateczku — był chyba jeszcze bardziej wyszukany. Sir John Barrow z Admiralicji, któremu zawdzięczamy jedną z pierwszych obszernych relacji o wydarzeniach na „Bounty”, pisze z brytyjskim umiłowaniem niedomówień, iż „kapitan Bligh nigdy nie uchodził w Królewskiej Flocie za człeka grzecznego i o łagodnym charakterze...”

Dojrzewały wydarzenia, które sprawić miały, iż „Bounty” wpłynął na karty dziejów ludzi morza. 5 kwietnia czytamy w dzienniku pokładowym, iż „Bounty” stanął na kotwicy koło wyspy Huahine, gdzie wymieniano gwoździe za żywność. 12 kwietnia: „John Summer ukarany tuzinem batów za zaniedbanie obowiązków”.

Potem odkryto wyspę „Whytootackee, dziesięć mil w obwodzie”. Tam miejscowy kacyk został obdarowany, ale twierdził, że nie ma na wyspie ani trzody chlewnej, ani psów czy kóz, nie ma też żadnych bulw jadalnych. „Kiedy tubylcy odchodzili, usłyszałem, jak kilku z mych zuchów namówiło ich, aby rankiem dostarczyli kobiety”. Tym razem jednak zuchy musiały być zawiedzione, gdyż o świcie „Bounty” pożeglował dalej, do zapowiadanej dostawy nie doszło.

Wyspa, o której mowa, figuruje na mapach jako Aitutaki, należy do Archipelagu Cooka. W naszej opowieści występują raz po raz odmienne nazwy dla tych samych wysp. Bywały one bowiem — jak już wspomniałem — „odkrywane” kolejno przez różnych żeglarzy, którzy nie wiedzieli, czy nie chcieli wiedzieć, że nie są pierwszymi Europejczykami w tych stronach. Nazwy zmieniano też świadomie. Cook odkrył tę grupę wysp w roku 1773, dla uczczenia Pierwszego Lorda Admiralicji nazwał ją Hervey. Aitutaki oglądana z powietrza jest zieloną laguną, otoczoną rafami koralowymi. Wokół plaż kołyszą się na wietrze palmy kokosowe. Leży o jakieś tysiąc kilometrów od Tahiti.

Wpisy do dziennika pokładowego: „Ptaki tropikalne podane na świeżo”. „Czyszczenie i szykowanie hamaków”. „Ćwiczenia w strzelaniu”. „Lista chorych: jeden weneryczny, jeden ozdrowieniec po przeziębieniu. Chlebowce w doskonałym stanie”.

23 kwietnia zarzucono kotwicę koło wyspy Annamooka. Bywalec tych stron odnajduje starych znajomych. „Drzewa i reszta wygląda tak jak wtedy, gdym je ujrzał w roku 1777. Przypłynęło kilka łodzi z orzechami i bulwami, wymiana oparta na bezwzględnej uczciwości”.

Za żelazne błyskotki czy narzędzia — szły na pokład „Bounty” wieprzki i drób, świeże owoce i warzywa. Życie stworzyło cennik: dwadzieścia kokosów za jeden gwoździec.

25 kwietnia grupa robocza pod dowództwem Christiana zeszła na wyspę po wodę, mając wyraźne polecenia „niewdawania się w żadne konszachty z tubylcami. Nie minęła jednak nawet i godzina, a już jeden z ludzi postradał siekiere, zaś inny — toporek”. Bligh stwierdza dalej, że „Christian wbrew moim rozkazom dopuścił do tego, że Indianie obstąpili ich i zabawiali, co umożliwiło dokonanie grabieży”.

James Morrison inaczej to widział: „Imć Christian miał trudności z pełnieniem swych obowiązków. Poinformował przeto o tym kapitana Bligha, który wyzwiał go od tchórzliwych łądaków, pytając zarazem, czy aby może przestraszył się nagich dzikusów, kiedy sam był

uzbrojony. Pan Christian odparł wtedy, iż obroń była bezużyteczna, skoro rozkazy pana wzbraniały nam jej użyć«."

Trzeba tu zresztą rzec od razu, że wyspiarze dalecy byli od okazywania brytyjskim żeglarzom tej gościnności, z jaką zetknęli się podwładni kapitana Bligha na Tahiti.

Fryer posłany przez dowódcę, aby przyspieszył ładowanie wody słodkiej na statek — szedł ku źródłu, kiedy nagle dobiegło go zawołanie Quintala: „Miej się na baczności, panie Fryer! Kroczy za panem człek, który chce cię zabić maczugą!" Fryer obrócił się na pięcie ani o moment za wcześnie. Wyspiarz rzucił broń i uciekł w las. Fryer wspomniał potem, że nie miał nawet laski przy sobie. Ładowanie wody odbyło się w otoczeniu wyspiarzy dzwigających ciężkie kamienie. Ich wódz od czasu do czasu kierował swą włócznię w stronę Christiana. „Zacny dzikus" zmieniał swe oblicze.

Wyspiarze ukradkiem przywłaszczali sobie to czy owo z dobytku statku. Bligh dla odstraszenia ich od tych drobnych kradzieży kazał zatrzymać dwóch miejscowych dostojników. Mieli zostać pod strażą jako zakładnicy, nim złodziejskie łupy nie zostaną zwrócone. Co więcej, obaj wodzowie zostali zagonieni pod pokład do prozaicznego zajęcia łupania orzechów kokosowych.

Przy okazji jeszcze, zgodnie ze zwyczajem kapitana Bligha, dostało się też załodze „Bounty". Obrzucił marynarzy wyzwiskami, zarzucił tchórzostwo i niedbalstwo. Wrzeszczał, iż sam jeden, zwykłym kijem mógłby ich wszy

stkich razem rozbroić. Wreszcie dał pistolet Williamowi McCoy nie omiesz- kając dodać, że sam go z niego zastrzeli, gdyby marynarz zaniedbał się w swych obowiązkach. I tak jeszcze jeden żelony zaprzysiągł w duchu zemstę. # .

Mc Coy, tak się zwał... W dwieście lat później przyszło mi na dalekiej wyspie Mórz Południowych rozmawiać z jego potomkiem. Ale to daleka jeszcze sprawa, u kresu naszej opowieści.

Wodzowie wyspiarzy, ponizeni w swej godności, zaczęli o zmroku tęsknić do straconej wolności. Chcieli wracać do swych chat pod palmowymi liśćmi, pewnie też lękali się, że wielka piroga białego człowieka popłynie dalej i już nigdy nie ujrzą rodzinnych stron. Obaj na znak rozpachy rozdrapali sobie twarze, jeden gorzko płakał. Wreszcie Bligh zlitował się i puścił ich na brzeg. Ba, obdarował nawet jakimiś drobiazgami, jakkolwiek skradzione przedmioty nigdy się nie znalazły.

Nocą „Bounty” popłynął na północ. W południe 27 kwietnia 1789 roku na morzu między wyspami Tofoa i Kotoo doszło do brzemiennych w skutki wydarzeń. Głos ma James Morrison: „Po południu (...) pan Bligh przechadzał się po pokładzie, gdy dostrzegł brak kilku orzechów kokosowych, które składowane były między działami. Co widząc, oświadczył, iż zostały one skradzione i że nie mogło do tego dojść bez wiedzy oficerów. Wezwano wszystkich, rzekli, iż nie zauważyli, by ktoś choćby dotknął tych orzechów. Imć Bligh odparł wtedy, że musieli je sami zabrać i przykazał panu Elphin- stone, aby wszystkie orzechy, jakie są, zebrać na rufie, co też ten uczynił.”

Nastąpiło poniżające przesłuchanie. Bligh kolejno przepytывał wszystkich oficerów, aby ustalić, ile kokosów nabył każdy z nich. Tak doszło wreszcie do Christiana. Zapytany, ile kupił orzechów kokosowych, „imć Christian odpowiedział: \*Nie mam doprawdy pojęcia, sir, ale chyba nie uważa mnie pan za tak podłego, aby mniemać, iż to ja winien jestem przywłaszczenia pana kokosów ?»

Pan Bligh na to: »A otóż tak, przeklęty psie, tak mniemam! To ty musiałeś mi je skraść, bobyś umiał się z nich lepiej rozliczyć. Niech was Bóg przeklnie, łajdacy, wszyscy jesteście złodziejaskami, kombinujecie tylko z'załogą, jak mnie obrabować, i przypuszczam, że w następnej kolejności świśnicie mi moje bulwy. Ale już ja wam pokażę, jeszcze nim przepłyniemy przez cieśninę Endeavour — połowę z was zmuszę do skoczenia za burtę!«

Nabrał tchu i przywołał Johna Samuela, urzędnika: »Panie Samuel, masz pan nie wydawać tym draniom ich dziennego przydziału grogu, jutro da im pan po pół funta bulw, gdyby dalej kradli, zmniejszję im przydział do ćwierć funta...\*»

Christian już kilka dni wcześniej miał scysję z kapitanem. Notuje Fryer: „(...) na co Christian odrzekł dowódcy: »Panie, obelgi pana są takie, iż nie jestem w stanie więcej pracować z przyjemnością. Od tygodni moje życie u pana boku stało się piekłem\*. Potem wymienili jeszcze kilka cierpkich uwag, jak to się już przytrafiło wiele razy w czasie rejsu...»

Muszę lojalnie poinformować Czytelnika, że relacje na temat tych waśni różnią się między sobą w pewnych, nieistotnych zresztą, szczegółach. Magnetofonów wtedy nie było, nikt nie stenografował wymiany obelg na kró

■

lewskim okręcie, w dwa wieki po tych wydarzeniach — bohaterowie ich są już dawno w krainie milczenia i nie złożą nam dokładniejszych relacji; Ale — dziw nad dziwy — na małym stateczku skrzybiały gęsie pióra na papierze. Notował wydarzenia oczywiście sam kapitan Bligh, zachowały się wspomnienia Morrisona. 4 kwietnia zaczął swe zapiski John Fryer, potem Peter Heywood kwiecistym stylem przedstawił swój punkt widzenia. Edward Christian, brat Fletchera,\* zebrał relacje od uczestników rejsu, kiedy zjawili się w Anglii. Na wysepce Pitcaim buntownik Alexander Smith (znany też jako John Adams) miał wiele czasu na wspominki.

Sąd Admiralicji odtworzył niemal godzina po godzinie dzieje wyprawy, a zwłaszcza te dramatyczne konflikty, gdzie rola poszczególnych aktorów dramatu miała być nagrodzona wolnością lub stryczkiem. Czyż możemy się dziwić, że każdy chciał przedstawić to, co się stało — tak, aby samemu unieść głowę i honor z całej tej tragedii? Zresztą, powtarzam, różnią się poszczególne słowa, sformułowania. Ale istota wydarzeń ukazuje nam się bez osłonek, pod wspólnym mianownikiem: było tak...

Wracamy na pokład „prześlicznego piekiełka”. Imć Bligh szaleje z gniewu. Weszliśmy niejako na scenę wprowadzeni przez relację Morrisona. Inne opisy dają jeszcze pełniejszy obraz zajść. Oskarżony o kradzież kokosa Christian miał tylko mamrotać:

— Chciało mi się bardzo pić. Nie myślałem, iż jest to zbrodnia. Zabrałem tylko jeden orzech, zapewniam, iż nikt poza tym nie tknął żadnego kokosa.

— Łiesz, łajdaku, zabrałeś połowę zapasu! — wrzeszczał Bligh tak, że nie było nikogo na statku, kto by nie słyszał oskarżenia. Słyszeć je musieli koledzy, ale też i podwładni zelżonego.

Dyscyplina wpajana latami hamowała Christiana przed odpowiedzią. Drżał, tylko zbiegającymi wargami powtarzał ledwie dosłyszalnym szeptem: — Czemuż traktuje mnie pan w ten sposób, kapitanie?

Ale i te słowa rozwścieczyły jeszcze bardziej dowódcę. Podniósł pięść, jak gdyby chciał uderzyć, i wrzasnął: — Ani słowa więcej! ' Raz jeszcze najeżył się w swej złości i prosto w twarz rzucił Christianowi jedno słowo: „Złodziej!”

Regulamin stanowił, że gdyby Christian przerwał milczenie i odpowiedział zwierzchnikowi, mógł zostać zdegradowany, a nawet batożony. Jednak Christian milczał. Jego czas jeszcze nie nadszedł.

Bligh gromko wydawał dalej rozkazy. William Elphinstone został wezwany, aby dostarczył na pokład wszystkie kokosy, jakie tylko znajdowały się na statku. „Wszystkie, rozumiesz mnie pan, bez względu na to, kim jest właściciel!” — wołał donośnie. Jak pamiętamy, załoga na własną rękę dokonywała zakupów żywności, niemal każdy miał pociulany mały zapas produk

tów. A więc teraz w cieniu podejrzania znalazła się cała załoga. Zarówno chłopcy, którym ledwie się wąs zaczął sypać, jak i ci, którzy mieli już za sobą tysiące mil żeglugi poprzez siedem mórz w królewskiej służbie.

Znoszone z różnych zakamarków statku kokosy piętrzyły się na pokładzie, układane w foremne stosy. Koło nich ustawiła się cała załoga, słońce tropików patrzyło z wyżyn niebios na szaleństwo ludzi. <sup>a</sup>

Na pierwszy ogień Bligh wybrał sobie do przesłuchania Edwarda Younga. Zapytany, ile nabył kokosów, młodzieniec wymienił cyfrę.

—No, a ile też pan ich zjadł?

—Nie mam pojęcia, kapitanie Bligh.

—Jak to jest możliwe?

— To, co zostało, to wszystko. Ja po prostu nie liczyłem tych, które spożyłem.

Tak toczyło się śledztwo, przy akompaniamencie wrzasków dowódcy. Oficerowie tłumaczyli się niczym smarkacze, których mama chce skarcić, kiedy w spiżarni nie może się doliczyć słoików z konfiturami. Ale zdawali sobie sprawę, pewnie wszyscy, a już na pewno sam Bligh, że to jest dopiero przygrywka.

Stał w szeregu, ocierając pot z czoła, dawny ulubieniec i protegowany dowódcy — Fletcher Christian. Kapitan zatrzymał się przed nim. Spojrzał\* mu w oczy, przez chwilę słyszeć było tylko muzykę morza, plusk fal bijących o burtę statku, kiedy w atmosferze pełnej napięcia, padło pytanie:

—A pan, panie Christian, ile nabył dla siebie kokosów?

Jedna obelga mniej czy więcej, jakiś epitet, który wspomniany jest w jednej relacji, a pominięty w innej — nie zmienia postaci rzeczy. Oficerowie zebrali się — kiedy Bligh zakończył przesłuchanie — i zupełnie jawnie, z goryczą, omawiali upokorzenia, jakich doznali ze strony dowódcy. Nie krępowali się przy tym obecnością marynarzy, którzy też byli wstrząśnięci oglądanym widowiskiem.

Na rufie stał ze łzami w oczach Fletcher Christian, sponiewierany przez swego dowódcę. Alexander McKee twierdzi, że właściwie charaktery obu przeciwników były podobne, jednak z tą różnicą, że Bligh wyładowywał swobodnie, aż nazbyt swobodnie swoją złość, kiedy Christian musiał tłumić ją w sobie.

Przychodzili marynarze z dobrym słowem. William Cole podtrzymywał go na duchu. „Być nazwany złodziejem to dla mnie nie do zniesienia” — odrzekł młodzieniec. A innemu koledze, który zjawił się z wyrazami otuchy, powiedział wprost: „Wolałbym po stokroć zemrzeć niż znosić takie traktowanie. Zawsze spełniałem moje obowiązki oficera i oto jakie dostałem zadośćuczynienie!”

Cieśla okrętowy Purcell zagadnął wręcz Christiana, czemu jest taki wzburzony.

— Dziwisz się pan, skoroś sam był świadkiem, jak zostałem zelżony?

— No, i jam już swoje oberwał — rzekł Purcell.

Christian wiedział, że Purcell też od dawna naraził się dowódcy, ale jako podoficer nie mógł być karany chłostą.

— Ba, niewiele on może panu zrobić, zresztą, możesz mu pan odpowiedzieć — zauważył cieśla. — Gdybym ja sobie na to pozwolił, niechybnie zdegradowałby mnie, przywiązał do masztu i kazał smagać batem... Ale, wierz mi, gdyby miało do tego dojść, oznaczałoby to śmierć jego i mnie. Złapałbym go za ręce i wraz z nim skoczył za burtę!

— No, no, nie przejmuj się tym, już niedługo tego dobrego!

— Tak myślisz? A ja uważam, że będziemy mieli tu piekło, prawdziwe piekło, kiedy wpłyniemy w cieśninę Endeavour! .

Obawy te nie były bezpodstawne. Bligh właśnie w napięciu nerwowym miewał swe ataki złości, żegluga przez cieśniny była trudna, byle błąd mógł skończyć się tragicznie dla statku i załogi. Wyglądało na to, że każdy pretekst będzie wtedy dobry, aby Bligh mógł wyładować swój zły humor na podwładnych.

Jak ta awantura o kokosy została przedstawiona w dzienniku pokładowym? Nie ma o niej wzmianki. Incydent taki mógł się dla dowódcy skończyć przed trybunałem, zaważyć na jego karierze.

Potem dopiero, gdy doszło do ujawnienia relacji Morrisona, Bligh nie przeczył faktom, ale żonglował nimi tak, aby przedstawić swą niewinność. Wydawać by się mogło, że sprawa sama w sobie jest błaha, tyle hałasu o kokosy...

A jednak, chyba to była owa przysłowiowa słomka, która złamała grzbiet wielbłąda. ■

Burzliwy dzień na spokojnym morzu miał się już ku końcowi. Ledwie godzina minęła od upokarzającego widowiska, kiedy kapitan Bligh zawiadomił Christiana, iż chciałby zasiąść do wieczerzy w jego towarzystwie. Zaproszenie takie mogło być rozkazem. Fletcher Christian odmówił, zasłonił się złym samopoczuciem. Niewiele nam da teraz zastanawianie się, jaki cel miało to zaproszenie. Chęć wyciągnięcia ręki do zgody? Biesiada tryumfu z pokonanym podwładnym? Wyrzuty sumienia i próba przeprosin?

Słyszając o tej sprawie, inni oficerowie zgadali się rychło między sobą: Ano, Christian odmówił, więc Bligh zaprosi kogoś innego do swego stołu. Ale trzeba mieć choć trochę godności osobistej, panowie, gdyby teraz zaprosił kogoś z nas — odmawiamy.

Ostatecznie owego wieczoru zasiadło do stołu kapitańskiego dwóch panów. Kapitan Bligh i najstarszy midship Thomas Hayward. Dziwna to musiała być kolacja, kiedy się przypomniał Czytelnikowi, że za sprawą gospodarza imię Bligha — ów gość, czyli Hayward — przesiedział się kilka tygodni w kajdanach. Jak się czuł Hayward? Z jednej strony lęk przed gniewem Bligha, z drugiej — obawa przed drwinami kolegów.

Szedł na tę wieczerzę jak na ścięcie, za nim leciały kpiny i wyzwiska rzucone przez kolegów.

Dziwny to musiał być wieczór na okręcie Jego Królewskiej Mości „Bounty”. Christian, który nie poszedł na kolację do kapitana, nie zasiadł do posiłku z innymi oficerami. Poszły za burtę jego listy i różne zapiski osobiste, wyrzucił skrzętnie zbierane pamiątki z Otaheite, dzieła sztuki wyspiarzy, które chciał przywieźć do Anglii. Chciałoby się rzec: Christian żegnał się ze swym statkiem i pogodził się z myślą, iż nie ujrzy już więcej brzegów starej Anglii.

Zjawił się u cieśli Purcella. Poprosił go o gwoździe, nie spotkał się z odmową.

Gwoździe? Po co? Czyżby Christian zamierzał zbudować tratwę, która mogłaby dać mu schronienie przed tyranią Bligha?



Christian chciał zdezerterować z pokładu i gwoździe miały być czymś w rodzaju waluty wymiennej na różnych wyspach i wysepkach.' Potem wyszło na jaw, iż czterej koledzy zostali wtajemniczeni w plany Christiana, zebrali dlań trochę pieczonej wieprzowiny, kolorowe paciorki na wymianę, kilka innych drobiazgów. Hayward, który zasiadł właśnie do stołu z dowódcą, rozmyślał być może, że ten posąg na drogę złożony został w jego worku (był jednym z wtajemniczonych), a następnie schowany w hamaku jednego z ma-

rynarzy. Ten z kolei odkrył przygotowania, kiedy kładł się spać, ale sprawa nie nabrała rozgłosu.

Fryer, który miał wachtę owej nocy, zanotował, że około godziny dwudziestej drugiej chmury nad oceanem rozstąpiły się i statek znalazł się w poświacie księżycowej. Na mostku kapitańskim pojawił się Bligh. Atmosfera na statku była już wtedy taka, iż oficerowie unikali rozmów z dowódcą. Jednak Fryer zwrócił się doń z uwagą, iż są nader sprzyjające warunki, aby dotrzeć do brzegów Nowej Holandii — jak wtedy nazywano ląd Australii.

Bligh zgodził się z nim, spacerował chwilę po pokładzie, wreszcie uznał pracowity dzień za zakończony.

Nadeszła ranna na okręcie warta.  
Płynęła nawa lekko kołysana,  
A za nią fala połyska rozdarta,  
Jak w skiby pługiem olbrzymim orana;  
Przed nawą tylko sinych wód przestworza,  
Poza nią wyspy australijskiego morza.  
Cicha noc kona, jej cienie ruchome  
Po oceanie rozproszyła zorza,  
Delfiny, jakby przyjscia dnia świadome,  
Pływały chyżo, promieni łakome.  
Gwiazdy, w błękitcie wód odbite jasno,  
Już przed jaśniejszym świtu blaskiem gasną.  
Ciemne wprzód żagle znowu zabelaty  
I wiatry świeżym oddechem powiały,  
Słońce zwiastował ocean czerwony,  
Lecz nim dzień błysnie — ma być czyn spełniony.

Zawsze powtarzam, że życie stwarza sytuacje, które — wymyślone przez pisarza — byłyby kiepskim kiczem. Oto Christian zjawia się na pokładzie, zbliża się bowiem godzina ucieczki. Będzie odpowiadał za wachtę od czwartej rano, wtedy nadarzy się wymarzona okazja, aby dotrzeć na swej tratwie do najbliższej wyspy, pewnie o kilka mil od statku.

Tymczasem jednak gdzieś w oddali wybucha wulkan, rozlewająca się lawa zabarwia niebo nad oceanem, luna zalewa fale czerwienią i zaspani ludzie gramolą się na pokład. Takie zjawisko godne jest obejrzenia, czeka ich jeszcze przecież daleki rejs, miesiące monotonnej żeglugi. Kronikarze nie podają jasno, czy ostatecznie Christian zabrał się do kłecenia owej tratwy, jest jednak wątpliwe, aby przy tak nieoczekiwanym zbiegowisku mógł sobie na to pozwolić.

Wiadomo natomiast, że po dniu pełnym łapięć i konfliktów, po decyzji samotnej ucieczki, po niemal całej zarwanej nocy — postanowił uciąć krótką drzemkę.

Obudził go George Stewart, zresztą wtajemniczony w plany dezercji. Fletcher Christian miał ołowiane powieki, czynił wrażenie człowieka zupełnie załamane go. Stewart uważał, że próba ucieczki wpław, kiedy jedynym zabezpieczeniem jest tylko deska — to szaleństwo. Lecz Christian nie dał się przekonać. Każdy człowiek może być doprowadzony do stanu, w którym rozsądek czy instynkt samozachowawczy nie mają już wpływu na decyzję. Fletcher Christian nie chce zostać na „Bounty”, nie odstrasza go od ucieczki ani rekiny w głębi oceanu, ani groźni „Indianie” na nieznanym

wysepce, gdzie przyjdzie mu pewnie pozostać do końca życia. I nie ma dla niego znaczenia, czy życie to trwać będzie jeszcze kilka godzin i skończy się pod gradem kamieni lub ciosami włóczy, czy też oznaczać będzie dożywnią samotność białego człowieka między obcymi plemionami wyspiarzy.

Czas nagli. Fletcher Christian ubiera się w pośpiechu. Był już zapewne gotowy do skoku w fale, kiedy Stewart szepce mu do ucha: „Tak jak rzecz ma się w tej chwili, nie musisz uciekać. Chłopcy gotowi są na wszystko...”

Teraz liczą się minuty. Fletcher Christian z trudem zbiera rozbiegane myśli. Rozgląda się wokoło i stwierdza, że właściwie sytuacja taka może się już nigdy nie powtórzyć.

Hayward, współodpowiedzialny u boku Christiana za tę wachtę — ułożył się spokojnie i pograżył w pokrępiającym śnie. Raz już był skuty w kajdany za podobne przewinienie, ale przecież po wieczery z kapitanem Blighem — miał prawo uważać, że wszystko zostało darowane i zapomniane. Drzemał też i Hallet, któremu wypadła służba w tym samym

czasie. Czuwał — zaledwie siedemnastoletni — Tom Ellison, niski wzrostem, nie sięgający nawet metra sześćdziesięciu.

Christian zagrał w otwarte karty. Najpierw zwrócił się do dwóch marynarzy, którzy za błahostki zaznali na własnych plecach „kota o dziewięciu ogonach”. Isaac Martin i Matthew Quintal nie przepuścili okazji do zemsty, bez wahania obudzili kamratów, których nastroje musiały im być już dobrze znane.

Zwlekają się ze swych legowisk ci, którzy byli batożeni. Matthew Thompson, John Williams, Charles Churchill oraz Alexander Smith (zwany też niekiedy: John Adams). Churchill naradza się na mostku z Christianem, trzeba ustalić plan działania, do spisku wciągnięty zostaje również McCoy, ten sam, któremu przed kilku dniami kapitan Bligh wygrażał pistoletem.

Tymczasem Charles Norman, drugi cieśla, dojrzał nagle w oceanie wielkiego rekina, skrzyknął więc kolegów, aby i oni mogli obejrzyć postracha głębin. Śpiący jeszcze Hayward i Hallet zerwali się na równe nogi, Hallet pobiegł na poszukiwanie harpuna.

I znowu niezbadany los podał pomocną dłoń przywódcy buntu. Christian zauważył, że najlepiej będzie zgładzić rekina strzałem z muszkietu. Zbiegł pod pokład i otworzył skrzynkę z bronią. Jeszcze chwila i sześciu buntowników ma już broń, biegną na mostek, z nimi Christian dzierząc w dłoni obnażoną szablę.

McCoy nie daje się ponieść emocjom. Rozglądając się bacznie, dostrzega z niepokojem, że nie wszystko jest w porządku. Stuka donośnie muszkietem w mostek, przywołuje przywódcę spisku: „Miej się na baczności! Imć Hayward poszedł, aby przestrzec kapitana!”

Hallet nie bardzo pojmuje, dlaczego pojawienie się jednego rekina stało się powodem „pospolitego ruszenia” jego kolegów, do tego jeszcze uzbrojonych. Widzi, zdumiony, jak nagle zmienia się zwierzyna łowna. Rekin unika śmierci, zaś ludzie na statku z bronią w rękę wpadają do kajuty kapitana.

Mijają chwile brzemienne niepokojem. Poprzez wrzawę głosów przebija się wreszcie okrzyk kapitana Bligha: „Mordercy!”

Odpowiada mu Christian. Jego głos zmieniony jest gniewem, kiedy rzecze: „Milcz pan, jeśli ci życie miłe!”

I tu Czytelnik może się zastanowić, czy aby relacja nie jest stronnicza. Czy tak było naprawdę? Wysłuchajmy więc strony niejako bezpośrednio zainteresowanej.

W 1792 roku ukazuje się w Londynie książka „A Voyage to the South Seas” („Podróż na Morza Południowe”), która z miejsca stała się — jakbyśmy to dziś powiedzieli — bestsellerem. Autorem jest William Bligh.

Pan ma głos, kapitanie:

„Wtorek, 28. Tuż przed świtem, gdy jeszcze byłem pogrążony we śnie, pan Christian i (tu wyliczenie spiskowców) wtargnęli do mojej kabiny i dopadli mnie, krępując mi ręce za plecami, grożąc natychmiastową śmiercią, gdybym coś rzekł czy narobił hałasu. Ja wszakże wołałem co sił, wzywając pomocy. Oni jednak już zabezpieczyli się przed oficerami, którzy nie stanęli po ich stronie, a to ustawiając warty przed ich drzwiami. Trzech mężczyzn stanęło u wejścia do mej kabiny, czterej przebywali w środku. Christian miał tylko szablę w dłoni, inni zbrojni byli w muszkiety i bagnety. Wywleczono mnie z łóża i zagnano w koszuli na pokład, ręce skrupowane miałem tak mocno, iż cierpiałem niewypowiedziany ból.

Dopytywałem się o powody

tej przemocy, ale nie doczekał się innej odpowiedzi jak tylko obelgi, za to, że nie zachowuję milczenia...”

W 1832 ukazały się w Nowym Jorku wspomnienia Petera Heywooda, zawierające autentyczne listy, jakie słał do swej matki tuż po owych wydarzeniach. („Memoir of Capitan Peter Heywood, R.N.”\*, „Wspomnienia kapitana Petera Heywooda, z Królewskiej Floty”). Wrócimy jeszcze do tych świadectw obszerniej, ale teraz istotne będzie może przytoczenie opisu samego epizodu, oglądanego oczyma młodego wówczas marynarza: „(...) Rankiem, gdy zawładnięto okrętem, miałem służbę i ocknąłem się tuż po brzasku, gdy spozierając z mego hamaka dojrzałem człowieka siedzącego z szablą w dłoni nad skrzynią z bronią...”

Heywood dowiadyuje się, co się stało: „Rzekł mi, że imię Christian, wspomagany przez część załogi okrętu, obezwładnił kapitana i trzyma go w zamknięciu. Przejął dowództwo nad okrętem i zamierza zawieźć Bligha jako więźnia do ojczyzny i tam postawić go przed sądem wojennym za jego długotrwałe, tyrańskie i bezwzględne postępowanie wobec jego podwładnych...”

„(...) Potem jednak usłyszałem odmienną wersję, a mianowicie taką, iż kapitan miał być odstawiony na łodzi na brzeg wyspy Tofoa oraz że ci, którzy nie przystąpią do pana Christiana, mogą albo towarzyszyć kapitanowi, albo też zostaną zabrani w kajdanach na Otaheite i tam pozostawieni. Odmiennosc tych dwóch wieści zostawiła mnie w niewiedzy, która jest w istocie prawdziwa. Gdy jednak ujrzałem, jak spuszczają łodzie, tom pojąłem, że przyjęto to drugie rozwiązanie...”

Faktem jest, iż ci, którzy nie byli zamieszani w spisek, nie przyszli na pomoc kapitanowi, pozostali głusi wobec jego wołania. Okręt „Bounty” dostał nowego dowódcę. Był nim Fletcher Christian, przywódca buntowników.

Fryer miał kabinę naprzeciw tej, którą zajmował Bligh. Quintal i Sumner bez większych ceremonii, ale uprzejmie i stanowczo powiedzieli mu: „Jest pan teraz jeńcem”. Fryer miał

pewnie zamiar odruchowo sprzeciwić się temu oświadczeniu, lecz poradzili mu, aby dał spokój: „Panie, kiedy będziesz spokojny, włos ci z głowy nie spadnie”.

Są drobne rozbieżności w różnych relacjach tej sceny, ale trudno się dziwić, że ludzie różnie zapamiętali owe minuty o świcie, które zadecydowały o losach statku i załogi. Bligh ma nawet za złe Fryerowi, iż nie stawiał oporu, że tak łatwo dał się ująć, kiedy miał w swej kajucie dwa naładowane pistolety. McKee zauważa, omawiając te żale — a trudno się z nim nie zgodzić — iż

dziwiłby się, gdyby Fryer narażał własne życie, opierając się zdecydowanym na wszystko buntownikom. Ostatecznie pamiętamy przecież, że nienawidził Bligha i że rozmowy ograniczały się do absolutnie niezbędnych spraw służbowych. Zresztą, po chwili, Churchill zabrał z kabiny Fryera i broń palną, i szablę.

Sumner i Quintal mieli jeszcze plecy zorane batożeniem z rozkazu Bligha. Zapytał ich Fryer:

— A co uczynić zamierzacie z dowódcą?

■ ■ .. — Jj Czort z nim! Wrzuci się go do czołna i niech łajdak sam spróbuje, jak można wyżyć z trzech czwartych funta bulw dziennie.

— Do czołna ? Przebóg, a czemu to ? — zapytał Fryer.

— Teraz dowódcą „Bounty” jest pan Christian, pan Bligh sam sobie zasłużył na los, jaki go czeka.

— Opamiętajcie się, chłopcy, cóż czynicie!

— Wiemy dobrze, co czynimy |śt brzmiała spokojna odpowiedź. Trzeba przez chwilę oderwać się od wartkiego toku wydarzeń, aby zrozumieć sens ostrzeżenia, jakie Fryer rzucił zbuntowanym marynarzom. Stawiali się przecież poza prawem, byli buntownikami i od tego momentu piratami.

Sam król Ryszard I nadzorował prace nad przepisami. Przez stulecia władaly one statkami na wodach brytyjskich. Prawa te były spisane w starożytnej księdze zwanej „Czarna Księga Admiralicji”, która przeznaczona była dla sędziów w Trybunale Admiralicji (High Court of Admiralty).

Nieludzkie były to prawa, podyktowane duchem epoki, ale wiele z nich w różnych, może złagodzonych formach, przetrwało lata.

Na przykład w wypadku, kiedy statek wpadał na skały i podejrzewano o nieudolność pilota, miał on być powieszony na wysokiej szubienicy, która stać miała na miejscu katastrofy, a to jako ostrzeżenie dla przepływających nie opodal statków. „Lord wybrzeża”, którego komentator porównuje rangą do wiceadmirała, karany był w takim wypadku nie mniej surowo. Jego posiadłość ulegała konfiskacie, jego samego wiązano do słupa we własnej siedzibie, którą następnie podpalano z czterech stron. Miejsce, gdzie stało to domostwo, stawało się następnie „po wsze czasy” targowiskiem, na którym wolno było handlować tylko nierogacizną.

Inne przepisy, niesłychanie surowe, zabezpieczały statki przeciw... ich załogom. Były tam na przykład artykuły: „Kto zamierzy się szablę na kapitana statku albo złośliwie uszkodzi busolę, temu należy prawą rękę przybić do masztu. Kto jest nieposłuszny, ten ma być ukarany przeciąganiem pod kilem. Kto winien jest buntu, ma być wyrzucony za burtę”. Portugalczycy na szlakach handlowych z Indiami znali za piractwo tylko karę śmierci, a to jeszcze z ceremoniałem i w scenerii, które miały podziałać odstrasząco. „Kiedy tylko ujęli okręt piracki, natychmiast wieszali całą załogę, zaś z okrętu zabierali żagle, ster i wszystko, co miało jakąś wartość. Statek zostawiali zaś na łasce fal i wichrów, z dyndającymi trupami kryminalistów, przerażające spotkanie dla wszystkich, którzy znaleźli się na trasie.”

Piractwo było owiane grozą, bunt wobec kapitana oznaczał śmierć. Ale na „Bouftty” sprawy potoczyły się już tak daleko, iż nie było właściwie odwrotu. Nagła decyzja Christiana, który porzucił myśl o ucieczce, i postanowił pokierować rewoltą — doprowadziła, przy pomyślnym układzie sytuacji, do tego, że statkiem zawładnięto bezkrwawo.

Niebywałą przytomność umysłu okazał tu majtek Charles Churchill, któremu zapisały się nie tylko na plecach, lecz i w pamięci ślady po czterdziestu ośmiu uderzeniach „kota o dziewięciu ogonach”.

Hayward bezgranicznie zdumiał się, kiedy zobaczył uzbrojonych marynarzy, wbiegających z muszkietami na mostek. Churchill wtedy, niby to tak sobie, jakby od niechcienia, mruknął: „Przebóg, co też staremu strzeliło do głowy, że zarządza ćwiczenia od samego świtu”.

Hayward nie pomógł zresztą Blighowi. Christian mijając go zamachnął się szablą i zawołał: „Hayward, niech cię diabli wezmą, mamoo!”

Kronikarze wydarzeń wyjaśniają, że pewne słowa tahitańskie powoli przeniknęły do gwary okrętowej: „mamoo” znaczy: „trzymaj język za zębami”. Wezwanie to przy błysku szabli nie musiało być powtarzane...

Nie chciałbym tu zatrzymywać się nad sytuacjami, w jakich doszło do konfrontacji między poszczególnymi buntownikami a resztą załogi. Właściwie na innym statku bunt byłby pewnie zdławiony bez trudu, ale tu — jak się wydaje — nikt nie szanował dowódcy tak dalece, aby za niego nastawiać karku.

Szokujący musiał być widok kapitana w nocnej koszuli ze skrępowanymi na plecach rękami. Nie pozwolono mu nawet na założenie spodni. Mamrotał w bezsilnej złości jakieś przekleństwa, popychany przez buntowników, nim wreszcie Christian drwiąco rzucił mu „dobrą” radę: „Mamoo, łaskawco, mamoo!”

Ale Bligh rozszalał się na dobre. „Łajdak! Wypalcie mu w łeb! Niech go diabli wezmą!” Umilkł wtedy dopiero, kiedy Churchill przystawił mu bagnet do gardła.

Szykowano się do spuszczenia łodzi na wodę. I teraz Fryer dowiaduje się, że ma być zostawiona dowódcy najmniejsza łódź.

— Przecież ona nie utrzyma się na wodzie, dno jest niemal całkowicie podziurawione przez robactwo.

t— A niech idzie do diabła, to czóło jest jeszcze dlań zbyt dobre!



Fryer domagał się, aby pozwolono mu na rozmowę z Blighem. Na pokładzie zobaczył, iak buntownicy nakazują tym, których uważali za sprzyjających Blighowi, aby zeszli do łodzi kołyszącej się już na falach. Fryer przystępuje w takiej sytuacji do niezwykle trudnego zadania. O to usiłuje namówić Christiana, aby zaniechał akcji, traktował Bligha jako aresztanta i płynął dalej do Anglii. Odpowiedź była jednoznaczna:

— Milcz pan, od tygodni już jestem męczennikiem. Dowódca Bligh jest winny temu, co się stało.

— Dajcie mu przynajmniej jakąś szalupę lepszą niż ta łódź, dno jest w połowie zbutwiałe! Niech ma jakąś szansę, że dobieje do brzegu.

— Przenigdy. To musi mu wystarczyć.

Wynikałoby z relacji pamiętnikarzy, iż Fryer, niepomny urazy, jaką żywił do Bligha — usiłował jeszcze w ostatniej chwili zmontować coś w rodzaju oporu przeciw buntownikom.

Skończyło się jednak na szeptach z Morrisonem, który sposobił do drogi szalupę dla kapitana i jego otoczenia. Inny jego rozmówca, kanonier Peckover, na propozycję pozostania na statku, odpowiedział krótko: „Wtedy nas też będą uważać za piratów”. Jak widać, nie bardzo wierzył w możliwość ponownego zawładnięcia statkiem.

Fryer usiłował przekonać go, że w takim wypadku on weźmie odpowiedzialność na siebie. Wyprawa szalupą wcale mu nie odpowiadała, powiedział, że ma żonę i dzieci, o których musi pamiętać. Te wątpliwości zostały rozstrzygnięte przez samych buntowników: Christian postanowił, iż zastępca kapitana musi odplłynąć z Blighem. Czóżno jednak miało być zastąpione sporą szalupą.

Przed buntownikami stanęło zadanie do rozwiązania, o którym nie pomyśleli w tej wielkiej improwizacji, jaką było w gruncie rzeczy zawładnięcie statkiem. Otóż byli w załodze ludzie, którzy nie mieli powodów do miłowania dowódcy, ale mniej ich przerażała perspektywa wędrowki po nieznanym wodach, o tysiące mil od najbliższej osady europejskiej, niż pozostanie na okręcie, który od kilku godzin stał się pirackim gniazdem. Powiedział cieśla Purcell: „Panie Christian, nie popełniłem niczego takiego, czego miałbym się wstydzić, chciałbym jeszcze kiedyś ujrzeć mój kraj ojczysty”.

Purcell powiedział głośno to, co myślało sporo marynarzy. Christian musiał się zdecydować. A więc kto chce, niech płynie z Blighem, dokąd oczy poniosą !

Tak, ale przecież są wśród nich niezastąpieni fachowcy, bez których trudno sobie wyobrazić dalszą, bezpieczną żeglugę „Bounty”.

Podczas przygotowań do opuszczenia na wodę szalupy właściwie trudno było ustalić, kto jest buntownikiem, a kto nadal posłusznym wykonawcą rozkazów kapitana Bligha?

McKee przedstawia nam stan umysłów nie zbuntowanej części załogi „Bounty” w chwili podejmowania decyzji. Wsiąść do szalupy, płynąć w niewypowiedzianej ciasnocie, iść na dno razem z kapitanem Blighem? A może zostać na „Bounty” i czekać, aż sięgnie po buntowników długie ramię brytyjskiej sprawiedliwości i zorganizuje im powrót w kajdanach, a potem

szubienicę w brytyjskim porcie? A może była jeszcze trzecia ewentualność: ponowne zawładnięcie statkiem? Inaczej ocenia się szanse takich czy innych przedsięwzięć, kiedy ma się „mędrca szkiełko i oko”, inaczej musiało wyglądać to o świcie pod Krzyżem Południa, kiedy nagle zawalił się uporządkowany świat żelaznej dyscypliny okrętu Jego Królewskiej Mości.

Bligh płacił w tej chwili wysoką cenę za swoje dotychczasowe postępowanie. -Gdyby miał za sobą zdecydowanych na wszystko, oddanych mu ludzi, inaczej ułożyłaby się może sytuacja w ogólnym zamieszaniu, jakie panowało wówczas na „Bounty”. Buntownicy byli w mniejszości, nie było ich więcej niż dziesięć, reszta to ludzie niezdecydowani, wielu przerażonych zarówno perspektywą podróży w szalupie, jak szubienicą. Czy jednak Bligh mógł oczekiwać, że wystąpią teraz w jego obronie ci wszyscy, których poniżał?

Przerwijmy jednak na chwilę tę narrację „z życia wziętą”, aby przekonać się, jak też wyglądały owe wydarzenia w poemacie Byrona:

W swojej kajucie spoczął wódz waleczny, We wybór straży zaufał bezpieczny; We śnie Albionu widział brzegi lube, Trudów nagrodę i zapasów chlubę (...) Wstań, śmiały Blaju! Wódz się stawia groźnie! Wstawaj! O! Wstawaj! — Niestety, za późno! Już przy twym boku orszak buntowniczy Obwieszcza bezrząd, miota się i krzyczy Ty sam spętany, do twojego serca Dłonią, co drżała na dźwięk twojej mowy, Przykłada bagnet zuchwały morderca. Już dziś twój rozkaz do pracy nie znagli, Nie rządzi sterem, nie rozwinie żagli. Już cię na pokład wloką okrętowy, Chcą dziką wrzawą stłumić głos, co woła, Że swą powinność zdeptali niegodnie; Patrząc na wodza, w swoją własną zbrodnię Zaledwie trwożny wzrok uwierzyć zdoła; Bo wprzód sumienia człowiek nie ukoi, Aż trunek zbrodni: wściekłość, go upoi (...) Pomimo woli jeszcze pozostanie Dla dawnych władców swych uszanowanie. Dość, że nie chcieli jeszcze rąk swych krwawić, Wołają na pastwę falom cię zostawić.

„Osadzić czółno!” — zagrział okrzyk głośny. Któż: „Nie!”, odkrzyknie zgrai rozhukanej W pierwszej zwycięstwa godzinie radosnej, Wśród saturnaliów władzy niespodzianej? „Osadzić czółno!” — i rozkaz się iść Z całym pośpiechem wrzącej nienawiści.

Teraz cię tylko deska kruchej łodzi Dzieli od śmierci, a jej przybór cały Przyrzeka spełnić na morza powodzi, Czego ich dłonie dokonać nie śmiały. Wreszcie na prośby tych, co nie widzieli Żadnej nadziei wśród morza topieli, Tyle ci jwody dodano i chleba, Ile do śmierci powolnej potrzeba; Sznurów i żagli, i płótna dodali... Och! To są skarby dla wędrowca fali. Wreszcie bieguna drgającego służy: Kompas, co duszą ożywia żeglugę.

Poeta — jak widzimy — dość wiernie przedstawił to, co wiemy teraz już o owym dramatycznym poranku na Morzach Południowych. Ale, że życie nie jest poezją — więc pora nam wrócić do naszej opowieści tak, jak znamy ją z zapisków naocznych świadków historii.

Trzeba wczuć się w nastrój tych chwil. Oto zbliżają się ostatnie minuty kapitana Bligha na pokładzie okrętu Jego Królewskiej Mości „Bounty”, oddanego mu pod dowództwo. Teraz musi okręt opuścić — niemal z całą pewnością — na zawsze...

Miał przed sobą niewielką tylko szansę na przeżycie żeglugi na szalupie. A gdzieś tam, w mglistej przyszłości — gdyby jednak na przekór losowi udało mu się wyjść żywo z tej wyprawy — czekał go sąd, bo postradanie statku okrywało hańbą dowódcę. Nie mógł nie myśleć o tej czarnej przyszłości, gdy skrzypiały drewniane bloki i huśtała się już szalupa, spuszczona na wody Oceanu.

Bligh przemógł więc wściekłość, opanował się i przemówił do Christiana rzeczowo i spokojnie:

— Panie Christian, zastanów się nad tym, co czynisz. Na miłość boską, poniechaj swych planów, a więcej już o tym nie będzie mowy.

— ■ Za późno, kapitanie.

— Nie, jeszcze nie jest za późno. Klnę się na cześć moją, że wszystko pójdzie

dzie w niepamięć. Daję słowo, że cała ta sprawa nie będzie miała żadnych konsekwencji.

— Kapitanie Bligh, w czasie całego rejsu traktował mnie pan jak psa. Przez minione dwa tygodnie moje życie stało się piekłem, postanowiłem, iż dłużej nie będę już tego znosił. Dwaj marynarze, Cole i Purcell, włączyli się do rozmowy, próbując namówić Christiana do jakiegoś kompromisu, ale on był nieprzejednany:

— Sam pan wie najlepiej, panie Cole, co tu się ze mną działo.

— Wiem, panie Christian, wiemy wszyscy, ale na miłość boską, niechże pan się opamięta!

Christian pozostawił bez odpowiedzi ostrzeżenie wypowiedziane jeszcze przez Haywarda: — Panie Christian, miej pan na uwadze, jak niebezpieczna jest droga, na którą wstąpiłeś!

Ostatnią próbę podjął jeszcze sam Bligh: 9

— A więc czy nie ma już innego wyjścia z sytuacji ?

Christian milczał. Zamiast niego szorstko odpowiedział Churchill:

— Nie, to rozwiązanie jest jedyne i najlepsze.

Słońce oświetlało teraz jaskrawym światłem przedziwną scenę rozstania ludzi, którzy razem wypłynęli z portu i przez tyle czasu związani byli na złe i na dobre.

Półociemniały skrzypek Byrn jako jeden z pierwszych wgramolił się do szalupy, ale został przywołany na powrót na „Bounty”, załoga nie chciała pozbawić się jego grania, tej jedynej rozrywki w dalszej żegludze. Również trzem specjalistom kazano wysiąść z szalupy, potrzebni byli na statku. Jeszcze dramatyczniej ułożyły się losy innych.

Cieśla okrętowy Purcell zastał w szalupie marynarza Isaaca Martina, uczestnika buntu, który zasiadł na ławce koło swego tobołka i czekał na odpłynięcie. Purcell mruknął:

— O ile kiedykolwiek uda nam się dopłynąć do Anglii, postaram się, abym cię mógł własnoręcznie powiesić.

O cieślę były zresztą spory. Zabrał ze sobą podręczną skrzynkę z narzędziami. - Buntownicy, śledzący z pokładu przygotowania do odpłynięcia szalupy, zatrzęśli się oburzeniem: „To tak, jakbyśmy mu zostawili cały statek; teraz on zbuduje nowy w ciągu miesiąca”. Zabrali mu więc niektóre narzędzia. Martinowi ostatecznie kazali, aby pozostał z nimi na statku.

Szalupa powoli wypełniać się zaczęła marynarzami i oficerami z „Bounty”. Fryer, zastępca Bligha, nie kwapił się z zajęciem miejsca w szalupie.

— Pozwój mi zostać, panie Christian, nie dacie sobie rady beze mnie...

— Doskonale obejdziemy się bez pana, panie Fryer — rzekł Christian.

Ze łzami w oczach Hallet i Hayward prosili o pozwolenie na pozostanie na „Bounty’!”, a kiedy bezceremonialnie zepchnięto ich do szalupy, podnieśli krzyk, że szalupa jest już przeładowana, i starali się nawet powstrzymać następnych, którzy mieli opuścić statek.

Jeszcze raz rozległ się rozdzierający krzyk Bligha:

— Na miłość boską, chłopcy, nie przeladowujcie szalupy!

Miało to ten skutek, że wsiadający zatrzymali się, zaś Bligh uroczyście rzekł: — Jeżeli uda mi się wrócić do Anglii, dam świadectwo waszemu zachowaniu !

Ciekawe, jak silnie podziałała ta obietnica na wyobraźnię i zachowanie załogi, skoro ten i ów zrezygnował z zejścia do szalupy. Prosili tylko Bligha, by zapamiętał sobie dobrze, iż z własnej woli chcieli mu towarzyszyć, a także to, że są buntownikami.

Rozwiązano ręce dowódcy, jeszcze ostatni raz starał się o przekonanie Christiana.

Powolał się na ich zażyłe ongiś stosunki, wspomniawszy żonę i rodzinę. Odrzekł Christian:

— Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej, kapitanie. Jestem w piekle, jestem w piekle...

Starałem się odgadnąć istotne znaczenie tego zagadkowego oświadczenia, które cytuje Bligh. Juliusz Żuławski w swych przypisach do polskiego przekładu Byrona zwraca uwagę, że „według zeznania świadków, sens odpowiedzi Christiana był zupełnie inny: »Byłem w piekle przez ostatnie dwa tygodnie i nie mam zamiaru znosić tego dłużej.«” Tak. To jest —

moim zdaniem — jedyne wyjaśnienie, które nadaje słowom Christiana wymiary prawdziwej tragedii.

I to była już ostatnia, naprawdę ostatnia, wymiana zdań między przywódcą buntu a tym, któremu odebrał okręt. Ich drogi nie miały się już nigdy więcej skrzyżować.

Churchill ponaglał Bligha: — Nuże, raźniej, kapitanie Bligh, pana oficerowie są już na pokładzie i czekają na pana. Nadeszła pora odpłynięcia!

Na oczach buntowników składano... ostatnie deklaracje lojalności. Norman oraz McIntosh przypomnieli, że przytrzymano ich na pokładzie „Bounty” wbrew ich woli. Morrison przemówił do Cole, \*stwierdzając, iż zostaje na pokładzie „Bounty” tylko dlatego, że szalupa jest przeładowana.

— Niech cię Bóg błogosławi, mój chłopcze, gdybym nie miał żony i rodziny, zostałbym na pewno tutaj i ja — odpowiedział wzruszony Cole.

Oto schodzi do szalupy Bligh. Łódź zakołysała się niebezpiecznie, jeszcze głębiej zanurzyła się pod tym nowym obciążeniem. Każdy, kto oglądał tę scenę, nie miał złudzeń, że szalupa nie może się długo utrzymać na powierzchni wody. Ludzie klęczeli, stali, szukali miejsca siedzącego, ale było tak tłoczno, iż zdawało się, że nie będą mogli nawet usiąść.

Bligh znowu objął dowodzenie, zaraz kazał wyrzucić za burtę hamaki i inne przedmioty, które uważał za zbędne. Patrzyli na to buntownicy, posypały się drwiny i szyderstwa, nawet groźby. Cole zaklinał nawet Bligha, aby już jak najszybciej odpłynął. Lękał się, że buntownicy zaczną do nich strzelać.

Bligh raz jeszcze, niepomny niebezpieczeństwa, jakie wisiało nad nim, zawołał do buntowników: — Czekaście, chłopaki, rozprawię się z wami, gdyż znam każdego z was!

i  
i

w którym rozwój wydarzeń sprawia, iż nasza opowieść z konieczności potoczy się teraz drugim torem. Kiedy na falach Mórz Południowych kołysze się szalupa z kapitanem Blighem i jego towarzyszami niedoli — my zajmiemy się dalszymi losami okrętu „Bounty”. Buntownicy chcą ująć przed długim ramieniem brytyjskiej sprawiedliwości. Nie wątpią, że sięgnie ono po nich nawet i na koniec świata. Gdzież się więc skryć przed pościgiem? Co począć mają ci, których obecność między buntownikami jest przypadkowa? I cóż mają czynić marynarze, którzy zostali na „Bounty” pod przymusem?

Teraz naczelnik, co się sam okrzyknął, Zawołał „Pijcie” i z kielicha łyknął, Bo nigdy gardła nie potrzeba suszyć, Cudze i własne chcąc sumienie zgłuszyć; „Wódki rycerzom” Burkę niegdyś wołał, Zaprawdę droga wilgotna do sławy! I bohaterów zbuntowanej nawy, Wśród takiej mety, któż by wstrzymać zdołał? „Do Otahajty!” — głos się łamie w krzykach... Och! Jakże zdziwią głos ten w buntownikach. Pogodnej wyspy mieszkania gościnne, Łagodne serca i święta bez pracy, Skarby prostacze, rozkosze niewinne, Do tegoż tęsknić mają ludzie tacy? Majtek, do trudu przywykli i znoju, Którym po fali każdy wichler miota, Po świeżej zbrodni śmie pragnąć spokoju, Jaki w nagrodę ledwo zyska cnota?

Byron, który od czasu do czasu swym poematem „Wyspa” towarzyszy nam w tej opowieści, przedstawia tu teraz nieco osobliwe poglądy. Wiemy już, że te „łagodne serca” wyspiarzy z Tahiti nie były takie znowu łagodne, że zachwalane „rozkosze niewinne”, oglądane z bliska, nie wyglądały tak wcale sielsko. Ale poecie wiele wolno, więc nie zastanawiamy się nad tym zbyt długo. Byron odkrył przed nami kolejny cel rejsu, królewskiego niegdyś, okrętu „Bounty”: „Do Otahajty!”

A więc ci, którzy zawładnęli statkiem, postanowili płynąć na Tahiti. Przekazuje nam Morrison, iż „pan Christian, zostawszy dowódcą, kazał zaraz wyrzucić za burtę rośliny, uprzątnąć wielką kajutę i w niej zebrać mienie oficerów. Sam imć Christian objął w posiadanie kabinę pana Bligha”. I tak oto na wodach oceanu pokazały się smętne świadectwa przekreślonych planów. Zazieleniła się woda od ciśniętych za burtę sadzonek chlebowca, wielkie donice krótko kołysały się na falach i z bulgotaniem banieczek powietrza pogrążyły się na zawsze w morskiej toni.

Czy „Bounty” ostatni raz zmienił właściciela? Morrison wspomina, że w oparciu o lojalnych Koronie marynarzy opracował już konkretny plan wykradzenia buntownikom ich zdobyczy. Miało dojść do tego na Tahiti. Tam „Bounty” stanęłyby bowiem na kotwicy. „Wtedy właśnie moglibyśmy łatwo pozbyć się tych, których nie chcieliśmy, a to zostawiając ich na brzegu. Naszym zamiarom sprzyjałoby przydzielenie dodatkowych porcji grogu.”

Ktoś jednak musiał zwiedzieć się o tych planach, gdyż czytamy dalej u Morrisona, że Christian został poinformowany o knowaniach, uzbroił swych buntowników, sam zaś nigdy nie rozstawał się z pistoletami.

28 maja dojrzano wyspę Toobouai, o trzysta trzydzieści mil na południe od Tahiti. Na zwiad ruszył George Stewart, kazano mu odnaleźć bezpieczny przesmyk między groźnymi rafami koralowymi, naniesiony na mapę przez niestrudzonego kapitana Cooka.

Wyspiarze na swych łodziach okrążyli „Bounty”, trąbili w wielkie muszle, wymachiwali dzidami i było jasne, że nie mają przyjaznych uczuć wobec „wielkiej pirogi” białego człowieka.

Na wodach wokół statku pojawiła się duża łódź, obsadzona wyłącznie przez żeńską załogę. „Strojnje odziane kobiety miały głowy i szyje przybrane kwiatami i perłami. Były młode i ładne, ich krucze sploty wiły się aż po pas. Zakładamy, iż mają być przynętą, na którą chcą nas złowić” — domyśla się chytrze Morrison. Żeglarze jednak nie dali się zaskoczyć przez wojowników pod „dymną zasłoną” urodziwych dziewcząt.

Wyspiarze pojedynczo wdrapywali się na statek, zabierali wszystko, co im tylko wpadło w rękę. Christian złapał na gorącym uczynku jednego ze złodziejasków, doszło do małej bójki, w czasie której Polinezyjczyk oberwał dobrze sznurem. Tu i ówdzie na pokładzie statku doszło do podobnych zajść, wreszcie Christian strzelił z muszkietu do grabieżców, a kanonier zagrzmiał z działa. Wystraszeni tym „piorunem” wyspiarze — zawrócili ku brzegowi.

6 czerwca „Bounty” pojawia się znowu w zatoce Matavai na Tahiti, gdzie załoga ma swoje znajomości. „Indianie” — jak ich uporczywie zważył ówczesne raporty — wielce byli uradowani tak szybkim powrotem oplakanych już przyjaciół, pokład rozbrzmiewał krokami ich bosych stóp. Po czułych powitaniach co bystrzejsi z gości zaczęli zadawać — jak byśmy dziś nazwali — drażliwe pytania. Gdzie jest reszta załogi? I co się stało z chlebowcami? Wiemy jednak, że buntownicy liczyli się z taką ewentualnością i że nie byli zaskoczeni.

„Imć Christian odrzekł, iż spotkano kapitana Cooka, który zabrał pana Bligha i innych jeszcze wraz z nim, jako też rośliny i długą łódź; nas wszelako wyprawił po wieprzki i kozy dla nowej osady, jaką z królewskiego rozkazu założyć ma na Nowej Holandii” — notuje Morrison.

Dalej nie rozumiem, jak można było przedstawić wyspiarzom z Tahiti pojęcia tak im obce, jak Nowa Holandia, czyli obecna Australia, dziś kilkanaście godzin lotu odrzutowcem, wtedy oddzielona od „Otaheite\*” miesiącami żegluga? Jak w ogóle wyspiarze pojmować mogli problemy, które były zazwyczaj udziałem każdej raczkującej jeszcze posiadłości brytyjskiej i gdzie chodziło zwykle o to, aby grupa śmiałków miała co jeść, a w bardziej niegościnnych stronach — sama nie została zjedzona przez znudzonych jednostajnym jadłospisem wyspiarzy.

Churchill i kronikarz Morrison wyruszyli na wyspę, aby handlować z „Indianami”, zaś „pan Christian podejmował wodzów plemiennych i wlewał w nich rum i arak, które wielce przypadły im do gustu”.

Pomysł z bajeczką o nowych zadaniach „Bounty” nie był naiwny ani niedorzeczny. Opierał się na świadomości Christiana, iż wyspiarze dalej nie mieli pojęcia, że wspomniany przez nich kapitan Cook — już dawno nie żyje. Ba, oni ciągle jeszcze mieli nadzieję, że odwiedzi ich kiedyś znowu na Tahiti. „Zostaliśmy aż do 16 czerwca. Wyspiarze poważali wielce pana Chri

stiana, nikt z nich nie lubił pana Bligha, jakkolwiek schlebiali mu przedtem, a to ze względu na jego zamożność. Jednakże zdarza się, że i w bardziej oświeconych narodach ci, co mają władzę — otoczeni są czcią” — stwierdza filozoficznie kronikarz Morrison.

Okręt „Bounty” z pływającej szklarni przekształca się teraz powoli w pływającą spiżarnię czy — jak kto woli — chlewik i oborę. 16 czerwca na pokładzie tego niewielkiego statku chrząkało już czterysta sześćdziesiąt świń, beczało pół setki kóz, harcowało kilka psów i kotów. Ach, byłbym zapomniał, przecież jeszcze z dawnych zapasów pozostał buhaj i krowa! W tych czasach, kiedy o chłodniach nikomu nawet się nie śniło, ludzie morza mieli do wyboru albo paskudne i przeważnie nadpsute mięso peklowane, albo zaopatrzenie „żywe”, które szło pod nóż, kiedy można było sobie pozwolić na kęs świeżego mięsiwa. Mozolnie składowano też rośliny jadalne, uprawiane czy zbierane na wyspie, a znane brytyjskim marynarzom. Zapobiegliwość żeglarzy musiała być szczególnie wszechstronna właśnie teraz,

kiedy „Bounty” nie mógł już liczyć na uzupełnienie swych zapasów w jakimś porcie, gdzie, utrzymuje się łączność z Europą. Buntownicy wszak stali się piratami, piraci zaś musieli sami dbać o siebie.

Ale nie tylko prowiant wnoszono lub wpędzono na „Bounty”. Do wyprawy dołączyła się mała grupka Tahitańczyków. Przed podniesieniem kotwicy znalazło się jeszcze na pokładzie dziewięciu mężczyzn, dziesięć kobiet i jedna mała dziewczynka.

A więc znowu „Bounty” kołysze się na falach.

Pogoda była burzliwa, mały stateczek stał się igraszką żywiołów, nie wyszło to na zdrowie wspomnianemu bykowi, który nie mógł na chwiejnych nogach utrzymać równowagi potężnego cielska. Obijał się raz po raz o drewniane ściany kojca, wreszcie życie zakończył. Jak się domyślamy, stał się pożądanym urozmaiceniem marynarskiego jadła.

23 czerwca widzimy „Bounty” w Krwawej Zatoce na wyspie Toobouai, gdzie niespełna miesiąc temu doszło do starć z tubylcami. Wyglądało na to, że „Indianie” szybko przeboleli niedawne krzywdy, zauważyli tylko jakby mimochodem, iż ten jedyny strzał z działa zabił na wyspie jedenastu mężczyzn i jedną kobietę. Zresztą, kto wie? Może to był właśnie przekonywający argument o wyższości białych przybyszów? W dziejach ludzkości na ogół rację mają zawsze silniejsi. Jak to się powiadało w czasach nieco późniejszych — kto pierwszy strzela, ten ma więcej z życia...

Na tej wyspie buntownik Christian postanowił osiedlić się i wraz z tymi, którzy zjawili się z nim na „Bounty”, rozpocząć nowe życie, z dala od Anglii i jej... surowych praw. Podjęto rozmowy z miejscowymi notablami, aby uzyskać ziemię dla nowych osadników.



Ale, jak pewnie rzekli sobie wodzowie wyspiarzy, mając na myśli przybyszów z dalekich stron: „nie bądź zbyt mądry”. Innymi słowy, nie była im w smak perspektywa goszczenia białych ludzi aż po wieczne czasy. Stosowali różne uniki, w ten sposób odwołując się do odpowiedzi.

Wreszcie transakcja została sfinalizowana. Wcale nie jest wykluczone, że argumentem był ów „piorun” na wielkiej pirodze białych ludzi, który w kilka sekund zgładził tuzin wyspiarzy i który mógł znowu się odezwać. Może mieszkańcy wysp nie chcieli powtórzenia masakry z Krwawej Zatoki, może były inne jeszcze względy, w każdym razie wydawać się mogło, że „Bounty” zawiązał już tym razem do swego ostatniego portu.

Christian, zgodnie z brytyjskim zwyczajem, zaraz zarządził budowanie fortu, gdzie mała grupka białych osadników czułaby się bezpiecznie, gdzie zasypiano by bez ustawicznej groźby, że się zginie od włóczy wyspiarzy, których zmienne humory i nastroje trudne były do przewidzenia. Ten brytyjski bastion miał być jak się patrzy: most zwodzony i inne zdobycze techniki fortyfikacyjnej.

Nie ma się czemu dziwić. Wędrując w rejonie Oceanu Spokojnego widziałem na małych i większych wyspach takie budowle, które zawsze były zaczątkiem dalszej kolonizacji, marszu w głąb wysp czy większych lądów. Brytyjczycy zazwyczaj osiedlali się skromnie na jakimś skrawku ziemi nadmorskiej, potem szli dalej. Czasem w odległym Londynie rezygnowano z nowej perły Korony i nakazywano odwrót, czasem załogę zabijała „gorączka”, czyli jedna z licznych chorób tropikalnych, przeciw którym biały człowiek niewiele potrafił zdziałać. Czasem fortele wyspiarzy i ich miażdżąca przewaga liczebna pokonywała szczupłą załogę fortu, a reszty dzieła zniszczenia dokonywała bujna roślinność tropików. Dziś jeszcze można niekiedy dostrzec z samolotu zwalone głązy umocnień, które wzięła w posiadanie dżungla i przykryła śwym gęstym, zielonym płaszczem. Na Filipinach widziałem fortece, które stały się załóżkami osad, jako że hiszpańscy najeźdźcy nakazywali wyspiarzom, aby osiedlali się „w zasięgu kościelnego dzwonu”, co umożliwiało lepszy nadzór nad podbitymi ludami.

Brytyjczycy ochoczo zabrali się do budowy forteczki, Morrison przyznaje, że sam Christian nie stronił od najcięższych prac, a dla podniesienia ducha budowniczych — obdzielał ich dwa razy dziennie kufelkiem czegoś mocniejszego.

Na początku września fort był już niemal gotów. Wydaje się, że pośpiech budowniczych nie wynikał z historii, był w pełni uzasadniony. Wyspiarze chcieli tylko uspić czujność białych, znosząc różne dary, jednocześnie zaś czatowali zbrojni we włócznie w pobliskim gaju, aby — skoro nadarzy się odpowiednia okazja — zgładzić Christiana i jego ludzi.

O co poszło? Masakra w Krwawej Zatoce nie była już wspominana przez ludzi, dla których wszystko, co się działo wczoraj, jest tylko „snem”, natomiast nie byli oczarowani marynarskimi nawykami realizowania zasady: „w każdym porcie dziewczyna”. Innymi słowy, nie chcieli wcale, aby przybysze o białej skórze odbierali im żony i córki. Trudno się dziwić mieszkańcom małej wysepki; piękna Helena na pewno nie była jedyną kobietą, o którą przed wiekami staczano w dalekich stronach zacięte i krwawe boje.

Rozważania historyczne pewnie nie były brane pod uwagę przez ludzi morza, żyjących dniem dzisiejszym i — co najważniejsze — marzących o tym, aby także i dzień jutrzejszy zastał ich jeszcze przy życiu. Ruszyła więc w głąb wyspy wyprawa, która pasowałaby jak ulał do ukutego w terminologii

kolonialnej określenia „ekspedycja karna”. Początki — przyznajmy — były raczej skromne. Nie nadeszła jeszcze „epoka kanonierki”, gdy okręt wojenny, szczerząc jadowite lufy swych dział, rzucał na kolana ludność wysp znacznie nawet większych niż mała Toobouai.

Krok za krokiem marynarze z „Bounty” posuwają się w Nieznane. Nie przeszli jeszcze kilometra, kiedy jęknął Burkitt, trafiony włócznią w lewy bok. On sam nie zdążył nawet wystrzelić, kiedy osaczył ich rój wyspiarzy, wrzeszcząc głośno, jak to było w zwyczajach ówczesnej wojaczki na Morzach Południowych. Obie strony ostrzeliwały się nawzajem, świstały włócznie i grzmiały muszkiety. Lecz gniew zazdrosnych mężów i ojców był pewnie silniejszy niż lęk przed „piorunami” białego człowieka, skoro Morrison nadmienia, iż „wyspiarze zbliżali się ze wszystkich stron, zupełnie jak gdyby nie zwracali uwagi na śmierć czy niebezpieczeństwo”.

Christian, który sam zresztą był ranny, nakazał odwrót. Rycerskość wyspiarzy nakazywała im także zostawienie placu boju, wobec czego potyczka została zakończona bez wyraźnego rezultatu. Nie było zwycięzców ani zwyciężonych. Trudno nam jest teraz, po dwóch niemal stuleciach, pojąć, jak szybko zmieniały się nastroje na tej małej wysepce, gdzie przecież wrogowie skazani byli na obecność przeciwnika „za miedzą”, gdzie nie można było unikać spotkania z nieprzyjacielem.

Oto już 14 września zjawia się na pokładzie „Bounty” młody wódz plemienia, aby powiedzieć żeglarzom, iż w potyczce poległo sześćdziesięciu mężczyzn, a także sześć kobiet, które towarzyszyły wojownikom, niosąc włócznie i prowiant. Nie brakowało też rannych.

Trudno było oczekiwać spokojnego życia na wyspie po tych wydarzeniach. Krwawa Zatoka i jej okolice pewnie nigdy nie dałaby marynarzom brytyjskim spokoju, którego szukali. Na wypadek gdyby zawitał w te strony jakiś statek europejski i trzeba by przeczekać złe chwile w kryjówkach wyspiarzy, mogłaby mieć decydujące znaczenie niezyczliwość tubylców.

Powrót na Tahiti — gdzie wyspiarze nie byli tacy zazdrośni i gdzie kwitły marynarskie miłości i miłości — nieraz był już brany pod uwagę. Ostateczna decyzja zapadła, kiedy zapytano załogę: „Kto za — ręka do góry!”.

17 września nasi wędrowcy opuścili niegościnną wyspę, zabierając z niej zapas słodkiej wody i wiele gorzkich wspomnień. Już 22 września znaleźli się znów w Zatoce Matavai. Tam doszło do ważkiej decyzji. Trzeba było dokonać podziału dobytku, szesnastu marynarzy postanowiło bowiem pozostać na Tahiti.

Inni natomiast musieli być przekonani, że skoro długie ramię brytyjskiej sprawiedliwości sięgnie aż na Morza Południowe po buntowników, to znacznie niezawodnie poszukiwania uczestników spisku właśnie od „Otaheite”. John Mills, Isaac Martin, William Brown, Edward Young, William McCoy, John Williams, Matthew Quintal oraz Alexander Smith uważali pewnie, że kości zostały rzucone i że ich losy są już na zawsze splecione z przywódcą rewolty, że muszą iść tam, gdzie wiedzie ich Fletcher Christian. Poza Brownem, który był ogrodnikiem — pamiętamy, jaki był cel wyprawy, mimo że donice po sadzonkach chlebowca spoczęły gdzieś na dnie oceanu — wszyscy inni byli ludźmi morza.

„Bounty” miał więc coraz mniejszą załogę, a choć mała grupka wyspiarzy z Tahiti dobrowolnie znalazła się na statku, Fletcher Christian miał pod swoim dowództwem zaledwie trzydzieści cztery osoby.

Trudno nam będzie pojąć atmosferę towarzyszącą temu kolejnemu ro|

biciu garstki białych ludzi gdzieś tam, na końcu świata. Ci, którzy postanowili zostać na Tahiti, jak i ci, którzy szukali ucieczki ze swym przywódcą — mieli przed sobą trudną do odgadnięcia przyszłość. Jeden z naszych informatorów, kronikarz Morrison, zdecydował się na pozostanie na Tahiti. Opowiada, jak „Indianie” cieszyli się, iż będą mieli na zawsze między sobą przyjaciół z „Bounty”, jak prześcigali się nawzajem w gestach gościnności i dobrej woli.

Rzemieślnicy okrętowi zostawiali na Tahiti. Buntownicy przekazali im różne narzędzia, skarb nie do zastąpienia w warunkach bytowania między wyspiarzami. Wyładowano więc ze statku kocioł miedziany, osełki, kowadło i różne inne przedmioty, których nigdy nie można by było uzyskać na Tahiti. Do tego jeszcze z zapasów okrętowych każdy decydujący się na zejście na zawsze z pokładu „Bounty” otrzymał trzy galony wina. Wreszcie wszystkich zaopatrzone w broń — poza skrzypkami Byrnem. Koledzy znali go bowiem z wybuchowego charakteru, przypomnijmy też, że był niemal niewidomy. Stałby się groźny, gdyby miał broń pod ręką. Każdy oprócz niego zabrał sobie z „Bounty” muszkiet, pistolet, bagnet, siedemnaście funtów prochu strzelniczego oraz ołów do wyrobu kul. Marynarskie zapasy na Tahiti wzbogaciły się też o stare żagle i sztuki płótna, które zostawił im Christian.

Dowódca buntu prosił natomiast swych rodaków, którzy się z nim rozstawiali, aby pomogli mu w gromadzeniu zapasu słodkiej wody. Powiada Morrison: „Miał nadzieję, iż będziemy mu pomocni w uzupełnieniu beczek z wodą, jako że zamierzał płynąć na jakąś wyspę bezludną. Tam mógłby na ląd wyprowadzić swe trzody, jakże liczne na statku, a także posadzić rośliny różnych odmian, znane na wyspach. Tam też mógłby spalić swój statek. Zamiarem jego było dożycie reszty dni bez oglądania twarzy Europejczyka, wyjąwszy tych tylko, którzy znaleźli się w najbliższym otoczeniu.”

Takie więc były plany marynarzy, którzy wybrali „Bounty”. Ci natomiast, » którzy mieli zostać na Tahiti, ulokowali się w domostwach zaprzyjaźnionych „Indian”, gdzie — jak przekazuje nam Morrison — „byliśmy traktowani jak rodzina, jeno że z większym nawet jeszcze poważaniem i szacunkiem”.

Brytyjscy marynarze ostatecznie mieli nie tylko dach nad głową, nie tylko przydzielono im działki ziemi w różnych stronach wyspy, ale znaleźli też sobie szybko kobiety. Czas przestał się liczyć, wrastali w społeczeństwo polinezyjskich wyspiarzy.

Pewnej nocy „Bounty” wypłynął z zatoki. Rankiem nie było zupełnie wiatru, dopiero w południe Morrison, który bacznie śledził statek — stracił go z oczu, tym razem już na zawsze... Wspomina tylko, że nagłe odpłynięcie „Bounty” było dlań pewnym zaskoczeniem, jako że Christian rozповідаł, iż chciałby jeszcze dzień czy dwa zostać na Tahiti. „Kto wie — domyśla się

Morrison — może była tam już taka atmosfera, iż Fletcher Christian obawiał się, aby uroki Tahiti tym razem nie obróciły się przeciw niemu samemu”. Trudno wykluczyć sytuację, że załoga, która miała płynąć w Nieznane u boku swego przywódcy, zaczęła się zastanawiać nad słusznością tych poczynań. Może beztrudnie bytowanie na pięknej wyspie przysłoniło im obraz realnej groźby ze strony ścigającej piratów Admiralicji. Może... Zresztą, niewiele nam dadzą takie domysły, lepiej oprzeć się na faktach.

Te zaś łatwo podsumować. Straciliśmy z oczu kapitana Bligha, gdy miotając przekleństwa kołysał się na szalupie na bezkresnym oceanie. Fletcher Christian na „Bounty” wraz z kamratami i gromadką Tahitańczyków ruszył na poszukiwanie „swojej” wyspy. Ba, upatrzył sobie taką jedną, w sam raz dla niego! Miał w kabinie zapiski kapitana Cartereta z żeglugi dookoła świata na statku „Swallow”. Zawadził on wtedy o taką wyspę, ale — o czym nie mógł wiedzieć Christian — niewłaściwie określił jej położenie.

Pożegnał się więc z Heywoodem i Stewartem, którzy obaj zamieszkali u jednego z wodzów plemiennych. Stewart poślubił córkę tego wodza, nazwał ją angielskim imieniem

Peggy, mieli dziecko i żyliby szczęśliwie, gdyby... Ale nie uprzedzajmy faktów. Powiedział Christian na pożegnanie: „Włażcie na pokład pierwszego okrętu, jaki się tu pokaże, i poddajcie się... Obaj jesteście bez winy, nic złego nie może się wam przytrafić, jako że obaj nie przystaliście do spiskowców...”

Gdy „Bounty” przemykał się między wyspami i wysepkami Polinezji, James Morrison, Charles Churchill, George Stewart, Peter Heywood, John Millward, Charles Norman, Thomas McIntosh, William Muspratt, Matthew Thompson, Richard Skinner, Thomas Ellison, Thomas Burkitt, John Sumner, Michael Byrn, Joseph Coleman i Henry Hillbrant zostali między „Indianami” na Tahiti. Ale nie na tym zamyka się lista brytyjskiej obecności na dalekiej wyspie.

Brzmi to niewiarygodnie, lecz pewnego dnia Millward i Churchill wędrując na Tahiti spotkali autentycznego ... rodaka. Zwał się Brown, względnie Bound. Przypomnijmy raz jeszcze, że na epokę masowej turystyki trzeba będzie dwa wieki czekać, że nie podróżowano wtedy dla przyjemności aż tak daleko i nie mieli wówczas ludzie na ogół ambicji dotarcia tam, gdzie nie był jeszcze sąsiad z przeciwka... Nie były to nawet i te, dla nas zresztą też już odległe czasy, kiedy Mr Stanley, spotkawszy w sercu czarnej Afryki wymizernowanego Anglika, uchylił grzecznie kapelusza i — jak przystąpił na człowieka dobrych manier — zagadnął: „Doktor Livingstone, jak sądzę?” — ponieważ nie było w promieniu kilku tysięcy mil żadnego innego dżentelmena, który mógłby prawidłowo dokonać ceremonii przedstawienia sobie nawzajem obu panów...

Nie wiem, niestety, jak wyglądało wtedy spotkanie tych trzech Brytyjczyków na Tahiti. Zapewne wszyscy trzej miny mieli zdumione. A trzeba dodać, że o ile marynarze z „Bounty” byli bez wątpienia ludźmi dzielnymi i odważnymi, to już ich rodak był postacią wręcz niezwykłą.

Opowiada o nim porucznik George Mortimer z Królewskiej Piechoty Morskiej w wydany w Dublinie w roku 1791 niezbyt okazałym tomiku pod nieco przydługim tytułem: „Obserwacje i spostrzeżenia poczynione w czasie rejsu na wyspę Otaheite na brygu \*Mercury«.”

Ten mały stateczek zbudowany w Anglii zawiązał w sierpniu 1789 na Tahiti do znanej nam już przecież dobrej zatoki Matavai.

Tam kapitan John Henry Fox wymienił podarunki i grzeczności z wodzem Poena. Nie bez dumy ciemnoskóry władca pokazał Brytyjczykom portret olejny, przedstawiający kapitana Cooka. Na odwrocie malowidła odczytać można było napis: „Kapitan Bligh z okrętu Jego Królewskiej Mości «Bounty\* 25 października 1788 roku zakotwiczył się w zatoce Matavai. Zła pogoda zmusiła go do wypłynięcia do Oparre 25 grudnia, gdzie pozostawał aż do 30 marca 1789. Wtedy był gotów do wyjścia w morze i wtedy też przekazano ten obraz. Odplynął 4 kwietnia 1789 roku”.

Były to czasy, gdy najbardziej nawet biegły w rzemiośle żeglarskim dowódca wcale nie wiedział, czy kiedyś jeszcze zawinie do macierzystego portu. Tak więc „wizytówka” taka była nie tylko darem dla kacyka, ale i stać się mogła ostatnią wieścią o losach statku i załogi dla tych, którzy zjawiliby się w tych stronach później...

Porucznik Mortimer trafił na grób lekarza Huggana z „Bounty”. Zanotował też skrzącnie inne wydarzenie, jako że nie zwiastowało nic dobrego: oto ktoś skradł mu podręczny słownik języka Otaheite. Potem, rozumując logicznie, połączył tę stratę z pewnym ponurym zajściem: „Nocą jeden z naszych majtków nazwiskiem Brown, facet narwany, a już uprzednio sprawca wielu wykroczeń, w okrutny sposób starą brzytwą pokiereszował oblicze innego marynarza. Za czyn ten skuty został w kajdany.” Z dalszych zapisków wynika, iż Brown zabiegał o zgodę na pozostanie na Tahiti. „Skwapliwie skorzystaliśmy z okazji pozbycia się takiego zawadiaki” — zapisał imć Mortimer. — „Mercury” ruszył więc bez Browna na wyspy obecnie zwane Hawajami, zajrzał na wybrzeża Chin, trafił do Ameryki.

Brown został samotnie na Tahiti. Był kiedyś żołnierzem w Indiach, zdezerterował, ąszedł na islam, potem ukradł jakiś statek, ale został schwytany. Nie wiadomo bliżej, jak to się stało, iż wykręcił się sianem przed trybunałem. Potem zaciągnął się na bryg „Mercury”, którego dowódca wystawił mu świadectwo: „Brown jest pomysłowym, zręcznym człowiekiem na trzeźwo, lecz staje się niebezpieczny, kiedy sobie popije.”

Taki był nowy kompan, który przystał do maleńkiej społeczności brytyjskiej na pięknej wyspie Otaheite... Inna sprawa, że uroki wyspy nie stłamsiły tęsknoty za krajem wszystkich osiadłych tam Brytyjczyków.

Pewnego razu gawędząc nad brzegiem morza, które na Tahiti szumiało tak, jak u wybrzeży ojczystych wysp owianych mgłą — Morrison dogadał się z dwoma kolegami, Millwardem i McIntoshem.

Dobrze by było — zgodzili się — zbudować niewielki, ale solidny stateczek, na nim dopłynąć do posiadłości holenderskich, najlepiej do Batawii. Głośno tego nie mówili, pewnie nie bardzo dowierzali reszcie rodaków. Ot, wspominali im mimochodem, można by z nudów popracować nad czymś takim, na czym można by było pokręcić się po sąsiednich wyspach, gdzie coś ciekawego jest do oglądania...

Dopiero z biegiem czasu dopuścili do tajemnicy dwóch jeszcze marynarzy. Norman i Hillbrant też chcieli wracać w rodzinne strony do Anglii i Niemiec. Wszyscy pospołu zabrali się do roboty.

Nie była to improwizacja. Anglosaskie umiłowanie porządku i systematycznej pracy nie poddało się urokom wyspy Mórz Południowych. Najpierw więc zbudowali sobie domki tuż nad zatoką Matavai, potem postawili maszt, na który co niedziela wciągali brytyjską flagę. I tak powoli włączyli się do roboty inni jeszcze ludzie z „Bounty”. Zakasał rękawy Churchill, pracował w milczeniu Burkitt, wycierał pot z czoła Sumner, uwijał się Ellison. Nawet skrzypek Byrn, ledwie widzący otaczający świat — odłożył skrzypce, aby pracować nad budową statku. Przysłał do budowniczych i ów Brown.

Zaimprovizowana stocznia powstała w cieniu starych drzew. Tu też ściągano budulec. Pora deszczowa przyhamowała nieco pracę, gdyż deski ze świeżo ściętych pni nie schły jak należy.

Święta Bożego Narodzenia obchodzono uroczyście, jakkolwiek nie było jemioli, a tradycyjnego indyka zastąpił okazały wieprzek na stole wigilijnym. Westchnięto i do Boga, śpiewano kolędy, zresztą w każdą niedzielę odmawiano zbiorowe modły.

1 lutego 1790 roku uwagę pracujących w stoczni odciągnął inny bóg, i to do tego stopnia, iż przerwali budowę i pośpieszyli na festyn tahitański, odbywający się nie opodal. Może i my ruszymy tam też, mała dygresja nie zawadzi, a jest o czym opowiadać, no bo i bóstwo było niezwykle.

Na poczesnym miejscu Tahitańczycy umieścili portret niezapomnianego kapitana Cooka. Wszyscy uczestnicy tej uroczystości oddali hołd wielbionej postaci. Mężczyźni obnażyli ciało do pasa, kobiety zaś — odkrywały ramiona. Mistrz ceremonii złożył przed portretem ofiarę w postaci drzewka, a także prosiaka, przymocowanego do pnia. Potem odmówił coś w rodzaju litanii, skierowanej do obrazu: „Chwała ci, bądź pozdrowiony, Cooku, wodzu po-

wietrzą, ziemi i wód! My uznajemy, iż wodzem jesteś nad wszystkim, od nadmorskiej plaży aż do góry, że władasz nad ludźmi i zwierzętami, nad ptakami w powietrzu i rybami w morzu..."

Radować się musiała dusza syna ubogiego wieśniaka z dalekich Wysp Brytyjskich, jeśli słyszała te słowa i oglądała tany, ciągnące się długo w noc. Piszczalki i bębny znaczyły rytm płaśów dla zwinnych dziewcząt, tak, to był wielki festyn! Potem portret Cooka pieczołowicie owinięto w tkaninę i schowano w osłoniętym od deszczu miejscu.

Zaczęła się wystawna uczta. Aby zabawić obecnego na festynie władcę, marynarze palnęli z muszkietu w pobliskie drzewo, z którego posypały się na ziemię owoce. Wszystkim się ten popis ogromnie podobał, wielce zadowoleni i syci jadła oraz wrażeń uczestnicy zgromadzenia rozeszli się potem do domów.

Następne spotkanie gości i gospodarzy, czyli wyspiarzy z Wielkiej Brytanii i wyspiarzy z Tahiti, odbyło się już nazajutrz. Marynarze obdarowani zostali matami, tańczono i śpiewano. Kiedy jednak Brytyjczycy wrócili do swych domostw, okazało się, że skradziono im jedną parę spodni oraz trzy wieprzki. Doraźne śledztwo wykryło złodziejaszka, który od okradzionych dostał sto batów. Dostał też swoją porcję inny „Indianin”, który zabrał sobie nóż marynarski. Wszystko, co z metalu, było na Tahiti nie do zastąpienia. Marynarze mieli specjalne pojęcie sprawiedliwości, wymierzali innym taką, jakiej sami zaznali — dosłownie — na własnej skórze.

Trudno jest oczywiście ustalić dokładnie, kiedy na pogodnym niebie przyjaźni pojawiać się zaczęły coraz gęstsze chmury wrogości. Frank Clune uważa, że winnym popsucia dobrych stosunków był Thompson, który zgwałcił młodą dziewczynę. Alexander McKee powiada, że grubiańskie maniery marynarza przeraziły dziewczynę. Stanął w jej obronie brat, teraz z kolei Thompson — pobity przez „Indianina” — nabrał głębokiej niechęci do ludzi o ciemnej skórze.

I oto pewnego dnia, kiedy do jego domku zajrzała grupka ciekawskich z głębi wyspy — Thompson wrzasnął na nich, aby sobie poszli. „Indianie” nie zrozumieli angielskiego zawołania, wtedy rozzłoszczony marynarz porwał za muszkiet. Jeden tylko strzał zabił mężczyznę i małe dziecko, które ten trzymał na ręku, oraz zmiażdżył dolną szczękę stojącej nieco dalej kobiety i zranił w plecy innego wyspiarza.

Peter Heywood podarował własną koszulę wdowie po zabitym, wydawać się mogło, że cała sprawa poszła w zapomnienie.

Budowa okrętu postępowała naprzód, prymitywna „stocznia” Brytyjczyków absorbowiała uwagę Polinezyjczyków, którzy przypatrywali się niezwykłemu widowisku narodzin statku. Sami budowali przecież zupełnie inaczej swe pirogi, zresztą nie mieli tych wszystkich narzędzi, którymi dysponowali jeszcze teraz ludzie z „Bounty”.

Znowu jednak doszło do przelewu krwi. Tym razem sprawa była bardziej powikłana. Churchill wybrał się na łowy, chciał zapolować na kaczki. Złoscili go „Indianie”, którzy — spragnieni odgłosu „pioruna” białego człowieka — szli za nim i płoszyli mu ptactwo. Piorun odezwał się więc, ale Churchill strzelił rozmyślnie do ciekawych niby dzieci wyspiarzy, zabił chłopca i zranił mężczyznę.

Teraz nastąpiła czarna seria zabójstw. Nie jest zupełnie jasne, dlaczego ów Churchill został zastrzelony przez Thompsona. Morrison przekazał nam relację o tym, jak Polinezyjczycy obalili Thompsona na ziemię, przycisnęli go deską, na której stanęło dwóch mężczyzn, i kamieniem rozłupali czaszkę.

Nikt nie obchodził pierwszej rocznicy zawładnięcia „Bounty”. Cała gromadka budowniczych statku została ogarnięta prawdziwą pasją żeglarzy chcących czym prędzej doczekać dnia, gdy znów będą mogli oglądać rozkołysany horyzont. To, co było nie do

zdobycia na wyspie Mórz Południowych — umiejętnie zastępowano tym, co było pod ręką. Potrzebna jest smoła? Hm, skąd by tu wziąć coś, co zastąpiłoby smołę?

Próbowano różnych sztuczek, brano się za różne sposoby. Aż wreszcie okazało się, że wspaniale nadaje się do tych celów żywica z chlebowca, doprawiona w odpowiednich, starannie przestudiowanych proporcjach... smalcem wieprzowym. Ten tłuszcz uzyskiwano przy pieczeniu wieprzka nad ogniskiem, zaś potężne porcje mięsa, jakie przy tej okazji były do podziału — dostawali ci „Indianie”, którzy najbardziej ochoczo zbierali żywicę.

4 czerwca 1790 roku budowniczywie oblewali jabłecznikiem zakończenie prac, które umożliwiały już spuszczenie statku na wodę, Wódz Poeno na prośbę marynarzy wezwał kapłana. Ten przybył do „stoczni”, krążył dostojnie wokół dzieła pomysłowości i wytrwałości. Mamrotał pod nosem jakieś zaklęcia, których treść nie była zrozumiała dla obecnych przy ceremonii Brytyjczyków.

Obrzędy te trwały całą dobę, ciągnęły się aż do świtu następnego dnia. Wtedy zjawił się Poeno, wiodąc ze sobą kilkuset mężczyzn ze swego plemienia. Wódz najpierw przemawiał, potem osobiście pokierował przyprowadzonymi ludźmi, którzy mozolnie pchali statek z brzegu wyspy do morza. Cała akcja była niejako koordynowana przez wspólnie śpiewaną pieśń, jej rytm zastępował komendę, zespolił wszystkich zatrudnionych. Nie minęło pół godziny, a statek znalazł się na fałach zatoki.

To był pierwszy w dziejach wyspy statek zbudowany przez białych ludzi. Nazwano go „Resolution”.



Skrętnie szykowano się do rejsu. Peklowano wieprzowinę, warzono sól z wody morskiej, udało się zmyślnie naprawić zegar, zbudowano prymitywne urządzenia pokładowe, postawiono maszty. „Resztę zdano na łaskę Opatrzności” — notuje Morrison.

Ale załogę „Resolution” czekały jeszcze na wyspie inne zadania. Zjawił się nagle wysłannik władcy z Oparre. Monarcha wzywał swych białych przyjaciół, aby śpieszyli mu z pomocą, gdyż ten rejon wyspy, gdzie sprawował władzę, napadnięty został przez zdradzieckich sąsiadów.

Ludzie z „Bounty” wraz z owym Brownem prędko naradzili się. Właściwie wszystko przemawiało za tym, aby nie zostawiać przyjaciela, który mógł się im jeszcze przydać. Dziewięciu Brytyjczyków szybkim marszem dotarło do zagrożonej najazdem okolicy, tam trzeźwo myślący władca powitał nadchodzącą odsiecz podarunkiem, którym był sprawiony już wieprz. Zaopatrzenie więc było, natomiast pomoc wojskowa nie bardzo się powiodła. Piorun białego człowieka nie miał zastosowania w warunkach tahitańskich bitew, gdzie obie strony walczyły wręcz, a więc strzał z muszkietu mógł powalić wojownika króla Oparre zamiast napastnika.

W tej sytuacji ekspedycja zawróciła, gdyż trzeba było jeszcze mozolić się nad żaglami dla „Resolution”. Ale prace znowu zostały zmaćcone rozpaczliwym wezwaniem o pomoc. Tym razem chytróść najeźdźcy obróciła się przeciw niemu. Usadowił się bowiem w górskim wąwozie i czekał na pojawienie się przeciwnika. Kiedy władca Oparre i jego biali sprzymierzeńcy maszerowali w bój — ze stoków górskich runęły na nich przygotowane tam już u- przednio głazy. Wtedy odezwały się muszkiety, błyskawice białego człowieka poraziły śmiertelnie trzech napastników. Bitwa o przełęcz została wygrana.

Ponieważ jednak wojna trwała nadal, a marynarze woleli pewnie bitwy morskie, więc znowu zawrócili do zatoki Matavai. Ich statek załadowany prowiantem był już gotowy do rejsu. Tyle tylko, że nie skierowano go do Batawii, lecz znów do Oparre. Tam czekały pirogi wojenne, które „Resolution” miał poprowadzić w bój. Zaraz skrzyknięto dowódców, obradowano nad sytuacją. Wreszcie wysłano parlamentariuszy do wroga, domagając się natychmiastowej kapitulacji.

Przez trzy doby ważyły się losy wojny i pokoju. Aż wreszcie o zmierzchu dostrzeżono, jak ku kwaterze władcy Oparre kroczy pokornie przywódca inwazji. U jego boku szła żona pokonanego, kapłan niósł za nimi białą flagę.

Ostatecznie zawarto pokój. Wydarzenie to z kolei stało się okazją do urządzenia uroczystego festynu. Było tam wiele tanów, jadła i zalotów. Władca Oparre nie zawiódł się na swych przyjaciółach, dziewięciu marynarzy z bardzo dalekich wysp — przyczyniło się swą obecnością do jego tryumfu. Że jednak ciągle były kłopoty ze zdobyciem żagli dla „Resolution”, wypra-

wiono się na pobliską wyspę Moorea. Uzyskane tam maty posłużyłyby do naprawienia uszkodzonych przez wichurę starych żagli „Bounty”. Nie wiadomo, czy wyspiarze Moorea chcieli dłużej cieszyć się swymi egzotycznymi przybyszami, czy też może nie mieli tyle mat na zbyciu — dość, że pobyt tam potrwał kilka dni. A buntownik Norman postanowił nawet zostać tu na stałe. Ostatecznie więc „Resolution” powrócił na Tahiti bez jednego marynarza, ale za to mając na pokładzie tkaniny i wieprzki z Moorea. Co nie znaczy wcale, by właściwy cel wyprawy został osiągnięty.

Morrison notuje w grudniu 1790, iż zbliżała się pora deszczowa, a więc szkuner został wyciągnięty na brzeg i odpowiednio zabezpieczony. Nie było mowy o żegludze bez żagli, zaś nawet i te maty, które przywieźli, były niewystarczające. „Zarzuciliśmy więc dalsze próby i poćwiartowaliśmy wieprzowinę” — obwieszcza nam zrezygnowany kronikarz.

Zawdzięczamy mu też ciekawe relacje o życiu na Tahiti. A toczyło się ono dalej tak, jak gdyby na wyspie nie było nikogo obcego. Nasz kronikarz 13 lutego 1791 roku ogląda

ceremonie dworskie dla uczczenia młodego władcy. Łączą się one z ofiarami w ludziach.  
Zaostrzonym bambusem kapłan wydłu-

bywał kolejno oczy z głowy każdej ofiary, potem trzymał te oczy na liściu przed królem, który z otwartymi ustami zasiadał przed nim. Wygłoszono mowy, pochowano zwłoki ofiar (mieli to rzekomo być przestępcy), oczy układano na ołtarzu.

Zjawili się inni wodzowie, nieśli dary, wiedli w ofierze nie tylko zwierzęta, ale i ludzi. Tego tylko jednego dnia trzydziestu ludzi musiało złożyć życie na ołtarzu ofiarnym.

Zastanawiające jest to, że Morrison niezwykle szczegółowo opowiada nam o sprawach, które wymagały biegłej znajomości języka wyspiarzy, wszystkich subtelności ich mowy. Wyjaśnia nam bowiem istotny sens tej całej ponurej ceremonii, opowiadając, czego sam się dowiedział od obecnych „Indian”. Można mu wierzyć albo nie, gdy rzecze: „Król jest głową ludu, a przeto głowa jest świętością. Oko z kolei jest tej głowy najcenniejszą częścią, czyli że najlepiej nadaje się na królewską ofiarę. Król zasiada z rozwartymi szeroko ustami, aby dusza ofiary wejść mogła do jego duszy...”

W kilka tygodni później zaproszono Brytyjczyków na kolejny festyn, aby przy okazji obgadać bardziej szczegółowo plany zaatakowania wrogów zaprzyjaźnionego z nimi władcy.

Nie było im jednak dane zajęcie się kłopotami swego sprzymierzeńca. Mieli własne. Zanotował Morrison: „Ledwieśmy tylko zasiedli, kiedy nadbiegł w pośpiechu przyjaciel z nowiną, że w zatoce Matavai stanął na kotwicy jakiś okręt”.

To właśnie długie ramię brytyjskiej sprawiedliwości sięgało po buntowników z okrętu „Bounty”.

#### ROZDZIAŁ JEDENASTY

w którym zajmujemy się losami kapitana Bligha i osiemnastu jego podwładnych, zostawionych w szalupie na bezkresnym oceanie. Miała ona ledwie siedem metrów długości, dwa — szerokości, niespełna metr głębokości. Wszystko było przeciw tej garstce ludzi: przeciążona łódź, brak map i broni palnej a jednak dokonali wyczynu, który żyć będzie w pamięci tak długo, jak długo Uczyć się będzie męstwo na morzu: w czterdzieści jeden dni przepłynęli sześć tysięcy siedemset kilometrów, docierając do holenderskich posiadłości na wyspie Timor, „przyczółka mostowego” białego człowieka na tym krańcu świata.

Wiatr bujnie dmie, biel piany wre, Wstecz bruzdę statek orze; Tam pierwszy raz był człek:  
prócz nas Któż wdarł się w ciche morze?  
Woda, woda, woda wszędzie, A tu paczą deski; Woda, woda, woda wszędzie — Ni kropli w  
krtani zeschłej.

•  
...To znów wróg dziki, przed którego złością  
Chyba gościnne morza chronią wody  
Aż gdy do trupów podobni bladeścią,  
Wróć nadmorskie rozprawiać przygody,  
Których gdy dzieje wysłucha tułacz,  
Mąż się przełęknie, niewiasta zapłacze\*.

Owo „ciche morze”, wspomniane przez poetę, to po prostu Ocean Spokojny. Jakkolwiek Coleridge część wątku zaczerpnął z pamiętników Beniowskiego, to jednak najnowsze badania wykazały, że interesował się dziejami „Bounty”, był zaprzyjaźniony z rodziną Christiana i... zresztą, nie uprzedzajmy faktów.

Charles Nordhoff i James Norman Hall w swej klasycznej już teraz trylogii opiewającej dzieje „Bounty” posłużyli się zebranymi przez siebie faktami, na których dopiero zbudowali wątek powieściowy. Choć trudno odsiać prawdę od fikcji literackiej w ich opowieści, tym bardziej iż narracja włożona jest w usta jednego z uczestników tego „rejsu pod przymusem”, zacytuję jego słowa:

„Zaiste, nigdy chyba w dziejach mórz kapitan nie dokonał czynu bardziej chwalebego niż imć Bligh żeglując małą, otwartą i nieuzbrojoną łodzią — długości ledwie dwudziestu trzech stóp — a to jeszcze tak przeładowaną, iż była w stałym zagrożeniu zatonięcia — od Wysp Przyjacielskich aż do Timoru. Jest to odległość trzy tysiące i sześćset mil, droga wiedzie przez bezkresny ocean, przez archipelagi zamieszkałe przez krwiożerczych dzikusów. Pozbawieni byliśmy map. Osiemnastu nas tłoczyło się na poprzecznych ławach wioślarskich, kiedy przez czterdzieści jeden dni płynęliśmy w pod-r. muchach wschodnich wichrów, niemal nieustannie czerpiąc wodę z łodzi, aby jakoś utrzymać się na powierzchni, dniem i nocą smagani przez ulewne deszcze. A jednak, prócz Johna Nortona — zamordowanego przez dzikusów z Tofoa — dopłynęliśmy do Timoru bez strat w ludziach. Za to ocalenie życia naszego winniśmy wdzięczność kapitanowi Blighowi, i tylko jemu. Nie za sprawą cudu jakiegoś dotarliśmy do holenderskich Indii Wschodnich, jeno dzięki dowodzeniu przez oficera o nieujarzmionej woli, biegłego w morskim rzemiośle, surowego w zachowaniu dyscypliny, opanowanego i pogodnego w obliczu niebezpieczeństwa. Imię jego czczone będzie przez tych, którzy mu towarzyszyli tak długo, jak tylko im życia starczy...”

Jak to było naprawdę? Dziewiętnastu ludzi (z kapitanem) rzeczywiście ulokowało się na łodzi w niewiarygodnej ciasnocie, mając pod nogami chlu- począcą wodę, przy sobie zaś skromne mienie, trochę żywności. Morrison cisnął jeszcze z pokładu „Bounty” kilka ćwiartek wieprzowiny Johnowi Nortonowi, ale ten jakoś nie zdołał w porę schwycić daru, mięso wpadło do wody.

Zaraz po rozstaniu, kiedy „Bounty” malał na oceanie, znikając w dali, przy łodzi zaczął harcować rekin i marynarze spodziewali się ataku. Sześć wiosł w rytmicznie biło w fale oceanu, potem podniesiono żagiel. Gdy ujrzeli czubki palm, kołyszących się na wietrze na wyspie Tofoa, pokierowali swą łódź w tę stronę, aby jakoś zaopatrzyć się w żywność na czekających ich rejs.

Mieli bowiem ubożuchne zapasy. Było tego jakieś osiemdziesiąt kilogramów sucharów, szesnaście ćwiartek wieprzowiny, sześć litrów rumu, sześć butelek wina i sto dwadzieścia litrów wody słodkiej, co naturalnie podaję Wam w przeliczeniu na nasz system miar i wag,

abyście się nie mozolili z funtami czy innymi miarami brytyjskimi, wyliczanymi skrupulatnie przez źródła. Jak na tyle chłopa — zapasów było niewiele.

Tym bardziej, że nikt nie był w stanie powiedzieć, jak długo mają tak żeglować. No i dokąd? Pisarz Samuel zabrał co prawda ze sobą dziennik pokładowy, ale nie pozwolono mu wziąć żadnych map. Mieli jeszcze busolę, kilka prostych pomocy nawigacyjnych, trochę narzędzi ciesielskich i cztery kordelasy. Nie mieli jednak broni palnej, czyli tego, co dałoby im naprawdę możliwość obrony przed dzidami czy kamieniami ciskanymi przez „Indian”.

Stłoczeni na łodzi marynarze spędzili noc na oceanie, prawie nikt oka nie zmrużył w tej ciasnocie. Fale były gniewnie o brzegi wyspy, właściwie tylko wplaw można było dostać się na ląd, aby zdobyć trochę owoców chlebowca i — co najważniejsze — uzupełnić posiadany mały zapas wody słodkiej. Ale umiejętność pływania wcale nie była wtedy powszechna w marynarce. Fryer w tym, jakże trudnym do podrobienia, brytyjskim stylu wypowiedzi oświadcza bez ogródek, iż jeśli chodzi o niego, to „niedaleko by się posunął naprzód w wodzie, a to dlatego że nigdy nie uczył się sztuki pływania...”

Ostatecznie Samuel dostał polecenie przeprowadzenia zwiadu na wyspie i zorientowania się w sytuacji.

W szalupie władza kapitana Bligha nie była wcale tak wszechpotężna jak na okręcie Jego Królewskiej Mości. Naprawdę wiernym był mu tylko ów Samuel. Reszta była lojalna, owszem, ale nie wobec dowódcy, który „stracił twarz” — jak się powiada na Wschodzie — lecz wierna wobec floty. No i doskonale się orientowali, iż pozostanie ich między buntownikami musiałoby być uznane za uczestnictwo w czynie pirackim, za który groziła szubienica. Właściwie zgodni byli w opinii, że to z powodu Bligha znaleźli się na tej łupince, rzucanej falami, że to on zawrócił ich z drogi do starej Anglii...

Owej bezsennej nocy i sam Bligh wiercił się niespokojnie na twardej ławce szalupy. Wydaje się, że rozmyślał nad wyjaśnieniem, jakie kiedyś — gdyby dane mu było przeżyć — wypadnie mu złożyć przed obliczem dostojnych sędziów. Postradał powierzony mu okręt, tego nie puszczano płazem.

Sięgnijmy po jego wspomnienia, które wydane w Anglii stały się z miejsca bestsellerem. Wszystkiemu zawiniły — pisze tam wprost — urocze dziewczęta z Otaheite, które skusiły marynarzy do pozostania na wyspie... „Można oczywiście zastanawiać się nad tym, dlaczego doszło do rewolty. Mogę tu tylko nadmienić, iż buntownicy karmili się nadzieją szczęśliwszego bytowania między wyspiarzami Otaheite, niż było im dostępne w samej Anglii, co też w połączeniu z różnymi żeńskimi znajomościami najprawdopodobniej doprowadziło do owego działania” — pisze Bligh. I dodaje, że „do dezercji dochodziło zawsze z większości okrętów, jakie były na Wyspach. Jednakże zwykle dowódca był w stanie nakłonić kacyków do wydania zbiegów. A więc przekonanie, że dezercja nie popłaca, być może, z kolei nasunęła myśl, że niezmiernie łatwo jest zaskoczyć dowódcę na tak małym stateczku oraz że tak wspaniała sposobność może się już więcej nie powtórzyć... Wręcz niewiarygodna była tajemnica wokół tego spisku. Trzynastu z tych, którzy pozostali ze mną, mieszkało przecież cały czas między marynarzami. Ale ani oni, ani nikt z tych, którzy dzielili pomieszczenia z Christianem, Stewartem, Hey-woodem czy Youngiem, nigdy nie zauważyli niczego, co dałoby im najmniejszy powód do domysłu, co się też tam szykuje. Wobec tak skrytej podłości, która była poza podejrzeniem umysłu, trudno się dziwić, że padł jej ofiarą. Być może, gdybym trzymał na pokładzie piechotę morską, to wartownik strzegący drzwi mej kabiny nie dopuściłby do tego. Ale ja zawsze sypiał z otwartymi drzwiami, aby wachtowy miał wstęp do mnie o każdej porze, jako że myśl sama o podobnym sprzysiężeniu nie mieściła mi się w głowie. Gdyby bunt ten wywołany był jakimiś pretensjami, uzasadnionymi bądź też urojonymi, musiałbym dostrzec objawy niezadowolenia, a wtedy miałbym się na baczności. Tu zaś daleko było do tego. Właśnie akurat z Christianem byłem na szczególnie przyjacielskiej stopie. Onego to przecież dnia Christian miał zasiąść ze mną do stołu, poprzedniego zaś wieczoru odmówił towarzyszenia mi przy kolacji, zasłaniając się złym samopoczuciem. Przejąłem się tym, nie mając podejrzeń, co do jego szczerości i honoru...”

Wiemy, że już w kilka godzin po buncie Bligh zabrał się do opracowywania czegoś, co byśmy dziś nazwali listem gończym za buntownikami! Nie wiedząc, czy żyć będzie i czy ujrzy kiedykolwiek ojczyste brzegi, pozostając . jeszcze na chybotzącej łodzi, Bligh hołubił nadzieję zemsty. Czytamy w dzienniku pokładowym zanotowane nazajutrz po buncie słowa: „Led- wieśmy się oddalili od aBounty®, jużem zastanawiać się począł nad ułomnością natury człowieczej. A jednak doświadczałem jakiejś wewnętrznej satysfakcji, która broniła mnie przed załamaniem rąk, świadomy, że winien szczerze i z zapałem służyć swojemu krajowi. Przeto w nastroju wcale nie żalonym odczuwałem nawrót nadziei, iż mimo mego bezbrzeżnego nieszczęścia dane mi jeszcze będzie złożyć Królowi i Rodakom relację o moich niedolach...”

Późną jesienią 1976 roku słynna londyńska firma Christie wystawiła na licytację niewielki notatnik, oprawny w skórę. Tam sto siedem stron zapisanych jest maczkiem, nakreślone są szkice map. To jest notatnik Bligha z owej wyprawy szalupą. Istnienie tych notatek nie było znane historykom. Dokument ten pozostał po śmierci Bligha w rodzinie żeglarza, teraz jeden z jego potomków — nie życząc sobie ujawnienia tożsamości — postanowił rozstać się z książeczką, której strony nadzarte są przez sól Mórz Południowych.

Muzeum Morskie w Greenwich, gdzie jest pokaźna dokumentacja „Bounty”, nie mogło nabyć notatnika, cena wywoławcza pięćdziesiąt pięć tysięcy funtów szterlingów przekraczała możliwości finansowe tej instytucji. Ostatecznie posiadaczem stał się zasobniejszy w gotówkę rząd federalny Australii.

Ciekawe, że o istnieniu tego notatnika nie wspomniał nawet i sam Bligh w swej książce, opublikowanej po powrocie do Anglii. Choć treść tych notatek nie odbiega w sposób zasadniczy od późniejszych wspomnień Bligha, jednak biorąc pod uwagę fakt, że były to zapiski spontaniczne, czynione na gorąco — porównanie ich z innymi tekstami może okazać się nader ciekawe. Ujawnia mianowicie to, co Bligh chciał pominąć milczeniem w pismach, które przeznaczał dla szerokiego ogółu. Richard Hough, który w roku 1972 wydał pracę pod tytułem „Kapitan Bligh i pan Christian” — jest zdania, że ustawiczne wezwania do łaski boskiej („... zbaw nas w nieszczęściu tak strasznym, jakie nigdy jeszcze nie dotknęło ludzi, niech łaska Twa zawiedzie nas u\*“

do bezpiecznej przystani i w końcu przywróci nas naszym zrozpaczonym rodzinom i przyjaciółom") nie występuje wcale w książce, wydanej przez Bligha wtedy, gdy otaczała go aureola bohatera.

Odręczny dopisek na samym końcu owego notatnika stwierdza: „Sprawozdanie to zachowałem w moim sercu jako wspomnienie czasu naszego i nanosiłem na karty mego dziennika dnia każdego, kiedy tylko pogoda na to zezwalała, włącznie z opisem wydarzeń wszelakich...”

Ostatnie trzy karty notatnika zostały wyrwane z oprawy. Na nich to powstał właśnie brulion owego listu, który miał służyć do ścigania buntowników. Pod numerem pierwszym Bligh umieścił swego dawnego protegowanego nazwiskiem Fletcher Christian...

Jako się jednak rzekło, aby uruchomić maszynę królewskiego gniewu i wszczęć pościg za winowajcami, trzeba było najpierw list gończy przekazać do Anglii. Czyli wybrnąć samemu z tej sytuacji wielce niebezpiecznej.

Zauważa McKee, że jakkolwiek wyspa Tofoa należy do archipelagu Wysp Przyjacielskich, to jednak przyjaźń ta widać nie dotyczyła tych żeglarzy, którzy byli bezbronni...

Szalupa kilka dni kołysała się u wybrzeży Tofoa, nazbierano trochę prowiantu, jednak marynarzom nie podobały się wędrowniki „Indian” z krańców wyspy, a już byli wręcz wystraszeni dostrzeżonymi na pirogach „arsenałami” kamieni. Przecież wyspiarze byli mistrzami w celnym ciskaniu, zwłaszcza wtedy, kiedy nie trzymały ich w bezpiecznej odległości „pioruny” białego człowieka.

Walka rozgorzała zgodnie z przeczuciami Brytyjczyków. Tubylcy namawiali Bligha, aby przenocował na wyspie, on jednak zaalarmowany widokiem gromadzonych przez ludzi z Tofoa kamieni — żwawym krokiem pośpieszył ku łodzi. Wtedy wyspiarze chwycili sznur, przytwierdzony do łodzi, i zaczęli ciągnąć co sił, aby z rozpędu osadzić łódź na lądzie.

Bystry Fryer kazał rozluźnić linę. Straciwszy na moment równowagę wyspiarze poprzewracali się bezładnie na siebie. Wykorzystując zamieszanie w obozie wroga, Fryer zaczął nawoływać swego dowódcę, aby wszedł w morze, a wtedy pomogą mu wdrapać się na łódź. Przy Blighu został jeszcze cieśla Purcell, Fryer manewrował roztropnie, ale sytuacja pogorszyła się raptownie. Wysoka fala mogła lada chwila cisnąć przeładowaną szalupę na rafy koralowe. I do tego jeszcze grad kamieni posypał się na żeglarzy. Bligh i Purcell byli już w wodzie, można było mniemać, że przygoda skończy się dobrze, kiedy zdano sobie sprawę, że jeszcze jedna lina przytwierdza łódź do małej kotwicy, rzuconej w piaski plaży.

John Norton wyskoczył z łodzi i wdrapał się na brzeg. Był głuchy na nawoływania do powrotu. Zapal bojowy wyspiarzy obrócił się teraz przeciw samotnemu marynarzowi. Bezradni koledzy widzieli z łodzi, jak Norton bronił się przed napastnikami, aż runął na ziemię i więcej nie powstał. Na oczach marynarzy, na piasku wyspy John Norton został ukamienowany.

Linę, którą zawładnąć chcieli wyspiarze — przeciął wreszcie sam Bligh. Kotwiczka natomiast zaczepiła się o rafę koralową i dopiero przypadek umożliwił zerwanie się jej z uwięzi. Chwycono za wiosła, powoli szalupa oddalała się od brzegu, na którym wyspiarze wciąż bez opamiętania tłukli kamieniami skrwawione szczątki Johna Nortona.

McKee cytuje na marginesie tej ponurej sceny to, co znacznie później zapisał walebnym James Bligh, krewny dowódca: „Słyszałem, jak kapitan



Bligh powiedział, że dla załogi szalupy było to pomyślne wydarzenie, jako że Norton był najtęższy na całym statku, co odbijało się ujemnie na żeglowaniu szalupą tudzież na rozdziale żywności..."

Okrutne to, ale realne stwierdzenie sprowadzało się do tego, iż szalupa przeładowana, a przeto — głębiej zanurzona — płynęła powoli. Nawet i teraz, kiedy John Norton ubył, lekkie pirogi wyspiarzy dopadły szalupy, otoczyły ją i bombardowały kamieniami. Krew zalała oblicze kanoniera Peckovera, kilku innych marynarzy też dosięgły kamienie wyspiarzy z Tofoa.

Aby odciążyć jakoś łódź, wyrzucono za burtę dopiero co zdobyte na wyspie zapasy żywności oraz odzież marynarską. Pomysł okazał się podwójnie skuteczny, a to dlatego że nie tylko szalupa popłynęła szybciej, ale i pirogi zatrzymywały się raz po raz. To skakali do wody wojownicy, chęć zdobycia łupów zwyciężyła wolę pokonania przeciwnika. Rosła odległość między zwierzyną a nagonką, wreszcie nadeszła noc i pościg ustał ostatecznie.

Tym razem więc była tylko jedna ofiara. Ale przepadły zapasy, stracono cenny czas i trzeba było ustalić, jaka ma być dalsza trasa całej wyprawy. Czy można znaleźć wyspę naprawdę „Przyjacielską”? Czy też „Indianie” byli serdeczni tylko ze strachu przed bronią przybyszów z dalekich stron? I na jak długo starczy prowiantu?

Starannie obliczono to, co na łodzi było do jedzenia i picia. Potem podzielono te zasoby przez osiemnaście, okazało się, że sucharów starczy na sześć tygodni, wody słodkiej na trzy tygodnie, ale pod warunkiem, że... Hm, wypadło na każdego niecałe trzy dekagramy suchara dziennie, a wody — pół szklanki...

Na chwilę przerwę tok narracji. Na Nowej Zelandii przechowywane są pieczołowicie przedmioty, które były w użyciu wtedy na owej szalupie. Jest więc coś w rodzaju miski sporządzonej ze skorupy orzecha kokosowego, na której nożem wyryto: „Czarka, z której zjadałem mój mizerny dzienny przydział. W. Bligh, 1789”. Jest też kubek z rogu, służący za miarkę do wydawania owego cennego, życiodajnego płynu, jakim była słodka woda...

Już sam widok tych przyborów — później sporządzono jeszcze ze skorupki kokosa szalki do prymitywnej wagi, ale nie wiem, czy gdzieś je zachowano — mówi o nędzy tej garstki ludzi na szalupie. Ale czy można było znaleźć inne rozwiązanie?

Ludzie nawykli do słuchania rozkazów — pewnie z ulgą przyjęli do wiadomości, że jest ktoś do rozkazywania. Przytaknęli więc jednogłośnie, kiedy Bligh zapytał, czy gotowi są przystać na takie głodowe przydziały. Raz jeszcze wziął od nich uroczyste zapewnienie, że nie zmienią swego postanowienia, cokolwiek miałyby się przydarzyć.

Ruszono na zachód. Kanonier Peckover, dopiero co ranny, zaproponował, aby ruszyć ku holenderskim posiadłościom na wyspie Timor. Pamiętał tę wyspę ze swych wędrówek. Koledzy zgadzali się z nim, że tam dopiero mogą spodziewać się pomocy.

Od Timoru dzieliło ich burzliwe morze; trzeba było przepłynąć koło wysp, gdzie czyhało niebezpieczeństwo. Daleki szlak wiódł przez rafy koralowe, pod strugami tropikalnych deszczów oraz prażącymi promieniami słońca. Nie mieli map, byli osłabieni brakiem snu, czekała ich wędrówka o głodzie i zadowalać się musieli połową kubka wody dziennie...

Raz po raz fale morskie przelewały się przez szalupę, wilgotne suchary zaczynały gnić, czerpanie wody i wylewanie jej za burtę nie ustawało już teraz ani na chwilę. Suchary umieszczono potem w szczelnej skrzyni, narzędzia ciesielskie poszły w inny kąt szalupy. Pozwolono sobie nawet na łyżecz

kę rumu dla każdego, gdyż wszyscy byli przemoknięci i zziębnięci w podmuchach wiatru.

Bligh odżył jakby w poczuciu odzyskanej władzy. Osobiście sprawdzał mienie każdego ze swych ludzi, poszło do morza wszystko, co uznał za mniej ważne. Łódź stała się więc znowu lżejsza, łatwiej teraz można było dobrać się do wody, która chłupotała bezustannie na dnie szalupy, i wylewać ją za burtę.

7 maja dostrzegli wyspy, które — jak sądził Bligh — są archipelagiem Fidzi. I — dodajmy zaraz — ich też tam dostrzeżono.

Byłem na Fidzi. Jeszcze nie tak dawno rozkoszowano się tam przysmakami zwanymi „długa świnia”, czyli po prostu pieczonym na rożnie człowiekiem. Widząc z górskich punktów obserwacyjnych samotną szalupę ludożercy nie mogli jednak ustalić, czy to szykuje się uczta, czy też im samym sprawią krwawą łaźnię tajemnicze moce, którymi włada biały człowiek.

Wyobrażam sobie, że pewnie gorączkowo naradzali się wodzowie, że bębny zwoływały wojowników, aż wreszcie wysłano patrol na szybkich pirogach, aby zorientować się w sytuacji.

Marynarze widzieli te czółna, pewnie serca im się krajały, gdyż płynęli tak blisko brzegów, że dostrzegali górskie potoki, niosące ku dolinom świeżą, źródlaną wodę, wabiła ich soczysta zieleń i drzewa brzemienne owocem. Ba, gdyby mieli muszkiety — mogliby zachłysnąć się świeżą wodą, najeść bananów i zebrać mleko z młodych kokosów...

Ale od tych wspaniałości musieli właśnie uciekać, coraz bliżej była wojenna piroga wyspiarzy. Wtedy to miało dojść do gniewnej wymiany zdań:

— Żwawo, chłopcy, wiosłujcie, co sił starczy! Jak nas dopadną, posiekają na kawałki! — wołał Bligh.

Warknął stary wilk morski Lawrence Lebogue: „Przebóg, waszmość sprawi, iż postradamy zmysły ze strachu. Niech no pojawią się tu ci przekłeci, walczyć będziemy aż do utraty tchu...” I jakby do siebie wymamrotał: „A to dopiero, czy wypada, by komendant był pierwszym, którego strach obleciał?”

Słusznie czy niesłusznie? Bligh nie lękał się chyba bardziej niż inni, w razie starcia wszyscy na łodzi mieli równe szanse. Ale pewni ludzie w obliczu śmierci chcą wyjść na jej spotkanie w spokoju, nawoływanie kapitana mogło ich rozgniewać. Nam natomiast Bligh teraz imponuje spokojem, skoro wiemy już, że nie tylko poprawnie rozpoznał Fidzi, ale w napięciu ucieczki — zdołał zapamiętać linię brzegową tak dokładnie, iż sporządzone przezeń mapy wytrzymały próbę czasu. Uzyskały wtedy taki rozgłos między europejskimi żeglarzami, iż przez długie lata wyspy te znane były pod nazwą Wysp Bligha.

S

Ostatecznie piroga zawróciła, wojownicy nie mieli przecież pewności, czy ścigani nie chcą ich zwabić na dalekie wody i tam porazić swymi piorunami.

Myszę, że trudno nam teraz, w epoce radia, którym można wezwać pomoc, teraz, kiedy jest wielka szansa, iż szalupę rozbitków dostrzeże przelatujący odrzutowiec pasażerski, gdy — co najważniejsze — zerwanie łączności ze statkiem uruchamia natychmiast międzynarodowy system pomocy, trudno nam — powtarzam — zrozumieć ogrom samotności tych ludzi na oceanie.

Deszcz był ich napojem. Ale ulewa sprawiała zarazem, że byli przemoknięci, nie mieli sposobności suszenia swych ubrań. Drzemali, gdyż trudno było marzyć o prawdziwym śnie w ciasnocie łodzi, głodowali, gdyż nie można było rozsądnie gospodarować zapasami, skoro nie było wiadomo, kiedy dobiją do celu podróży. W zapisie pod datą 25 maja znajdujemy notatkę o tym, jak udało im się złowić ptaka wielkości mniej więcej naszego gołębia.

Jak pożywić tą mizerną zdobyczą osiemnastu chłopa? A więc dla sprawiedliwego podziału, poćwiartowano surowego ptaszka, dzieląc go — razem z wnętrznościami i dziobem — na osiemnaście miniaturowych porcyjek. „Biesiada” czekała na deseczce, jeden z marynarzy odwrócił się, zaś drugi pokazywał palcem na którąś z resztek ptaka i głośno pytał: „No, a to dla kogo ma być?” Padało nazwisko rzucone przez tego, który był odwrócony — w ten sposób ślepy los miał ustalać, co komu przypadnie. Był to pradawny zwyczaj, praktykowano go w godzinach niedoli na głodujących statkach. Ten, kto wylosował tylko dziób — obywatel się smakiem.

Innym razem, gdy zdobycz była wielkości kaczki, najpierw przed ćwiartowaniem ptaka wykrwawiono, jego krew dostali do picia trzej marynarze najbardziej osłabieni.

Tylko przez krótki czas oglądali słońce, mogli się wtedy trochę wygrzać i próbować podsuszyć przynajmniej swe łachmany. W ocenie tej niewiarygodnej wyprawy historycy są jednak zgodni, że słońce zabiłoby bez wątpienia ludzi, którzy nie mieli żadnej osłony ani też nie mogli się orzeźwić słodką wodą. Kilka dni pięknej pogody musiałyby nieuchronnie wieść do odwodnienia wycieńczonych organizmów.

Jak wspominałem, sporą część trasy, najtrudniejszą ze względu na rafy koralowe, odbyłem kiedyś na australijskim statku „Cape Moreton” obsługującym latarnie morskie na małych wysepkach Morza Koralowego. Wspominam o tym dlatego, że statek ten „nafaszerowany” był najnowszym sprzętem nawigacyjnym, jaki tylko nauka przekazała ludziom morza.

Powróćcie znów we wspomnieniach, drogie mi chwile, kiedy to nocą śledziłem na ekranie radaru ponure kontury śmierci zakłętej w miliardach koralowych budowli pod powierzchnią morza, a w tym samym czasie kapitan Harold Chesterman dowiadywał się od echosondy, co się też tam dzieje pod samym statkiem i na jego dalszej trasie, lub kiedy czekaliśmy świtu, aby przybliżyć się do maleńkiej wysepki, zaznaczonej jako kropka na Morzu Koralowym, by tam opuścić na fale pojazdy-amfibie, zwane pieszczotliwie „Donald” oraz „Daisy”, które wiozły paliwo dla latarni morskiej, a żywność i pocztę dla latarnika! I gdzie jesteście teraz, Przyjaciele?

Kapitan Chesterman pokazywał mi na mapie trasę rejsu szalupy z „Bounty”. Raz po raz przecinała się ona z tą, przez którą pchały nas konie mechaniczne, prychające pod pokładem w silnikach Diesla. Jadaliśmy o regularnych porach, spaliśmy wygodnie, automatyczne pralki codziennie zajmowały się odzieżą marynarzy, a gdy noc była pogodna i nie było nic do roboty, kino na pokładzie wyświetlało kolorowe filmy. Obecnie — jak mi niedawno donosił kapitan Chesterman — na statku ma jeszcze do dyspozycji śmigłowiec. Gdy jest bardzo burzliwe morze i trudno dotrzeć do wysepki nawet pojazda

#### MAŻ SIĘ PRZELEKNIE, NIEWIASTA ZAPŁACZE

mi ziemno-wodnymi, wtedy zagania się do roboty helikopter, który ma już nawet swoje „gniazdka”, czyli ładnie wybetonowane lądowiska na wysepkach. Tak że nawet w czasie największej ulewy nie ma obawy, że ugrzęźnie w błocie i będzie miał kłopoty z wyładowaniem transportu czy z powrotem na statek.

Żal mi Pana, Kapitanie Bligh! Gdyby tak podliczyć w tych kilku zdaniach mego tekstu słowa, które Panu, obieżyświatowi i mistrzowi nawigacji — nic nie mówią...

Echosonda, radar, radio, śmigłowiec, silnik Diesla — to tylko kilka z tych urządzeń, które ułatwiają życie Pana następcom, zapuszczającym się w te strony w dwa wieki po Panu... Nie wspomnę już o zamrożonych w chłodniach zapasach mięsa, o gorącej herbacie, miłej angielskiemu podniebieniu, czy zimnym piwie, które tak smakuje po całym dniu pracy w tropikach. O, na pewno, gdyby mógł się Pan zjawić na „Cape Moreton”, który pod flagą z

Krzyżem Południa pływa w znanych Panu stronach, zdumiałby się Pan i... zazdrościł. Myślę, że chyba najbardziej zdumiałoby Pana to wyzwolenie od strachu, które mają australijscy marynarze.

Nie, nie — nie mam tu na myśli ani szubienicy, ani też — czym Pan tak hojnie szafował — „kota o dziewięciu ogonach”. Nie te czasy, Kapitanie, nie te czasy...

Chyba najbardziej byłby Pan zaskoczony, że ci ludzie morza nie boją się pływać między rafami koralowymi, na szlaku, który uchodzi nadal za jeden z najniebezpieczniejszych dla żeglugi, którym przez tysiące mil morskich statki handlowe mogą płynąć tylko z pilotem na pokładzie.

„Cape Moreton” ma „oczy”, które widzą w ciemnościach, zaglądają pod statek, w każdej chwili mogą zeskoczyć do morza płetwonurkowie czy nurkowie w skafandrach, aby obejrzeć statek pod wodą czy zainteresować się jakimś znaleziskiem na dnie atolu. Mają mapy, poprawiane stale tak, aby nadażyć za mozolną pracą „budowniczych” raf koralowych.

Pan nie miał ani map, ani tych technicznych cudów. Czytamy więc, że kwadrans po północy 28 maja właściwie tylko wprawny słuch imć Fryera uchronił Pana i tych siedemnastu towarzyszy niedoli — od nieodwracalnej w skutkach katastrofy. Fryer wsłuchiwał się w pomruki morza, miał wrażenie, że gdzieś w oddali fale rozbijają się o jakieś skały. Jego nawoływania trwały czas dłuższy, nim ocknęli się inni.

Przecież pisał kilka dni wcześniej kapitan Bligh: „O świecie niektórzy z mych ludzi wyglądali na półżywych. Jest to żaloszny widok, nie mogę wprost zatrzymać mych oczu nigdzie, gdzie nie spotkałbym się ze spojrzeniem zrozpaczonego człowieka. Cierpimy głód, teraz to już widać coraz wyraźniej, ale nie dokucza nam tak pragnienie, i nawet jakoś nie mamy potrzeby picia. Kto wie, może zaspakajamy przez własną skórę zapotrzebowanie organizmu na wodę, przecież ulewa nie ustaje, nawet zasypiamy już w wodzie...” „Woda, woda, woda...” To, co usłyszał Fryer, musiało jednak zelektryzować wszystkich. Sternik również miał wrażenie, że gdzieś są przed nimi skały, osiemnaście par oczu usiłowało przebić mrok i ulewę. Wreszcie okazało się, że wiatr spycha szalupę prosto na rafy. Trzeba było wielu manewrów, aby jakoś doczekać świtu w bezpiecznej odległości. Rankiem marynarze ujrzeli jakby furtkę wiodącą do rajy. Szalupa przemknęła przez to przejście, zarzucono kotwicę.

Rozkoszowano się gładką taflą morza, po raz pierwszy od czterech tygodni łódka nie była miotana przez fale.

Znaleźli się bowiem wewnątrz zapory koralowej, odgradzającej na oceanie kilka maleńkich wysepek. Można było mieć pewność, iż są bezludne, więc marynarze z szalupy wskoczyli do wody i brodzili ku ziemi...

Zataczali się jak pijani. Byli nie tylko osłabieni głodem, ale w ciasnocie łódki nie mieli możliwości poruszania się, jedynym „ćwiczeniem” było wiosłowanie lub czerpanie wody z dna. Nogi zupełnie zdrętwiały z trudem stały kroki. Rozkołysany horyzont nagle uspokoił się i rysował przed oczyma prostą, nieruchomą linią.

Radował ich spokój i cisza, nagle poczucie bezpieczeństwa. Ucieszyli się obfitością ostryg, zaraz zabrali się do zbierania. Nie, nie uśmiechajcie się złośliwie, że czekało na nich tak wytworne danie! Były to przecież czasy, gdy ostrygi były jedzeniem biedaków. Pisał nieco później Karol Dickens, że „ostryga i nędza zawsze chodzą w parze”. Trudno tym się najeść, za to są lekkostrawne, zaś ludzie z szalupy uskarżali się wszyscy na bóle żołądka. Od tygodni nie mieli w ustach ciepłej strawy, jadanie surowego mięsa ptasiego też nie odpowiada wszystkim...

Bligh zasiadł pod drzewem, na wyspie, niemal cały czas spędzał na notowaniu. Fryer przypuszczał, że chodzi o jakieś obserwacje topograficzne, ale okazało się, że Bligh opracowywał nową wersję modlitwy porannej i wieczornej, w dalszej drodze odmawiano pospołu te modły kapitana. Poza tym miał znowu atak swej złości.

Tym razem pysznił się, że gdyby nie on — nigdy by na tę wysepkę nie trafili. Załoga przyjęła to jednak drwinami, powiedzieli kapitanowi, że ma rację... Nawet Nelson, botanik, który we wszystkich sprawozdaniach figuruje jako wzór pogody ducha i łagodności, nie mógł się jednak powstrzymać od westchnienia: „Zaiste, niech będzie przeklęty, to tylko jego sposobowi bycia zawdzięczamy, iż wdepnęliśmy w taką przygodę...”

31 maja bez trudu przedostano się na inną wysepkę, tam zorganizowano trzy osobne grupy, które planowo i systematycznie zbierały ostrygi i znosiły do szalupy. Byli już wtedy wśród żeglarzy ludzie niezdolni nawet do tego wysiłku. Ci, zupełnie Obojętni wobec otaczającego ich świata, czekali na plaży na powrót swych towarzyszy.

Pierwszy zjawił się z workiem pełnym ostryg cieśla Purcell. Scenę, jaka się wtedy rozegrała na tej bezludnej wysepce między nim i kapitanem, zapisał Fryer. Bligh obrzucił cieśnię stekiem wyzwisk:

— Nędzny łajdaku! Czemuż zabrałem cię tu ze sobą! Gdyby mnie nie stało, wszyscy byście szczęśli!

lp Racja. Gdyby nie pana osoba, to wcale byśmy tu nie byli...

— Cóż to za insynuacje?

— Powtarzam, że gdyby nie pan, to nie byłibyśmy tu teraz.

— Łajdaku przeklęty, coż chcesz przez to rzec?

— Nie jestem łajdakiem, panie, jestem tak dzielny, jak i waszmość.

Utarczka słowna przybrała niebezpieczny obrót. Bligh zniecka wyciągnął zza pasa kordelas, zaczął wymachiwać nim nad głową podoficera. Co więcej, wrzeszczał nań, aby i on wziął kordelas i bronił się. Dwaj nędzarze w łachmanach, słaniający się z wycieńczenia, sztykować się mieli na bezludnej wyspie

do dramatycznego pojedynku. Nie było złudzeń, że z ran musieliby wtedy zginąć oba). Energicznie wkroczył w sprawę Fryer, który szczęśliwie był akurat w pobliżu, oświadczając, że zatrzymuje obu, kapitana i cieślę. Teraz ku niemu, Fryerowi, obrócił się gniew Bligha:

— Przebóg, tknij mnie tylko, a porąbię cię na kawałki!

— Panie, teraz nie chwila po temu, aby mówić o bijatyce!

— Ten człek, ten człek mi powiedział, iż wart jest tyle, co i ja sam! Odpowiedział Purcell:

— Skoro potraktowałeś mnie pan jako łajdaka,

tom odrzekł, że nim nie jestem, a odwagi mi nie brak jako i panu...

Cały ten spór trwał krótko. Bez wątpienia wszyscy byli tak znużeni, że nie mogli myśleć poważnie o walce na śmierć i życie. Ale Bligh nie był wdzięczny rozjemcy, bez którego może by się krew połała. Przywołał oficera:

— Imć Fryer, pana zachowanie jest niedopuszczalne! Gdyby doszło do tego, że wtrąca się pan do mych czynności urzędowych, gdyby miało znowu w przyszłości dojść do wykroczeń z tego powodu, pan będzie tym, którego stracę pierwszego.

— Żałuję, panie, ale nie rozumiem, kiedy to miałem działać w sposób niedopuszczalny?

— Wtedy, gdy wyszedł pan z szalupy, wołając, że mnie pan aresztujesz.

— Niech wolno mi będzie jednak, kapitanie, rzec panu, dlaczego był pan wtedy w błędzie.

— Ja, w błędzie?!

— Tak, pan się mylił. Sam się pan zniżył do poziomu cieśli, kiedy zagroził mu pan swym kordelasem i wołał, by on też sięgnął po nóż. Gdyby on się posłuchał, gdyby go pan wtedy zabił, twierdzą, że prawo byłoby po jego stronie.

Obecni nie zrozumieli czy nie zapamiętali mamrotania, które dobiegało z ust rozszoszczonego kapitana. Fryer, który przecież służył na morzu dłużej niż Bligh i musiał być człowiekiem głęboko doświadczonym, nie zrażony tym bełkotem mówił spokojnie dalej:

— Nie trzeba bić się, panie, są jeszcze inne sposoby, aby ludzie podporządkowali się pana rozkazom. A wtedy, wiedz pan, masz całkowite poparcie, jakie tylko leżeć będzie w mej mocy...

Smakowity zapach gotowanych ostryg, które akurat przyrządzano na wieczorny posiłek na ognisku — ostatecznie zlikwidował spór, nieobliczalny w następstwach.

Wydawać się może, iż Bligh zupełnie zatracił poczucie rzeczywistości. Zapomniał, że w owych dramatycznych chwilach nie był już „pierwszym po Bogu” w uporządkowanym świecie brytyjskiego okrętu wojennego, lecz tylko jednym z zagłodzonych ludzi, wegetujących nędznie na małej wysepce. Nie wiedział, co mu niesie jutro, ale miał dla siebie — wspominając ów incydent — chwalebne słowa: „Ostatecznie postanowiłem nie cofnąć się przed niczym, aby zachować moją władzę albo zginąć w jej obronie...” Podwładnego swego natomiast określił po tych zajściach jako „istotę lichą i ciemną, skorą zawsze do wykroczeń a następnie — do proszenia o przebaczenie...”\*

Dni pełne wyrzeczeń dały o sobie znać. Nie pomogła pokrzepiająca strawa na małych wysepkach. Byli ludzie, których organizm przeszedł już pewne zmiany nieodwracalne. Ci nie tylko nie mogli brać udziału w szukaniu ostryg, ale nawet jedli je z trudem.

Botanik Nelson chciał włączyć się do pracy kolegów, lecz odnieśli go do szalupy dwaj koledzy, gdyż skręcał się z bólu, nękany przez schorzenia żołądkowe, nie mógł iść i był na wpół oślepy, co — jak się dziś domyślamy — było wynikiem braku witamin w tym ubogim jadle, które dostawał.

Gdy nocą rozpalono ognisko, zajęła się sucha trawa i płomień wystrzelił wysoko w górę, co z kolei zaniepokoiło Bligha. Mogliby zostać dostrzeżeni z innych wysp i znaleźć się pod gradem kamieni czy dzid. Bligh wrzeszczał, może nawet i miał rację.

Po północy ruszono na poszukiwanie żółwi, lecz nie udało się złowić żadnego. Taki rosół bardzo by im się wtedy przydał... Bligh cierpko zauważył, że trudno jest złapać żółwia, gdy się tak hałasuje. Zapisał Fryer: „Właściwie to nie hałasował nikt poza Blighem...”

Szalupa przemknęła się następnie przez Cieśninę Torresę, czyli między Nową Holandią (obecnie Australią) a wielką wyspą Nowa Gwinea. Lawirowała między wyspami, zwanymi obecnie Wtorek, Środa, Czwartek i Piątek.

Ja byłem tylko na wyspie Czwartek, pozostałe są bezludne, czasem tylko zjawiają się tam na krótko poławiacze perł czy rybacy. Wyspiarze z Cieśniny Torresy jeszcze na początku naszego stulecia byli postrachem sąsiadów i małych statków, które przybliżały się nieostrożnie do ich brzegów. Papuasi z Nowej Gwinei też przejawiali nieokielzane skłonności do zdobywania i spożywania ludzkiego mięsa.

Union Jack nie powiewał jeszcze wtedy nad całą Australią. Wielki łąd drzemał tak, jakby zastygł przed tysiącami lat. Miał wtedy, jak byśmy dziś nazwali, złą prasę.

Odkrywcy, zaglądający przypadkowo czy celowo w te strony, przeważnie trafiali na najbardziej niegościnne, pustynne brzegi. Ich raporty znane były pewnie kapitanowi Blighowi, zdawał sobie sprawę, iż nie ma na co liczyć w Nowej Holandii, wręcz przeciwnie, strzec się musi ciemnoskórych mieszkańców wybrzeży.

Nieśmiało, ostrożnie zapuszczano się pod osłoną nocy na nadmorskie plaże, aby szukać małży czy słodkiej wody, aby dać ludziom możliwość wygodniejszego noclegu. Wpływali więc ukradkiem do małych zatoczek, gdzie zapory z koralowca strzegły przed ich najgroźniejszym wrogiem: morzem.

10 czerwca Bligh zapisał, że stan chorych raptownie się pogarsza. Uważał, że ich dni są już policzone, że nie przeżyją, jeśli żegluga trwać będzie nadal.

W tym czasie na haczyk, holowany przez szalupę, złapał się dorodny delfin. Nie bez walki wyciągnięto go na łódź, potem przy napiętej uwadze wszystkich marynarzy — poświęcili go razem z wnętrznościami, uzyskując trzydzieści sześć sporych porcji.

O odbyło się tradycyjne losowanie, tylko chorym wydzielano najlepsze kęski, aby jakoś ich życie podtrzymać. Lawrence Lebogue, kiedy podsunięto mu starannie pokrajany kawałek, odwrócił głowę ze smutkiem i rzekł: „Nie dla mnie już jadło, chłopcy”.

W ciężkim stanie był też botanik Nelson, ale umysł jego pracował jeszcze przytomnie. Kiedy o szalupę otarło się w wodzie jakieś stworzenie „większe niż nasza łódź” i Bligh przypuszczał, iż to krokodyl, słabym głosem uczony włączył się do dyskusji: „Wysoce prawdopodobne, panie, przecież kapitan Cook oglądał je na tych wodach...”

Bligh obliczał, iż od Timoru dzieli ich jeszcze trzysta mil morskich żeglugi. Jak się wydaje, mimo nalegań Peckovera, który rozpoznał trafnie maleńką wysepkę nie opodal Timoru, i Fryera, Bligh zboczył znacznie z kursu.

Przy tej okazji znów doszło do gwałtownego sporu między nim a Fryerem. Rzekł Bligh, gdy słyszał krytykę swej nawigacji:

— Panie, wygląda na to, iż chcesz mnie pozbawić statku.

— Nie, panie, gardzę pana pomysłami. Daleki jestem od chęci odbierania panu statku.

Bligh wtedy znowu wykrzykiwał swe groźby, klął i odgrażał się, że porąbie Fryera na kawałki. Fryer jednak opanował się, mówiąc, iż kapitan Bligh „chciałby usłyszeć oświadczenie, które wykorzystać by mógł w odpowiednim czasie”.

Była trzecia nad ranem, Bligh dzierżył ster, kiedy młody Tinkler długo patrzył przed siebie, usiłując dojrzeć coś w mroku.

Odwrócił się nagle i łamiącym się ze wzruszenia głosem, zawołał do dowódcy :

„Ziemia, sir!”



LUCJAN WOLANOWSKI

178

Bligh przywołał Fryera do steru, sam stanął na dziobie. Przez kilka chwil słyhać było naradzających się żeglarzy. „Nie, nie, to tylko gęsty obłok...” „No, skąd, przecież to ląd, widać nawet wzgórza...”

Nadbiegła wysoka fala, dźwignęła szalupę i przez jeden moment w poświacie księżycowej dostrzec można było wyraźnie ciemne kontury wyspy.

Bligh jeszcze dłuższą chwilę wpatrywał się w mrok, doświadczone oko starało się wykryć prawdę, od której teraz zależał los osiemnastu ludzi w małej szalupie. Wreszcie, po namyśle, powiedział głośno i wyraźnie słowa, na które czekali przez czterdzieści jeden dni: „Timor, chłopcy!”

-

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ip

Tak, na pewno wielką sensacją, i to nie tylko na jeden dzień, stać się musiało 14 czerwca 1789 roku wejście do portu w Kupangu na Timorze szalupy, której wioślarze przypominali bardziej upiory niż ludzi. Życie w nich ledwie się kołatało.

Reporter, lądując tu dwa wieki później, wspomina bujną, intensywną zieleń wyspy i wzgórze, niezawodnie te właśnie, które dostrzegł owej pamiętnej nocy bystry żeglarz z „Bounty”.

Dziś nie powiewa już nad wyspą ani flaga Portugalii, ani Holandii, ani Union Jack, ani też sztandar Wschodzącego Słońca. Na naszych oczach runęło w gruzy portugalskie imperium kolonialne, nieco wcześniej opuścili wyspę Holendrzy, dziś należy ona do Indonezji. Przybysz ulega jednak wrażeniu, że nie tak wiele zmieniło się na Timorze, który przez swe długie dzieje był w różnych rękach, najeżdźcy zjawiali się i odchodzili.

Na początku XVII wieku Holendrzy dotarli na tę wyspę, zagarnęli portugalski fort i związali się z sułtanem Kupangu. Przez dwa wieki oni i popierające ich szczepy wyspiarzy nękali Portugalczyków i ich ciemnoskórych „podopiecznych”. Jak to się zdarza także i w innych stronach, preteksty do wypadów poprzez i tak niezbyt wyraźne granice wpływów były zazwyczaj błahe. Na przykład wprowadzano stado bydła należące do jakiegoś plemienia, potem poszkodowani szukali zemsty na krzywdzicielach. Latami toczono walki, jakkolwiek istotna ich przyczyna już dawno poszła w zapomnienie.

Moje współczesne wrażenia z Timoru pozbawione są jeszcze jednego niezmiernie istotnego składnika, tak ważnego przez stulecia w tym rejonie: nie widziałem już piratów, którzy zagrażali wtedy osiemnastu marynarzom z „Bounty”. Gdyby dostrzegli tę samotną i bezbronną szalupę, na pewno nie pogardziliby nią. Tu już można mówić znowu o łucie szczęścia. Piraci to nie wyspiarze z Cieśniny Torresa czy z Polinezji, którzy radowali się skradzionym gwoździem, ani Fidżanie, oblizujący się na myśl o „długiej świni”. Piraci z Timoru byli zawodowcami, żyli z mordów i grabieży.

Paul McGuire, który był w Kupangu stosunkowo niedawno, gdyż w latach minionej wojny, nim jeszcze pojawiły się na wyspie wojska cesarza Japonii,<sup>a</sup> pisze, że ludność tamtejsza ma ciemniejszą skórę i jest prymitywniejsza niż ich sąsiedzi, którzy osiedlili się bardziej na zachód. Uważa się, że wyspiarze wywodzą się z przemieszania Papuasów z Polinezyjczykami, występuje też pewien element malajskiego dziedzictwa. Paul McGuire wspomina, iż jedno z plemion ma mieć zwyczaj grzebania na jakiś czas odrąbanych głów pokonanych wrogów, aby odkopać je potem i obgryźć. Ma to być probierzem prawdziwego męstwa. Szukając relacji o Kupangu, które by nas wprowadziły w klimat faktorii takiej, jaką zastali marynarze z „Bounty”, trafiłem na dzieje słynnego podróżnika brytyjskiego nazwiskiem Matthew Flinders. Zjawił się on w Timorze w 1803 roku, w Kupangu zastał wtedy już tylko czterech białych ludzi, jednym z nich był akurat lekarz, ratujący kapitana Bligha i jego podwładnych.

Flinders nie był cieplarnianym kwiatuszkiem, to wytrawny podróżnik i badacz, pierwszy zresztą, który opłynął Australię. Znane mu więc były tysiące mil niegościnnych wybrzeży tam, „dalej niż daleko” — a jednak określa Kupang jako „ponurą osadę”. Dowiadujemy się, że miejscowi Chińczycy, osiedli tu od stuleci, zajmowali się eksportem drzewa sandałowego, wosku, miodu oraz niewolników. Importowali natomiast ryż, arak, cukier, herbatę, kawę i betel.

Brytyjski odkrywca zastał w porcie amerykański statek „Hunter”, który wioził niewolnice, nabyte po dwa muszkiety od głowy na wyspie Solor. Pan kapitan miał nadzieję, że w Batawii odsprzeda swój ładunek biorąc po osiemdziesiąt do stu dolarów za dziewczynę. Flinders stwierdza melancholijnie, że „skoro handel ten przynosi takie zyski, to ludzkość będzie musiała naprawdę wyczerpać swe siły, by położyć kres owym transakcjom...” Nawiasem

mówiąc, na niewolniczym statku wybuchła jakaś epidemia, zginął sam przedsiębiorczy kapitan i jego załoga, „Hunter” dryfował na łasce fal i wicherów. Nie udało mi się dowiedzieć, co się stało z wiezionymi na sprzedaż dziewczętami, kronikarze współcześni nie interesowali się losem „towaru”.

W każdym razie nie ulega kwestii, iż szalupa z „Bounty” miała wielkie szczęście, że udało się jej prześliznąć do oazy holenderskiego ładu i przystani spokoju — poprzez oczka sieci, zastawianej przez wężące za zdobyczą pirackie statki.

Flinders, który przecież zawinął do Kupangu na okręcie wojennym, nawet w porcie tak bał się piratów wdrapujących się znienacka na upatrzony łup, iż zbudował przemyślny system ochrony przed zaskoczeniem. Uważał że i na pełnym morzu mogą oni być dlań niebezpieczni, miast płynąć między wysepkami, gdzie mieli swe czatownie — wolał ruszyć prosto na wyspę Mauritius. Ten szlak w drodze do domu był dlań wielce ryzykowny, skoro — jak pisze — „nie miałem mapy wyspy Mauritius ani jej innego opisu prócz tego tylko, który zawarty jest w wydaniu trzecim Encyklopedii Brytyjskiej...”

Hm, opis ów pewnie pomijał manieri Francuzów, władających wtedy wyspą. Flinders miał pecha, że zjawił się tam akurat w czasie, gdy stara, kochana Anglia wiodła bój o panowanie nad światem przeciw Napoleonowi Bonaparte. Jego pobyt na wyspie Mauritius trwał... sześć i pół roku, Francuzi zamknęli za kratkami syna „perfidnego Albionu”.

W Kupangu na przyczółku holenderskiej Kompanii Wschodnio-Indyjskiej znalazła się garstka żołnierzy, marynarzy, kupców i urzędników, ale fort, w którego cieniu żyli, dawał im tylko złudzenie bezpieczeństwa.

Nie znano urlopów, choroby zbierały zniwo, samotność wysłanników Kompanii, szukającej atrakcyjnych dla Europy towarów — szła w parze z wrogością wyspiarzy, czyhających na dogodny moment do kolejnego zrywu przeciw panowaniu białego człowieka.

W tej scenerii pojawiają się bohaterowie naszej opowieści: imć kapitan Bligh i jego ludzie. Nareszcie mogą dogadać się we własnym języku, ustają dyskusje „na migi” i domniemanie, co też znaczyć może ten czy inny gest polinezyjskiego „rozmówcy”.

Kapitan Bligh sięga znowu po gęsie pióro, z ciężkim sercem pisze do swych przełożonych w dalekim Londynie, iż postradał powierzony mu okręt Jego Królewskiej Mości „Bounty”, a to za sprawą... Tu dołączony zostaje szczegółowy list gończy za „piratami, pozostałymi na pokładzie okrętu Jego Królewskiej Mości «Bounty» w dniu 28 kwietnia 1789 roku...”

List do Admiralicji datowany z Batawii 15 października 1789 roku, czyli niemal dokładnie w pół roku po buncie, dokładnie opisuje „piratów”, tym samym są oni postawieni poza prawem i odcina się im drogę do jakiegokolwiek portu, gdzie powiewa flaga brytyjska lub państwa poważającego brytyjską koronę. Bogactwo szczegółów w tej charakterystyce ma zapobiec bezkarnemu powrotowi buntowników do cywilizacji.

Wspomina, iż Coleman, Norman oraz McIntosh „zatrzymani zostali wbrew własnej woli, zasługują na ulaskawienie”, zaś wymieniając na poły niewidomego skrzypka Micheala Byrna dodaje, iż „rzeką mi, że nie zdawał on sobie sprawy z tego, co się dzieje”. Długa jest lista buntowników, przecież trudno tak od razu wyznać prawdę, że spisek był dziełem małej tylko grupki

marynarzy. Zresztą, sami „piraci” też byli w pewnym sennie zaskoczeni, i wszystko poszło im tak gładko. Wszakże, gdy szalupa z kapitanem Blighem oddalała się od „Bounty” — Fletcher Christian miał rzec, iż „musiało nimi władać jakieś uczucie silniejsze niż strach, jako że inaczej nie daliby się tak przepędzić, nie stawiając najmniejszego oporu...” Morrison gorzko ocenia nieśmiałe wystąpienia Frycra, kiedy pisze, iż „zachowanie oficerów było pod znakiem tchórzostwa przekraczającego wszelkie opisy”. A wiemy skądinąd, że to właśnie Bligh systematycznie, dzień po dniu, podważał autorytet swych oficerów wobec reszty załogi i że niweczył poczucie lojalności, jakie wpajano im przez lata służby w marynarce królewskiej.

Jeszcze z Timoru kapitan Bligh śle do domu list z hiobową wieścią: „...a przyjm do wiadomości, moja ukochana Betsy, żem «Bounty\*» postradał... Nie mam ja sobie nic do zarzucenia, moje zachowanie było nienaganne, a nie masz też żadnego uszczerbku na moim honorze...”

Zwlekli się z łodzi ci, którzy mogli iść o własnych siłach. Innych zniesiono na ląd. Ubogi dobytek szalupy musiał jednak być strzeżony. Bligh nakazał więc Fryerowi, by wraz z innym wynędzniałym uczestnikiem rejsu o głodzie i chłódzie — jeszcze nic schodził na ląd. Obaj dozorczy królewskiego mienia potrzebowali na pewno rychłej pomocy lekarskiej, ale — jak z goryczą wspomina Fryer — „nie przejmował się tym zaiste mój wielki przyjaciel dowódca Bligh, dla niego mogłem wynosić się w diabły”.

Dwaj nędzarze w łachmanach zastanawiali się smętnie nad swym losem, gdy zjawił się w szalupie mężczyzna w mundurze wojskowym, niosąc w darze imbryk z przyjemnie pachnącą herbatą oraz trochę słodczy. Holendrzy byli bywalcami brytyjskich portów, więc Fryer mozolnie przypomniał sobie zasłyszane niegdyś holenderskie słówka, aby podziękować za ten przyjazny gest, na pewno wzruszający dla ludzi od tyłu tygodni pozbawionych serdecznego otoczenia...

Ucieszyli się, gdy ofiarodawca przeszedł swobodnie na angielski, powiedział obu żeglarzom, iż sam jest synem Brytyjczyka i że darzy ten naród sympatią. Wreszcie — co wtedy liczyło się najbardziej — zaprosił ich do siebie, kiedy tylko zejdą na ląd. „Dobroć tego człeka sprawiła, iż oczy zaszyły mi łzami” — wspominał potem Fryer.

Minęło kilka godzin, nim nadszedł rozkaz, wzywający obu pokrzepionych herbatą żeglarzy do domostwa holenderskiego oficera nazwiskiem Spikerman. Ciekawe, iż atmosfera nieufności między dowódcą a jego zastępcą była już tak głęboko zakorzeniona, iż Fryer upewnił się najpierw, czy aby rozkazodawcą jest sam Bligh. Właśnie teraz, kiedy ich powrót do Anglii był za pewniony — o ile tylko w owej epoce można tak było mówić o jakiegokolwiek niezawodnej żegludze morskiej — Fryer nie chciał niepozornym nawet naruszeniem dyscypliny osłabić swej pozycji w stosunku do kapitana Bligha.

Holenderski gubernator wydał przyjęcie, aby uczcić swych gości i ich wyczyn, nie mający wtedy sobie równego w kronikach morskich. Ludzie z „Bounty” musieli jeść i mieć dach nad głową. Aby mogli dostać się do Anglii, trzeba też było znaleźć jakiś statek. Bligh upatrzył sobie tkuner „Resource”, akurat nadający się do tego rejsu. Tylko skąd wziąć pieniądze na to wszystko?

Gdy ustały pierwsze wzruszenia, Holendrzy, nim sięgnęli do kiesy, aby pożyczyć Brytyjczykom odpowiednie fundusze, zażądali gwarancji, iż rząd Jego Królewskiej Mości pokryje zobowiązania swych wiernych marynarzy. Dobrze by było — rzekł z istic holenderską rzeczowością i sumiennością pan gubernator — aby na odpowiednim dokumencie podpisał się nie tylko sam dowódca straconego statku, ale i jego zastępca.

Bligh, który akurat wtedy węszył intrygę, kiedy jej pewnie nikt nie knuł, oburzył się na taką propozycję i podejrzewał Pryera, iż to on wszedł w kon

szachty ze Spikermanem. Co więcej, widział przecież na własne oczy, iż małżonka Spikermana naradzała się szeptem z mężem. Podejrzliwie czekał, co też wyniknąć może z tych pogaduszek. Cóż to za zмова szykuje się teraz w Kupangu?

O wszystkim dowiedział się od Fryera. Otóż Spikerman nie tylko oddał swój dom na schronienie dla rozbitków, ale zrezygnował z komornego. Szczegół ten byłby może nieistotny dla naszych rozważań, gdyby nie to, że Bligh — jak wynika z późniejszych zapisków — obciążył Admiralicję opłatami za mieszkanie na wyspie Timor. To znaczy, że pieniądze Korony trafiły do jego kieszeni. Historycy zastanawiają się, czy małwersacja ta — nie rzutuje wstecz. Innymi słowy, czy w ten sposób nie zostały podbudowane zarzuty załogi „Bounty”, oskarżające później kapitana Bligha o nadużycie przy rozdziale żywności lub inne czyny „niegodne oficera i dżentelmena”.

McKee idzie jeszcze dalej w swym omówieniu ponurych wydarzeń w ponurej osadzie Kupang. Porusza mianowicie sprawę kieszonkowego, gdyż było oczywiste, że czekający na powrót do ojczyzny brytyjscy marynarze nie mogli żyć bez grosza w obcym kraju. Miał on dostęp do prywatnej korespondencji Thomasa Ledwarda, medyka, pisującego do swego wuja w Anglii. Ledward nie wrócił do domu, utonął w katastrofie między Batawią a Przylądkiem Dobrej Nadziei. Porównanie jego listów z różnych okresów mówi nam o zmianie oceny postawy kapitana Bligha u człowieka, który wstąpił na pokład „Bounty” pełen dobrej woli wobec swego dowódcy.

Tuż po zaokrętowaniu pisał: „Jakkolwiek dowódca posiada usposobienie gwałtowne, to jednak — miemam — ma dobre serce i zaznałem jego szczodroblewości...” Już z Timoru donosi wujowi, iż miał jednoznaczny stosunek do buntu: „Gdym tylko zdołał rozeznac się w sytuacji, zaraz na miejscu żem oświadczył, iż nie chcę zostać z buntownikami, a los mój związę z dowódcą, bez względu na jego przestępstwa...”

Medyk już nie żył, kiedy w Anglii czytano jego ostatni list, jakże odmienny w tonie od poprzednich: „Chciałbym tu wspomnieć o ważnej sprawie. Otóż dowódca nie chciał wypłacić mi zaliczki (a także poczynał sobie z innymi, którzy nie mieli poręczycieli), póki nie wręcę mu pełnomocnictwa i nie spiszę testamentu, gdzie czynię go jedynym mym spadkobiercą. Oto jest w jego mniemaniu normalne zabezpieczenie. Gdybym tego nie uczynił, nie doręczyłby mi pieniędzy, jakkolwiek okazałem mu list kredytowy mego wuja tudzież ofiarowałem weksel, wystawiony na jego nazwisko. Gdyby przyszło mi zejść z tego świata, tuszę, iż wszystko wyjaśnione będzie przez rodzinę...”

Nie udało się ustalić, czy istotnie Bligh chciał zagarnąć majątek człowieka, który służył mu wiernie. Jednak już same te targi i przetargi z własnymi podwładnymi nie przysparzają chwały dowódcy „Bounty”.

#### PONURE WYDARZENIA W PONUREJ OSADZIL

To samo źródło podaje, iż cieśla Purcell oskarżył jawnie kapitana Bligha o szwindel może drobny, jednak nabierający znaczenia tam, gdzie liczył się każdy okruch jada. Otóż — rzecz ów cieśla — Bligh starał się na szalupie przy codziennym rozdiale prowiantu ukradkiem upuścić kromkę chleba. Następnie, gdy nikt nie widział, podnosił cenny kawałek pieczywa i zjadał. „Słusznie gada — wmieszał się do klómi Linkletter — ja sam też widziałem to na własne oczy”.

Nie trzeba było zbyt długo czekać na zemstę obwinionego. Nim minęła doba od przybycia do Kupangu, dopatrzył się jakichś uchybień służbowych ze strony obu podwładnych, kazał ich osadzić w areszcie na stojącym w Kupangu okręcie holenderskim. To odebrało doraźnie innym chęć żalenia się, ale i prestiż dowódcy sięgnął dna.

Nieco później, gdy Fryer zaniemógł, kapitan Bligh kazał akurat jemu, aby nadzorował prace nad sposobieniem do drogi szkunera „Resource”. Wymiana zdań musiała być wtedy gwałtowna, skoro Bligh wreszcie wrzasnął: „Gdybyśmy to tak byli u siebie, tylko ode mnie zależałoby, czy waść zostaniesz jeszcze pięć minut w marynarce królewskiej, czy też nie...” Na co chory Fryer westchnął tylko spokojnie, iż sam też modli się o powrót do Anglii, aby wreszcie wszystko wyjaśnić.

Gdy szkuner był gotowy do drogi, nie widzimy na pokładzie dzielnego, pogodnego botanika Nelsona. Zmarł po przybyciu na Timor.

20 sierpnia szkuner opuścił Timor, holując za sobą szalupę z „Bounty”. Droga wiodła do Batawii, po drodze zawinięto do Surabaja.

Tam kapitan Bligh podejmował obiadem na pokładzie swego statku miejscowego gubernatora, którym był imię Anthony Barkay, i dowódcę garnizonu nazwiskiem de Bose. Miano zasiąść do stołu, gdy Bligh zagrzemiał, iż skradziono mu flaszkę gorzałki, i kazał zaraz wszcząć poszukiwania. Zaginiony trunek odnalazł się akurat w kabinie... kapitana Bligha, gdzie butelkę wstawił księgowy Samuel.

Do następnego spięcia doszło wkrótce potem. McKee zwraca uwagę, że opis tej sceny jest identyczny w wersji podanej przez kapitana Bligha, jak

1 przez jego zastępcę — Fryera. Inna sprawa, że Bligh pominął ów incydent w raporcie dla Admiralicji. Jego ślady zostały jedynie w dzienniku pokładowym pod tytułem: „Wydarzenia szczególne z Surabaja”.

Cóż tam się wtedy stało?

Bligh rozkazał Fryerowi, aby podnieść kotwicę. Ten z kolei przekazał rozkaz imię Elphinstone'owi, miał mu pomagać Hallet. Tymczasem Elphinstone zasłonił się chorobą. Bligh był wściekły, że nie zastał go na mostku. Między kapitanem a jego zastępcą dochodzi do burzliwej rozmowy:

— Co się z nimi stało? Spili się czy zachorowali?

WSK

188

— Nic wiem, czy pan Elphinstone jest pijany, czy też niedomaga.

— jakże to, nie wiesz pan, czy masz do czynienia z chorym czy pijanym?

— Nie, panie, nie wiem.

— Tam do licha, a czemuż to pan nie wie ?

— Czy jestem lekarzem, panie? To jego musisz pan zapytać, aby się dowiedzieć, czy są chorzy, czy też nie.

— Cóż oznaczać ma ta bezczelność?

— To nie jest bezczelność. Nie tylko ze mną tak sobie, panie, haniebnie poczynasz. To samo spotyka każdego z nas. Każdy, kto jest na pokładzie, powie panu to samo!

Historyk notuje, że do swych wrzasków Bligh dorzucił jeszcze kilka wyzwisk, które musiały być mocnymi zwrotami, skoro „żaden z obu mężczyzn nie uznał za możliwe przelanie ich na papier...”

Przywykliśmy już może, obcując z bohaterami naszej opowieści, do tego, że kapitan Bligh miał zwyczaj łajania swych oficerów na oczach całej załogi. A jednak ta scena odbiegała tak od poprzednich, że głucho milczenie, z jakim przyjmowali każdy kolejny wybuch dowódcy, tym razem zostało przełamane.

Nim jeszcze Fryer dopowiedział do końca swój żal, przez szeregi marynarzy przeszedł pomruk, przyznawali mu rację. A jeden głośno i dobitnie zawołał: „Przebóg, podle wszyscy jesteśmy traktowani, a to bez żadnego powodu!”

Cieśla Purcell stanął przed dowódcą, raz jeszcze z ust jego padły słowa żalu. Wrzawa na pokładzie nie ustawała, błądy Bligh nie mógł dojść do słowa, zapisał potem, iż „tumult był jak na wiecu”. Kapitan znalazł wreszcie sposób na uśmierzenie nastrojów. Sięgnął po bagnet i kazał swemu zastępcy oraz cieśli, aby odeszli. Taki argument był nie do odparcia. Rozkaz został wykonany.

Cała ta scena rozegrała się na oczach zdumionych notabli holenderskich. Właściwie, to — prawie cała... Gubernator i dowódca garnizonu uznali pewnie, że widowisko takie ubliża też ich godności. Zeszli z pokładu brytyjskiego szkunera, aby powrócić pod swoją flagę. Widząc, co się święci, Bligh nawoływał, aby zawrócili. Nie pojmowali pewnie lub nie chcieli rozumieć jego krzyków. Wtedy kapitan posłał łódź, która miała przywieźć ich z powrotem na „Resource”.

W obecności Holendrów przywołał Fryera i Purcella. Obaj zostali oskarżeni o bunt, zaś ów pan de Bose miał — na prośbę kapitana Bligha — osadzić ich w więzieniu. I

Holender urobił już sobie własne zdanie w tej całej sprawie. Nie wezwał straży i nie kazał zakuć w kajdany buntowników. Beznamiętnym tonem zwrócił uwagę kapitanowi Blighowi na to, co rozpowiadali ludzie z „Bountv”.

189

PONURE WYDARZENIA W

J OSADZIŁ

skoro tylko noga ich stanęła w zacnym grodzie Surabaja. Otóż prawili oni, że kiedy tylko powrócą w ojczyste strony, kapitan Bligh zawiśnie na szubienicy czy też może zostanie przywiązany do lufy armatniej i rozszarpany pociskiem z działa.

Bligh brnął dalej. Pewnie już w tej sytuacji nie miał odwrotu, przynajmniej sam nie widział tej możliwości.

Żądał ujawnienia winnego. Któż ośmielił się obrzucać go błotem? Niewzruszony pan de Bose zarządził, aby sternik z dowodzonego przezeń okrętu stawiał się bezzwłocznie na pokładzie brytyjskiego szkunera.

Holender szybko wdrapał się na „Resource” i zameldował swemu dowódcy. A gdy padło pytanie, od kogo też zasłyszał to, co z kolei powtórzył



panu de Bose — holenderski marynarz szerokim gestem pokazał całą brytyjską załogę, nadmieniając zarazem, iż najbardziej zajadły był w swych wystąpieniach cieśla Purcell.

Wszyscy to wszyscy, ale — jak pisze Bligh — nie chciał we wspólnocie tej znaleźć się Hayward. Wysłuchawszy tego, co miał do powiedzenia holenderski sternik, „rzucił mi się w ramiona, zaklinając, bym nie dawał wiary, że okazać się mógł takim niewdzięcznikiem. Potem, zalany strugami łez, zapewnił, iż nikt nie może w jego przytomności twierdzić, iż winien jest podobnej podłości. Dodał wreszcie, iż z nikim na pokładzie nie rozmawiał poza służbą. Poczucie honoru i prawość tego młodziana sprawiły, że zadrżeli otaczający go nędznicy, wreszcie, upewniwszy się o mej życzliwości, zdołał on jakoś opanować swój ból...”

Holenderscy dygnitarze mieli pewnie co wspominać, gdyż zaraz po tej sielankowej scenie rozegrał się akt następny. Bligh wezwał tych, którzy żywią doń urazę, aby zgłosili się niezwłocznie. Wystąpił medyk Ledward, ów Hallet oraz Cole. Tu relacje różnią się w szczegółach, ale przyjąć można wersję, że cała trójka została odprowadzona na pokład holenderskiego okrętu przy wtórze wyzwisk rzucanych przez kapitana Bligha, który do tego jeszcze wygrażał im swym bagnetem. Poszli też za nimi Purcell i fryer.

Prawdopodobnie Holendrzy mieli dość własnych spraw na głowie i nie bardzo chcieli zajmować się jeszcze niesnaskami na brytyjskim statku. De Bose miał już nazajutrz rozmowę z Fryerem, pewnie nalegał na to, aby pranie angielskich brudów odbywało się z dala od holenderskich wód...!

Zresztą Holendrzy nie pierwszy i nie ostatni raz mieli wtedy do czynienia ze sprawami Brytyjczyków, trafiających ze swymi kłopotami i problemami tam, gdzie usadowili się niderlandzcy żołnierze czy urzędnicy. Aby pokazać jeden tylko niezmiernie dramatyczny epizod, który zbiegał się w czasie z przygodami tułaczy z „Bounty” — powrócę jeszcze do tej sprawy za chwilę. Teraz jednak śledzimy dalej rozwój wydarzeń w Surabaja.

Fryer, zapewne za radą życzliwych mu Holendrów, śle list do kapitana Bligha: „O ilem dobrze pojął słowa dowódcy, to spór nasz można załatwić. Jeśli chodzi o mnie, tom gotów uczynić wszystko, co w mej mocy, by pokonać trudności i aby nie wydarzyło się nic, gdy już powrócimy...”

Bligh niezawodnie pojął dwuznaczność tego sformułowania. Tym bardziej iż odwiedził go Holender, na którego barki spadła ta cała sprawa. Jak to normalnie między dżentelmenami, rozmowa toczyła się o wszystkim i o niczym. Ale wspomniawszy mimochodem imię de Bose, że „krnąbrny” Fryer ma przy sobie interesujący — rzecz można — dokument.

Jest to mianowicie wykaz wielce sumienny tego, co w Kupangu imię Bligh istotnie zapłacił za zaopatrzenie w żywność i inne wydatki. Pod zestawieniem tym widnieje zamasytsty podpis wysokiego dygnitarza administracji wyspy Timor, nazwiskiem Adrian Van Este, tak że autentyczność rozliczenia nie może budzić żadnych wątpliwości. Fryer byłby więc w stanie wykazać, iż Bligh nie był — by tak się wyrazić w sposób elegancki — przesadnie uczciwy w obciążaniu kosztami rządu Jego Królewskiej Mości i że panowie w Londynie mogliby mu to mieć bardzo, bardzo za złe...

W tej delikatnej grze następny ruch należał do kapitana Bligha. Pokazał Holendrowi swe rachunki, podpisane przez Fryera i innego oficera, a potwierdzone przez dwóch godnych szacunku obywateli miasta. Pamiętamy, że przecież Fryer musiał już kiedyś podpisywać pod przymusem różne papierki, iż zastrzegł sobie wtedy, że ustępuje przed rozkazem, ale że sprawy tej nie uważa za zakończoną. Innymi słowy Bligh i Fryer trzymali się w szachu nawzajem, ale chyba Bligh ocenił wtedy swoją pozycję jako słabą.

Domyślamy się tego z dalszego rozwoju wydarzeń. Gdy bowiem sprawa kapitana Bligha i utraty przezeń okrętu „Bounty” weszła na wokandę trybunału, ani jedno słowo oskarżenia przeciw Fryerowi nie padło z jego ust.

Tymczasem jednak jesteśmy nadal w Surabaja. Zaraz zbierze się komisja śledcza, mająca stanowić o losie brytyjskich marynarzy, którzy ze strasznych oparów wyszli z życiem, lecz nie potrafili przełamać niechęci do swego dowódcy. A może to on sam celowo podsycił złość, aby pokazać, że trudno mu było stawić czoło buntownikom, gdy miał u boku tak krnąbrną załogę? Kto wie? Pewnie pytania takie zadawali sobie i trzej Holendrzy, kiedy czekali na doprowadzenie Ledwarda, Cole'a oraz Halleta.

Nie wiadomo, czy nie naciskano na tych trzech zbyt z pytaniami, czy też może oni sami uważali, że milczenie jest złotem i że trzeba żale pod adresem kapitana Bligha przekazać pod właściwym adresem — to znaczy jego zwierzchnikom w Anglii — dość, że mówiąc językiem współczesnym, zeznania nie wniosły nic nowego do naszej wiedzy o tych wydarzeniach.

Ledward nie wspomniał ani słówkiem o sprawie testamentu, którą znamy już przecież, a która musiałaby zdumieć holenderskich urzędników. Cole coś tam mamrotał, że właściwie nie ma zamiaru skarżyć swego dowódcy. Jeszcze bardziej znamienna była odpowiedź Halleta. Zapytał przewodniczący: „Jakże to było, Hallet, że mieliście rzec Anglikowi, który jest tu w służbie Holandii, iż dowódcę waszego czekają niedobre chwile po powrocie, gdyż znęcał się nad wszystkimi swymi podwładnymi. Dalej powiedziecie mi, iż ukarany on będzie przywiązaniem do wylotu działa i wysadzony w powietrze. Prawda-li to?”

Hallet powiedział, że pamięć go zawodzi, niczego podobnego przypomnieć sobie nie może, gdyby jednak istotnie coś takiego zostało przezeń powiedziane, to pewnie był owego dnia pijany.

Wtedy zezwolono im na powrót na pokład szkunera „Resource”. Cieśla Purcell resztę drogi do Anglii miał odbyć — z rozkazu Bligha — jako aresztant. Nie był on groźnym przeciwnikiem dla swego dowódcy, nie miał przeciw niemu żadnych pisanych dowodów, a innych pretensji podwładnego kapitan Bligh nie obawiał się zbytnio.

Sprawa Fryera nie jest prosta. Gdyby zaskarżył Bligha przed trybunałem brytyjskim, problem winy i kary byłby dla dostojnych sędziów dość skomplikowany. Jeżeli bowiem przedstawia się Temidę, boginię sprawiedliwości, z oczyma zasłoniętymi, aby mogła bezstronnie rozpatrywać spór, to w tym akurat wypadku wydaje się, że jedno oko mogła mieć nieco przymrużone... Kiedy miało zabrzmieć zawołanie: „Niech się dzieje prawo!” — to z jednej

strony miał stanąć bystry Bligh, mający szybki refleks no i — co jeszcze ważniejsze — możliwych protektorów. Z drugiej — człek prawy, ale samotny w swym poczuciu doznanej krzywdy. A więc mógł otrzymać satysfakcję, lecz stracić pracę. Po całym życiu na morzu, gdyby na stare lata zwolniono go ze służby w królewskiej flocie, czekać go mogła nędza.

Chyba miał rozeznanie sytuacji kapitan Bligh, kiedy spowodował w Surabaja uwolnienie swego zastępcy spod straży holenderskiej, zarazem jednak oświadczając, że nie chce go już mieć więcej na swym statku. Tak że kolejny krok na dalekiej drodze do domu Fryer odbył na malajskim stateczku. Mógł Bligh w swym raporcie grzmieć gniewnie: „A otom ujrzał mego zastępcę, podobnego zbrodniarzowi, który popełniwszy wszelkie możliwe występki, czeka teraz na zasłużoną karę. Drżał cały i pokornie dopraszał się mej łaski, oświadczając, iż złoży zeznania i odszczeka oszczerstwa wszelakie, jakie puszczał w obieg. I że gotów jest dać mi wszelkie zadośćuczynienie, jakie bym tylko zechciał. Alem mu przykazał, aby trzymał się z dala i li tylko pisemnie zwracał się do mnie. Dodałem także, że jedynie na piśmie ma składać wszelkie swe zeznania czy odwołania zeznań...”

Po tym widowisku, jakim uraczył swych holenderskich gospodarzy, Bligh ruszył w dalszą drogę, w pierwszych dniach października zawinął do Batawii. Tam została sprzedana szalupa z „Bounty”, która służyła im wiernie w czasie olbrzymiego rejsu. Odsprzedano też „Resource”.

Charles Nordhoff i James Norman Hall przekazują nam opis marynarskiego szpitala w Batawii, bez wątpienia wzorowego jak na owe czasy, kiedy rannych w boju zostawiano często na pobojuwisku, zaś stan zdrowia ludzi morza też nie spędzał snu z powiek ich dowódców, kiedy tylko okręt znalazł się już w porcie.

Ten marynarski lazaret pod słońcem tropików był przestronny, przewiewny, wygodny i „przemysłnie podzielony na poszczególne oddziały, z których każdy mieścił się w odrębnym budynku, a gdzie chorych lokowano wedle trapiącej ich dolegliwości”.

Niektórzy ludzie z „Bounty” korzystali z gościnności życzliwych Holendrów. Imć Tymoteusz Wanjon, sekretarz gubernatora Kupangu, przelożył już na holenderski pierwszy raport kapitana Bligha o wydarzeniach na „Bounty” i niezwykłym rejsie na odkrytej łodzi. Skrzypiały na papierze gęsie pióra skrybów, przepisujących skrzętnie to sprawozdanie i list gończy. Szły te pisma wszędzie tam, gdzie władali holenderscy gubernatorzy, aby wiadome się stało, co czynić należy, gdyby pirat Fletcher Christian i jego kamraci odważyli się zapuścić na wody w zasięgu dział fortecznych, ładowanych przez holenderskich kanonierów.

Sprawozdania te nosły też szeroko w świat nowinę o wielkiej przygodzie

ludzi z „Bounty”, którzy dochowali wierności swej fladze. Aż dziw brał, kiedy słyszało się o tylu wyrzeczeniach i tak niezmiernej odwadze. Ta sława otwierała przed bohaterami drzwi holenderskich domostw i wrota kolonialnego szpitala w Batawii. Tu jednak śmierć dosięgła trzech marynarzy, którzy wymknęli się jej na pełnym morzu, w niewielkiej szalupie. Linkletter, Hall oraz Elphinstone nie podźwignęli się już z łoża cierpienia.

Na wschodnim brzegu rzeki, niedaleko szpitala, mieścił się niewielki cmentarz luterański. Tam malajscy słudzy przepawili kolejno łodzią trzy trumny, spowite brytyjską flagą. William Elphinstone przecież jeszcze w Surabaja ściągnął na siebie gniew dowódcy. Teraz wystawiono mu Ostatnie Świadcstwo, już wtedy bowiem był nie pijany, ale ciężko chory.

Każdego kolegę odprowadzała na cmentarz pod palmami coraz mniejsza grupka marynarzy. Kapitan Bligh pierwszy ruszył w drogę powrotną do domu, wraz z owym Samuelem wsiał na pokład okrętu „Vlydte”, kierującego się ku Europie. Jego podwładni w małych grupkach mieli popłynąć do Anglii, kiedy nadarzy się okazja. Jak wiemy jednak, Ledward utonął na morzu już po opuszczeniu Batawii. Lamb zmarł na statku, wiozącym go do domu.

Dlaczego tak śpieszno było do Anglii kapitanowi Blighowi? Dlaczego zostawił swych ludzi na obcej ziemi? Przecież wiedzieć musiał, że wymagają opieki. Istotnie, trzech zmarli już po jego odjeździe do Europy. Błado wypada oświadczenie, iż „zaszła konieczność, abym przed innymi wstąpił na pokład statku płynącego w stronę Przylądka Dobrej Nadziei, nie mającego już miejsc dla większej ilości pasażerów. Poniosłem bowiem tak wielki uszczerbek na zdrowiu, iż życie moje wisi na włosku, zaś gubernator nie jest w stanie zapewnić nam wszystkim przejazdu na jednym tylko statku”.

Kapitan schodzi z pokładu zawsze ostatni, nie zostawia swych ludzi. Ta zasada kosztowała życie wielu dowódców, których pochłonęło morze. Teraz kapitan Bligh śpieszy do domu. Zostawia pieczę nad niedobitkami załogi swemu zastępcy, którego przecież określa zawsze najbardziej dosadnymi epitetami. Kto wie, może chce być w Anglii pierwszy, aby Admiralicja i inni możni tego świata dowiedzieli się najpierw właśnie od niego, co też tam się stało na okręcie „Bounty” owej pamiętnej nocy pod Krzyżem Południa?

Ze ściśniętym gardłem patrzeć musieli ludzie kapitana Bligha, jak „Vlyd- te” wypływał z Batawii, jak brał w żagle wiatr, który miał go pchnąć aż do ojczystych brzegów. Pewnie i na samotnej szalupie nie mieli takiego poczucia własnej bezradności. Ci, którzy szukali okazji do dalszej drogi, wychodzili codziennie do portu. Wyglądali, czy aby między malajskimi łodziami nie pojawi się wyniosła sylwetka „wysokiego statku”, który wreszcie weźmie ich do Anglii.

Nim jeszcze opuszczą oni Indie Holenderskie, nim opowieść nasza dobiegnie końca, dotrzymać mi wypada obietnicy i przypomnieć niezwykle wydarzenie, które niezbadaną reżyserią Losu — wystawione zostało w tym samym czasie na tej samej scenie...

W pierwszych rzędach zasiadają znowu holenderscy dostojnicy, dekoracje mamy z zasobnych rekwizytów Mórz Południowych: jest tu i bicz, i krzywda ludzka, i niewysłowione bohaterstwo. Statystują tubylcy strzegący swych wybrzeży przed zachłannością białego człowieka, akt przedostatni rozgrywa się w znanym nam już Kupangu.

Rolę główną życie powierzyło powabnej dziewczynie imieniem Mary. Pewnego dnia poznała ona Williama Bryanta, rybaka, który — jak to się zdarzało w ówczesnej Anglii — dorabiał sobie po cichu przemytem. Cło Jego Królewskiej Mości nie zna się na żartach, sędzia w białej peruce skazał szmuglera na siedem lat zesłania do Australii.

Wierna Mary zdobyła się wtedy na czyn niezwykły. Gdy skazaniec czekał na sformowanie grupy, która by miała odpłynąć statkiem więziennym „w dół globusa” — jego dziewczyna uzyskała zgodę na dwudziestominutową wizytę w celi więziennej. Takie pożegnania odjeżdżających były wtedy praktykowane, ale dozorczy nie przewidzieli, iż odwiedziny nie upłyną tylko na miłosnych zakłęczaniach i ślubowaniu wierności. Oto Mary poświęca się dla ukochanego. Oddaje mu swe szaty, a kiedy Bryant w przebraniu niewiasty wyrusza na wolność, ona zostaje w celi. Teraz zostaje zesłana sama Mary, jej luby zresztą też niedługo cieszył się wolnością na ziemi angielskiej.

Tak więc oboje, jakkolwiek na osobnych statkach więziennych — trafiają do kolonii karnej w Australii. Tam łączą się węzłem małżeńskim, „na złe i na dobre, zanim nas śmierć nie rozdzieli” — jak brzmi ślubowanie. Ale małżeństwu między więźniami nie wtóruje muzyka inna, jak tylko ta, która — by użyć słów poety — odegrana zostaje „na skrzypcach epoki smyczkami cierpienia...”

Kolonia karna przeżywa głodne dni. Bryant jest przecież rybakiem, jego praca przydatna jest wtedy, kiedy może wypłynąć na morze i zastawiać swe sieci. Ta odrobina wolności zostaje wykorzystana nie tylko dla złagodzenia aprowizacyjnych trudności nowej kolonii. Mary namawia męża, aby rozejrzał się w możliwościach ucieczki.

Trwają przygotowania. Odkłada się trochę ryżu i nieco wieprzowiny. Kapitan holenderskiego brygu, który trafił w te strony, daje zesłańcowi niedokładnie naszkicowaną mapę. Zmowa zwraca uwagę współwięźniów, ceną milczenia ma być dopuszczenie ich do udziału w ucieczce. Trzeba było cenę tę zapłacić, w ten sposób aż jedenaście osób znalazło się w łódce, która nadawała się bardziej do wycieczki na majówkę niż do dalekiego rejsu.

Była ciemna noc, gdy w końcu marca 1791 roku łódka zakołysała się na falach oceanu. Tak jak w szalupie z „Bounty”, i w tej łupince nikt nie miał broni palnej, wyprawa na ląd po prowiant czy wodę słodką była więc ryzykowna. Prawowici mieszkańcy Australii nie byli jeszcze wtedy ujarzmieni, należało się liczyć z ich włóczyniami.

Ludzie z „Bounty” byli żeglarzami. Mary Bryant i jej towarzysze niedoli nie znali się na nawigacji, trudno powiedzieć, w jaki sposób przemknęli się przez szlak najeżony rafami koralowymi z Sydney do Kupangu, zresztą na niektórych odcinkach pokrywający się z tym, który przebyli marynarze kapitana Bligha. W sześciowiosłowej łodzi (żagli nie mieli wcale) w dziesięć tygodni przebyli trzy tysiące dwieście pięćdziesiąt cztery mile!

Byli pierwszymi białymi ludźmi, którzy ujrzeli różne zatoki u wybrzeży Australii. Historycy twierdzą też, że ta garstka wygłodniałych zbiegów odkryła... węgiel na wielkim lądzie. Żywili się bowiem od przypadku do przypadku ostrygami, rybami, żółwiami i jajami żółwiami, a kiedy pewnej nocy rozpalili ognisko u ujścia rzeki Hunter, podsycali płomienie znalezionymi kawałkami najlepszego antracytu...

Zesłańcy mieli godziny zwątpienia, gdy chcieli zawrócić i oddać się w ręce władzy. Podtrzymała ich na duchu Mary Bryant, która czuwała nie tylko nad całą wyprawą, ale i karmiła swego syna w niemowlęcym wieku i troszczyła się o trzyletnią córkę.

■f 8

W Kupangu głosili wszem i wobec, że są rozbitkami z brytyjskiego brygu. Holendrzy zaopiekowali się więc nimi, można było przypuszczać, że najgorsze już minęło, gdy jeden ze zbiegów popił sobie dobrze i w nieprzytomnym bełkocie zaczął zwierzać się ze swych przygód.

I tak tragedia dokonała się nie na wodach Morza Koralowego ani w Cieśninie Torresa, lecz między ludźmi. Pan gubernator kazał odesłać zbiegów do Anglii. Wieziono ich w kajdanach, w warunkach tak strasznych, iż Mary Bryant postradała męża i dwoje dzieci nie pod ciosami czarnych wojowników, lecz pod pokładem statku, wiozącego ich do ojczyzny.

I tak ona sama i ci zbiegowie, którzy przeżyli koszmarny rejs — stanęli znowu przed wysokim sądem. „I skazuję cię na szubienicę, na której zawiś- niesz i wisieć będziesz aż do swej naturalnej śmierci” — powiedział kolejno pan sędzia wynędzniałym więźniom.

Wstawił się za nimi słynny pisarz James Boswell, darowano im życie. Odcierpieć mieli tylko takie wyroki, jakie zapadły w ich sprawach, nim zesłano ich do Australii. Dzielna Mary, której tragiczne dzieje wzruszyły jej współczesnych, u schyłku swych dni dostała nawet rentę dziesięciu funtów szter- lingów rocznie.

I tak mimochodem zjawiliśmy się znów na Wyspach Brytyjskich. Czeką więc znowu sąd i skrzypi pióro po papierze. Kapitan Bligh ma bowiem wiele do powiedzenia swym rodakom.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

w którym zdumieni Brytyjczycy dowiadują się, że dowódca przeżył bunt załogi, że nie został po prostu wyrzucony za burtę. Bohater jest fetowany, podejmuje go sam król, a chociaż chodzą słuchy, iż szykuje się wojna, to jednak sprawiedliwości musi stać się zadość: za buntownikami wyrusza pościg na Morza Południowe.

— Zbliżamy się do Portland, mister Bligh, gdyby nie ta przeklęta mgła, widzielibyśmy już świetnie brytyjskie brzegi. — Holenderski podoficer wyszedł z kajuty, zajmowanej przez pasażera, który wszedł na pokład „Vlyd- te” jeszcze w Batawii.

Słońce tropików zostało tam, daleko, w Indiach Holenderskich. Był mroźny, marcowy poranek 1790 roku, gdy kapitan Bligh przetarł zmęczone oczy i odłożył pióro, starannie zakręcił buteleczkę z inkaustem. Jeszcze jeden list był gotów. Napisał ich sporo w czasie długiego rejsu, słał w ojczyście strony pismo po piśmie do możliwych przyjaciół. Jego przyjazd nie był więc dla nikogo żadną niespodzianką.

Szybki stateczek dowiózł go do Spithead, tego samego portu, skąd „Bounty” wyruszył w drogę. Tyle nadziei łączył wtedy z tą wyprawą! Wydawać się mogło, że zaledwie wczoraj uwijali się marynarze, szykując okręt do dalekiej podróży. Że to on sam zaledwie wczoraj śpieszył bocznymi uliczkami miasta do małego domku, aby tam raz jeszcze ujrzeć swą Betsy. Teraz jednak nie pora, aby wspominać dzień wczorajszy. Jutro było pełne niepewności. Co też się stanie?

Właściwie nie miał sobie nic do wyrzucenia. Nie zaniedbał żadnej okazji, aby ziomkom przedstawić kapitana Bligha w takim świetle, jakie sprzyjało jego korzystnemu wyglądowi. Słuchajcie, słuchajcie! Patrzcie, patrzcie!

Oto imć William Bligh z Królewskiej Marynarki Wojennej. Ofiara niecnego spisku garstki szubrawców, ustąpił dopiero mając nóż na gardle. Ci, którzy zostali mu wierni, w ręce jego oddali swe losy, przybędą wkrótce niemal wszyscy, jako że dzielny żeglarz przeprowadził ich przez tysiące mil i tysiące niebezpieczeństw i przywiódł tam, gdzie są już bezpieczni. Sława bohaterom!

Admiralicja Brytyjska miała świetnie zorganizowaną propagandę. Jak wiemy, na co dzień zachwalano uroki życia na okrętach Jego Królewskiej Mości. Ale od święta — umiano wrzusać społeczeństwo ofiarą buntu na morzu. Niezwykłość sytuacji — zauważa McKee — polegała teraz na tym, że ofiara była żywa i cała, a więc można było pokazać ją Szanownej Publiczności, bowiem zazwyczaj buntownicy wyrzucali panów oficerów po prostu za burtę.

17 marca 1790 roku, czyli w kilka dni potem, jak stanął znów na angielskiej ziemi — zostaje Bligh przedstawiony swemu monarsze.

Zważywszy, iż rzecz dzieje się dwa wieki temu, współczesny człek nie bez zazdrości śledzi zawrotne tempo kampanii reklamowej. Gazeta „London Chronicle” 1 kwietnia obwieszcza wszem wobec, że nabyła wyłączność druku „Dziennika Cudownego Ocalenia na Morzu po Żegludze przez Dni Czterdzieści i Jeden w Odkrytej Szalupie” pióra Williama Bligha. Już w czerwcu księgarnie miały na półkach dzieło w wydaniu książkowym I

Rzecz jasna, że tekst przeszedł w drodze do drukarni przez różne zabiegi kosmetyczne. Starannie usunięto wszystko, co świadczyć miało o stałych zatargach na pokładzie „Bounty”. Czytelnicy, pożerający oczyma książkę, otrzymali twórczość naprawdę radosną. Trochę to wyszło tak, jak gdyby ktoś napisał dla maluchów opis rzeźni, gdzie wszystko sprowadza się do tego, że jednymi drzwiami wchodzi krówka, a innymi — wywożą smaczny bef- sz ty czek.

Milczenie spowijało żale marynarskiej braci na Morzach Południowych. Nie słyhać było świstu bata zrywającego skórę i mięśnie z pleców żeglarzy. Nie dobiegały do czytelnika waśni na szalupie. Nie dowiadywał się o zajściach w Surabaja. Tak że właściwie ktoś, kto wszystko starannie od deski do deski przeczytał — nie bardzo wiedział, dlaczego to ci niegrzeczni marynarze zbuntowali się przeciw ojcowskiej niemal opiece swego umiłowanego dowódcy?

Odpowiedź na to pytanie była tyleż uproszczona, co atrakcyjna, to znaczy — podnosiła zainteresowanie dziełkiem, a więc i nakład. Wszystko to bowiem stać się miało „za sprawą

kobiecą", czyli paskudni buntownicy zamiast służyć królowi — hołowali tylko Wenerze. Przyjemnie było poczytać o tych ślicznotkach z Otaheite...

Kupujcie, Panie i Panowie, wspomnienia imć Bligha, kupujcie, póki mamy je jeszcze w księgarni! Nie macie, Panie i Panowie, czasu czy ochoty na lekturę? Prosimy więc na widownię Królewskiego Teatru. Już w maju 1790 roku wystawiono, nie licząc się z kosztami, piękną dramę pod tytułem: „Piraci Czyli Niedole Kapitana Bligha”.

Dyrekcja teatru zapewniała publiczność, że w trosce o należyłą oprawę sceniczną, która by wiernie przekazała autentyczność wydarzeń, inscenizacji „dokonano pod nadzorem osoby, która sama należała do załogi. szalupy z »Bounty«.”

Brawom nie było końca, oklaskiwano kolejne sceny sztuki: „Okręt «Bo- unty» na Tamizie; dowódca przyjmowany jest na Otaheite, tamże wymiana produktów brytyjskiego przemysłu na owoce chlebowca; przywiązanie dam z Otaheite do brytyjskich marynarzy tudzież żalność niezmierna ze zbliżającego się rozstania; ujęcie przez buntowników kapitana Bligha w kabinie "Bounty\*", jako też rozzierająca wprost scena przymusowego zejścia na szalupę dowódcy i wiernych mu ludzi; ich morskie niedole, a także jak odparci zostali przez tubylców jednej z wyspy Przyjacielskich; ich cudowne wręcz przybycie na Przylądek Dobrej Nadziei i przyjazne powitanie przez gubernatora; hotentockie tany i obrzędy towarzyszące odjazdowi; ich szczęśliwy powrót do Anglii...”

Skoro się jeszcze wspomni, że afisz teatralny, który cytuję za McKee<sup>1</sup>em



wspomina, iż dramę ożywiają „rozwiązłe tańce”, to trudno się dziwić, że ludziska pchali się do teatru, wpływy kasowe były wszelkie współczesne rekordy.

Bligh musiał mieć więc powody do radości. Unosił się na skrzydłach sławy, do tego przecież jeszcze wiadomo było, iż książka jego wydana była za zgodą Admiralicji, czyli że twierdzenia tam zawarte zyskały niejako oficjalną aprobatę. Sam autor miał też czas na twórczość nieco innego rodzaju. Zасыpuje teraz Admiralicję listami, w których domaga się odszkodowania za postradane na „Bounty” rzeczy osobiste.

A więc wylicza mienie, które przepadło mu, gdy służył królowi. Koszul — po czternaście szylingów sztuka — tuzinów trzy. Czepeków nocnych — po szylingu i sześć pensów — tuzin jeden. Ubrania miały być warte aż sto dwadzieścia jeden funtów i dwanaście szylingów. Do tego jeszcze okazała lista map własnych, książek, różnych drobiazgów. Ale księgowi Admiralicji nie byli w ciemną bici. Może znali ceny, może mieli własne informacje o garderobie dowódcy „Bounty”, w każdym razie jego podania zostały załatwione odmownie.

Pozostały jednak do rozliczenia poważniejsze rachunki. 22 października 1790 roku wielce szanowny admirał Samuel Barrington na pokładzie okrętu Jego Królewskiej Mości „Royal William” w znanym nam porcie Spithead otworzył postępowanie sądowe. Na wokandzie była tylko jedna sprawa: kto zawinił temu, że z rejestru Królewskiej Marynarki Wojennej trzeba było skreślić okręt „Bounty”, którego obecny los nie jest Admiralicji znany.

Byli już wtedy w Anglii świadkowie. Wracali kolejno w ojczyste strony podwładni kapitana Bligha. Admirałowie i kapitanowie, którzy mieli za sobą wszyscy lata służby na morzu, nie potrzebowali zagłębiać się w starannie przygotowane akta sprawy. Świadectwem tego, co się stało — były poszarzałe, zmęczone oblicza ludzi z „Bounty”, ich przygarbione, wyniszczone postacie, przeczące podanym datom urodzenia. Tak, ci przedwcześnie postarzali mężczyźni wiele przeżyli, a zresztą, jeśli chodzi o Bligha — czyż można mówić o skazaniu bohatera narodowego?

Czy więc rozprawa bez świadków oskarżenia? Na tych pewnie trzeba by było poczekać. Pierwszego kwietnia wrywano sobie mokry jeszcze egzemplarz „London Chronicle”, gdzie można było wyczytać, iż nie ujdzie płazem niecny zamach na dowódcę: „Podaje się do wiadomości, iż z rozkazu Jego Królewskiej Mości bezzwłocznie sposobi się do drogi dwie fregaty, które mają ruszyć w pościg za piratami, którzy zawładnęli «Bounty». Dowództwo nad tą małą formacją powierzone będzie doświadczonemu oficerowi. Fregaty udadzą się prosto na Otaheite, gdzie — jak wskazują poszlaki — osiadła zbuntowana załoga...”

Było oczywiste, że skoro ujęcie buntowników jest — dosłownie — na wodzie pisane, to nie można zwlekać z postępowaniem w sprawie „Bounty”, trzeba wysłuchać, co też mają do powiedzenia ci, którzy już są w Anglii.

Frank Clune nie podaje relacji o tej rozprawie, inne źródła natomiast stwierdzają, że każdy ze świadków otrzymał jednobrzmiące pytanie:

Czy dowódca Bligh i wy sami uczyniliście wszystko, co w waszej mocy, aby odzyskać okręt?

Wszyscy odpowiedzieli twierdząco, szczegóły indywidualnego zachowania nie były jakoś przedmiotem rozważań trybunału.

Zgodnie z procedurą, trzeba teraz było zadać pytanie najbardziej brzemiennie treścią. Kapitan Bligh słuchał w skupieniu, gdy powoli, wymawiając donośnie słowa, admirał Barrington zapytał go: „Czy masz pan jakieś zastrzeżenia, czy też miałbyś skargę jakowąś do wniesienia przeciw któremuś z panów oficerów czy też obecnym tu członkom załogi?”

Skloniwszy lekko głowę na znak, iż zrozumiał treść kwestii i chciałby odpowiedzieć, Bligh rzekł trybunałowi, iż nie ma żadnych skarg, prócz tej może, która znana jest już Ich Dostojnościom, a która dotyczy naruszenia dyscypliny przez cieśnię Purcella.

Teraz wstawali kolejno świadkowie, aby odpowiedzieć trybunałowi na pytanie, skierowane do nich wszystkich: „Czy macie zastrzeżenia jakieś albo i skargę do złożenia przeciw imć Blighowi?”

Skoro wszyscy odpowiedzieli przecząco, sąd postanowił, iż mają być uznani za niewinnych. Doszło do krótkiej konfrontacji Bligha z cieślą okrętowym. Wina Purcella została uznana częściowo za udowodnioną, dostał naganę.

Miało się ku wojnie. Zatroskane twarze dostojników floty, którzy zebrali się na „Royal William”, aby wymierzyć sprawiedliwość, raz po raz kierowały się ku terenom portowym, gdzie dzień i noc trwały prace nad uzbrojeniem potężnej floty.

Teraz, kiedy ojczyzna była w potrzebie, kiedy mogła się przydać każda pływająca jednostka — sensacją musiało być wyznaczenie do pościgu za buntownikami szybkiej fregaty „Pandorra”. Frank Clune zwraca uwagę, że okręt ten z dwudziestoma czterema działami i stu sześćdziesięciu ludźmi na pokładzie miał ruszyć na koniec świata tylko po to, aby ująć i przywieźć do Anglii garstkę buntowników, naturalnie, o ile jeszcze żyją i o ile dadzą się złapać...

Dowódcą misji mianowano człowieka żelaznej ręki, kapitana Edwarda Edwardsa. Powiadano, że liczył się dlań tylko regulamin, nic innego nie miało znaczenia. Właściwie w jego pojęciu wszyscy ci, którzy pozostali z Christianem, byli buntownikami i nie należało się wcale z nimi patyczkować.

<sup>D</sup>«n kapitan miał własne przekonania o tym, jak ma wyglądać ład w Kró-

lewskiej Flocie i co czynić należy z tymi, którzy podnoszą rękę na dowódcę. No, ale jako służbista, musiał też działać zgodnie z rozkazami, które wydała mu Admiralicja. Miał mianowicie płynąć prosto na Tahiti, potem jeszcze przeszukać inne wyspy w tym rejonie Oceanu Spokojnego. Schwytawszy piratów, miał imć Edwards dbać o to, aby uniemożliwić im ucieczkę. Znając pewnie surowość swego podwładnego panowie admirałowie wstawili jednak istotny rozkaz do szczegółowej instrukcji, przekazanej na pokład „Pan-dorry”: „Dbać atoli należy o to, aby zachować piratów przy życiu, a to w tym celu, aby można było dowieźć ich do kraju dla ukarania za popełnione przestępstwa”.

Na pokładzie płynął Hallet, trzecim w hierarchii był Thomas Hayward. Prawdopodobnie mieli pomagać przy identyfikacji buntowników, a swych dawnych kolegów z „Bounty”. Siła złego na jednego, taki ogromny aparat ścigania wprawiony w ruch dla postawienia przed sądem garstki buntowników! My zaś musimy teraz, drogi Czytelniku, rozejrzeć się za kimś, kto opowie nam o pościgu. Jak się to wszystko ułoży i czy sprawiedliwości stanie się zadość? A oto mamy już naszego sprawozdawcę. Lekarz z „Pandorry”, imć George Hamilton, zacina pióra, aby spisać kronikę wyprawy. Zaczyna sir Barrow gniewałby się na mnie, gdyby nie zmarł półtora wieku temu i wiedzieć mógł teraz, iż sięgnąłem po zapiski lekarza okrętowego. Sir John Barrow, który pierwszy napisał dzieje „Bounty” nie jako uczestnik wydarzeń rejsu, ale na podstawie dostępnych mu relacji i dokumentów — miał bardzo za złe doktorowi Hamiltonowi, iż „jest człkiem wulgarnym, do tego nieukiem, bardziej skorym do opisywania scen sprośnych i awantur, w których wyżywał się sam i jego kumple, niż do informowania o wydarzeniach, będących istotnym celem wyprawy...”

Mimo to jednak, zważywszy, że moralność pana doktora nas nie interesuje — nawet gdyby gorszyła ona współczesnych mu dostojników — jesteśmy pełni podziwu dla jego kronikarskiego trudu. Podróż zaczęła się bowiem pod złym znakiem, lekarz miał pełne ręce roboty.

Załodze wypłacono żołąd na pół roku naprzód, okręt był w świetnym stanie, doskonale przygotowany do drogi. Celem wyprawy były wyspy Mórz Południowych, a więc nastrój marynarzy zapewne — dobry. Tymczasem w okręt uderzyła zaraza, której nazwy dziś nie da nam się ustalić, ale określona przez imć Hamiltona jako „febra”. Zwaliła ona z nóg wielu marynarzy, medycyna dysponowała wtedy lekami nader skromnymi, arsenał broni przeciw chorobie był ubogi.

Raport przesłany w ostatnim dniu roku 1790 z Rio de Janeiro do Admiralicji w Londynie stwierdza wyraźnie, że ciągle jeszcze nie można uporać się z epidemią. Mamy dokładne dane o zdrowotnym stanie załogi, przy okazji jednak zwierza się nam pan doktor, że jest pod urokiem dalekiego miasta. Dowiadujemy się, jak powabne są miejscowe piękności, ale — uwaga! — trzeba mieć się na baczności, jako że „miłosne intrygi są tu niebezpieczne, gdyż sztylet jest w powszechnym użyciu, zaś morderstwa zdarzają się często...”

Wspomina smutny los, jaki właśnie w Rio de Janeiro spotkał kapelana ze statku francuskiego podróżnika imć Bougainville’a. Duchowny wyzionął ducha podczas waśni o względy jakiejś miejscowej ślicznotki.

Poza tymi nowinkami, które gorszyły sir Barrowa, znajdujemy też świadectwa wiedzy lekarskiej. Doktor Hamilton jeszcze w czasach, kiedy był medykiem na pokładzie okrętu „Agamemnon”, sam prowadził badania nad skorbutem i jego przyczynami. Owszem, on też podziela zdanie swych czcigodnych kolegów, że kapusta kwaszona wspaniale zapobiega tej paskudnej dolegliwości, osobiście doradza także i orzechy kokosowe.

Koło Wyspy Wielkanocnej do spiżarni okrętowej wdarła się woda, trzeba było z ciężkim sercem wyrzucić półtora tysiąca funtów chleba.

Doktor Hamilton notuje dla potomnych długą listę wysp i wysepek, które mijano na szlaku. Czasem były to większe połacie ziemi, czasem tylko ledwie sterczące z fal morskich legowiska ptactwa.

Jedną z tych wysepek nazwana została Ducie, a to dla uczczenia kapitana Królewskiej Marynarki Wojennej imię Francisa Moretona, czwartego barona Ducie of Torthworth.

Szybka fregata dotarła z Plymouth do zatoki Matavai na Tahiti po stu trzydziestu sześciu dniach żeglugi. Może brzmi to zabawnie w epoce odrzutowców, ale wtedy kapitan Edwards miał prawo do dumy. „Pandorra” rozwijała zawrotne tempo.

Zaraz o świcie do burty okrętu dobiło czółno z wyspiarzem. „Indianin” wdrapał się zwinnie na pokład i — opowiada imię Hamilton — „okazał oznaki radości graniczące niemal z szaleństwem, kiedy ścisnął nas i witał”. Już na wstępie ekspedycja pościgowa dowiedziała się, że Christian i kilku innych piratów nie czekało na nią, ale odpłynęło w stronę dal. Jest natomiast jeszcze na Tahiti kilku innych buntowników. Poczciwy wyspiarz przekazał im też wiernie całą bajeczkę, jaką zostawił na pożegnanie Christian, a gdzie mowa jest o żyjącym nadal kapitanie Cooku i towarzyszącym mu wiernie imię Blighu...

Edwards dowiaduje się, że Churchill i Thompson mogą być skreśleni z listu gończego, że nie ma ich już między żyjącymi. Zjawia się na pokładzie „Pandorry” znany nam majtek Brown z brygu „Mercury” i kapitan Edwards notuje: „Musiał gwoli własnego bezpieczeństwa przystać do

piratów, ale rozstał się z nimi, kiedy zaokrętowali się na szkunerze. Wciągnąłem Browna na listę załogi. W mym rozeznaniu jest to człek bardzo inteligentny i przydatny być może jako przewodnik, żołnierz i marynarz". Innymi słowy, przygarnięty przez sutych rodaków z „Bounty” majtek teraz „odwdzięczał się” im, czynnie współdziałając w pościgu po znanej sobie dobrze wyspie.

W każdym razie mimo epidemii, częściej zresztą towarzyszki dalekich rejsów w owych czasach, mimo tych czy innych trudności żeglugi — Edwards był już na Morzach Południowych i energicznie przystąpił do akcji tak, jak przykazała mu Admiralicja.

Ale nad dumną fregatą, skąpaną w promieniach słońca u wybrzeży Tahiti, gromadziły się już czarne chmury. Czyżby spełnić się miało ponure prorocтво bywalca tych stron, Williama Bligha. Rozpamiętując w pogawędkach z krewniakiem, wielbnym Jamesem Blighem, swe dole i niedole, były dowódca „Bounty” powtarzał kilkakrotnie: „Zobaczysz, że Edwards nigdy nie wróci. Przecież nie rozeznaje się wcale w żegludze w cieśninie Endeavour!”

#### ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Opowiada się tu, jak ścigano i więziono

ludzi z „Bounty”, których zastano jeszcze na Otaheite, i jak straszna była rozpacz wyspiarzy, gdy widzieli, jakie cierpią katusze ich biali przyjaciele i krewni. Bezgraniczny był żal tahitańskich kobiet, gdy oglądały swych mężów, ojców swych dzieci, w kajdanach, na „wielkiej pirodze”, która uwiozła więźniów w dalekie strony. Na szlaku tym jednak ziściła się złowieszcza przepowiednia kapitana Bligha. Osoby wrażliwe uprasza się o nieczytanie tego rozdziału.

Trzy maszty, dwa tuziny dział po ołjt? stronach okrętu ■— oto fregata „Pandorra” z królewskiego rozkazu zjawrfa się na Tahiti. Gdzie jest „Bounty”? Gdzie są buntownicy? Dwaj już nie żyją, ale co się stało z pozostałymi?

Na pokładzie „Pandorry” zjawilfsię Coleman, Heywood i Stewart. Są znowu w swym świecie. Deski pokładu lśnią czystością, marynarze umundurowani zgodnie z regulaminem. "Union Jack łopocze na wietrze, słycać gwar głosów, wszyscy mówią po angielsku...

Załoga „Pandorry” widząc przed sobą cudacznie odzianych, opalonych przez słońce i pokrytych tatuażem mężczyzn myślała w pierwszej chwili, że to następna wizyta^Indian” z Otaheite. Porucznik Larkin w osłupieniu słucał, kiedy Heywood przestępując z nogi na nogę, przerwał zdumione milczenie przybyłych właśnie zza siedmiu mórż rodaków:

— Mniemam, iż dzieje moje nie są panu obce? Jam to należał do załogi „Bounty”...

Teraz zawiedziono ich przed oblicze samego kapitana Edwardsa. Przyglądał im się z lodowatą obojętnością przez dłuższą chwilę, od bosych stóp aż po głowy nie strzyżone od dwóch lat. —r Chciałbym wiedzieć, co też macie mi do powiedzenia ?

—Być może słycał pan o sprawie „Bounty”, nieprawdaż?

Kapitan Edwards powstał i w milczeniu obszedł wokoło stojących przed nim przybyszów z wyspy. Nie wrzasnął, jak to uczyniłby Bligh. Cedził słowa powoli, jakkolwiek narastała w nim złość. W 1782 roku miał już do czynienia z buntem załogi na okręcie Jego Królewskiej Mości „Narcissus”, przeżycia zapisały się trwale w jego pamięci. Uznawał już tylko skalpel chirurga, który musiał wyciąć schorzałe miejsce, nim gangrena ogarnie resztę organizmu, całą flotę wojenną pod brytyjską flagą!

Zaczął ironicznie, informując swych rozmówców, że istotnie znana mu jest owa — jak to też oni tam nazwali? —no, ta sprawa „Bounty”... Ściślej biorąc zjawił się tu tylko po to, aby sprawę tę ostatecznie załatwić. Nic innego go tu nie sprowadza, to trzeba od razu powiedzieć. Nic innego!

On sam, kapitan Edwards z Królewskiej Marynarki Wojennej, nie zwykł tłumaczyć się przed byle kim, o nie! Tu jednak może zaspokoić ciekawość każdego, kto pyta! Ma mianowicie ową sprawę „Bounty” uregulować ostatecznie w ten sposób, że buntowników ujmie, zakuje w kajdany i przywiezie do Anglii, gdzie ukarani będą zgodnie z postanowieniami prawa. A wiadome mu jest, co stanowi prawo, artykuł dziewiętnasty. Znany jest przecież każdemu, kto służy królowi. Edwards sięgnął po oprawną w skórę książkę, otworzył w miejscu, gdzie była założona jakaś kartka, jak gdyby przypominał sobie niedawno ów artykuł noszący cyfrę dziewiętnaście. Odczytał go donośnym głosem: „Osoba przynależna do floty, która miałaby uczestniczyć lub też starałaby się uczestniczyć w związku buntowniczym, niezależnie od tego, pod jakim by to miało nastąpić pretekstem, osoba czyn takowy popełniająca i uznana z wyroku sądu wojennego winną czynu tego musi ponieść karę śmierci”.

Heywood miał przez chwilę wrażenie, że okręt nie stoi spokojnie na gładkich wodach zatoki, ale że wszystko wokoło wiruje. Miał wrażenie, że wyrok

14 Bnntownicy MOrl Południowych

skazujący słyszy nie z ust kapitana, ale że to sędzia uzasadnia krótko, co musi nastąpić, skoro wina oskarżonego została- już udowodniona.

Heywood przez te pogodne dni, przeżyte między brunatnymi ludźmi, zatracił poczucie dyscypliny, może zresztą było ono przełamane przez lęk czy poczucie niesprawiedliwości, skoro kilkakrotnie usiłował przerwać dostojnemu dowódcy jego miażdżące wywody.

Wyspiarz, który pierwszy zjawiał się na „Pandorze”, nie bardzo wczuwł się w zawilosci położenia swych białych przyjaciół. Był przekonany, iż tak jak on sam — oczywiście i oni ucieszą się, kiedy ujrzą na „wielkiej pirodze” Haywarda, tego samego, który tu był już przecież razem z nimi!

Heywood i Stewart wiedzieli więc już, że Hayward przybył znowu na Otaheite. Ten da świadectwo prawdzie ich niewinności!

Pokornie poprosili Edwardsa, aby mogli porozmawiać z dawnym kolegą. Edwards jakby uśmiechnął się przez chwilę. Obaj młodzieńcy jakże niesłusznie odczytali w tym grymasie pobłażliwość czy życzliwość. Po prostu z rozkazu kapitana Hayward oczekiwał zaraz w sąsiednim pomieszczeniu, drzwi nie były zamknięte. Słyszał wszystko, choć sam nie był widziany.

— Hayward, pozwól tu na chwilę, poruczniku, mam u siebie gości, którzy chcieliby z panem porozmawiać...

I tak dawni koledzy znaleźli się znowu razem. Dwaj jakby w stanie szoku, po słonecznych dniach beztronski wciągnięci w tryby maszyny, która mogła ich zmiażdżyć.

Heywood wspominając potem tę dramatyczną scenę napisał, że „jak przystało na miernotę, która wspięła się kilka szczebli wyżej na drabinie, Hayward przyjął nas nader chłodno i miało się wrażenie, iż sprawa nasza jest mu całkowicie obca”.

Zaraz też zakuto obu w kajdany, które okręt wiozł ze sobą z Anglii. Skuty był już Coleman, Skinnerowi założono ciężkie „żelazka”, gdy tylko stopa jego stanęła na pokładzie.

Prawie niewidomy skrzypek Byrn przebywał właśnie o czterdzieści kilometrów od zatoki Matavai, gdy dowiedział się od „Indian” o przybyciu „Pandorry”. Całą noc szedł ścieżkami przez las, potykając się o gałęzie i sterczące korzenie, kalecząc o ostre kolce krzewów, byle tylko szybciej, byle prędzej znaleźć się znowu między marynarską bracią. Edwards wynagrodził po swojemu pośpiech ślepego, każąc mu bezzwłocznie założyć okowy...

Jak pamiętamy, „Resolution”, czyli statek tak zmyślnie zbudowany na Otaheite przez ludzi z „Bounty”, uczestniczył akurat wtedy w wyprawie wojennej, wspierając działania zaprzyjaźnionych plemion. Dwie szalupy z „Pandorry” przeszukiwały wody wokół wyspy, porucznicy Hayward i Corner nie mieli wątpliwości, że „piraci” usiłują umknąć, każdy z tych dwóch oficerów chciał się wykazać, chciał, aby to właśnie dowodzona przezeń łódź dopadła buntowników.

Z zestawienia dat z pamiętnika Morrisona wynika, iż w istocie upłynął czas jakiś, nim żeglarzy z „Resolution” doszła wieść o przybyciu brytyjskiego okrętu wojennego.

Wódz Tomarre zaklinał swych przyjaciół, aby nie zgłaszali się samorzutnie na „Pandorę”. Musiał już mieć dobre informacje o nastrojach na przybyłym okręcie, kiedy ostrzegał Morrisona, by uszedł w góry, a nie poddawał się dobrowolnie: „Kiedy to uczynisz, Hayward cię zabije, jest bowiem ogromnie zagniewany” — wspomina Morrison słowa zatroskanego przyjaciela.

Wreszcie doszło do sprzeczki, wódz zrozpaczony, iż nie znajduje posłuchu, kazał swym wojownikom, aby... wyrzucili za burtę „Resolution” Ellisona i Normana, zaś następnie chmara wyspiarzy („tysiąc, a może i więcej” — wspomina Morrison) wdrapała się na mały stateczek. Przechylił się niebezpiecznie, sporo wyspiarzy pospadało do morza, ale ci, którzy jakoś się zaczepili — zrabowali z pokładu wszystko, co tylko dało się zabrać.

Zacny wódz rzekł wtedy swym przerażonym gościom i sojusznikom, że wydał rozkaz ograbienia statku dlatego, iż siłą zmusić chce swych białych przyjaciół, aby skryli się w niedostępnych zakamarkach wyspy i tam przeczekali, póki „wielka piroga” ze złymi ludźmi nie odplynie. Rozumował zapewne, iż wszelka żegluga na „Resolution” bez zapasów czy instrumentów nawigacyjnych nie była możliwa, że nie rusza się na ocean statkiem, który ma tylko gołe ściany.

Upór, z jakim Brytyjczycy szli na spotkanie własnej kaźni — był jednak niezłomny. Nadeszła noc, Tomarre zasnął głębokim snem człeka o czystym sumieniu. Wtedy jego przyjaciele ruszyli w las, aby tylko szybko przedrzeć się do krążącej gdzieś w pobliżu — jak przypuszczali — szalupy z okrętu wojennego. Odnaleźli ją wreszcie w jakiejś małej zatoczce, gdzie miała przeczekać mroki nocy. Przebudzili dowódcę szalupy, który też niezwłocznie, uradowany, że ścigani ułatwili mu zadanie — kazał skrępować im ręce i dostarczył na okręt.

Tam zaś, czytamy w relacjach, „wartom przykazano, aby miały baczenie, iż by nikt z tubylców do nas się nie odezwał, rozkazano też strażom, by strzelały do każdego z nas, który odezwie się do drugiego w języku Otaheite...” Zdjęci litością wyspiarze dowozili swym więzionym na okręcie przyjaciołom kokosy: „Jednakże nie przyzwalono im, aby rozmawiali z nami, czy nawet zerkali w naszą stronę, tych, którzy ze współczuciem rzucali ku nam spojrzenia, zaraz usuwano z pokładu...”

Więźniowie otrzymywali normalny wikt marynarski, poza przydziałem gorzałki. Wydano z magazynów każdemu po parze spodni i jednej koszuli, ale odzież ta nie mogła być założona, jako że nie zezwolono na rozluźnienie czy zdjęcie kajdan.

Jedna z grup desantowych przywiodła ze sobą „Resolution”, a także zasłyszaną informację, iż kilku buntowników schroniło się w głębi wyspy. Kiedy na „Pandorze” uwijali się rzemieślnicy, budując klatkę dla osadzenia w niej odłowionej zdobyczy, grupa uzbrojonych marynarzy zapuściła się daleko na Otaheite, aby dopaść resztę ukrywających się zbiegów.

Porucznik Corner przypomniał sobie czasy, gdy jeszcze służył w wojskach lądowych, ale dowiedziona przezeń grupa desantowa wcale nie podzielała służbowego entuzjazmu oficera. Ostatecznie byli to przeważnie miejscy chłopcy, klęli szpetnie gubiąc się w tropikalnym lesie, nie umieli przeprować się przez rzeczki, zagradzające swym nurtem drogę w głąb wyspy.

Hayward, maszerujący ze swymi ludźmi nadmorskimi plażami, może wiele by nie wskórał, gdyby nie pomoc owego Browna, nie tylko z miejsca wcielo- lonego do załogi „Pandorry”, ale też i awansowanego. Edwards uznał, że, owszem, ma chłop za sobą burzliwą przeszłość, lecz anioty nie służyły w królewskiej flocie, natomiast jest poza podejrzeniem o udział w buncie, skoro nigdy nie był na pokładzie uprowadzonego okrętu.

Brown gorliwością starał się zmasać dawne grzechy i grzeszki, a że znał znakomicie i wyspę, i język wyspiarzy, więc nie tylko wytropił zbiegów, ale i w mrokach nocy, kiedy zmorzył ich sen, potrafił odróżnić „namacalnie” od śpiących w tych samych zaroślach polinezyjskich wyspiarzy. Mianowicie — wspomina kronikarz — Brown uśpionym ludziom



„obmacał palce u nóg, myszkując w zakątku, gdzie się ukrywali. Jako że łatwo jest odróżnić tych, którzy nigdy nie nosili trzewików, a to dlatego, iż wielki palec u nogi bardziej odstaje od pozostałych palców”.

Hayward, wezwany, o świcie zaskoczył rozespanych zbiegów. Tym samym znaleźli się w okowach ci wszyscy marynarze z „Bounty”, którzy żyli na Tahiti po odpłynięciu z wyspy Fletchera Christiana. A jednak kapitan Edwards był poważnie zaniepokojony sytuacją. Wyspiarze zaatakowali jedną z grup pościgowych, doszło do strzelaniny, w której „Indianin” został zabity.

Czyż więc nie ma się teraz do czynienia z realnym zagrożeniem przez wyspiarzy — zastanawiał się dowódca „Pandorry” — skoro uznali oni „piratów” za swych ziomków, przynależnych do ich wspólnoty rodowej? Imć Edwards zdawał sobie sprawę, że ze stanu takiego wynikają dla plemienia liczne zobowiązania, czy więc aby „Indianie” nie pokuszą się o odbicie z okrętu osadzonych tam więźniów? I czy nie będą zabiegać o osadzenie okrętu na wyspie na zawsze, chociażby nocą nurkując i przecinając liny kotwiczne? Wreszcie, czy aby uroki wyspy nie zarażą swymi miazmatami i tę załogę, która była pod jego własnym dowództwem? Obwiesie to przecież i rzezimieszki, wygarnięte w jakichś zaułkach portowych, pan kapitan Edwards nie miał wielu złudzeń co do swych ludzi. I kto zaręczy, że już teraz nie knuje się jakiś spisek, tak skrycie, jak na okręcie „Bounty” za plecami kapitana Bligha?

— Nuże, uwijajcie się zwawo, chłopcy, czeka was dobra miarka rumu,

kiedy uporacie się już z robotą, gdy będziemy mieć klęczkę, z której ptaszki nasze już nam nie wyfruną — poganiał swych cieśli kapitan Edwards.

Złościły go kobiety, które na Otaheite związały się z marynarzami z „Bounty”. Podpływały stale, czasem kilka razy dziennie. Niektóre były brzemiennie, inne wiodły ze sobą dzieci.

W szczerzej rozpaczy tłukły głowami o burty statku, gdzie więzieni byli ich mężowie, ich krew barwiła błękitną wodę zatoki. Lamenty niewiast gniewały i niepokoiły dowódcę „Pandorry”, gnębiło go przeczcucie, że tam, na wybrzeżu, czatują w gąszczu rośli wojownicy, ojcowie i bracia tych kobiet, którzy czekają na moment dogodny, aby pomścić zniewagę rodu, krzywdę ziomek. I jeszcze gdy się wspomni, co prawili Cook czy Bligh, jak wspaniale „Indianie” pływają pod wodą i jakie następstwa mieć może dla kapitana osadzenie „Pandorry” na nadmorskich plażach... Trzeba się śpieszyć z odebraniem więźniom wszelkiej nadziei na ucieczkę, „Indianom” zaś — na wyswobodzenie swych białych krewniaków z niewoli.

Wreszcie gotowa była na rufie klatka z solidnych bierwion i żelaznych prętów, właściwie kojec o powierzchni około tuzina metrów kwadratowych, gdzie czternastu więźniów w kajdanach na rękach i nogach przez całą podróż musiało — jak wspominał Heywood — „jeść, pić, spać i na miejscu załatwiać też czynności wynikające z natury człowieczej...”

Kapitan Edwards zarządził, aby kajdany dorobiono więźniom „na miarę”, to znaczy, aby szczelnie przylegały do przegubów czy kostek. „Pan porucznik Larkin poddał kajdany próbie, a to w ten sposób, że stawiał nam stopę na piersi, wtedy dopiero z całej siły ściągał nam kajdany z rąk, zdzierając nam przy tym skórę. Kiedy przeguby puchły, powiedział nam, że kajdany nie muszą leżeć jak rękawiczki.”

Morrison wspomina, iż „kiedy nie było wiatru, upał wewnątrz kojca był tak dokuczliwy, iż pot nasz ściekał strużkami przez wywietrzniki, zżerało nas robactwo. Hamaki, jakie nam przydzielono, były brudne i tak zarobaczywione, iż jedynym ratunkiem było położenie się nago na samych deskach podłogi”.

Lekarz okrętowy doktor Hamilton notuje, iż „żony więźniów zjawiały się codziennie na statku i przyprowadzały swą dźwiatwę, którą zanieść wolno było do nieszczęsnych ojców. Zbyt wzruszający dla czułych serc był widok biednych więźniów w kajdanach, oplakujących swe potomstwo”.

Jednym z więźniów był dwudziestotrzyletni George Stewart, żonaty z Peggy, córką wodza Tippahoo. Teś wstrząśnięty był niedolą młodzieńca, pamiętał zresztą, iż to właśnie Stewart ściągnął na siebie gniew Bligha, gdy dopuścił doucieczki „Indianina” batożonego na „Bounty” za kradzież.

#### DO PIEKIEŁ, ALE RA

Późniejsze relacje podają szczegóły tych odwiedzin u więźniów, znacznie bardziej dokładne niż te, które zawdzięczamy doktorowi Hamiltonowi.

Otóż widzenia owe „były tak wstrząsające i rozczulające, iż sami oficerowie »Pandorry« byli nimi przejęci, zaś Stewart, nie mogąc dłużej cierpieć tak okrutnie, prosił, by żony jego nie wpuszczano już więcej na pokład. Usunięto więc ją siłą, odstawiono na brzeg. Oddzielona od męża i nie mając więcej już wstępu na pokład, pograżyła się w głębokiej rozpacz i zmarła, serce jej bowiem pękło, w dosłownym znaczeniu... Dziecię jej żyje nadal...”

Informacja ta została w kilka lat potem spisana przez misjonarzy ze statku „Duff”, nie ma powodu, aby podważać jej prawdziwość.

Doktor Hamilton notuje jeszcze, iż przychodząc w odwiedziny, żony więźniów „przynosiły im to wszystko, co kraj ten wytwarza najlepszego. One zaś same odnosiły się do więźniów z największą wiernością i uczuciem...”

Nieludzko traktowani byli także i ci, których na liście gończym sam Bligh określił jako przypadkowych i niewinnych uczestników wydarzeń. Niewidomy skrzypek Bym też nie został wypuszczony z klatki ani zwolniony z zakucia w kajdany.

Statek „Resolution”, dzieło brytyjskiej improwizacji, podziwiany był przez marynarzy z „Pandorry”. Uważali, iż jest to prawdziwy majstersztyk budownictwa okrętowego. Kapitan Edwards patrzył na to bardziej praktycznie, a mianowicie obsadził „Resolution” ludźmi z własnej załogi, oba statki miały teraz razem współdziałać w pościgu za Christianem i jego ludźmi.

Doktor Hamilton zostawił nam opis odpłynięcia obu statków z Tahiti: „Każde czótno, jakie tylko było na wyspie, uwijało się wokół statku, zapanowała żałoba, jaką obchodzi się tu po zgonie bliskiego krewnego. Wyspiarze obnażali swe ciała, muszlami zdzierali sobie skórę z głowy czy pleców, krew sączyła się ciurkiem. Gdy krwotoki ustawały, przy wtórze rozpaczliwych jęków zadawali sobie nowe rany.”

Zaczyna się wędrówka z wyspy na wyspę. Są między nimi takie, które naniesiono uprzednio na mapy Admiralicji, były też i nigdy przed tym nie oglądane przez brytyjskich żeglarzy. Znowu więc deszcz nazwisk dostojników Korony spadł na wyspy i wysepki spotkane na trasie. Statek „Resolution” gdzieś się zawieruszył w czasie tego pościgu, nie zjawił się na spotkanie, z góry zaplanowane u wybrzeży wyspy Annamooka. Zamiast „Resolution” z dziewięcioma ludźmi na pokładzie, na „Pandorrę” czekali miejscowi „Indianie”, atakujący okręt.

2 sierpnia 1791 roku „Pandorra” uzupełniła swe zbiorniki wody słodkiej i ruszyła w drogę do Anglii. Od domu dzieliło marynarzy szesnaście tysięcy mil, z tego część przez mało znane trasy, najeżone rafami koralowymi. Cztery miesiące wałęsania się między wysepkami nie tylko nie doprowadziło do uję-

cia zbiegów, ale kosztowało życie pięciu marynarzy z „Pandorry”, zaginionych na małej łódce w czasie przetrząsania rejonu, do którego zawiódł „Pandorra” fałszywy trop.

Fregata przeżywała ciężkie chwile, kiedy dosięgnął ją tropikalny cyklon. Fale przelewały się przez pokład, rzucały okrętem, ale najbardziej cierpieli więźniowie, ciskani z kąta w kąt swej klatki. Zresztą i tak chorowali na „febrę”, co skłoniło ludzkiego lekarza do pośpieszenia im z pomocą. Nie było to wcale takie łatwe, działał wbrew poleceniom kapitana. Starał się jakoś ulżyć ich doli, dbał o nieco lepsze jadło, lecz był bezsilny wobec złośliwości dowódcy.

29 czerwca „Pandorra” stanęła na kotwicy w pobliżu Wysp Przyjacielskich, zwanych obecnie Tonga. W tych stronach poległ marynarz Norton, kiedy „Indianie” zaatakowali łódź kapitana Bligha.

Tak więc „Pandorra” znalazła się na scenie, gdzie niegdyś u podnóża gorejącego wulkanu Tofoa ludzie z „Bounty” tłoczyli się długo w noc na pokładzie, co tak pokrzyżowało plany Fletchera Christiana, chcącego pierwotnie tylko samemu zbiec ze statku. I tym razem wulkan pokazał swe sztuczki brytyjskim marynarzom, skoro czytamy u Hamiltona, że „widowisko było wspaniałe”.

Z innych dziwów wędrówki doktor Hamilton opowiada nam jeszcze o wyspie Rotuma w archipelagu Fidzi, którą przechrzczone na Grenville, aby uczcić lorda tego nazwiska. Wyspiarze byli niepospolicie silni. Notuje doktor Hamilton: „Pewien chłopak uciekł z pokładu z łupem, ale go w porę dostrzeżono. Jakkolwiek pięciu najbardziej krzepkich ludzi z okrętu pojmało go i wczepiło się w jego bujne, krucze włosy, to jednak on wyrwał się im i skoczył za burtę ze swą zdobyczą”.

Ciekawostki były nader interesujące, ale przecież Edwards i jego podwładni mieli tropić buntowników. McKee twierdzi, że kapitana opuszczała po woli pycha, zrodzona na Tahiti, na której tak łatwo zagarnął kilkunastu zbiegów. Teraz już tylko przypadek mógł zaprowadzić go mokrym tropem do miejsca, gdzie ukrywali się buntownicy. Doktor Hamilton twierdzi, iż Edwards zamierzał płynąć tym samym szlakiem, co Bligh i wcześniej Carteret. A wiemy przecież, że Christian właśnie z książki Cartereta czerpał natchnienie do swej podróży w poszukiwaniu kryjówki. Innymi słowy, gdyby Edwards był wierny swym własnym zamierzeniom, to trafiłby prosto na wysepkę, gdzie ulokował się przywódca buntu. Nastąpiło wtedy pewne dramatyczne wydarzenie, intrygujące po dziś dzień historyków tych stron, jakkolwiek tylko z małej wzmianki w dzienniku pokładowym „Pandorry” dowiadujemy się o tym, co zaszło. Otóż 13 sierpnia dojrzano z okrętu wyspę zalesioną i górzystą. „Bardzo wyraźnie widzieliśmy dym, co każe nam przypuszczać, iż wyspa ta jest zaludniona.”

Trudno pojąć, dlaczego Edwards nie sprawdził, czy przypuszczenia te są słuszne. Nie zdawał sobie pewnie sprawy z faktu, że okręt jego śledzą oczy zrozpaczonych ludzi, iż dym jest sygnałem wzywającym pomocy, „dzwonem na trwogę” garstki rozbitków. Jakże wielka musiała być ich rozpacz, kiedy fregata oddalała się od nich!

Kim byli ludzie, którzy wzywali pomocy? Nic na to nie poradzę, ale w tej opowieści raz po raz pojawiają się na marginesie wydarzeń postaci, które wcale nie są... marginesowe.

Reżyser imieniem „Życie” chce wpleść w kanwę opowieści o ludziach z „Bounty” jeszcze i inne postaci, o których mówił świat. Ich drogi krzyżują się w sposób wręcz nieprawdopodobny. Tysiące wysp rozsianych jest na oceanie, ale akurat na niektórych historia stworzyła jakby przystanki dla ludzi, którzy wpisani zostali na zawsze w jej karty.

Na scenę wkracza Jean François de Galaup, hrabia de la Perouse, słynny żeglarz francuski.

Prosimy bliżej, hrabio, nasi Czytelnicy pewnie chcieliby się dowiedzieć, dlaczego znaleźli się Pan na bezkresnym oceanie, i to akurat wtedy, gdy — jedna szansa na milion! — przepływał nie opodal europejski statek, dowodzony przez Edwarda Edwardsa.

1 sierpnia 1785 roku francuski port w Brest opuściły dwa statki, ruszając w wielką wyprawę. „L’Astrolabe”, dowodzony przez kapitana de Langle, oraz „La Boussole”, którym dowodził sam La Pérouse, miały na pokładzie kilku wybitnych uczonych. W kwietniu następnego roku zawinięto na Wyspę Wielkanocną, gdzie sporządzono szkice tajemniczych posągów, z których słynie ta wyspa. „Nie sądzę, aby ktoś mógł posągi te uważać za bożki, jakkolwiek Indianie okazują im coś w rodzaju czci” IS<sup>^</sup> pisał żeglarz. Wyspiarzy określa on jako zręcznych kieszonkowców, ich kobiety miały być lekkich obyczajów. Na wyspach Sandwich oddano hołd pamięci Cooka, przy okazji zajęto też dla króla Francji jedną z wysp, którą przeoczyli Brytyjczycy...

Mamy już rok 1787, kiedy po wielu przygodach ekspedycja francuska zawija do Makau, portugalskiej kolonii w Chinach. La Pérouse nie podziela entuzjazmu swego rodaka Woltera dla rządu w Pekinie, określając go jako „najbardziej niesprawiedliwy, najbardziej ciemnościelski i najbardziej tchórzliwy na całym świecie...”

Zawadza tylko o wyspy japońskie, ale lęka się ich mieszkańców. Przyjaźnie wita go Petropawłowsk na wybrzeżu syberyjskim. Caryca Katarzyna II ka- . zała gubernatorowi, aby zgotował dla La Perouse godne przyjęcie. Z pokładu schodzi tam baron Jean-Baptiste Berthelemy de Lesseps, aby najkrótszą drogą dostać się do Paryża i tam złożyć raport o przebiegu ekspedycji. Inna sprawa, że ta jazda najkrótszą trasą przez Syberię trwała rok, baron napisał relację o tej podróży pod tytułem „Z Kamczatki do Francji”.

La Perouse tymczasem ruszył na południe, zawadził o Samoa, które jego rodak Bougainville nazwał Wyspami Żeglarzy. Francuz był pełen entuzjazmu dla „szlachetnych dzikusów”, ostatecznie jednak zmienił trochę zdanie, gdy wyspiarze zamordowali kapitana de Langle oraz jedenastu jego marynarzy...

Uciekając z „tej jaskini, straszliwszej przez okrucieństwo swych mieszkańców niż siedlisko tygrysów czy lwów”, ekspedycja kieruje się ku Australii.

Stamtąd, z kolonii w Botany Bay, wysyła kapitan do Francji list, który miał być już ostatnim. „Wyruszam ku Wyspom Przyjacielskim, działać będę zgodnie z poleceniami-odnoszącymi się do Nowej Kaledonii, wyspy Santa- Cruz...” Pismo to nosi datę 7 lutego 1788 roku. Reszta była już tylko milczeniem.

Robert Adrian Langdon, australijski specjalista dziejów tego rejonu, zwraca uwagę, że przez czterdzieści lat świat nie wiedział, co się stało z dwoma francuskimi statkami. Dopiero Irlandczyk, kapitan Peter Dillon, pływający w służbie Wschodnioindyjskiej Kompanii, odnalazł szczątki ekspedycji na małej, okolonej rafami koralowymi wysepce Vanikoro. Tam miały być resztki statku „Astrolabe”, zaś dopiero w 1962 roku, czyli niemal w dwa wieki po katastrofie, Reece Discombe, specjalista ratownictwa okrętowego z Nowych Hebrydów, odszukał nie opodal to, co pozostało po „La Boussole”.

Langdon powiada jednak, że nie wszystkie zagadki są rozwiązane do końca. Wiadomo z tradycyjnych opowieści wyspiarzy, przekazywanych z pokolenia na pokolenie, iż rozbitkowie z obu tych statków zbudowali na Vanikoro łódź czy szalupę. Dokąd nią dotarli?

Czy pochłonęło ich morze, czy też osiedlili się na jakiejś wyspie ? A co się stało ze skarbem, jaki wiozły oba francuskie statki?

Irlandczyk Dillon zapisał, że na Vanikoro zastał jeszcze coś w rodzaju polany, położonej nad brzegiem i idealnie nadającej się do budowy, a następnie spuszczenia na morze jakiegoś niewielkiego statku. Miał to być — prawił stary Rathea w 1827 roku przybyszom z Europy — dwumasztowiec. Zbudowano go nie bez trudu z resztek obu rozbitych na rafie statków. A że wyspiarze raz po raz atakowali Francuzów, cała ta prymitywna stocznia była osłonięta czymś w rodzaju palisady. Inny starzec przypominał sobie, że Francuzi zajęci byli budową przez „wiele księżyców”.

Potem na Vanikoro zjawily się w roku 1848 i 1883 dwie francuskie ekspedycje, wcześniej jeszcze słynny żeglarz Dumont D'Urville szukał śladów zaginionych marynarzy.

W Sydney widziałem relację w „Australian Museum Magazine” z roku 1924, w której C. E. Kirk wspomina o różnych znaleziskach w Vanikoro, gdzie rozbitkowie mieli kuźnię, pracującą na potrzeby ich zaimprovizowanej stoczni. Kirk odnalazł stopione kule, sprzączkę od trzewika i inne przedmioty, które nie mogły należeć do wyspiarzy z Vanikoro.

Długo jeszcze mógłbym tu wyliczać źródła wskazujące na to, że owo wołanie o pomoc, bijące słupem dymu z wyspy — było pewnie ostatnią oglądaną przez białego żeglarza próbą wezwania pomocy przez francuskich rozbitków.

Nie sposób posądzać kapitana Edwardsa o złą wolę. Dziwi nas tylko, że żeglarz szukający buntowników właśnie na tych małych wysepkach, z dala od europejskich portów czy osad, nie zainteresował się tym, co oglądał.

A zresztą on sam wpadł w tarapaty, których na pewno nie przewidział. Mamy wczesny ranek 23 sierpnia 1791 roku.

— Poruczniku Corner — rzecze Edwards — trzeba będzie znaleźć przejście przez rafę koralową...

Jak okiem sięgnąć, rozciągała się przed „Pandorą” zwarta zaporą, strzegąca wstępu na wytyczony uprzednio szlak. Corner najpierw z bocianiego gniazda starał się znaleźć furtkę, wreszcie tuż przed zapadnięciem zmroku łódką penetrował z bliska niebezpieczny mur z koralowca. Z zapadnięciem

ciemności miał strzałami z muszkietu naprowadzić okręt na właściwy kurs, jego łódka miała pilotować „Pandorę” w tej niebezpiecznej przeprawie.

Z okrętu wystrzelono rakiety, wezwano Cornera do powrotu. Kapitan po sondażu kazał w zupełnym już mroku płynąć tam, gdzie dojrzano błyski muszkietów załogi łodzi. Doktor Hamilton oddaje nam te chwile wielkiego napięcia, przecież „przyzwyczailiśmy się już do tego, że nocą staliśmy na kotwicy, zresztą imię Bougainville określa ten rejon oceanu jako niezwykle niebezpieczny. (...) Żeśmy jednakowoż płynęli na zachód od szlaku Bougainville'a, więc znajdowaliśmy się w okolicach absolutnie nie zbadanych.”

A więc nocą kapitan Edwards chciał sforsować przejście przez Wielką Rafę Koralową, największą barierę koralową świata, ciągnącą się przez dwa tysiące kilometrów!

Siła uderzenia drewnianego okrętu o rafę była tak straszliwa, iż nieszczęśliwi więźniowie, skuci i zamknięci na cztery spusty w klatce o żelaznych prętach, już w pierwszym odruchu przerażenia chcieli zerwać swe kajdany. Słyszeli na pewno głośnie meldunki cieśli, podających kapitanowi, iż już ponad metr wody znajduje się w kadłubie, w kwadrans potem było jej już trzy metry. Dwaj ludzie z załogi polegli, jeden zmiażdżony został działem, które przewalało się przez pokład, oderwane od podstawy, inny — masztem. Potem działa wrzucono do morza, okręt osiadł na rafie, która przebiła jego ściany, lecz jednocześnie podtrzymywała go na powierzchni. Zerwał się silny wicher, gdyby zepchnął na głębinę uszkodzony okręt z rafy jeszcze przed świtem, to dla załogi nie byłoby żadnego ratunku.

Kołysanie okrętu wyzwoliło resztki sił w więźniach, którzy chcieli oswobodzić się z kajdan. Bali się, że ciężkie żelastwo pozabija ich przy kolejnym przechyle statku, przez kraty wezwali porucznika Cornera, mającego ludzki stosunek do marynarzy z „Bounty”, z prośbą, żeby mogli ocalić życie.

Jeszcze przed północą wiatr przepchnął okręt przez koralowce na płytsze wody, jednak nie udało się pracą pomp opróżnić kadłuba z mokrego żywiołu. „Woda była szybsza niż my” — wspomina doktor Hamilton.

Kilku więźniów, którzy zrzucili kajdany, samorzutnie mozoliło się przy pompach. Wydawało się, że każda para rąk potrzebna jest dla ocalenia okrętu. „Kiedy jednak dowódca zasłyszał, żeśmy rozkuli nasze łańcuchy, kazał nam zaraz założyć kajdanki na ręce i okowy na nogi; mimo naszych zaklęć i prośb, by dane nam było pracować przy pompach, nic z tego nie wyszło, jego rozkazy zostały wykonane...”

Co więcej, na samej klatce Edwards kazał stanąć dwóm ludziom z załogi, mieli oni rozkaz strzelać do tych więźniów, którzy rusziliby się w swym zamknięciu.

Ludzie z „Bounty” byli przecież żeglarzami, znali odgłosy agonii okrętu.

Słyszeli, jak skrzypią bloki, na których opuszczano szalupy, jak znosi się tam mienie oficerów i jak ktoś w mroku rzekł: „Biada nam, jeżeli ruszą bez nas...” Tymczasem wartownik na klatce wrzeszczał, że będzie „strzelać do szubrawców”, kiedy więzień Morrison błagał go, aby nie strzelał, gdyż nikt się nie rusza w żelaznym więzieniu.

„Nie zostało nam już nic krom modlitwy” — określa sytuację Morrison. Im bliżej świtu, tym „Pandorra” była bliższa kresu swej żeglugi. Ludzie przy pompach mdleli z wyczerpania, trzeba było ich nakarmić i napoić, ale walka z wdzierającą się wodą nie mogła ustać ani na chwilę.

Świt wstający nad oceanem oglądał śmierć okrętu, który był już tak obciążony wodą, że niemal położył się na burcie. Przez pół godziny Edwards naradzał się ze swymi oficerami. Rada w radę doszli do przekonania, że okręt jest stracony i że nie ma już sposobu, aby go uratować.

Zdumiewać nas teraz będzie kapitan-służbista, który w godzinie zagłady okrętu myśli o sądzie i o chwili, gdy przyjdzie mu tłumaczyć się z postradania „Pandorry”. Każe sporządzić coś w rodzaju protokołu zbiorowej decyzji, dokument podpisuje lekarz i księgowy. Teraz dopiero można porzucić okręt.

A co będzie z więźniami?

Są dalej w kajdanach, właz do klatki został starannie zaryglowany nad ich głowami. Głos ma Heywood: „Stały już w gotowości łodzie, kiedy dowódca i oficerowie stąpali po kratkach nad naszymi głowami, aby opuścić na poły już zatopiony okręt, raz jeszcze dopraszaliśmy się ich łaski...”

Ostatecznie kilku więźniów miano rozkuć, wyprowadzić z klatki. Skinner tak się wyrwał z zamknięcia, iż wyskoczył w kajdankach, Byrn nie był już skuty, Muspratt został oswobodzony. Ci, którzy pozostali w klatce, zaklinali strzegącego ich podoficera, aby nie zamykał włazu. Ale ten roześmiał się tylko drwiąco: „Nie bójta się, chłopcy, pójdziemy do piekieł, ale razem!”

Ledwie słowa te zostały wypowiedziane, „rozległ się przeraźliwy okrzyk: toniemy!”

Woda wdarła się do klatki. Przerażone wołania więźniów dosłyszał William Moulter z załogi „Pandorry”. Z niebywałą przytomnością umysłu wdrapał się na klatkę, odsunął kraty i sam ześliznął się do morza. Doktor Hamilton zostawił nam ostatnią wiadomość z „Pandorry”: „Krzyki tonących ludzi były najpierw wprost straszne, jednak w miarę jak się topili lub tracili przytomność, wrzawa powoli cichła...”

Ci, którzy wydostali się z klatki i nie byli — jak niektórzy więźniowie — skuci, pływali teraz koło okrętu, tuż koło nich waliły się w wodę maszty, spadały z pokładu różne przedmioty. Nie zdążył wyjść Hillbrant, skuty poszedł na dno w żelaznej klatce. Skinner, który skoczył w panice w kajdankach do oceanu, nadział się na ostre krawędzie rafy, ginął powoli, poszli na dno skuci jeszcze Sumner i Stewart.

Do mokrego grobu zabrali ze sobą trzydziestu pięciu chłopca z załogi „Pandorry”. Szczątki okrętu wynurzały się teraz z toni, do desek przyczepiali się rozpaczliwie rozbitkowie, potem dopiero przybliżyły się łodzie, które uratowały tych, którzy byli jeszcze do ocalenia.

Rozbitkowie dotarli na skrawek piaszczystej mielizny. W sprawozdaniu swym Edwards podaje wyniki apelu: „Ustaliliśmy, iż osiemdziesięciu dziewięciu z załogi okrętu i dziesięciu piratów ocalało...” Dodaje Morrison: „Ocaleli wszyscy oficerowie. Rozbito dla nich namiot, nam jednak nie wolno było się przybliżyć. Tamże przebywaliśmy do 31 -go, oporządzając łodzie, a w czasie tym słońce nas prażyło — jako żeśmy byli przeważnie nadzy — a skóra zeszała nam od stóp do głów, chociaż zakopani w piasku szukaliśmy osłony przed promieniami...”



Urządzono wyprawę na wrak w poszukiwaniu jada, po dwóch godzinach wrócił marynarz, przynosząc kota okrętowego, który pazurami trzymał się wystającego z wody czubka masztu... Papuga unosiła się jeszcze na falach.

Z zapasami wody słodkiej było tak krucho, że majtek z załogi „Pandorry” opił się wodą morską i zmarł.

Ostatecznie cztery łodzie z rozbitkami — więźniowie byli nadal pod strażą — ruszyły znanym nam już szlakiem ku wyspie Timor, tam, gdzie trafił przed nimi kapitan Bligh, o tysiąc sto mil od Wyspy Zatonięcia, jak nazwali swe czasowe schronienie.

Australię opłynęli więc od północy. Edwards opowiada, iż „dostrzegliśmy Indian, którzy dali nam wody i wieloma gestami okazywali nam, iż chcieliby, abyśmy lądowali, jednak odmówiliśmy, a to mając na uwadze bezpieczeństwo...”

Bystre oko doktora Hamiltona dostrzegło, iż w czasie dostarczania wody, kobiety i dzieci przynoszą broń dla wojowników. „W kilka minut runął na nas deszcz strzał, szczęściem nikt nie został ranny...” W odwecie zagrzmiały muszkiety i „odpłynęliśmy od tych wrogich dzikusów”.

„Nie jest celowe wyliczanie naszych cierpień w drodze na Timor, wystarczy, gdy wspomnę, żeśmy ucierpieli więcej ze skwaru i pragnienia niż głodu i że siły nasze zostały poważnie nadwątlone” — pisze Edwards. A doktor Hamilton dodaje: „Oto wpłynęliśmy na wielki Ocean Indyjski, czekało nas tysiąc mil żeglugi w otwartych łodziach, poprzez ogromne fale, które groziły zagładą naszej małej flotylli. Jako że gdybyśmy się rozproszyli, to musielibyśmy z braku wody zginąć wszyscy...”

Aby tego uniknąć, łodzie poszczepiano linkami holowniczymi, jednak pękały one często i marynarze wkładali wiele wysiłku — szczególnie w mro

kach nocy — w naprawianie sznurów. Raz udało się im złowić ptaka, krew wyszano, a mięso poćwiartowano na dwadzieścia cztery części...

Nie znaczy to wcale, aby nawet po katastrofie „Pandorry” i podczas wspólnej wyprawy po ocalenie — nawiązał się jakiś kontakt między kapitanem i jego więźniami. 8 września notuje Morrison: „Rozmawiałem właśnie z McIntoshem, kiedy przywołał mnie kapitan Edwards i bez wyjaśnienia kazał mi skrępować ręce sznurem i cisnąć na dno łodzi. Ellisona, który drzemał nie opodal, dosięgła także kara. Chciałem dojść do sedna sprawy, usiłowałem zapytać, czym zasłużyłem sobie na tak okrutne traktowanie teraz, gdy wszyscy się znaleźli w nieszczęściu. Odpowiedziano mi jednak: 'Zamilcz, nędzny morderco, jesteś wszak więźniem! Piracki łajdak, a czegoż byś się spodziewał? e Rzekłem tedy, iż okrywa hańbą kapitana okrętu wojennego tak nieludzkie traktowanie więźnia. On zerwał się wówczas na nogi w porywie wielkiego gniewu i pochwywszy pistolet, zagroził, iż mnie ubije. Jeszelem usiłował przemówić, ale wrzasnął jeno: «Przebóg, jeszcze słówko, a wrzucę cię do wody!»". A żem widział, że rozsądek nie dojdzie do głosu i żem miał usta tak poparzone, iż ledwie mogłem poruszyć językiem, więc zmuszony byłem ulec i milczeć. A jeszcze związano mnie tak, że nie mogłem nawet drgnąć. W takim to strasznym położeniu Ellison i ja zostaliśmy już do końca podróży. McIntosh miał zakazane zbliżanie się i rozmawianie z nami..."

13 września dostrzeżono wyspę Timor. „Ten, kto zauważył, nagrodzony był szklanką wody". Po południu „przybliżył się czółnem chiński wódz. Był to czcigodnie wyglądający starzec, przedstawiliśmy mu nasze niedole. Zagadaliśmy doń po francusku i angielsku, ale nie rozumiał żadnego z tych języków. Jednakże nędza tak przemawiała przez nasz widok, iż słowa były zbędne. Łzy spływające mu po policzkach przekonały nas, iż rozumie i odczuwa nasze nieszczęście. Znakami powiadomił nas, iż bez opłaty dostaniemy konie i będziemy skierowani do Kupangu, osady holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, odległej o mil siedemdziesiąt..." Z uwagi na więźniów, kapitan Edwards nie przystał na takie rozwiązanie!

Pod wieczór Chińczyk — na Timorze od stuleci osiadła jest pokaźna mniejszość chińska — częstował swych gości obfitym jadłem, rozbitkowie zajadali się drobiem, wieprzowiną, chlebem, pili też mleko.

Musiał się poprawić nastrój doktora Hamiltona, skoro notuje, iż „gdyśmy nabywali wieprzka, człowiek, który dostał zań godziwą cenę, chciał jeszcze prehandlować nam wdzięki swej córki, wielce urodziwego dziewczęcia". Transakcja nie była jednak sfinalizowana, gdyż „nie było chętnych, jako że było wiele innych dobrych rzeczy, które nam wtedy bardziej były potrzebne..."\*

15 września 1791 roku cztery szalupy weszły do portu w Kupangu, gdzie powitał rozbitków znany nam już Mynherr Wanjon.

A gdy Holender czynił wszystko, aby godnie przyjąć ludzi z „Pandorry”, których morze wyrzuciło mu wprost na próg domostwa — więźniowie z „Bounty” dostali się znowu za kratki. W tym holenderskim areszcie osadzono wkrótce także i Mary Bryant oraz jej nieszczęsnych towarzyszy niedoli, których tragiczne dzieje przyszło mi już opowiedzieć wcześniej. Teraz przekazano ich w ręce kapitana Edwardsa...

6 października 1791 roku podniósł kotwicę okręt „Rembang”, płynący do Batawii pod flagą Kompanii Wschodnio-Indyjskiej. Na pokład wpędzono więźniów. Morrison opowiada, iż byli skrępowani tak mocno sznurami, że kilku z nich zemdlało, gdyż wbijające się w ciało liny zatamować miały krążenie krwi...

Na samym statku zakuto ich znowu w kajdany. Zbiegów z kolonii karnej czekał ten sam los, pamiętamy zresztą, jak tragicznie skończył się dla nich ten rejs ku ojczyźnie.

W Samarangu doszło do jeszcze jednego nieoczekiwanego spotkania. Oto na kotwicy kołysał się stateczek „Resolution”, który zginął w burzy przed miesiącem, a który był

zbudowany przez Brytyjczyków na Tahiti. Jednakże załoga, delegowana na „Resolution” przez Edwardsa, zdrowa i cała, siedziała w... więzieniu.

Pan gubernator miał bowiem listy gończe za buntownikami z „Bounty” i jakoś mu opisy tam podane pasowały do tych brytyjskich marynarzy, którzy akurat buntowników mieli ścigać. Teraz i do nich uśmiechnęła się wolność, wrócili na statek, a mieli się czym pochwalić, jako że w swej żegludze nie tylko nie zaprzepaścili „Resolution”, ale też obejrzelili sobie wyspy Fidżi, kilka z nich nawet odwiedzili. A był to wtedy jeszcze nie zbadany archipelag.

„Resolution” jakoś przedarł się przez rafy, potem miał szczęście, iż spotkał statek holenderską, który przywiódł załogę jego tam, gdzie powiewała flaga Kompanii.

Batawia przeżywała epidemię, zaraza zabrała kilku marynarzy i więźniów. W drodze do Przylądka Dobrej Nadziei kapitan Edwards i jego zastępca, porucznik Larkin, prześcigali się nadal w znęcaniu się nad więźniami.

Dopiero kiedy buntowników przeniesiono na brytyjski otfręt wojenny „Gorgon” — traktowanie zmieniło się na lepsze. Jeden z oficerów dał im nawet trochę płótna żaglowego, aby mieli się czym przykryć! Peter Heywood, jakkolwiek cały czas nosił kajdanki na rękach, nauczył się pleść kapelusze ze słomki, potem sprzedawał je załodze i mógł kupić sobie jakąś zwyczajną odzież.

18 czerwca 1792 roku ujrzano znany dobrze brytyjski port wojenny Spit-

head. Skończyła się przygoda na Morzach Południowych, więźniów w kajdanach czekała teraz brytyjska sprawiedliwość.

W więzieniu na okręcie „Hector” czekali na rozprawę. Tam z pamięci, przez trzy miesiące, Morrison napisał swój „Dziennik Jamesa Morrisona”, który przechowywany jest w bibliotece Mitchell w Sydney. Sto dziewiętnaście tysięcy słów dokładnej relacji o pogodzie, ptakach, rybach, dolach i niedolach rozbitków. Od wstąpienia na pokład „Bounty” aż po proces tych, których dowiódł Edwards. Niebywały wyczyn pamięci, szczegóły pokrywają się dokładnie z tymi, które przekazali inni kronikarze, notujący wydarzenia dzień po dniu. Czekając na rozprawę, Morrison raz jeszcze przeżywał swe dzieje.

W więzieniu dowiedział się, iż 10 września 1792 roku na pokładzie tegoż okrętu „Hector” stanął przed sądem kapitan Edwards za postradanie „Pandorry”. Zapobiegliwy Edwards skłonił się przed lordem Hood, przewodniczącym rozprawie. Doręczył pismo, sporządzone w czasie samej katastrofy. Jego Lordowska Mość czytał je głośno, a stwierdziło ono, „iż nic więcej uczynić się nie da dla ocalenia okrętu Jego Królewskiej Mości, postanowiono przeto, że trzeba ratować życie załogi...”

Pytań nie było. Dziwne, ale nikt nie był ciekaw, czemu to akurat nocą miano przeprowić się przez rafy koralowe. Dlaczego... —zresztą, tak było i tego się nie zmieni. Edwards został uniewinniony.

W dwa dni później odłożył pióro Morrison. Stanął przed sądem na pokładzie okrętu „Duke” w Portsmouth. Jako rzetelny kronikarz, w ostatnim zdaniu napisał jeszcze: „A przeto do protokołu z rozprawy owej odsyłam czytelnika, ciekawego dokładniejszej relacji z mego procesu...”

w którym idziemy na rozprawę do sądu. Dziwny to proces: nie ma tu ani głównego oskarżonego, ani głównego świadka oskarżenia. Lord Hood i inni dostojni panowie z Admiralicji orzekają o winie i karze, potem na okręcie Jego Królewskiej Mości „Brunswick” dochodzi do ponurego widowiska, które\ zgodnie ze zwyczajem epoki> ściąga tłumy gawiedzi. A więc — czeka nas teraz wizyta na okręcie wojennym| gdzie zbiera się trybunał. Proszę wstać! Sąd idzie! Niech się dzieje Prawo!

Jeszcze z Batawii Peter Heywood pisze 20 listopada 1791 roku list:

Moja zawsze Szanowana i Najdroższa Mamo!

A jednak nadszedł czas, gdy otrzymujesz wieść od twego nieszczęsnego syna, którego zachowanie w czasie uprowadzenia okrętu, na którym los sprawił, iż przyszło mi służyć, zostało, jak miemam na podstawie mych późniejszych przeżyć, zasadniczo przeinaczone przez kapitana Bligha. Nie znając prawdziwej przyczyny mego pozostania na pokładzie, posądzał mnie ku memu nieszczęściu, iż współdziałałem w buncie. Alem świadom tego, że nigdy pod jego dowództwem nie zachowałem się w sposób uwłaczający mej randze, ba, nie przeszło mi nawet przez myśl coś, co mogłoby przynieść ujmę jego czci albo też bym dał mu podstawy do sądenia, iż jestem niewdzięczny. Pochlebiam sobie, iż z czasów, gdy mu podlegałem, nie może określić mego zachowania jako takie, które by/lalo mu powód do najmniejszych zastrzeżeń. Ach, Mamo moja Najdroższa, żywię tylko nadzieję, żeś niełatwo przyjęła takie o mnie świadectwo...

Następuje obszernie, pięknym językiem pisane i niezmiernie szczegółowe sprawozdanie mówiące o wydarzeniach na okręcie „Bounty” i rolę, jaką odegrał w nich sam Peter Heywood. Aż wreszcie czytamy w zakończeniu:

Gdyby uwięzienie mnie było tylko tym, co mnie trapi, to z pokorą bym je zniósł. Ale nieszczęścia zazwyczaj chodzą w parze. A otom — cóż za żal — dowiedział się o zgonie mego Najdroższego Ojca. Obawiam się, iż zgon Jego przyśpieszyło niegodne wystąpienie imię Bligha...

O cóż to może chodzić? Wiosną 1790 roku matka Heywooda pisze list, w którym prosi kapitana Bligha, aby przekazał jej wieści o synu. Słyszała, iż na „Bounty” doszło do rewolty, sam dowódca ma już rzekomo znajdować się w Anglii. Syn jej nie miał nawet piętnastu lat, kiedy wstąpił do królewskiej floty, teraz nie wie nawet, czy żyje i jakie są jego losy.

Odwrotna poczta przynosi jej odpowiedź:

Pani!

Dziś nadszedł list od Pani i żal mi Pani niezmiernie. Zaiste, pojmuję dobrze żal, jaką odczuwasz Pani wobec zachowania syna Petera. Podłość jego przechodzi wyobrażenie, jednak mam nadzieję, iż jakkolwiek ciężka jest dola Pani, to jednak doprowadzisz do tego, iż postradanie go nie dotknie Pani zbyt ciężko. Miemam, iż wraz z innymi buntownikami zawrócił na Otaheite.

Pozostaję, Pani W.M. Bligh

Zachował się jeszcze list Bligha do wuja Petera Heywooda, dający jeszcze wyraźniej do zrozumienia, iż krewniaka czeka szubienica za bunt. W innych listach, tym razem kierowanych do „ukochanej Betsy” — czyli własnej małżonki — Bligh złorzeczy Christianowi, także Stewartowi i Heywoodowi.

Historyk McKee dopatruje się źródeł okrucieństwa Edwardsa wobec pojmanyh więźniów właśnie w tym nastawieniu, jakie pewnie jeszcze przed opuszczeniem Anglii spowodował Bligh.

Jakże długie dla nieszczęsnej rodziny dwa lata niepewności i napięcia! Zaangażowana była ona nie tylko uczuciowo, bowiem — jak wynika z różnych źródeł — ród Heywooda dał Anglii wielu żołnierzy i marynarzy, byli tam też duchowni oraz wyżsi urzędnicy państwowi. Honor familii był stawką, która warta była wielu starań i zachodów. Przetrwiała lata całe wzruszająca korespondencja, jaką prowadziła siostra więźnia, Netty, podtrzymująca brata na duchu i równocześnie zabiegająca o zgromadzenie dowodów jego niewinności. A miejmy jeszcze na względzie, że kiedy wreszcie sporządzono akt oskarżenia i tym samym sprecyzowano zarzuty, to dokument ten stwierdza, iż w dniu buntu Heywood miał „siedemnaście lat bez pięciu tygodni”. Innymi słowy, on sam i jego niektórzy koledzy byli bardzo młodzi wtedy, gdy popełnić mieli zbrodnię, za którą była tylko jedna kara: szubienica.

Pora jednak zaspokoić ciekawość Czytelnika i odpowiedzieć na pytanie, dlaczego nie ma na sali rozpraw ani głównego oskarżonego, czyli Fletchera Christiana, ani świadka oskarżenia, czyli kapitana Bligha. Christian nie dał się złapać — Edwards nie przywiózł w kajdanach ani przywódcy buntu, ani jego najbliższych kompanów.

Zaś kapitan Bligh dostał awans, dowództwo nad okrętem Jego Królewskiej Mości „Providence”, stu trzydziestu czterech ludzi załogi oraz rozkaz... powrotu na Tahiti, celem zdobycia sadzonek chlebowca. Tak więc imię Bligh 3 sierpnia 1791 roku znowu opuścił Spithead. Tym razem towarzyszył mu mały stateczek pod dobrze pasującą do sytuacji nazwą „Assistant”, gdzie dwudziestu siedmiu ludzi miało za dowódcę Nathaniela Portlocka. Dla Admiralicji ważniejsze było zdobycie wreszcie tych kosztownych (w sumie) sadzonek chlebowca niż przedstawienie trybunałowi koronnego świadka oskarżenia.

W czasie procesu Heywood miał dwadzieścia lat. Komandor Pasley, który — będąc wujem oskarżonego — zapoznał się dobrze z aktami sprawy, był głęboko przekonany o jego niewinności. W tym też duchu pisał do dzielnej Netty, ale, świadom sytuacji, uprzedzał ją, by była przygotowana na różne ewentualności:

Nie będę cię mamić, kochana moja Netty; prawo wojenne jest surowe, mimo sprzyjających okoliczności. Stanowi ono, że ten| kto zachowa się biernie w takim przypadku — winien jest na równi z tym, który podniósł rękę na swego dowódcę...

Sąd zebrał się na pokładzie okrętu „Duke”. Rozprawa trwała od 12 września 1792 roku aż do 18-ego tegoż miesiąca. Mam przed sobą dokładne zapiski zeznań, po dwóch wiekach znane jest właściwie każde słowo, jakie zostało wtedy wypowiedziane w majestacie sprawiedliwości.

Lord Hood i trybunał, któremu przewodniczył, nie wnikał w przyczyny buntu, ale chciał ustalić stopień winy poszczególnych ludzi z załogi „Bounty”. Rozprawa była jawna, tłumy ciekawych wchodziły codziennie na pokład okrętu wojennego, aby przysłuchiwać się zeznaniom. Niektórzy z oskarżonych bronili się sami, inni mieli adwokatów. Nieobecni buntownicy też byli reprezentowani. Na sali zasiadał rodzony brat Fletchera Christiana, słynny prawnik i profesor znanych uczelni — Edward Christian.

Zeznania składało siedemnastu ludzi z załogi „Bounty”. Trzeba przyznać, że na ogół zeznania te pokrywały się ze sobą. Nie było większych rozbieżności, jakkolwiek ujawniły się osobiste sympatie i antypatie, które istniały i na pokładzie „Bounty”. To już nie były jednak niesnaski, ale sprawy dosłownie życia i śmierci.

Najpierw rozpoznano sprawę Heywooda. Zeznania nie obciążły go, dopiero Thomas Hayward — jak czytamy w protokole — oświadczył sądowi, iż „widział Heywooda w koi i rzekł mu, by zajął miejsce w łodzi”. Innymi słowy, skoro Heywood nie zszedł do łodzi, to można było odczytać twierdzenie Haywarda, iż Heywood trzymał stronę buntowników.

W tym stanie rzeczy sąd uznał, iż Heywood jest winny, jednak z uwagi na młody wiek oskarżonego i zaistniałe wątpliwości, co do jego udziału w buncie, został ulaskawiony. Heywood wrócił do służby, widzimy go u boku jego wuja, admirała Pasleya na pokładzie okrętu „Victory”, potem jeszcze brał udział w wielu bitwach morskich i potyczkach przeciw Francuzom, piął się w górę po drabince awansów, ale, proszę pamiętać, iż zapowiadam na kartach tej książki jeszcze ważne spotkanie z Peterem Heywoodem<sup>Sr</sup> już wtedy kapitanem.

Morrison miał dwadzieścia osiem lat, gdy wybuchł bunt. Świadek Hallet zeznał, że gdy szalupa odbijała od „Bounty”, zawołał doń Morrison: „Gdyby przyjaciele się o mnie dowiadywali, powiedz im, że jestem gdzieś na Morzach Południowych...” Porucznik Corner z „Pandorry” rzekł dostojnym sędziom, iż Morrison dobrowolnie oddał się w ręce pościgu na Tahiti. I on został uznany winnym, jednakże został ulaskawiony. I on wrócił na morze. Był szanowanym powszechnie kanonierem na pokładzie okrętu „Blenheim”, w roku 1807 utonął razem z tym okrętem.

Charles Norman, Joseph Coleman, Thomas McIntosh i Michael Byrn mieli o tyle lepszą sytuację, że nawet na liście gończym Bligh własnoręcznie napisał: Ostatni czterej zasługują na łaskę a to dlatego, iż zatrzymani zostali wbrew własnej woli...

Jeśli chodzi o Byrna, to było oczywiste, że prawie niewidomy skrzypek nie mógł przecież pomagać buntownikom, wtórował tylko ich śpiewkom na pokładzie „Bounty”, sam szedł po omacku na spotkanie królewskiego okrętu, gdy ten pojawił się w pościgu za buntownikami na Tahiti. Sąd postanawia: wszystkich czterech uniewinnić.

Thomas Ellison miał siedemnaście lat, gdy doszło do buntu. Jego sprawa wyglądała znacznie, znacznie poważniej. Porucznik Hayward zeznał, iż Ellison porzucił owej pamiętnej nocy pod Krzyżem Południa ster — chwycił muszkiet i biegł ku kapitanowi Blighowi wołając: „Niech go piorun trzaśnie, teraz ja będę go strzegł!” Niektóre wersje podają, iż krzyczał: „ja go zabiję!”. Jakkolwiek był rówieśnikiem Heywooda, sąd nie znalazł żadnych okoliczności łagodzących i uznał Ellisona winnym. Komentuje Frank Clune: „Ellison w przeciwieństwie do Heywooda nie miał wuja admirała, którego życzenia miały wpływ na sędziów...”

Thomas Burkitt — dwadzieścia sześć lat w czasie buntu — widziany był, gdy wtargnął do kabiny Bligha. Bronił się twierdzeniem, że uczynił to sam pod groźbą śmierci. Nie uznano tego wyjaśnienia. Skazany na powieszenie.

John Millward miał dziewiętnaście lat owej nocy. Bronił się, że siłą zmuszono go do przyłączenia się do buntu, świadek Cole potwierdził to nawet, ale dodał, iż nie słyszał sprzeciwu. Uznany winnym.

William Muspratt (trzydzieści trzy lata w czasie buntu) widziany był przez koronnego świadka porucznika Haywarda, kiedy w dziesięć minut po rozpoczęciu akcji buntowniczej na „Bounty” miał broń w ręku. Twierdził, że znalazł muszkiet zostawiony przez buntownika i chciał posłużyć się nim dla wspomżenia Fryera w jego zamiarach odzyskania okrętu. Uznany został winnym, ale jego adwokat uzyskał dlań ułaskawienie, posługując się pewnymi argumentami proceduralnymi.

Aby podsumować rozprawę, warto zacytować wyrok, który w głębokiej ciszy odczytano: „Sąd uznał, że oskarżenia wysunięte pod adresem Petera Heywooda, Jamesa Morrisona, Thomasa Ellisona, Thomasa Burkitta, Johna Milwarda i Williama Muspratta zostały udowodnione i skazuje ich za to na śmierć przez powieszenie. Mając na uwadze różne okoliczności, sąd pokornie i bardzo usilnie poleca Petera Heywooda i Jamesa Morrisona lasce Jego Królewskiej Mości.”

26 października dowiedzieli się obaj, iż król ich ułaskawił. Tak, że ostatecznie Ellison, Millward i Burkitt mieli być straceni.

McKee na marginesie tego procesu cytuje jeszcze notatki, poczynione w toku przewodu przez oficera z okrętu „Brunswick”. Pisze on mianowicie, iż obaj ułaskawieni „w opinii ogółu zostali wykupieni od egzekucji, trzej inni natomiast padli ofiarą swego ubóstwa...”

W innym miejscu ten sam sprawozdawca pisze, iż „Bounty” miał „jak się wydaje, w obfitości ludzi, którzy stali znacznie wyżej od zwyczajnej trzódki umundurowanych nieuków”. Był pod wrażeniem osobowości Morrisona „który bronił się sam, oceniał wszelkie zeznania tak metodycznie i dokładnie, że obecni czekali, aż zabierze głos, i słuchali jego wywodów z uwagą,

a nawet z przyjemnością. Millward, jeden z tych straconych nieszczęśników, był też człkiem wykształconym i zdolnym. Miałem możliwość usłyszenia jeszcze później, jak czytał on swym współwięźniom kazania, a to w ten sposób, iż miałem głębokie przekonanie, że to jeden z pastorów spełnia swój duszpasterski obowiązek”.

Dodajmy dla jasności, że oficer ten odpowiedzialny był potem za strzeżenie więźniów aż do dnia 29 października, kiedy to odbyła się egzekucja.

Okręt „Brunswick” miał być miejscem kaźni, wyznaczonym drogą losowania spośród innych okrętów wojennych, które akurat stały w porcie. Tam też przewieziono skazańców poprzedniego wieczoru, „ku memu wielkiemu zdumieniu, wdrapywali się po drabinkach i schodzili z zadziwiającą szybkością. Oblicza ich, miast — jak sądziłem — nosić piętno posępnych nastrojów ich ducha, były doskonale spokojne, uroczyste i pogodne. Byłem wręcz wstrząśnięty tym widokiem, że na kilka godzin przed zejściem z tego świata zachowali w pełni swe siły, zdrowie i spokój ducha, zupełnie jak gdyby nie zdawali sobie sprawy z tego,



jajci rychło czeka ich los. Alem tu był w błędzie, jako że to po prostu spokojna rezygnacja, nabyta w czasie długiego uwięzienia, przydała im sił" — pisał ów oficer z okrętu „Brunswick”.

Skazańcy osadzeni zostali na okręcie w magazynie amunicyjnym, gdzie „ani promyk światła nie miał prawa się przedostawać”. Kat, który czekał na spełnienie swej powinności, oddzielony od skazańców ledwie tylko przepierzeniem, głośno wypowiadał różne uwagi, było jasne, że z zadowoleniem czeka na moment egzekucji. Oburzony do głębi oficer kazał mu zaraz odejść. Kat razem z podoficerem piechoty morskiej poszli więc, aby sobie jeszcze wieczorem popić.

Rankiem o dziewiątej wciągnięto na maszt żółtą flagę i strzelono raz z działa na „Brunswicku”. Wtedy szalupy z delegacjami załóg wszystkich okrętów w porcie wyruszyły na pokład „Brunswicku”, wokół okrętu też tłoczyły się łodzie z marynarzami. Na nabrzeżu pełno było mężczyzn, kobiet i dzieci, wszyscy pchali się, aby być najbliżej okrętu, „zupełnie jak gdyby chodziło o radosne widowisko, a nie o żalną scenę” — pisze ów oficer.

O jedenastej skazańcy z czterema duchownymi przeszli przed frontem marynarzy. Stephen Barney, który bronił tak skutecznie Muspratta i ocalił go od stryczka, cytuje słowa, jakie pod szubienicą wypowiedział do zgromadzonych Millward: „Bracia marynarze, oto macie przed sobą trzech młodych zuchów, którzy zginą haniebną śmiercią za straszną zbrodnię buntu i dezercji. Niechże to będzie dla was ostrzeżeniem, abyście nigdy nie porzucali waszych oficerów. Gdyby nawet zachowywali się niegodnie wobec was, pomnijcie, że nie służycie im, ale macie zobowiązania wobec sprawy waszej ojczyzny...”

Adwokat stwierdza, iż słowa te przekazał mu osobiście sam dowódca z „Brunswicku”, kapitan Hamond.

Przez pół godziny trwały obrzędy religijne, potem zaś „na znak dany wystrzałem armatnim dusze skazan<sup>h</sup> uleciały. Zachowali się z prawdziwym męstwem” — pisze sprawozdawca.

Edward Christian, brat nieobecnego przywódcy buntu, nie tracił czasu. Razem z adwokatem Barneyem, którego cytowaliśmy przed chwilą, przygotował coś w rodzaju protokołu z rozprawy, ale z „Dodatkiem”, zawierającym te zeznania, które nie były brane pod uwagę przez trybunał, a które wiodły do samej przyczyny buntu.

Niezmiernie istotne były też rozmowy z ludźmi, którzy nie byli wcale w sądzie, rozważania ówczesnych autorytetów moralnych, znanych duchownych czy prawników. Zgodnie z duchem epoki, były to sformułowania piękne w stylu, pozornie beznamietne, a jednak zmuszające czytelnika do zastanowienia, gdzie też znajdowali się prawdziwi winni wydarzeń owej pamiętnej nocy na Morzach Południowych.

Była to mrówcza robota, pełna istotnych uwag i ciekawych wniosków. W roku 1794 ukazała się drukiem, zawierała tak miazdzące sformułowania, iż Bligh, który powrócił był akurat z kolejnej wyprawy po sadzonki chlebowca, nosił się z zamiarem zaskarżenia brata buntownika. Miewał znów swe wybuchy złości, ale jakoś nie spełnił pogroźek.

Może więc nadeszła pora, aby pożegnać się z bohaterami naszej opowieści? Co też się z nimi wszystkimi stało? Czy przywódcę buntu brat jego bronił już po jego śmierci, czy też może nie chodziło tylko o obronę czci zaginionego bez wieści?

#### ROZDZIAŁ SZESNASTY

w którym mowa jest o tym, jak buntownicy z „Bounty” wynurzają się z mroków niepamięci. Można więc dowiedzieć się, dokąd zawiódł ich Fletcher Christian i jakie były losy malej garstki tych, którzy mu zaufali. Mowa też jest i narodzinach nienawiści, która doprowadziła do krwawych walk między brytyjskimi marynarzami a wyspiarzami z Tahiti, co związała z nimi swe losy. Dowiadujemy się o tragicznym zgonie przywódcy buntu, ale Historia nie rzekła tu jeszcze ostatniego słowa...

Los buntowników z „Bounty” przestał frapować ludzi. Przecież interesowano się rozwojem dawniejszych wydarzeń: kolonie brytyjskie na lądzie amerykańskim proklamowały niepodległość. Monarchię brytyjską przerażał zryw rewolucyjny Francji.

W cieniu wielkiej historii notowano małe historyjki. Oto w tym roku dostarczono z Chin do Francji pierwszą chryzantemę, a Thomas Jefferson usiłował przekonać niedowiarka z Francji, Louisa Leclerca hrabiego de Buffon, że na lądzie amerykańskim istnieje rodzima odmiana łosia. Ostatecznie Jefferson przedstawił swemu oponentowi argument nie do odparcia: po prostu kazał w New Hampshire załadować na statek płynący do Europy dorosły i żywy okaz amerykańskiego łosia, posłał go Francuzowi w podarku. W tych burzliwych czasach były więc jednak tematy o mniejszej wadze, ale też zajmujące ludzi światłych.

Co się stało z buntownikami z „Bounty”? Na te wiadomości trzeba było jeszcze poczekać... I tak się składa, że szukać ich będziemy właśnie za Wielką Wodą. Wasz reporter, który przybywa na promie z Cape Cod do portu w Nantucket w Stanach Zjednoczonych, ma nieodparte wrażenie, iż niewiele się tam od lat zmieniło. Niskie budynki kryte są cedrowymi gontami, które z biegiem czasu powlekle się jakby srebrną patyną. Drzemią trzy drewniane kościółki, chociaż kapitanowie-zuchy nie przechadzają się już po Głównej Ulicy, nie dostrzeżesz też wielorybników między turystami, którzy zjawiają się tu w poszukiwaniu tego, co było dawno, dawno temu...

A przecież stąd wyruszały na koniec świata statki wielorybnicze. Dziejopis Paul McGuire opowiada, iż „statki, z Nantucket i New London w pierwszych dziesiątkach dziewiętnastego wieku świetnie znały odległe wysepki wokół najdalszych brzegów Australii. Na Wyspie Kangura przetrwała nazwa Rzeki Amerykańskiej, okręty badawcze Jego Królewskiej Mości zastały już Amerykanów wytapiających tłuszcz wielorybi wokół Cieśniny Króla Jerzego oraz na Tasmanii...”

Czytelniku, cierpliwości, zaraz, powiem, dlaczego sam wybrałem się w te odległe strony i dlaczego Ciebie zapraszam na wędrowkę wraz ze mną do tego miasta, które już przed stu laty dotknięte zostało uwiązaniem starym. Osada, żyjąca z wielorybnictwa — musiała razem z amerykańskim wielorybnictwem przeminąć.

Różne były przyczyny, które sprawiły, że potężny przemysł stał się cherlakiem.

Były jeszcze lepsze dni dla ludzi i gorsze dla wielorybów, jeszcze bank, którego budynek zachował się po dziś dzień, ubezpieczał statki, każąc sobie płacić do trzydziestu procent wartości za tak niebezpieczne rejsy (wpłaty mogły być w rumie...), ale kiedy Herman Melville w roku 1851

wydał swą słynną epopeę „Moby Dick” — Nantucket miało jeszcze co prawda siedem tysięcy mieszkańców, lecz świetność jego już przemijała.

Ośmiuset młodych ludzi wyruszyło do Kalifornii w latach „gorączki złota”, potem młodzież pośpieszyła na pola bitew wojny domowej, wielu zostało na zawsze na pobojuwiskach.

Ostami statek wielorybniczy wypłynął w roku 1869, ale pozostały bogate archiwa. Ich kustosz, pan Edouard Stackpole, nie jest wcale zdziwiony, że z dalekiej Polski ktoś zjawił się, aby szperać tu w poszukiwaniu faktów. „To jest przecież cel naszego istnienia, wielorybnicy lepiej władali harpunem niż piórem, ale fakty, które spisali, mają służyć historykom” — powiada.

Pożółkłe, nadzarte niekiedy przez słońca wodę karty w kilku zdaniach ukazują nieraz ludzki dramat. Nas interesują zapiski imię Mayhewa Folgera, kapitana statku wielorybniczego „Topaz”. Tak, tego, który 16 października 1807 roku w pogoni za fokami dotarł aż do Zatoki Przygody na wyspie, zwanej obecnie Tasmanią, bardzo daleko od macierzystego portu.

Potem, płynąc na północ, kapitan Folger znalazł się nieopodal wysepki Pitcairn. Hm, gdzie to jest?

Pisał o niej jeszcze w 1767 roku żeglarz Carteret: „Jest ona tak wyniosła iż dostrzegliśmy ją z "odległości piętnastu mil, a że odkrył ją szlachetnie urodzony młodzieniec, syn majora Pitcairna z piechoty morskiej, więc nadaliśmy jej miano Pitcairn...”

Amerykanin Folger zastanawiał się właśnie, skąd nad wyspą — zaznaczoną na mapach jako bezludna — widać pióropusz dymu i jakieś budynki, kiedy naraz dojrzał pirogę mknącą szybko ku jego statkowi. Na łodzi było kilku młodzieńców ciemnoskórych i odzianych w pareo. Trzymali się nieco z dala od statku, ale Folgerowi zdawało się, że rozmawiają między sobą po angielsku. Zawołał więc gromko, że jest Amerykaninem. Wtedy młodzi ludzie zaczęli przekrzykiwać się nawzajem: „Jesteś Amerykaninem? Przybywasz z Ameryki? Gdzie jest Ameryka? Czy leży w Irlandii?”

— Kim jesteście? — wrzeszczał Folger.

— Jesteśmy Anglikami.

Pan ma głos, kapitanie Folger, jest sobota, szósty luty Roku Pańskiego 1808: „...udałem się na brzeg, gdzie zastał Anglika nazwiskiem Alexander Smith, jedyną osobę z tych, które zbiegły na pokładzie okrętu „Bounty”, dowodzonego niegdyś przez kapitana Bligha, ostatnio pod rozkazami owego spiskowca Christiana. Smith powiadomił mnie, że po zostawieniu kapitana Bligha w szalupie, wódz buntu, Christian, skierował się do Otaheite, gdzie zostać chcieli wszyscy buntownicy poza samym Christianem i kilkoma innymi. Wszyscy upatryli sobie żony na Otaheite tudzież zabrali sześciu mężczyzn do posług, po czym popłynęli na wyspę Pitcairn, gdzie lądowali z całym swym dobytkiem i trzodami, sam okręt „Bounty” osadzili na brzegu i zniszczyli go, co stało się, o ile go pamięć nie myli, w roku 1790, po czym jeden z nich oszalał i utopił się, drugi zmarł na gorączkę, a kiedy już byli ze cztery lata na wyspie, to ich słudzy zbuntowali się i zabili sześciu z nich, zostawiając żywego tylko jego, Smitha, a to jeszcze do tego ciężko rannego w szyję kulą pistoletu, a jednak on sam i wdowy po tych zamordowanych sprzysięgli się i zgładzili wszystkich sługusów, co spowodowało się do tego, że on sam był jedynym mężczyzną przy życiu na wyspie, poza nim było jeszcze osiem czy dziewięć kobiet i trochę dziatwy”.

Ufff! Zdanie nieco przydługie, ale uprzedzałem, że wielorybnikowi trudniej było dzierżyć gęsie pióro niż harpun. Słuchamy jednak dalej, kapitanie Folger: „Smith rażno zabrał się do uprawy gruntu tak, że teraz ziemia rodzi wszystko i on sam żyje w zupełnym dostatku jajco Głównodowodzący Wyspy Pitcairn, dzieci zmarłych buntowników mówią znośnie po angielsku, niektóre są już zupełnie dorosłymi mężczyznami i niewiastami, a muszę im oddać sprawiedliwość i rzec, że są nader ludzcy i gościnni, i jakiegokolwiek by były błędy czy zbrodnie rzeczonoego Smitha, buntownika w niegdysiejszych czasach, to jest on teraz po mojemu zacnym człekiem i może być przydatny żeglarzom płynącym poprzez ten wielki ocean. To jest historia Christiana, ale należy brać pod uwagę, iż na wyspie nie ma wystarczającej ilości wody słodkiej, tak że nie sposób nabrać jej dla statku...”

Smith trochę opacznie przedstawił wydarzenia na wyspie, a Folger dość chaotycznie je zanotował. Ci młodzieńcy, którzy wypłynęli na spotkanie statku — byli synami Smitha. On sam pokazał Amerykaninowi busolę i zegarek z „Bounty”. Nieco później, w liście do przyjaciela, Folger opowiadał o tym spotkaniu na wyspie:

„Byłem u niego jakieś pięć czy sześć godzin, które zeszy mi na składaniu pobieżnej relacji wydarzeń na świecie od czasu, kiedy on sam zeń odszedł. W szczególności przedstawiłem mu wielkie zwycięstwo jego współobywateli\* w bitwach morskich, co niezmiernie go uradowało, zawołał bowiem: «Stara, kochana, odwieczna Anglia!\*»

I tak świat dowiedział się o losie buntowników.

Zastanawiające jest to, co zapisał wcześniej doktor Hamilton, lekarz na okręcie wysłanym w pościg za buntownikami, omawiając postać Christiana: „Jakkolwiek nieszczęśnik ten w

chwili słabości i bez zastandtaienia złamał przysięgę złożoną królowi i krajowi, to jednak ma przyjemny charakter i liczne uzdolnienia. Jeżeli uda mu się ujść przed karzącym ramieniem sprawiedliwości (...) to można mieć nadzieję, iż talenty swe wykorzysta dla oswojenia prymitywnych dzikusów. Tak to więc w przyszłości, bliższej czy dalszej, Lew Brytyjski pojawi się, błyszcząc cnotami właściwymi narodowi angielskiemu i szerząc wiarę chrześcijańską między niewiernymi. Ponieważ Christian zabrał ze sobą z Tahiti czternaście pięknych dziewcząt, to niewątpliwie ma zamiar skolonizować jakąś nieznaną wyspę. Wszechmocny, kierując takimi właśnie przypadkami, chce zaludnić południową półkulę..."

Prorocze to były słowa, doktorze! Christian był buntownikiem, ale przyczynił się do wprawienia w koronę brytyjską jeszcze jednej perły: założył na wysepce Pitcairn społeczność mówiącą po angielsku.

Inna sprawa, że Anglia, zagrożona wtedy przez Napoleona, nie przejęła się zbyt wiele wieściami z małej wysepki Móz Południowych. W „Sydney Gazette” natomiast znajdujemy pod datą 27 października 1810 roku krótką wzmiankę, w której redaktor dziennika, George Howe, stwierdza: „Skoro los Christiana i jego kamratów nie był dotąd znany, udostępniamy niniejszym naszym czytelnikom następujący ustęp z dziennika kapitana Folgera...”

W 1814 raport Folgera sprawdzony został przez samych Brytyjczyków, zawsze to pewniejsze niż informacja jakiegoś Jankesa. Dwa okręty wojenne „Briton” i „Tagus” przybyły na Pitcairn. Sir Thomas Staines, dowódca „Briton”, meldował swym Władzom w Londynie: „Ku memu wielkiemu

zdumieniu, ustaliłem, że każdy na wyspie — a jest tam osób czterdzieści<sup>1</sup> — mówi poprawną angielszczyzną. Okazuje się, że są to potomkowie załogi •Bounty\*".

I dalej: „Czcigodny starzec, John Adams, jest jedynym pozostałym przy życiu Anglikiem z tych, którzy opuścili Otaheite, a jego wzorowe zachowanie i ojcowska troska o małą kolonię — wzbudza tylko podziw". Dodaje, że wyspiarze „uważają Johna Adamsa za ojca rodziny".

John Adams to jest po prostu Alexander Smith, jeden z buntowników. Kapitan Amaso Delano w „Opowieści o Podróżach i Wędrówkach" powiada, że zmiana nazwiska nastąpiła z uwielbienia dla drugiego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Nie bardzo to nam przemawia do przekonania, jako że Alexander Smith od 1789 do 1808 roku nie miał żadnych kontaktów ze światem zewnętrznym, a John Adams przejął po Washingtonie władzę w roku 1797.

Tych rozbieżności w poszczególnych relacjach jest sporo, ale nie będziemy wdawać się w ich rozplątanie. Ciekawsze jest dla nas to, że kapitan Pison, który dowodził okrętem „Tagus", poznał młodzieńca na wyspie Pitcairn, który mówił dobrze po angielsku, a przedstawił się jako Czwartek Październik dlistian (Thursday October Christian). Był pierwszym dzieckiem, jakie przyszło na świat na wysepce, ojcem był przywódca buntu, a matką — dziewczyna z Tahiti. Urodził się w czwartek w październiku, stąd też te dziwne dla nas imiona.

Tymczasem ustalono, że przecież „Bounty" przekroczył międzynarodową linię daty, czyli że buntownicy „postradali" jeden dzień. Tak, że młodzieniec został przemianowany na Piątek, aby dać świadectwo prawdzie. Imię to jednak jakoś się nie przyjęło, żył i zmarł jako Czwartek.

Okruchy wieści o żegludze „Bounty" wynurzają się z mroku niepamięci w niezwyklej okolicznościach. Misjonarz John Williams opowiada, że jakkolwiek Cook nigdy nie był na Rarotonga, to jednak wyspiarze wiedzieli o jego istnieniu od Tahitańczyków, którzy zawięli tam na pirodze. Tahitańczycy powiedzieli im mianowicie, że istnieje rasa ludzi białych „władających długimi przedmiotami, z których wylatuje ogień i kamień niosący nam śmierć, jeszcze nim zdążymy sięgnąć po włócznie". Ci biali ludzie zwą się „Cooki".

Na wieść o tym wielki kapłan modlił się tymi słowy: „Wielki Tangaroa, ześlij nam ogromne pirogi w nasze strony, abyśmy inogli obejrzyć tych Cooki. Spraw, aby powiały wiatry, które pchną w nasze strony przesławnych Cooki, aby obdarowali naszą wyspę gwoździami i żelazem, a także siekierami..."

Tangaroa musiał przychylić się do prośby swego ludu, gdyż wielka piroga istotnie zjawiała się niedługo po tych modłach. Pisze Williams: „Z opisu,

jaki przekazali mi tubylcy, wynika niezbicie, że był to ♦Bounty\* już po zawładnięciu statkiem przez buntowników."

Relacja ta pokrywa się z tym, co opowiedziała Jenny Martin, wdowa po jednym z buntowników, gdy amerykański statek wielorybniczy zabrał ją po latach na jej rodzinną wyspę Tahiti. Wspomina ona wydarzenia, życie i śmierć ludzi, mordujących się nawzajem na małej wysepce. Okazuje

16 Buntownicy Mórz Południowych;

się, że gdy zmarła żona buntownika Williamsa, on postanowił zabrać żonę jednemu ze „sług” tahitańskich. Ciągnięto losy, Tararo musiał oddać swą kobietę Brytyjczykowi. „Tararo bardzo się tym przejął, samotnie ruszył w góry. Wrócił po trzech dniach, zabrał ze sobą żonę i poszli razem znów w góry.”

Tahitańczycy knuli już wtedy spisek dla zgładzenia białych. Ze jednak ci mieli się na baczności, więc Tahitańczycy uszli w góry. Mówi Jenny: „Jednego z tubylców pozostałych z Anglikami wysłał Christian, aby tam zabił Oopee. Zastrzelił go z pistoletu. Z rozkazu Europejczyków został też zastrzelony Tararo, a jego wdowa wróciła do Williamsa”.

Po tych ponurych wydarzeniach zapanował względny spokój „nim Manarii nie ukradł świni należącej do McCoya, za co ten Europejczyk stłukł go dotkliwie. Teimua też był karany za kradzież, a więc tubylcy znów szykowali się do mordowania Anglików. Najpierw zastrzelili Williamsa, gdy stawiał płot wokół swego ogrodu” — wspomina Jenny.

Potem zaczaili się na Christiana: „Dopadli go, kiedy karczował ziemię pod uprawę. Gdy odciągał jakieś korzenie, poszli za nim Lstrzelili mu między łopatki, wtedy upadł. Siekierą porąbali mu głowę i zostawili zwłoki.”

Mills został zastrzelony, McCoy jakoś uciekł. Do Martina strzelili dwukrotnie, wreszcie dobili go młotkiem, inny marynarz był kamienowany, a kiedy próbował powlec się dalej — zastrzelili go z muszkietu. Strzelali też do Johna Adamsa, czyli Alexandra Smitha, który został ranny.

Opowieść Adamsa jest dla nas ważna i jeszcze do niej powrócimy. Teraz słów kilka o gościach, zjawiających się rzadko na wysepce. Niektórzy tylko jakby wstępowali na chwilę, inni — zostawali na dłużej. Do tych drugich zaliczał się John Buffett, angielski marynarz, którego potomek był moim głównym opiekunem, kiedy z kolei ja sam zjawiłem się (kategoria pierwsza: wędrowny ptak) na innej wyspie, a mianowicie na Norfolk, gdzie osiedliła się potem cała rodzina Buffetta.

John Buffett przybył na Pitcairn 10 grudnia 1823 roku na pokładzie statku wielorybniczego „Cyrus”. W trzydzieści trzy lata potem emigrował na Norfolk, gdzie teraz po burzliwym życiu spoczywa w spokoju na starym cmentarzu nad samym oceanem w Kingston, stolicy wyspy. Jego potomek, który jest osobistością w administracji Wyspy, pokazał mi wpis dotyczący swego pra-pradziadka w starej księdze ze spisem ludności: „John Buffett, lat dziewięćdziesiąt pięć, zmarł na uwiad starczy. Urodzony w Hull, Anglia”.

Jego „Opowieść o Dwunastu Latach na Wyspie Pitcairn” jest dla nas cennym źródłem wiadomości. Całe szczęście, że majtkowie Jego Królewskiej Mości mieli zamiłowania pisarskie!

Wspomnienia świadczą o tym, iż Pitcairn stała się dla Buffetta dosłownie przystanią spokoju po pełnej przygód młodości. Beznamiętnie relacjonuje tragedie na morzu, których sam był nie tyle świadkiem, lecz uczestnikiem. Aby nie odciągać Czytelnika od głównego nurtu naszej opowieści, nie będę przytaczał opisu zatonięcia okrętu jego Królewskiej Mości „Penelopa” u wybrzeży Kanady.

Nie mniej burzliwa była wyprawa na brygu „Weasel” pod dowództwem kapitana McKevina. Rejs trwał już sześćdziesiąt dwa dni, zapasy żywności skończyły się, żagle były w strzępach, marynarze kostnieli z zimna w burzy śnieżnej. Mróz był tak straszny, iż załoga odbiła denko beczki z rumem. „Zanurzailiśmy w nim nasze buty, aby jakoś uchronić stopy przed odmrożeniem, nie zapominając oczywiście o zażywaniu rumu także i do wewnątrz.”

Potem Buffett pływał na statku amerykańskim, który w tajfunie postradał żagle i został sprzedany na Filipinach, następnie wstąpił na pokład „Lady Blackwood”, który miał płynąć do Chile, ale i ten statek zniszczony został przez tajfun.

Jedna z takich wypraw zawiodła Buffetta na Pitcairn, gdzie akurat wyspiarze szukali kogoś, kto by nauczył ich sztuki pisania i czytania. Wiecie przeto teraz, skąd się wziął ów



Buffett na małej wyspie? Dobrze więc, a teraz — słuchajcie dalej, bo on sam ma nam wiele do powiedzenia!

Zastał tam około pół setki wyspiarzy, John Adams przewodził małej społeczności. Z zestawienia dat wynika, iż mógł mieć wtedy około pięćdziesięciu sześciu lat. Po wieczery — wspomina Buffett — doszło na wyspie do tanów. „Adams, który w minionych latach odwykł od uciążliwości odzieży, ściągnął koszulę i portki i też tańczył”.

Potem były zbiorowe modły, gdyż wyspiarze żyli według zasady „módl się i pracuj”.

Buffett opowiada, że „w czasie suszy, kiedy tylko Adams pomodlił się — jak miał w zwyczaju — o deszcz, to istotnie zaczynało padać. Natomiast gdy dawny nauczyciel, pan Hill, modlił się o opad — nawet zachmurzone niebo zaraz się rozpogadzało”.

Gdy na wyspę zawinął brytyjski okręt wojenny „Blossom” i jego dowódca, kapitan Beechey, zapytał: „Gdzie jest Alick?”, to John Adams struchlał, gdyż tak zwracali się doń kiedyś koledzy z „Bounty” i „cała rodzina była wystraszona, a to mając przekonanie, iż «Blossom» zjawił się, aby zabrać im ojca”. Buffett podaje, że ostatecznie zamiary wyjaśniły się, Adams spędził na pokładzie okrętu trzy tygodnie, a że pan kapitan spisał skrzętnie to, co buntownik miał do powiedzenia, więc my z kolei z dzieła F.W. Beecheya „Podróż odkrywczą” — znamy wydarzenia na wyspie. Pisze imię kapitan: „To, co następuje, zestawione jest niemal całkowicie z opowieści Adamsa, podpisanej przezeń własnoręcznie, oto podpis.” I rzeczywiście, 16\*

niewprawną dłonią jest nabazgrane: „John Adams” —■ wic^ buntownik całkowicie odzegał się od swego właściwego nazwiska.

Adams przekazuje nam wiadomość, że gdy „Bounty” zjawił się u wybrzeży Pitcairn — wyspa przypadła do gustu Christianowi. Nie tylko znalazł tam wodę słodką, dzikie owoce i żyzną ziemię, ale — co było ważniejsze — kilka głębokich jaskiń, gdzie można się było skryć w razie pościgu. Wyspa nie miała żadnego naturalnego portu, okręt wojenny nie mógł więc dobić do brzegu, a odparcie ewentualnego desantu na łodziach — musiało być dla zaczajonych wśród nadmorskich skał buntowników znacznie łatwiejsze.

Okręt stanął więc na kotwicy w zatoce zwanej potem zatoką Bounty, mozolnie znieśli na brzeg wszystko, co się tylko dało przetransportować, następnie podpalili „Bounty”. Jego Królewska Mość postradał ostatecznie swój okręt 23 stycznia 1790 roku.

Buntownicy spalili więc dosłownie drogę odwrotu, a tu — w czasie wspinaczki na jedną z gór — natrafili na znalezisko, które — w ich mniemaniu -7- nie wróżyło nic dobrego. Były tam mianowicie (wspomina Adams) „ślady kilku domostw, grobowce polinezyjskie, a także trzy czy cztery prymitywnie wyrzeźbione wizerunki”. A więc — wyspa nie jest bezludna!

Przez kilka dni żyli w strachu, że prawowici właściciele wyspy zaczęli się w jakiejś jaskini i czekają na dogodny moment, aby rozprawić się z najeźdźcami. Ale dawni wypiarze — przeminęli z historią.

Ileż to razy widziałem na maleńkich bezludnych wyspach Mórz Południowych takie ślady donikąd! Jakiś kurhan, usypany przez nieznaną ludzi, aleja drzew nie występujących poza owym miejscem w tych stronach, • którą idealnie prosto posadził ktoś kiedyś w czasach, które były Sriem...

Gdy więc lęk przeminął, kiedy przybysze poczuli się pewniej, zabrano się rażno do budowy rajy, własnej „wyspy zrodzonej z marzeń”. Żagle z „Bounty” posłużyły jako namioty, potem — kiedy postawiono chaty — płótno żaglowe pocięto na odzież. A kto postawił chaty? Cóż za pytanie! Oczywiście, że przywiezieni z Tahiti polinezyjscy wypiarze, którzy z przyjaciół białych ludzi zostali szybko zdegradowani do roli ich... niewolników. Te czasy wspomina Adams: „Tak więc zaopatrzeni w to, co jest niezbędne do życia, a nawet i zbytku, zdali sobie sprawę, iż warunki, w jakich się znaleźli, przeszły wszystko, czego się mogli nawet spodziewać...”

Jak wiemy, potem potoczyły się krwawe boje o kobiety. Adams uzupełnia naszą wiedzę o tej masakrze. Żony marynarzy posłyszały złowrogą pieśń poniżonych rodaków, bo na wyspach Mórz Południowych śpiewa się nie tylko o miłości i szczęściu... Przerażone, powiadomiły swych lubych, że tahitańscy niewolnicy wyśpiewują: „Czemuż to ciemnoskóry człowiek ostrzy swoją siekierę? A po to, aby ubić białego człowieka!”

245

## I PIÓRO

Adams wspomina, jak pewnego dnia Tahitańczyk pożyczył fuzję i amunicję od swego pana, aby... zapolować na dzika. Kiedy z oddali doszły echa strzału, który zabił Williamsa, „Isaac Martin w mniemaniu, iż to dzik został trafiony, rzecze: 'Dobrze dostał! No, to sobie dzisiaj zrobimy smaczny obiadek!\*"

Resztę makabrycznych szczegółów możemy sobie darować, wspomnę tylko, że kiedy rzeźił w agonii konający na ziemi przywódca buntu Fletcher Christian, inni jego kamraci nie zareagowali wcale na te przedśmiertne jęki, gdyż myśleli, że to żona Christiana woła swe dzieci na posiłek...

Dziewczęta z Tahiti nie miały tu lekkiego życia, usiłowały nawet zbudować tratwę, aby uciec przed tyranią marynarzy. McCoy bił swoją żonę bezlitośnie, Quintal też był brutalnym,

nawoływał swych kolegów, aby „nigdy - nie uśmiechali się do swych dziewcząt, nie żartowali z nimi ani też nie dawali im żadnych upominków”. Były na wyspie i spiski kobiet, zrozpaczonych tyranią swych białych mężów. 16 sierpnia 1794 roku wyspiarze wykopali

zbiorową mogiłę, aby pochować zamordowanych marynarzy, zaś 3 października tegoż roku — uroczyście obchodzono w chacie Quintala zamordowanie ostatniego tahitańskiego niewolnika...

Ci, którzy przeżyli ten szal zabijania, zbudowali dwie małe łódki, zajęli się rybołówstwem, uprawiali ziemię, składali sobie nawzajem wizyty, aż pewnego dnia...

Wspomina Adams: „Tak się niepomysłnie złożyło, że McCoy w Szkocji pracował w gorzelnii, gdzie rozsmakował się w trunkach. Czynił doświadczenia z pewnym korzeniem, aż wreszcie 20 kwietnia 1798 roku udało mu się sporządzić flaszkę mocnej gorzałki...” W pijatykach uczestniczył Quintal, aż wreszcie w upojeniu alkoholowym McCoy skoczył z wysokiej skały i zginął. „Żałosny koniec McCoy'a tak wstrząsnął pozostałą garstką ludzi, iż postanowili nigdy już nie brać do ust wódki...”

Mała społeczność na małej wyspie nie miała ciągle jeszcze zaznać spokoju. Adams opowiada, że „około roku 1799 Quintal postradał żonę, która spadła ze skały, kiedy wybierała jajka z ptasich gniazd. Był rozgoryczony i jakkolwiek było na wyspie kilka kobiet wolnych, to jednak on wbił sobie w głowę, iż musi mieć żonę jednego ze swych towarzyszy”.

Nietrudno się domyśleć, że pomysły te były nie w smak ani Adamsowi, ani Youngowi. Nie skończyło się zresztą na zalotach, bowiem — jak spokojnie stwierdza Adams — „Quintal szukał sposobności, aby nas obu z Youngiem zgładzić. Pierwsza próba mu się nie powiodła, ale w obawie, iż przy następnej może mu szczęście dopisać, doszliśmy do wniosku, iż życie nasze jest zagrożone, skoro on istnieje, a przeto że będziemy usprawiedliwieni, kiedy go uśmiercimy, czego też dokonaliśmy siekierą.”

Buntownicy, szukający ucieczki przed brytyjską sprawiedliwością, znaleźli przeważnie tylko własną zagładę. Z piętnastu mężczyzn, którzy lądowali na Pitcairn, tylko Adams i Young cieszyli się jeszcze życiem;... Zresztą, w rok po tym zabójstwie kamrata, także i Young opuścił świat. Chciałoby się rzec, że jak na marynarza i buntownika, wręcz luksusowo, gdyż we własnym łożu. Powaliła- go „astmatyczna dolegliwość” — jak to określa kronikarz kapitan Beechey.

Dodaje, że gdy Adams został na Pitcairn jako jedyny mężczyzna, „z dzie- więtnaściorga dzieci było kilkoro w wieku od siedmiu do dziewięciu lat. Bał się, żeby nie popadły w nawyki, które byłyby potem trudne czy wręcz niemożliwe do usunięcia. Poza wychowaniem dziatwy, należało jeszcze nawrócić kobiety z Otaheite, a że przykład rodziców ma wpływ przemożny na potomstwo, więc postanowił zająć się tym najpierw...”

Marynarzy z „Blossom” powitała na Pitcairn Hannah Young, która była córką Adamsa, a żoną marynarza Younga. Górską ścieżką zawiodła Bry tyjczyków na szczyt, wznoszący się o jakieś czterysta metrów nad poziomem morza. Tam pokazała im miejsce, „gdzie Christian był najpierw pochowany”, a także jaskinię, gdzie — notuje Beechey — „miał się chronić Christian, gdyby doszło do desantu z okrętu wysłanego w pościg za nim, gdzie też postanowił drogo sprzedać swe życie...” Była tam kryjówka z żywnością, a także chatka, zamaskowana przez drzewa, mająca służyć za punkt obserwacyjny, gdyż było to najwyższe położone miejsce wyspy.

Podczas swej wizyty na okręcie Adams był wyraźnie uradowany, iż znowu jest między marynarską bracią, i to do tego między rodakami. Miał też prośbę do kapitana: „Adams rzekł, iż przysporzyłoby mu to wiele szczęścia, gdybym odczytał formułę małżeństwa między nim a jego żoną, ponieważ trudno mu znieść myśl, że żyje z nią bez tej formalności. Jakkolwiek Adams był już w latach, a ta stara kobieta była niewidoma i od dłuższego czasu przykuta do łoża, tak bardzo mu na tym zależało, iż odmowa byłaby okrucieństwem... A więc połączyli się więzami małżeńskimi, wydarzenie to Wciągnął do ksiąg John Buffett...”

Kapitan Beechey dodaje, że ów Buffett nie tylko nauczał dziatwę, ale i sprawował opiekę duszpasterską nad wyspiarzami. Inny majtek z załogi „Cyrusa”, John Evans, który też osiadł na wyspie i poślubił jedną z córek Adamsa, nie był jakoś lubiany przez małą społeczność.

Marynarze byli pod wrażeniem niezwyklej siły fizycznej wyspiarzy, a także ich niebywalej sprawności. Gdy trzeba było uzupełnić zapasy wody słodkiej na „Blossom”, a wysoka fala uniemożliwiała transport baryłek na czólnach, wyspiarze wskakiwali w morze, płynęli pchając przed sobą beczułki z wodą słodką I W ten sposób dostarczyli na okręt kilka ton źródlanej wody, nie postradawszy na głębinie ani jednej baryłki!

Beechey ruszył dalej ze swymi zuchami w rejs, rozglądając się zgodnie z brytyjskim zwyczajem dookoła, czy też aby nie znajdzie się coś przydatnego dla Korony...

Jedną z wysp na szlaku, gdzie znalazł „twarde drewno, dobrze nadające się na opał” nazwał Barrow, aby — jak wyjaśnia — „uczcić sekretarza Admiralicji, którego uzdolnienia literackie i zapał w szerzeniu wiedzy geograficznej znane są szeroko w świecie...”

Mowa tu o'sir Johnie Barrow, który rozgłos swój zawdzięczał wydanej zresztą dopiero w 1831 roku książce „Bunt i Opanowanie przez Piratów »Bounty«”. Zaczerpnąłem z niej nieco danych. Książka opierała się na zeznaniach przed sądem wojennym kapitana Bligha oraz właśnie na relacjach Adamsa, które spisał kapitan Beechey.

Był rok 1828, kiedy u wybrzeży Pitcairn pojawiła się mała szalupa. W niej — tylko dwaj ludzie, ciężko chory kapitan Noah Bunker oraz ma-

rynarz George Nobbs. Okazało się, że szalupa straciła kontakt ze statkiem, który miał łowić foki, ostatecznie dotarła do Pitcairn.

Kapitan Bunker musiał cierpieć na jakieś zaburzenia psychiczne. Dowiadujemy się z kronik, że czuwano nad nim dzień i noc, ale że któregoś wieczora, gdy opiekunowie się zdrzemnęli, wstał z łoża i rzucił się ze skały nadmorskiej. Znalezione go ciężko rannego. Powiedział, że chciał sobie rozbić głowę o skały, ale mu się to niestety nie powiodło. Błagał wyspiarzy, aby zabili go lub pozwolili mu na samobójstwo „jako że tylko to może przeciąć nić jego cierpień”.

Ani Buffett, ani Adams nie chcieli o tym słyszeć, pielęgowali chorego starannie, a od kapitana przepływającego wkrótce potem statku wieloryb- niczego uzyskali trochę nalewki na opium, aby złagodzić bóle pacjenta. Ten jednak znowu wykorzystał nieuważę opieki, wypił cały zapas leku i zasnął na zawsze.

Na wyspie został więc marynarz George Hunn Nobbs, o którym ciekawe dane znajdują się w rękopisach jego prawnuczki (zmarłej w 1946 roku w Sydney), a przechowywanych w Mitchell Library w tymże mieście. Wynika z tych notatek, że Nobbs był nieślubnym synem markiza Hastingsa oraz dziewczyny — i Jeminy French, której ojciec był zamieszany w powstanie irlandzkie w 1798 roku i miał zaginać w czasie ucieczki do Francji. Młodzieniec przybrał nazwisko Nobbs i przez protekcję admirała Murraya dostał się do służby w królewskiej marynarce. Inne źródło podaje, że ów markiz „jakkolwiek uznany za najbrzydszego człowieka w Anglii, miał jednak wiele osobistego uroku”. Po zgonie ojca człowiek ten został drugim hrabią Moira. Ów rozbitek, kiedy ostatecznie osiedlił się na wyspie Norfolk, nazwał swe domostwo „Moira”. Ze swej służby w brytyjskiej flocie zachował różne wspomnienia. Dostał się bowiem do hiszpańskiej niewoli w Callao. Jego i szesnastu innych brytyjskich jeńców pędzono w kajdanach ulicami ku uciezce gawiedzi. Z angielską flegmą opowiadał swym dzieciom: „wielomiesięczne spacerunki po ulicach Callao z obciążeniem po pięćdziesiąt funtów żelaza na osobę, kiedy mieliśmy za całe jadlo jeno fasolę i paprykę, a kamień miast poduszki nocą pod głowę — były w sumie dalekie od przyjemności”.

Potem były różne okręty, bitwy morskie, śmierć ukochanej matki, której czasem posyłał pieniądze zdobyte na... Hiszpanach, Kalkuta, Sierra Leone, Valparaiso, Anglia... hulanki i choroby, uczyty i głodowanie, trudno się dziwić, że wreszcie ów człowiek zapragnął trochę spokoju. A było go wiele właśnie na wyspie Pitcairn.

Nie, nie mów tylko, proszę, że tak nie jest! Ileż to już razy przecierasz zmęczone oczy, oddychasz głęboko i powiadasz sobie, że dobrze by było znaleźć się z dala od tego wszystkiego, na malej wysepce Mórz Południowych. Tam, gdzie ludzie byliby dobrzy i życzliwi, gdzie się nikomu nie śpieszy, gdzie nie jest ani zbyt chłodno, ani upalnie, gdzie można by wyciągnąć się wygodnie pod palmą, gdzie... Ba, ale czy miejsce takie w ogóle istnieje? Ja twierdzę, że zbliżona do tego ideału jest wyspa Norfolk, najstarsza posiadłość brytyjska na półkuli południowej. Reklamuje się ona w prospektach jako „the most boring place in the whole wide world”, czyli „najnudniejsze miejsce w całym szerokim świecie”. Czy istotnie najnudniejsze? Posłuchajcie tej nowej opowieści Mórz Południowych, przywiezionej z wysepki, gdzie wczorajsza tragedia przerodziła się w spokojne bytowanie potomków dawnych buntowników i ich tahitańskich połowic!

Wielki był lament, wielka żalność na wyspie Pitcairn, kiedy zamknął oczy na zawsze John Adams, patriarcha społeczności. „Ale — rzeczowo informuje nas Buffett — jak przystało na żalobę wyspiarzy Mórz Południowych, rozpacz szybko przeminęła. Adams zmarł 5 marca 1829 roku, zwykły głaz pokazuje miejsce, gdzie spoczywają zwłoki tego, który złamał prawa swego kraju, ale potem uporczywie starał się tak wpłynąć na swe dzieci i innych buntowników, aby służyli Bogu i przestrzegali Jego przykazań.”

Trudno się więc dziwić, że wyspiarze nie chcieli się osiedlić na Tahiti, skąd przecież wywodzili się niemal wszyscy „po kądzieli”: razili ich swobodne obyczaje polinezyjskich kuzynów, którzy zresztą byli już gruntownie zdeprawowani przez wielorybników i innych przybyszów z Ameryki i Europy. Toteż wróciła na Pitcairn mała grupka tych, którzy — przy brytyjskiej pomocy'—chcieli na Tahiti wieść dalej spokojne życie.

Nie zakotwiczył się zaś na Pitcairn na stałe niejaki Hill, o którego nieskutecznych modłach o deszcz wspominaliśmy już uprzednio. Był to — jak się wydaje — niebieski ptaszek, pokazywał kopie swych listów\* do możliwych tego świata, co pod różnymi szerokościami geograficznymi było i jest ulubionym chwytem wielu obwiesiów. Główną pasją życia stało się dlań tępienie jego rodaka, owego Buffetta. Hill był sędzią z własnej nominacji, wezwał go więc przed oblicze trybunału i odczytał... wyrok, skazujący Buffetta na trzy tuziny batów oraz wysoką grzywnę, którą należało uiścić w żywności. Poza tym skazał go na wysiedlenie z wyspy razem z całą jego rodziną, na pierwszym statku, jaki tylko się pojawi.

Po odczytaniu wyroku sąd zamienił się w kata. Nieszczęsny Buffett został najpierw uderzony w głowę, potem zawleczony przez Hilla do kościoła i tam powieszony za ręce. Wtedy sędzia-kat wychłostał go tak, że skazaniec nie mógł o własnych siłach dotrzeć do domu.

Po wielu zabiegach małej społeczności Pitcairn władze brytyjskie zlitowały się nad wyspiarzami i Hill został wysiedlony do Valparaiso na pokładzie okrętu wojennego „Imogene”.

Załoga innego okrętu Jego Królewskiej Mości „Curaçoa” była w 1841 zaskoczona, kiedy udało się jej dotrzeć do wraku „Bounty”, a raczej szczątków tego statku. „Tak solidny był budulec, że dębowe serce statku oparło się sile wody i przetrwało pół wieku zanurzenia w morskiej toni” — notuje Buffett.

Na liście gości na wyspie znajduje się jeszcze doktor Domet z okrętu wojennego „Calypso”. W 1848 roku doktor skopiował prastare relikwie dawnych mieszkańców wyspy. Znalazł groty włóczni, kamienne, toporki) wyobrażenia księżycy i słońca, różnych ptaków. Były też tam prymitywne szkice postaci ludzkich.

Potem w roku 1849 przybił do brzegu w szalupie kapitan James Wood z Królewskiej Marynarki Wojennej. Przywiózł on z powrotem Johna Buffetta.

Gdy stanęli na wyspie, „pojawiła się piękna dziewczyna i niemal obrywając mi dłonie rzekła: »Dzięki ci, panie, żeś dowiódł ojca mego do domu\*. Ponieważ nie byłem w stanie podać ręki wszystkim zebranym wokół mnie dziewczętom, więc wolałem je wycalować, co zresztą lepiej im się podobało” — wspomina wilk morski.

Gdy doszło do wspinaczki na strome zbocze górskie, „moją podporą i ostoją była Jemina Young, rosła, dobroduszna dziewczę, które wzięło mnie pod ręce i prawie wniosło tak, że mnie utrudził mych stóp”.

Pisze kapitan Wood, że mieszkańcy Pitcairn „jedzą, gdy są głodni, śpią, gdy ich morzy sen, nie znają żadnych ograniczeń w dysponowaniu swym czasem, poza tym, iż w niedzielę muszą być dwukrotnie w kościele... Nobbs orientuje się w czasie w ten sposób, iż na podłodze swego domu ma namalowane linie, które słońce oświetla w określonych godzinach. Ten zegar słoneczny zupełnie wyspiarzom wystarcza”.

Takie sielankowe opisy zawdzięczamy gościom. Samym wyspiarzom jednak było coraz ciasniej, nie ulegało wątpliwości, że z czasem nie wyżywią się wszyscy na Pitcairn. Miesiącami i latami krążyły raporty i propozycje między Londynem a dostojnikami w różnych brytyjskich posiadłościach. Wreszcie Anglia — która potomstwo buntowników uznała za swoje — postanowiła ludność Pitcairn przesiedlić na wyspę Norfolk.

Wyspę Norfolk odkryta została w 1774 roku przez kapitana Cooka. Jest pochodzenia wulkanicznego, jej strome brzegi porasta bujna zieleń. Król Jerzy III raczył nakazać gubernatorowi Philipowi, urzędującemu dopiero od niedawna tam, gdzie dziś leży Sydney: „Wyspa Norfolk przedstawiana nam jest jako punkt, który może być kiedyś przydatny. Skoro więc tylko okoliczności będą ku temu, masz pan wysłać tam małą grupkę, aby zajęła dla nas wyspę, a także aby nie dopuściła do opanowania jej przez obywateli innego mocarstwa europejskiego.”

Wyspa była za czasów Cooka bezludna. Późniejsze odkrycia jednak wykazały, że mieszkali tam niegdyś Polinezyjczycy. Gubernator Philip przywołał porucznika nazwiskiem Philip Gidley King. Dal mu bardzo szczegółowe instrukcje na drogę.

Nie wolno więc było na wyspie Norfolk zbudować żadnej większej łodzi. Każdy obcy statek, który by zawinął do brzegów wyspy — miał być zabezpieczony aż do nadejścia rozkazów gubernatora. Philip miał się bowiem wyrazić, że Norfolk jest „bardzo daleko wpław”. Innymi słowy, chodziło o uniemożliwienie ucieczki tym zesłańcom, którzy tam się znajdują.

King dostał zaopatrzenie na pół roku, zapowiedź dalszych dostaw, no i naturalnie zalecenie oszczędnej gospodarki.

14 lutego 1788 roku wypłynął z Sydney na pokładzie okrętu JKM „Supply”, 6 marca wylądował na południowym krańcu wyspy. Tam powstała osada King's Town, zwana obecnie Kingston. Zresztą był to raj dla kogoś, kto lubi nadawać nazwy. Tyle miejsc do nazwania! Skały Cooka miały więc upamiętnić wielkiego żeglarza, wicehrabia Sydney z Home Office dał swe nazwisko jednej z zatok, nazwą Point Howe uczczono Pierwszego Lorda Admiralicji, niemal każdy wyższy urzędnik czy oficer Admiralicji miał tu „swoją” kątek.

Stare kroniki podają, że na wyspie był las tak gęsty, iż trudno było się w nim poruszać. Po dziś dzień występuje tam specjalna odmiana sosny, sięgająca dwudziestu metrów wysokości. Uważano, że nada się ona do budownictwa królewskiej floty, ale cieśle okrętowi kręcili nosem na sękate drzewo.

A więc może len na żagle? Sporo jest na wyspie miejscowej odmiany lnu. Zapobiegliwi Anglicy wprowadzili dwóch Maorysów z Nowej Zelandii, gdzie uprawa lnu miała dawne tradycje. Dzielny porucznik Hanson dostarczył „zdobyczą” na dowodzonym przez siebie okręcie „Daedalus”. Na Norfolk dogadano się z obu jeńcami i okazało się, że Maorysi nie mają pojęcia o uprawie czy przeróbce lnu, jako że w ich ojczystych stronach



jest to zajęcie wyłącznie... babskie, niegodne prawdziwego bojownika. Brytyjczycy zachowali się, jak przystało na dżentelmenów: odstawili niedoszłych instruktorów z powrotem na Nową Zelandię.

Wyspa to niezmiernie ciekawa dla ornitologa. Jest przystankiem dla ptaków lecących z Wysp Salomona na Nową Zelandię. Niestety, nie ma już na niej burzyków, gnieźdzących się niegdyś w skalach Mount Pitt.

Ci pierwsi Brytyjczycy nazwali je nawet „Ptakami Opatrzności”, nie ma tu jednak mistycznych uniesień. Po prostu obiecane dostawy jakoś nie nadchodziły, od marca do sierpnia 1790 roku zjedzono więc sto siedemdziesiąt tysięcy burzyków, potem masakra trwała dalej, dopóki nie wyłęgano ich całkowicie. Porucznik Ralph Clark zanotował: „Ptaki z Mount Pitt to chyba nasi najwięksi przyjaciele. Gdyby nie one, większość z nas byłaby już dawno w grobie. Teraz już jest po nich. Starczyły nam akurat do przybycia statku z zaopatrzeniem”.

Życie na wyspie stało pod znakiem dyscypliny i „kota o dziewięciu ogonach”. Już w dwa miesiące po przybyciu chłostano z rozkazu Kinga pewnego szeregowca piechoty morskiej, który z namiotu porucznika ukradł rum. Tuzin uderzeń za zejście ze służby, tuzin — za włamanie, tuzin — za- kradzież. W kilka dni później trzydzieści sześć batów dostał czternastoletni chłopak, który przywłaszczył sobie jakiś przedmiot. Ludziska dziwowali się dobremu sercu porucznika: w Australii za podobne wykroczenie wieszano.

W styczniu 1798 King chrzczył pierwsze dziecko urodzone na wyspie. Był to jego własny syn. Matką była więźniarka, Ann Innett, potem urodziła jeszcze komendantowi drugiego potomka męskiego. Zesłane na Norfolk młode kobiety służyły jako „wypoczynek wojowników”.

Pierwszy spisek przeciw władzy został stłumiony przez Kinga, a to dzięki więźniarce, która będąc kochanką pracownika administracji kolonii karnej wygadała się przed nim, Żony żołnierzy i oficerów rzadko dochowywały wierności mężom w tym środowisku wielu samotnych mężczyzn. Major Foveaux zabrał sierżantowi Sherwinowi żonę, jego samego uwięził. Wspomina rzeczowo Irlandczyk Holt, zesłany na wyspę, iż roztropny sierżant „zdał sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa i doszedł do wniosku, iż lepiej będzie ocalić życie, a stracić żonę, niż postradać i jedno, i drugie...”

Francuski żeglarz La Pérouse krążył wokół wyspy? ale wysoka fala uniemożliwiła mu wysadzenie desantu. Zniechęcony miał się rzekomo wyrazić, iż wyspa nadaje się „tylko dla orłów i aniołów”.

Mam wątpliwości. Orły zostałyby chyba spożyte jak burzyki, anioły zaś nie zniosłyby widoku kolonii karnej.

Kapitan Maconochie w 1847 roku opisywał w raporcie: „...forsowne roboty przez cały dzień, nocą zesłańcy stłoczeni są w pomieszczeniach, które nawet połowie z nich nie mogą dać przyzwoitego locum. Na wszelkie sposoby rani się ich uczucia i poniża godność osobistą. Muszą czapkować przed każdym szeregowcem, ba, nawet przed pustą budką wartowniczą. Spotykając zwierzchnika muszą obnażyć głowy i zejść mu z drogi, czasem nawet wprost do rowu, i bez względu na pogodę stać tam, nim on przejdzie, chociaż ten przeważnie nawet nie zwraca na nich najmniejszej uwagi. Karmiono ich jak wieprze, a nie jak ludzi. Przy stole nie wolno było mieć noży czy widelców. Pokarm szarpali palcami i zębami, wodę pili z kubelków. Tylko dwie trzecie więźniów mieściło się w jadalni, reszta musiała przy każdej pogodzie jeść pod gołym niebem koło wielkiej latryny...”

Krwawo tłumiono wybuchające raz po raz bunty. W 1834 roku skazano na śmierć dwudziestu dziewięciu buntowników, niektórych później ulaskawiono, a ostatecznie powieszono trzynastu — zgodnie ze zwyczajami

—  
epoki — osobno protestantów, osobno katolików. Z Australii wysiano specjalnie pastora i księdza, aby asystowali przy egzekucji. Duchowny katolicki zapisał: „Zostałem ich stłoczonych w trzech celach, wierzchnią odzież odrzucili dla ochłody. Przez pół roku skazańcy ci żyli w niepewności swego losu. Przypadło mi w udziale obwieszczenie wszystkim, że będą dalej żyli. Poza trzynastoma. Tych czekała śmierć. Gorzko zapłakali ci, których czekało życie. Ci zaś, którzy mieli iść .na szubienicę, wszyscy bez wyjątku padli na kolana i z suchym okiem dziękowali Bogu, że czeka ich wybawienie od tego straszliwego miejsca...”

Niektóre nazwy są świadectwem epoki okrucieństwa człowieka wobec człowieka, na przykład Zatoka Rzezi czy Krwawy Most. Wieś gminna głosi, że więźniowie budujący most, doprowadzeni do ostateczności przez znęcającego się nad nimi dozorcę — zabili go i wmurowali zwłoki w kamienne przęsło. Jednak krew wyciekła na zewnątrz spojeń piaskowca i mściciele nie uszli przed szubienicą. Most istnieje nadal, ale wiele innych budowli z piaskowca, postawionych przez więźniów — jakoś się „ulotniło”. Co się stało z kamieniem po budowlach? Jest to jedna z wielu zagadek wyspy, których nie można wyjaśnić.

Pozostały kamienie nagrobkowe. Reporter wędrujący po cmentarzu odczytuje zatarte przez ulewy napisy wspominające ludzi, którzy utonęli w morzu, zmarli z wycieńczenia czy chorób. Także i tych, którzy zginęli z ręki kata.

„Walter Burkę, rodem z Coy Tipperary, stracony został za bunt na tej wyspie 22 września 1834 roku, miał 28 lat...”

Żali się nagrobek Irlandczyka, zastrzelonego w czasie próby ucieczki w 1842 roku: Nad człeka tego smętnym i żalonym losem, Podumaj, chrześcijaninie, gdy staniesz tu czasem, Nie masz go między nami, nie ujrzysz go więcej, Żył zawsze nadzieją, ale poległ w męce.

Czytelnik zdziwić się może, że w opowieści o buntownikach Mórz Południowych tu i ówdzie zostawiamy naszych bohaterów, aby zająć się marginesowymi sprawami. A jednak czynię to zupełnie celowo. Tak, jak wspominałem o ciekawej przeszłości marynarza, który nie był wcale związany z buntem, ale którego losy rzuciły na maleńką wysepkę Pitcairn, tak teraz zajmuję się skazańcami z wyspy Norfolk.

Dlaczego? W pierwszym wypadku chciałem unaocznic Czytelnikowi fakt, że niezależnie od historii „Bounty” w tym czasie na morzach, w którą tylko stronę skierujemy uwagę, przygoda goni przygodę. Przecież o tym jednym marynarzu zabłąkanym z chorym kapitanem na szalupie — można by napisać nie wzmiankę, jak ja to zrobiłem, ale całą książkę, co zresztą uczynił Harry Maude, który w Canberze specjalizuje się w studiach nad dziejami wysp Południowego Pacyfiku.

Inaczej rzecz się ma z kolonią karną na wyspie Norfolk. W tym wypadku chciałbym wprowadzić Czytelnika w bezmiar okrucieństwa owej epoki. Marynarze z „Bounty” mieli dowódcę porywczego i bezwzględnie wobec załogi. Świstał „kot o dziewięciu ogonach”, ale kiedy przeglądam na wyspie Norfolk stare kroniki, kiedy pocztmistrz pan B.W. McCoy, potomek buntownika, pokazuje mi ponure zabytki z czasów kolonii karnej — zdaję sobie sprawę, iż na tle swej epoki imć Bligh nie był jakimś wyjątkiem. W dziesiątki lat po jego zgonie działy się na Norfolk wydarzenia tak straszne, że — by użyć frazesu pisarzy starej daty — pióro wzdraga się przed ich opisem.

Sir Roger Therry w swych „Wspomnieniach z Trzydziestu Lat Pobytu w Nowej Południowej Walii i Wiktorii” opisuje dowieszenie do Sydney sześciu więźniów z wyspy Norfolk, aby byli świadkami w sprawie przed trybunałem: „Ich zapadłe, matowe oczy, śmiertelnie blade twarze, wklęsłe policzki i kończyny jakby pokręcone przedwczesną starością wywołały grozę wśród obecnych na sali sądowej. Nie było między nimi nikogo, kto by od czasu do czasu nie dostał kary tysiąca batów czy nawet i więcej. Byli mniej podobni do ludzi, bardziej do upiorów, które powstały z mogił...”

Bill Beatty w swej pracy „Wspomniane ze wstydem” cytuje wspomnienia księdza Ullathome, który później został katolickim arcybiskupem Birmingham. Nie udało mi się dotrzeć do oryginału tej publikacji pod znamienym tytułem „Okropności Zesłania Zwięzłe Przedstawione”, więc powtarzam za Beattym. Duchowny opowiada, jak przybył na wyspę, aby zapewnić opiekę duszpasterską więźniom swej wiary, skazanym na powieszenie za bunt już w samej kolonii karnej.

„Zaprowadzono mnie do cel, gdzie byli skuci skazańcy. Więzienie ma kształt czworoboku, z jednej strony jest rząd niskich cel, krytych dachówkami. Klucznik otworzył pierwsze wrota i rzekł mi: \*Niech się wielebny odsunie...\* Wtedy buchnęły żółtawe miazmaty, wyziewy ciał zamkniętych tam ludzi. Gdy zaduch ten się nieco ulotnił, wszedłem i zastałem pięciu mężczyzn, przykutych do sztaby. Przemówiłem do nich z całego serca, dowiedziawszy się ich nazwisk, zakomunikowałem im, kto został ulaskawiony od kary śmierci, a kto z nich ma za pięć dni umrzeć. Bowiem szesnastu ze skazanych doczekało się ulaskawienia, ale władze więzienne nie zadały sobie trudu, aby ich o tym powiadomić. I tak to szedłem od celi do celi... aż wreszcie odwiedziłem ich wszystkich...”

Masowa egzekucja w obecności wszystkich więźniów trwała przez dwa dni, protestantów wieszano osobno, a katolików — osobno. „Kiedy rozkuto kajdany i odczytano wyroki, skazańcy klękli, jakby słyszeli głos Boga. A potem, zupełnie spontanicznie, wszyscy pokornie całowali stopy tego, który zwiastował im pokój. Kiedy kat skrępował im ramiona, dziękowali straży więziennej i lekkim krokiem wdrapywali się na drabinę, niemal radośnie podnieceni...”

Dwa tysiące obecnych przy kaźni więźniów — musiało ze szczerego serca zazdrościć kolegom, którzy żegnali się z Norfolk i z życiem.

Czy więc nie było ucieczki z katorgi innej, jak tylko ta, która wiodła przez trzynaście stopni na szubienicę w Kingston na wyspie Norfolk? Te trzynaście stopni można oglądać nadal, Anglicy zawsze lubili makabrę w dobrym stylu.

## DLA ORŁÓW I ANIOŁÓW

Archiwa wyspy nie notują jednego wypadku udanej ucieczki. Nikt nie zbiegł stąd żywy. AJe posłuchajcie opowieści, której bohaterem jest Barnaby Duffy.

Czy jest to postać bardziej tragiczna niż inne, których dzieje drzemią w archiwach kolonii karnej na wyspie Norfolk? Na pewno nie, ale tak jak do pewnego czasu typowe są jego dzieje — tak nietypowe jest osia tnie siedem lat życia, a właściwie — bytowania w dziupli i

Barnaby Duffy był synem zamożnego farmera z hrabstwa Kent w Anglii, gdy żyłka przygody pchnęła go na morza. Miał wtedy zaledwie piętnaście lat. Szybko jednak wylądował za kratkami, skradłszy bochenek chleba. Potem był posługaczem w oberży, tam oskarżono go o zabranie sakiewki

i kozika pijanemu majtkowi. I oto stanął przed dostojnym obliczem tego samego sędziego, który już raz skazał go za kradzież.

Tym razem wyrok brzmiał: zesłanie. I tak Barnaby Duffy znalazł się na morzu, ale w kajdanach. Podróż przeszła dobrze, kapitan był ludzkim dowódcą, od czasu do czasu wypuszczał nawet więźniów na pokład, aby mogli zaczerpnąć świeżego powietrza. Żywił ich znośnie i dowiózł cało do Sydney. W archiwum gubernatora jest nawet kopia listu dziękczynnego, jaki wtedy imię kapitan dostał.

Było to bowiem osiągnięcie niesłychane w czasach, kiedy niemal co piąty zesłaniec umierał w okresie wielomiesięcznej podróży z Anglii do kolonii karnej.

W końcu grudnia 1833 roku Duffy był już w Sydney, potem zaś przydzielono go do pracy w gospodarstwie rolnym. Tam miał pracować przykładowie przez pięć lat, a wtedy — jak go pouczono — kara pójdzie w niepamięć, a on sam dostanie nawet działkę ziemi i — po dalszych trzech latach — stanie się wolnym osadnikiem. Duffy zabrał się do ciężkiej pracy. Od świtu do zmroku krzątał się w gośpodarstwie. Młodzieniec, któremu śniło się morze, przemyślał nad tym, jak wolność odzyskać właśnie na morzu.

Los sprawił, że nie opodal pojawił się amerykański statek łowców fok. Podobno miał niepełną załogę, ochotników do służby na morzu nikt wtedy nie nużył zbyt natrętnymi pytaniami... Nocą Duffy wymknął się ze swego legowiska, pobiegł nad rzekę, gdzie w sitowiu ukrył łódkę. Jeszcze przed świtem, machając jednym tylko wiosłem, przepłynął szmat drogi. Kiedy się rozwidniło, uwiązał łódkę do drzewa i spał do południa, potem ruszył dalej.

Następnego ranka był już w Broken Bay, zaczął rozglądać się 25» wymarżonym statkiem. Owszem, stał tam na kotwicy jakiś, ale nie pod flagą z gwiazdami i pasami. Sam natomiast zbieg został dostrzeżony z łodzi płynącej na wodach zatoki pod brytyjską flagą...

Wyśmieli go marynarze, gdy im rzekł, że łowi akurat ryby, kiedy pękł łańcuch kotwiczny i wartki nurt rzeki zniósł go do zatoki. Razem z nim schwytano bowiem jeszcze kilkunastu innych zesłańców, których zwabiła wieść, że pojawił się amerykański statek.

Duffy już następnego ranka dostał dwadzieścia batów, kara niezwykle łagodna, a to ze względu na jego młody wiek. Inni towarzysze niedoli byli bowiem karani pięćdziesięcioma uderzeniami. Wszystkim natomiast wtarto sól w zadane batem rany na plecach.

Kiedy skuto go w kajdany i zapędzono do ciężkich robót, ból tej dodatkowej tortury musiał być nie do zniesienia, skoro Duffy kilofem uderzył strażnika. Dozorca ten kłut więźnia bagnetem, poganiając go, aby się zwawiej uwijał. Nieszczęściem dla więźnia — notuje kronikarz — było niewątpliwie to, że strażnik przeżył cios. Za zabójstwo Duffy zawisłby bowiem na szubienicy. A tak czekała go chłosta, pięćdziesiąt batów rozorało mu nie zagojone jeszcze plecy, po czym — wniesiono go na statek odpływający na wyspę Norfolk. Odzyskał przytomność, kiedy statek kołysał się już na pełnym morzu.

Mamy rok 1835. Więzień Duffy wrócił już do zdrowia. W kajdanach pracuje na katordze, chłostany okrutnie za najbardziej błahę przewinienia. Mijają dwa lata, w bezsenne noce na pryczy snuje plany ucieczki. Wie, że dwudziestu więźniów sprzysięgło się, aby małym stateczkiem uciec na którąś z wysp Mórz Południowych. Kiedy, rzucili się do ucieczki, sześciu zastrzelono na miejscu, zwłoki innych przez cały tydzień dyndały dla postrachu na szubienicy w Kingston.

Duffy nabrał przekonania, iż ma szanse tylko wtedy, jeśli będzie liczył na własne siły. Nie wierzył nikomu z kamratów. Była gęsta mgła, kiedy o świcie pewnego dnia katorżnicy zabrali się do budowania drogi. Mijały

godziny i dozorczy zaczęli nawoływać więźniów do szeregu, w takich warunkach nie można było pracować.

Niepostrzeżenie Duffy uderzył łomem, który miał służyć do kruszenia kamieni, stojącego nie opodal strażnika. Ten runął martwy na ziemię, a wtedy Duffy rozbił kajdany łączące go z innym katorżnikiem i bezszelestnie zniknął we mgle.

Gdy w oddali ucichł szcęk kajdanów maszerującej kolumny, Duffy zaczął rozglądać się za schronieniem. Znalazł je w dziupli wielkiej sosny, wyrastającej w gęstwinie krzaków. Właz był tuż nad ziemią, tak nisko, że Duffy tylko na czworakach mógł się tam wczołgać. A jednak sama dziupla była dlań bez porównania bardziej przestronna i wygodna niż ten skrawek wilgotnej celi, którą dzielił w Kingston z dziesięcioma innymi więźniami.

Zabranym łomem powoli rozkuł się z kajdanów. Potem zamaskował wejście do dziupli płatami kory i stosem chrustu. Przemógł uczucie głodu, przez dwa dni nie ruszał się ze swej kryjówki, kiedy patrole przeczesywały małą wysepkę w pościgu za zbiegiem. Żołnierze otarli się niemal o drzewo, ale nie dostrzegli dziupli.

Zbiegowi sprzyjała bliskość źródła ze słodką wodą oraz bliskość samego oceanu; po zmroku zbierał małże jadalne na nadmorskiej plaży. Żywił się też korzonkami. I tak przetrwał dwa tygodnie, po których zaniechano pościgu. Niezawodnie — rozumowały władze — w gęstej mgle więzień stracił orientację i runął do morza, trzeba teraz poczekać, nim fala wyrzuci na brzeg zwłoki topielca...

Duffy ostrożnie, nocą, przekradał się do więziennych ogrodów, gdzie kradł akurat tyle warzyw, aby przeżyć jeszcze dzień czy dwa. Zdawał sobie sprawę, że większe braki natychmiast zaalarmowałyby jego prześladowców. Potem, ośmielony powodzeniem, zakradł się do kurnika i tam zdobył trzy kurczaki, które zjadł na surowo.

Raz w czasie takiej wyprawy został dostrzeżony, kula świsnęła mu nad uchem, ale pościg ruszył po fałszywym tropie i Duffy dotarł do swej kryjówki. Po kilku tygodniach dobrał się do kurnika samego gubernatora, tam ukręcił łby kilkunastu dorodnym kwokom.

Ofiarą innej jego wyprawy w gęstej mgle stał się samotny wartownik, którego ogłuszył łomem i zabrał mu karabin oraz amunicję. Oszczędnie gospodarował swym łupem, ale widać gniew był silniejszy niż lęk, skoro pewnej nocy strzelił przez oświetlone okno do sypialni gubernatora, kiedy ten układał się do spoczynku.

Znowu podjęto pościg, ale przez niewiarygodnie długi okres — siedmiu lat — Duffy mylił pogoń.

#### DLA ORŁÓW I ANIOŁÓW

Wreszcie jednak szczęście odwróciło się od niego.

Pewnej nocy we mgle spadł ze skały i złamał nogę. Ujęli go dwaj żołnierze. Zapisał kronikarz: „Miał długą brodę, włosy spadały mu na barki, jakieś łachmany będące resztką odzieży przysłaniały jego nagość. Był to człek potężnego wzrostu, mamrotał straszne przekleństwa: »Nuże, zabierzcie mnie lub donieście na mnie wy, wszy w szkarłatnych, w liście haftowanych mundurach ! Dalej, ruszajcie się! Ale pomnijcie, że nie minie nawet i tydzień od dnia, kiedy mój trup zakołysze się na szubienicy w King's Town, a obaj zginiecie, tak, wy obaj !♦ I oto w dwa dni po straceniu Duffego znaleziono zmasakrowane zwłoki obu żołnierzy, miotane przez fale o nadiriferskie skały..."

Tak chce legenda.

Prawda jest taka, że kat i dwaj oficerowie asystujący przy egzekucji utonęli w morzu, bowiem wywróciła się ich łódź.

Warunki na wyspie były straszne. Od czasu do czasu administracja odsyłała do Australii kilku więźniów, rozmieszczano ich celowo w różnych zakładach, aby ich ponure relacje

odwiodły ewentualnych buntowników

od oporu przeciw władzy. Norfolk miał być pojęciem budzącym grozę. Ten cel został osiągnięty.

Kolonia karna istniała na Norfolk do 1806 roku, potem na dwadzieścia lat oddano wyspę we władanie tylko morskim ptakom. Ponownie przywieziono tam więźniów, aż do 1853 roku sadyści dozorca znęcali się nad tymi, którzy — jak to określił gubernator — „skazani byli na karę o szczebel niżej niż śmierć...”

W roku 1856 na Norfolk pojawili się osadnicy z wyspy Pitcairn. I tak pdra nam wracać do dziejów buntowników z okrętu „Bounty”.

opowiada o zgonie ostatniego z buntowników, którzy osiedlili się na Pitcairn. Wyspa ma swoje dobre i złe

chwile, ale z biegiem lat robi się na niej ciasno i Brytyjczycy postanawiają przesiedlić ludność w bardziej atrakcyjne miejsce. Ma nim być inna wyspa Mórz Południowych, znana z tego, iż „leży bardzo daleko wplaw”. Skoro przedtem byłj tacy, którzy chcieli wydostać się z niej za wszelką cenę, to znaczy, że była ona rajem, ale nie dla wszystkich...

Dzień 8 czerwca obchodzony jest na Norfolk jako „Dzień «Bounty»”, bowiem owego dnia 1857 roku sto dziewięćdziesiąt czworo wyspiarzy z Pitcairn lądowało w strugach ulewnego deszczu na terenie dawnej kolonii karnej. „Ten kraj to zacy kraj” — zapisał George Nobbs relacjonując swe pierwsze wrażenia. I dalej: „Wszystko było tu dziwne. Wielkie domy, stada bydła, w oddali wysokie sosny, co wprawilo nas w zdumienie. Zaprowadzono mnie do siedziby gubernatora i tam posadzono przy kominku w salonie, tak się bowiem, jak ustaliłem, ta izba nazywa. Po raz pierwszy wtedy ujrzałem ogień rozpalony w domu mieszkalnym...”

Po chatkach na Pitcairn budowle na Norfolk, wzniesione katorżniczą pracą, wydały się wyspiarzom pałacami.

W 1857 roku zawitał na wyspę gubernator Denison, odczytał mieszkańcom swą nominację podpisaną przez królową, rozejrzał się wokoło i zanotował: „Byłem najpierw zakłopotany ich apatią i obojętnością. Wynika ona, mniemam, z niepotrzebnego rozbuchania krwi tahitańskiej. Chciałbym, aby bardziej uzewnętrzniła się ich brytyjskość. Ale kiedy się dobrze nad tym zastanowiłem, doszedłem do wniosku, że moim obowiązkiem jest zezwolenie im, aby byli szczęśliwi na swój sposób...”

Denison uzasadnia też pewne ograniczenia, jakie wprowadził w przepisach o wyszynku: „Ustaliłem, że baryłka whisky nabyta została od amerykańskiego wielorybnika i tak poszła w obieg, iż wielu wyspiarzy poczuło się bardzo kiepsko. Kapitan ów bowiem, niewątpliwie w trosce o trzeźwość wyspiarzy, odlał z beczki połowę gorzałki, pompując na jej miejsce morską wodę...”

Nie wszystkim podobał się zacy kraj, część potomków buntowników powróciło na Pitcairn, utrzymując jednak nadal kontakty z ziomkami na Norfolk.

Ostami raz rada wyspy Norfolk wezwała swych kuzynów z Pitcairn do przyjazdu, kiedy Francuzi szykowali się przeprowadzić próby z bronią jądrową na Pacyfiku. Norfolczycy dostali odpowiedź grzeczną, ale stanowczą: „Kiedy stanie się to nieodzownie konieczne, będziemy uszczęśliwieni, iż możemy skorzystać z Waszego zaproszenia...”

Na Norfolk uprawiano skromne poletka, parano się wielorybnictwem. Młodzież nauczyła się tego rzemiosła od amerykańskich wielorybników, zawijających tu po wodę i prowiant. Stację wielorybniczą zamknięto dopiero w 1962 roku. Było to zajęcie wielce niebezpieczne, harpun ciskano ręcznie z małych łódek, które niekiedy ta ogromna zwierzyna łowna wywracała bez trudu. Niemal zawsze wieloryb włócił łódkę daleko na pełne morze, holowanie upolowanego ssaka do brzegu było dla myśliwych niesłychanie żmudne.

Wyspa Norfolk trwała w swej samotności na oceanie, tylko z rzadka pojawiał się statek u jej wybrzeży. Przeglądam w archiwach w Kingston wspominki przybyszów, zaglądających na Norfolk.

Jeden z okrętów królewskiej floty zawiął w 1865 roku. Było to wielkie wydarzenie, grała do tańca orkiestra marynarki. Dziewczęta, które zazwyczaj biegały boso, w nie krępiących ruchy sukienkach, teraz przywdziały białe pończochy i eleganckie buciki. „Kibić ich wszakże nie jest tak drobna jak naszych angielskich ślicznotek, ale osiąga wielkość naturalną” — zanotował rzeczowo bystry wilk morski.

Angielka Beatrice Grimshaw przebywała na wyspie, kiedy nasze stulecie było jeszcze bardzo młode. Jak ona to widziała? „Wiele kobiet zachowało ślady tej urody, która dawno temu kusila mężczyzn z »Bounty«: Mają one wielkie, ciemne, lśniące oczy i długie, jedwabiste włosy, mile rysy, zwłaszcza wyjątkowo słodki jest ich uśmiech. Wszyscy wyspiarze odznaczają się dźwięcznymi głosami. To są głosy ludzi, których przodkowie przez stulecia nie znali pośpiechu czy napięcia. To głosy ludzi żyjących w kraju, gdzie zawsze jest już popołudnie... Mały, rozmarzony ludek, żyjący bez rygorów ■ łagodnym, powolnym bytowaniem, które pozostało niezmiennie tak, jak to bezkresne morze, które otacza ich



wyspiarskie domostwo. Muzyka jest pasją każdego niemal wyspiarza, uwielbienie muzyki ujawnia się w ich dziwnej, półśpiewnej mowie. To naród marzycieli. Godzinami potrafią leżeć pod kołyszącymi się na wietrze sosnami patrząc hen, w morze — niczym pogodny, beztroski Tahitańczyk, który rozciąga się na trawie koło drogi wiodącej z Papeete. Ale kiedy nawiedzi ich chęć czynu, to na całym Oceanie Spokojnym nie znajdziesz lepszych żeglarzy czy śmielszych wielorybników niż ci marzyciele. Bosy, bez oglądy i wykształcenia wyspiarz jest jednak w każdym calu dżentelmenem. Spokojny sposób bycia, niski, przyjemny głos. Uprzedzająca grzeczność okazywana jest powszechnie na Norfolk każdemu przybyszowi. Nie ma tu znaczenia, czy jest nim lord w podróży dookoła świata, czy też wynędzniały marynarz, który zdezerterował ze statku."

Mieszkańcy wyspy stali się brytyjskimi patriotami, ochomicy szli na wojnę za królową i kraj, którego przecież nigdy nie oglądali. Już w 1900 roku ruszyli do Afryki na wojnę przeciw Burom. Tam Fletcher Evelyn Quintal, potomek buntownika, dosłużył się stopnia oficerskiego. I

Są groby wyspiarzy z Norfolk' na wojennym cmentarzu „Samotna Sosna” pod Gallipoli, gdzie w 1915 roku Turcy zmasakrowali desant aliantów. Niejeden z nich zginął pod Tobrukiem lub na innych pobojuwiskach II wojny światowej. Po ciszy wyspy — czekała ich „gramatyka boju i słówka armatnie”, dopóki nie zaznali spoczynku, tym razem już na zawsze.

Prawdziwe zmiany na wyspie zaczęły się od... lotniska. Zbudowano je w czasie minionej wojny, teraz lądują tam samoloty pasażerskie z Sydney (tysiąc siedemset czterdzieści kilometrów) lub Auckland na Nowej Zelandii (tysiąc sześćdziesiąt kilometrów). Samolot jest bardzo już sfatygowany, leci się ponad pięć godzin z Australii. W lutym 1972 roku tytułem próby lądował na Norfolk odrzutowiec pasażerski, ale wyspiarze zaraz sprowadzili z Sydney inżyniera akustyka, który pomiarami wsparł ich głośnie protesty. Niemal tak głośnie, jak huk odrzutowca, który — wołali — jest szkodliwy dla unikalnej przyrody wyspy, no i dla homo sapiens...

Bardzo stary samolot kołuje więc jakimiś ścieżkami, ociera się o krzaki, niemal jak w ogrodzie. Odprawa paszportowa odbywa się w ten sposób, że pasażerowie proszeni są uprzejmie o wrzucenie do skrzynki koło drzwi wyjściowych kartek ze swymi nazwiskami. O, właśnie tak, dziękujemy za współpracę!

Z tłumu pasażerów ramię sprawiedliwości wyławia nieoczekiwanie chłopaczka lat dziewięciu. „Ramię sprawiedliwości” trzyma go za ucho: „Jim, wakacje szkolne już się skończyły, a ty gdzie się wałęsasz? Ładnie to tak?” Tata Jima z płynnej angielszczyzny przechodzi na „język Norfolk”, czyli mieszaninę staroangielskiego z tahitańskim, z domieszką słów irlandzkich i walijskich.

Naród, liczący tysiąc sześćset dusz, z własnym językiem, niezrozumiałym dla obcych! Przybyszu, opanuj się! To dopiero początek dziwów wyspy, która zachwala swe uroki jako najnudniejsze miejsce świata.

Przeglądam ostami, aktualny spis wyborców. Jest na nim dziewięćset dziewięćdziesiąt siedem osób. Z tych trzysta dwadzieścia dziewięć wywodzi się w prostej linii od buntowników z „Bounty”, pozostali zaś pochodzą z dość odległych stron: Argentyna, Australia, Burma, Kanada, Sri Lanka, Chiny, Fidzi, Francja, Niemcy, Wyspy Gilberta i Ellice, Holandia, Węgry, Indie, Irlandia, Włochy, Litwa, Malta, Nowe Hebrydy, Nowa Zelandia, Norwegia, Afryka Południowa, Szwecja, Szwajcaria, Stany Zjednoczone, no i oczywiście Zjednoczone Królestwo. Ciekawe, że dzieci tych przybyszów od swych rówieśników szybko uczą się melodyjnej gwary wyspiarzy, tak że w małej społeczności małej wyspy nie tworzą się jeszcze odrębne wysepki językowe.

Wyspa ma osiem kilometrów długości, zaś pięć szerokości. Powierzchnia trzy tysiące czterysta hektarów, co — jak powiadają Australijczycy — jest trochę przynajmniej na przyzwoitą fermę hodującą barany... Jest przy tym sto dziewięćdziesiąt pięć kilometrów dróg. Można po tych drogach jeździć cały dzień i zastanawiać się, gdzie też ci wyspiarze mieszkają. Są bowiem mistrzami w maskowaniu swych domostw zielenią. Monotonne szeregi domków na przedmieściach australijskich miast — to nie dla nich. Oni dopasowali się do krajobrazu wyspy.

Na tych drogach krąży dwa tysiące dwieście pojazdów mechanicznych, trzysta siedemdziesiąt osiem zarejestrowanych krów, plus mnóstwo koni.

O zmroku całe to czworonożne towarzystwo cwałuje do domu, na przełaj przez pola lub — elegancko — ulicami... Krowy mają pierwszeństwo przejazdu według miejscowego kodeksu drogowego.

W lipcu 1968 roku pierwszy człowiek eginął w wypadku drogowym. Teraz wprowadzono ograniczenia szybkości.

Pierwszy samochód pojawił się na wyspie w 1928 roku. Były protesty, obawiali się bowiem wyspiarze, iż terkotliwy pojazd wywoła groźne wypadki, kiedy... poniosą konie, wystraszone warkotem swych „mechanicznych kuzynów”. Teraz plakaty ostrzegawcze nawołują: „Dłoń, która niedawno dzierżyła kieliszek — nie może zmieniać biegów!”

Nowy kodeks drogowy jest pierwszą zmianą przepisów od 1858 roku, kiedy nakazał gubernator Denison: „Osoby, którym dowiedzie się, że uprawiają wyścigi lub szaleńczą jazdę na drogach publicznych, zapłacą jednego funta grzywny...” W rok potem jeszcze zaostrzył rygory: „Nikomiu nie wolno galopować po trawniku wokoło domu Samuela McCoy i wzdłuż budynków. Wyjątek stanowią jeźdźcy pędzący bydło do rzeźni. Wykroczenie karze się grzywną dwudziestu szylingów.”

Na Norfolk jest trzech policjantów. Czasem któryś pokaże się przy przylocie lub starcie samolotu pasażerskiego, ale nie wygląda na przepracowanego. Miejscowy areszt zastałem pusty. Bardzo chciałem wybrać się do sądu, ale, niestety, trybunał nie zbierał się, gdyż nie było żadnych przestępców do sądenia. Tak, że temat „Zbrodnia i kara na wyspie Norfolk” nie doczekał się w mych notatkach doprowadzonego do współczesności dalszego ciągu. Szkoda, wielka szkoda! Niegdyś parałem się reportażem kryminalnym, zawsze uważam, że sala sądowa jest jakby soczewką, przez którą można oglądać problemy społeczeństwa. No, trudno, wyspiarze byli dla mnie bardzo gościnni, ale nie sposób wymagać, by złamali prawo tylko dlatego, abym miał o czym pisać. Elementarne, Watsonie...

Odradza się tu prowadzenie wozu po spożyciu — występującej w wodach wokoło wyspy — Ryby Marzeń, której zjedzenie wywołuje halucynacje. Poza nią — obfitość innych ryb jest tak wielka, iż łódki wynajmuje się wędkarzom na zasadzie: „Nie ma złowionych ryb — nie ma opłaty za łódź!”

Wierzchowcami jeździ się jeszcze tylko po stromych, górskich ścieżkach, tam gdzie, jak powiadają wyspiarze, wdrapią się tylko konie, wściekle psy i dziczące kozy. Wynajmując samochód, słyszysz dobrą radę: „Najlepiej wcale nie wyjmować kluczyków ze stacyjki, jeszcze się mogą gdzieś zawieruszyć!”

Jakiś Australijczyk postanowił sprowadzić na wyspę „jednorękiego bandytę”, czyli automaty do gry, tak rozpowszechnione w różnych krajach.

Jednak jakoś dziwnie, bardzo się dziwnie złożyło — w czasie rozładunku statku te przemysłne urządzenia do wyludzania pieniędzy wpadły do morza. Leżą tam po dziś dzień, wydobywanie z głębin koło Norfolk precyzyjnych urządzeń nie ma żadnego sensu. Czas i woda morska pokonały demona hazardu, jeszcze nim zaczął kusić wyspiarzy.

Klimat jest przyjemny, ciepłe dni i chłodne noce. Rtęć nigdy nie spada poniżej dziesięciu stopni, ani nie pnie się w górę powyżej trzydziestu. Deszcze, przeważnie nocami, dość obfite. Co trzeci mieszkaniec jest potomkiem dawnych buntowników. Uważają, że ich styl życia jest najlepszy w świecie, że gdyby ludzkość kiedyś oszalała i rzuciła się w wir nowego konfliktu, to na Norfolk ocaleje jakaś lepsza i szlachetniejsza rasa...

Osiedlenie się na stałe jest dla przybysza bardzo skomplikowane. W 1980 roku wyspa ma liczyć dwa tysiące mieszkańców i to już jest granica ostateczna. Tak zalecił profesor Gilbert Butland, prorektor University of New England w Australii —■ i mieszkańcy Norfolk skwapliwie słuchają tych

wskazań, tak że, Przybyszu, jeśli chcesz się osiedlić, musisz starać się o specjalne zezwolenie!

W roku 1975 — dziewiętnaście tysięcy pięciuset turystów zjawilo się na Norfolk. Mają tu kilka przyzwoitych hoteli, zapewnia się im spokojne rozrywki i chroni przed telewizją, która nie ma dostępu na wyspę. Częstoje się ich „mudda”, czyli potrawą z bananów gotowanych w mleku, albo innym smakołykiem „pilhi”, czyli tartymi na specjalnych kamieniach przywiezionych z Pitcairn słodkimi kartoflami gotowanymi potem w liściach bananowych.

Turystyka wypiera w tej chwili tradycyjny dotąd eksport nasion smacznych owoców i pięknych kwiatów. Na Norfolk nie ma żadnych groźnych pasożytów, więc nasiona te zawsze miały chętnych nabywców, żyjących z dala od wyspy.

Inwestycje turystyczne czynione są przez kapitał australijski, ale jeden z hoteli jest własnością francuskiego konsorcjum, kierowanego przez Franciszka Radziwiłła. Odradzałbym natomiast knajpę „Garnizon”, gdzie każe się klienteli zajadać dobre rzeczy w makabrycznej dekoracji z czasów kolonii karnej. Nawet popisowy koktajl, duma barmana (mrożony sok z dzikich mandarynek z likierem Cointreau) nazywa się „Przekleństwo Skazańca”.

Turyści — to często pary w podróży poślubnej. W 1967 roku wydawało się, że ich miodowy miesiąc zamieni się w miodowy kwartał, gdyż kolejny strajk linii lotniczych odciął wyspę od świata. Dopiero transportowce wojskowe zabrały, do domu przeterminowanych nowożeńców.

Australijczyków wabią uroki Uliczki pod Spaloną Sosną. Gdyby nie wałęsające się krowy czy koń zerkający ciekawie na wystawę — ten rząd sklepów i sklepików mógłby zakasować wielkomiejskie magazyny. Cło jest tu niezwykle niskie, prawie symboliczne. Australijczycy obliczają, że czasem sama różnica w cenie zakupu — opłaci im dwa tygodnie pobytu na wyspie, w tym również przelot!

Szkoćkie swetry, skrzynki z drzewa kamforowego, francuskie perfumy, perły Mikimoto, szwajcarskie zegarki — brać i wybrać! Ale nie widać tu żadnej żarłoczości, z jaką rzuca się na klienta skośnooki kupiec w Hongkongu lub Singapurze, albo Hindus na Fidzi.

Reporterowi dano w Sydney pieniądze, aby kupił perfumy znanej francuskiej firmy. W pierwszej drogerii informuje uprzejmie obsługa:

— Nie, nie, proszę pana, na te wyroby ma monopol Boutique Paris. — Hm, gdzie to jest?

— Pan sam nie trafi. Ja pana zawiozę!

Szef zostawia byznes jakiejś panience, zapuszcza silnik swego pojazdu i podrzuca niedoszłego klienta... konkurencji. Tam poklepywanie wzajemne po plecach z szefem. Kurtyna.

Czułości obaj panowie wymieniają w języku Norfolk, używając przyzwisk. Ba, muszą!

Na wyspie żyje przecież około setki potomków rodu McCoy czy Quin- tal. Christian również ma mnóstwo potomków. Pocztmistrz Baker McCoy też nosi przyzwisko. Pokazuje mi z dumą namalowany przez siebie obraz, który posłał do Londynu, tam sporządzono z malowidła znaczek pocztowy. Wyspa czerpie wielkie dochody z filatelistyki, gościnny szef poczty opowiada, że każdy statek zabiera około trzystu worków z pocztą, samoloty też

przewożą ogromne ilości korespondencji. Mają od 1947 roku własny zarząd pocztowy.

Tu rozwidła się kabel podmorski, który bierze swój początek aż w Van-ouver w Kanadzie. Jedna odnoga prowadzi do Australii, a druga — na Nową Zelandię.

Wyspa jest od 1913 roku terytorium Związku Australijskiego. Administruje nią minister terytoriów z Canberry za pośrednictwem rezydenta, przeważnie wysłużonego wojskowego. Jeden z nich krótko bawił na wyspie, jego poddani żalili się bowiem, że pani rezydentowa za bardzo wtrąca się do rządu...

Ośmiu członków liczy rada wybierana spośród stałych mieszkańców. Nie płaci się podatku dochodowego — zmory Australijczyków. Dorośli mężczyźni odrabiają coś w rodzaju szarwarku lub płacą gotówką, kiedy im nie chce się przez kilka dni w roku, wyznaczonych zależnie od liczby osób, jakie mają na swym utrzymaniu, pracować przy robotach publicznych.

Wyspiarze szukają planisty z prawdziwego zdarzenia, aby uporządkował bałagan budowlany. Nowe sklepiki są czasem cudaczne, blacha falista i dykta nie pasują do zieleni wyspy..

Turystyka zmienia obyczaje. Teraz wyspiarz nie wyrusza już na ryby, kiedy chce. Turysta musi jeść o stałych porach, trzeba więc pożegnać te pogodne czasy, kiedy na pytanie: „Co porabiasz?” — odpowiedź brzmiała zwykle: „Na szczęście — nic”.

Mimo wszystko zwarta społeczność wyspiarzy ulega powoli korozji. Zawinił czas i turyści. Młodzież nie zadowala się wędkarstwem czy niedzielami wypełnionymi chóralnym śpiewem hymnów. Rusza na wielki ląd Australii, gdzie wabią ludne miasta. Śmieje się z przywiązania starszych do sposobu bycia przywiezionego z wyspy Pitcairn.

Zanika zwyczaj wieczorków tanecznych, urządzanych dawniej na cele dobroczynne. Była to swoista pomoc dla ziomka, który nagle znalazł się w tarapatkach. Nie staje się już przy łopacie, kiedy trzeba pożegnać na zawsze kogoś ze społeczności na cmentarzu, gdzie spokojnym snem spoczywają po burzliwym życiu dawni żeglarze, buntownicy i zesłańcy.

Dwukrotnie odwiedziłem potomka rodu Christiana. Jest właścicielem luksusowych apartamentów, wynajmuje je tym, którzy chcą być już zupełnie niezależni, nawet od godzin posiłków w hotelowych restauracjach. Z humorem opowiadał mi o dniu dzisiejszym, ale co było wczoraj.... To, co się kiedyś działo — to tylko Sen, nawet nie przystoi zajmować się przeszłością. Pamiątki z „Bounty”? Owszem, proszę pana, zabrał je z Pitcairn w 1935 roku pan kapitan J»hnson, no, wie pan, ten ze statku „Yankee”. Gdzie są teraz? Nie bardzo wiem. Na Nowej Zelandii zachowano natomiast to, co zostało po kapitanie Blighu, który niemal dwa wieki temu został przez Christiana pozbawiony władzy na „Bounty”.

Dopijam filiżankę dobrej herbaty i ruszam dalej w poszukiwaniu śladów „Bounty”. Do widzenia, panie Christian, dziękuję za gościnę, tak, tak, przyślę panu na pewno tę książkę, kiedy się tylko ukaze...

Kowadło z „Bounty” jest w dalszym ciągu w posiadaniu pani Vi McCoy, wdowy po Floydzie McCoy, który dawno temu nabył je w miejscowej kuźni, gdzie służyło na co dzień do różnych robót, jak to zwyczajnie kowadło. Kotwica jest w Adamstown.

Dziatwa pluskająca się w morzu od czasu do czasu znajdzie w piasku stare, ręcznie robione gwoździe. Niekiedy trafia się jakiś miedziany okruch większego przedmiotu.

O ile dzieje buntowników i ich potomków możemy dziś odtworzyć niemal dzień po dniu, zachował się każdy papierek, bogactwo rękopisów, to zestaw pamiątek wypada na tym tle raczej blade.

Tyle o dniu wczorajszym. Może jeszcze teraz słów kilka o tym, co czeka mieszkańców Norfolk jutro. Nie zajmuję się wróżeniem, ale na podstawie wydarzeń u schyłku lat siedemdziesiątych naszego stulecia — możemy wysunąć pewne prognozy. Ba, rzekłbym

nawet, iż jakkolwiek historia rzadko się powtarza, to jednak w potomków dawnych buntowników wstąpił jakby znowu wojowniczy duch ich przodków. Raduje się zapewne w marynarskich niebiosach Fletcher Christian, biorą się pod boki z uciechy McCoy czy Quintal, kiedy widzą, jak też poczynają sobie wnuki ich wnuków...

4 września 1976 zjawił się na Norfolk nowy administrator, czyli przedstawiciel władz australijskich — były zastępca szefa australijskiego wywiadu JH Desmond Vincent O'Leary. Nie czeka go łatwa synekura, jaką mieli przed nim emerytowani wyżsi oficerowie marynarki czy lotnictwa. Raport Królewskiej Komisji — badającej sytuację na wyspie — zalecił poważne zmiany w jej statusie prawnym i powiada się w Canberze, iż Norfolk „wkracza w jeden z najbardziej ważnych okresów swej historii”.

Zaczęło się to wszystko od wrogich demonstracji przeciw gubernatorowi generalnemu, czyli przedstawicielowi królowej przy rządzie federalnym w Canberze, kiedy zjawił się na wyspie z okazji rocznicy lądowania tam potomków buntowników z „Bounty”.

Wyspiarze mają za złe władzom urzędującym o tysiące mil od wyspy, że zaniedbały jej żywotne interesy. Podnoszą się głosy „zostawcie nas samych” — ciekawe, jak też się to wszystko skończy?

Trzy czwarte wyspiarzy pośrednio czy bezpośrednio żyje z turystyki. I żalą się, że w sto dziewięćdziesiąt lat od czasu, kiedy pierwszy komendant na wyspie Norfolk zalecił budowę bezpiecznego portu dla statków — nadał ją\*

nic się nie zrobiło, wyspa nie ma nabrzeża, gdzie można by "było przybić statkiem o każdej pogodzie.

To sprawa, iż wyspa nie może wykorzystać swego wspaniałego położenia geograficznego na rozstaju szlaków morskich Australii, Nowej Zfilandii, Nowej Kaledonii, Nowej Gwinei czy innych wysp. Luksusowe statki pasażerskie, wiozące zasobnych w gotówkę turystów, nie tracą czasu na wizytę na Norfolk, gdyż nie chcą mieć kłopotów z wycieczkami lądowymi swych pasażerów. I w ten sposób dosłownie „pod nosem” kupców z Uliczki Pod Spaloną Sosną przepływają zasoby dolarów, które mogłyby przecież trafić do tutejszych kas, gdyby wyspa miała port.

Frachtowce z dostawami żywności czy towarów dla tych sklepów ihuszą stawać w przyzwolonej odległości na kotwicy. Potem ładunek jest dostarczany łodziami do niewielkiego mola. Operacja to zawsze bardzo pracochłonna, niekiedy wręcz niebezpieczna. No i kosztowna, co nie jest bez znaczenia dla ustalenia cen towarów, które mają zwabiać turystów — tłumaczą mi w redakcji miejscowej gazety. Te niedostatki urządzeń portowych powodują,

277

#### ROZMARZONY, MAŁY LUDEK

że różne linie żeglugowe wycofują swe statki z rejsów na Norfolk, nie chcąc tracić czasu na czekanie, nim pogoda pozwoli na rozładunek. Są takie, które dalej, pełnią swą służbę, ale zanoszą się, że aby powetować ewentualne straty, znacznie podniosą stawki za fracht.

Kłopoty ma Quantas, gdyż nie może dostać części zamiennych do swych archaicznych samolotów, dopuszczonych do lądowania na małym lotnisku.

O jego rozbudowie też jakoś cicho i głucho, dojdzie do tego, iż loty na wyspę mogą zostać zawieszane całkowicie, skoro już zmniejsza się ich częstotliwość.

Wyspiarze zafundowali sobie własną linię lotniczą: Norfolk Island Airlines, ale dysponuje ona jednym małym samolotem, zabierającym tylko tuzin pasażerów do Brisbane. Linia stara się o zgodę rządu australijskiego na przeloty na Nową Kaledonię. Francuzi już na to przystali, Canberra zwleka z decyzją. Norfolk ustrzegł się przed telewizją, ale Norfolężycy, podobnie jak inni wyspiarze Mórz Południowych, są wielbicielami kina. Najgorsza jednak jest ta ciągła niepewność! Przepisałem sobie smutne dane z repertuaru miejscowych kin, których jest aż dwa. „Rawson Hall Talkies”: Sobota, nieczynny, filmu nie dowieziono. „Mission Road Theatre”: Sobota, godzina 8 wieczór: „@And Hope to Die\* (o ile dostarczony będzie film). Proszę telefonować 2069, aby się upewnić.”

Jak się rzekło, na tysiąc sześćset mieszkańców włącznie z niemowlętami i 1 starcami — Norfolk ma dwa tysiące pojazdów. Na jednej tylko Uliczce Pod Spaloną Sosną naliczyłem aż pięć przedsiębiorstw wynajmujących samochody turystom — co jest zarazem odpowiedzią, gdyby ktoś z was postawił całkiem logiczne pytanie, po co też wyspiarzom aż tyle radości na czterech kółkach. Tylko komu będzie się te pojazdy wynajmować?

Ludzie świątli powiadają, że skoro się czeka, aby Canberra sięgnęła do kieszeiii i dała fundusze na inwestycje dla turystów' z Norfolk — to trudno spodziewać się, aby zarazem wycofała się z władzy nad wyspą. I że rząd australijski już od dawna patrzy złym okiem, jak jego obywatele bez cła zakupują w Norfolk towary, które potem jakoś wywożą na wielki ląd.

Innymi słowy, niektórzy potomkowie buntowników mają nadzieję, że w czasie swej kadencji pan O'Leary wyda sam sobie nakaz... opuszczenia wyspy Norfolk. Czy „rozmarzony, mały ludek” ma buntownicze marzenia?

I tu trudno jest nadażyć — na\Vet na wysepce, gdzie czas ma wytchnienie — za wydarzeniami chwili. Kiedy oddają tę książkę do drukarni, sytuacja da się podsumować zdaniem: „Mysz, która ryknęła”. Oto małeńka wysepka Norfolk złożyła na Australię skargę do... Narodów Zjednoczonych!

Ale nie dam się unieść nerwowości tej napiętej sytuacji i przedstawię ją spokojnie tak, jak wygląda ona w roku 1977.



Powtarzam — wrózeniem się nie zajmuję, życie dopisze dokończenie współczesnej opowieści. No, ale tak w zaufaniu zwierzę się Wam, że nie bardzo dopuszczam do siebie myśl, aby „mysz”, czyli wyspa Norfolk, została skrzywdzona przez los i... Narody Zjednoczone.

A ma ta opowieść wszystkie elementy przygody. Późną wiosną roku 1977 na lotnisku „Kingsford Siroith” w Sydney wylądował po raz ostatni samolot typu DC 4 Skymaster, należący do linii Quantas i noszący na kadłubie dumny napis „Norfolk Trader” oraz oznakowanie VH-EDA. To już był ostatni rejs samolotu, który... przeciekał. Hm, teraz wolno mi to już Wam opowiedzieć, ale jest faktem, że nie raz i nie dwa zakłopotane stewardesy pędziły między fotelami czcigodnego weterana przestworzy, aby Wręczyć poniektórym pasażerom... parasole. Kapało im bowiem nieco na głowy, gdy był ulewny deszcz, tak było, fair dinkum — jak rzeką Australijczycy, kiedy chcą zapewnić rozmówcę o prawdziwości swych słów.

Staruszek „Norfolk Trader” przez ponad trzydzieści lat „fruwał” na wyspę z Sydney, poza tymi przyszciami nie było z nim poważniejszych kłopotów, przewiózł bezpiecznie dziesiątki tysięcy pasażerów, wiele ton frachtu i poczty. Ale linie lotnicze mają go dość, nie mogą dostać części zamiennych do samolotu. Ostatni egzemplarz tego typu bardzo dawno temu zszedł z taśmy montażowej. Pewnie zostanie sprzedany i dożyje reszty swych dni w afrykańskim buszu.

Kapitan Ron Bishop, który pilotował wysłużonego staruszka do bazy w Sydney, wspomina ze łzą w oku rejsy na Norfolk. „Pewnie, nie mieliśmy na pokładzie tych wszystkich technicznych cudów, jakie mają nowoczesne odrzutowce, ale to był zacny samolot. Może trochę chybotliwy, trzeba było bardzo uważać przy sterze, kiedy pasażerowie znudzeni długim przelotem zaczynali spacerować po kabinie. Najbardziej żałują go jednak nasze stewardesy. To nie były rejsy na chybcika, gdzie ledwie starczyło czasu, aby pasażerom podać coś do jedzenia i powiedzieć: goodbye; tu był czas na pogaduszki. Nó i wyspiarze znali nasze załogi, mówili do nas po imieniu...”

W każdym razie na lotnisku na wyspie lądować zaczęły Fokkery mniejszych znacznie linii „East-West”. Piloci trochę narzekają, że nikt ich nie uczył startu czy lądowania na wzgórze, że pole startowe jest właściwie tylko posypane zmiążdżonym koralowcem, „na który wylano kilka kubelków smoły”.

Sprawy komunikacji były dla Norfolk zawsze ważne, ale teraz nabrały zasadniczego wręcz znaczenia. Królewska Komisja, której przewodniczył sędzia Nimmo, doszła mianowicie do wniosku, że skoro Australia daje zasiłki dla komunikacji lotniczej z wyspą, to naturalnie powinna mieć decydujący głos w jej sprawach. Tak samo płaci za administrację wyspy. Tak że —

#### ROZMARZONY, MAŁY LUDEK

twierdzi Jego Dostojność — wyspiarze z Norfolk powinni być opodatkowani jak wszyscy Australijczycy i należeć do okręgu wyborczego... Canberra, czyli siedziby rządu federalnego Związku Australijskiego.

Pan Hasłem, który w parlamencie federalnym reprezentuje liberałów Canberra, wydał natychmiast oświadczenie: „Będę uradowany, iż danym mi będzie występować w imieniu ludu wyspy Norfolk. Canberra jest przecież na wskroś nowym miastem, zaś wyspa Norfolk ma za sobą takie dzieje...”

Wyspiarze nie podzielili entuzjazmu pana Haslema. Nie wyszli co prawda na ulicę i nie wzniesli barykad, lecz na zebraniach wznosili nieprzystojne okrzyki pod adresem sędziego

Nimmo. Aż strach powtarzać, ale jeden z mówców wyraził się nawet, że „on się pewnie najadł Ryby Marzeń i złe mu rozum odebrało”.

Wyspiarze z Norfolk chcą, aby im dano spokój. Krew buntowników z „Bounty” odezwała się znowu.. Pan Bill Blucher (dziadek pochodził z rodu Quintal, zaś babcia wywodziła się w prostej linii od przywódcy buntu, Fletchera Christiana) śle więc w imieniu wyspiarzy memoriał do Narodów Zjednoczonych.

Jego zdaniem, królowa Wiktoria podarowała im tę wyspę, zaś kiedy rząd brytyjski przekazał Norfolk Australii — to właśnie dla „zabezpieczenia tradycyjnego sposobu bycia”. Co do podatków, to jeden z mówców powie

dział swym ziomkom na zebraniu w stolicy wyspy, iż skoro narzekają na daninę roczną piętnastu dolarów, to muszą się liczyć z tym, że po wprowadzeniu w życie zaleceń Królewskiej Komisji, trzeba będzie płacić tę samą 'stawkę, ale... tygodniowo... (z protokołu zebrania: „Głośne okrzyki: •Hańba! Hańba!•”).

A przecież pisała wyraźnie monarchini w instrukcji dla gubernatora Denisona w roku pańskim 1856: „Skoro mieszkańcy usadowili się na wyspie Norfolk pod naszą władzą i nawykli na terenach, skąd ich przesiedlono, do samorządu i przepisów pasujących do ich własnej społeczności, to masz Pan dać baczenie, aby ich prawa i zwyczaje były zachowane i aby nadana ci władza służyła ich obronie i utrzymaniu”.

Tak przykazała królowa .Wiktoria, opatrując instrukcję swą pieczęcią. I tak — twierdzą wyspiarze — ma już być po wsze czasy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY I OSTATNI

w którym mowa jest o przedziwnym spotkaniu, do jakiego doszło w roku 1808 na Fore Street w brytyjskim mieście portowym Plymouth. Czyżby mogła na wysepce Pitcairn, gdzie spoczywać miały zwłoki przywódcy buntu — była pusta? Czy arcydzieło jednego z angielskich „poetów jezior” o starym żeglarzu, który wraca w ojczyste strony — nie jest wyłącznie tworem wyobraźni?

I co się stało z innymi bohaterami naszej opowieści, których trzeba nam już pożegnać? Spotykamy się po raz ostatni z kapitanem Blighem, znowu awansował i znowu zyskał rozgłos, gdyż... zbuntowali się przeciw niemu jego podwładni. A więc — czytajcie dalej!

„Chętnie wierzę, że we wszechświecie istnieje więcej istot niewidzialnych niż widzialnych. Ale któż nam wymieni rodzaje ich wszystkich? I szczeble, i pokrewieństwa, i odmiany, i zadania każdej z nich z osobna? Co robią? Jakie miejsca zamieszkują? Umysł ludzki zawsze się starał o poznanie tych spraw, nigdy go nie osiągnął. Nie przeczę jednak, że czasem jest rzeczą wskazaną oglądać w myśli tak jakby na obrazie — wizerunek świata większego i lepszego po to, żeby umysł nawykły do błahostek życia powszedniego nie kurczył się nazbyt i nie popadł cały w małosłowne rozważania. Ale równocześnie trzeba czuwać nad prawdą i przestrzegać wytyczonej granicy, która by nam pozwoliła oddzielić rzeczy pewne od niepewnych, dzień od nocy.”

Słowa te wyszły spod pióra T. Burnetta (1635P-1715), a posłużyły za motto do słynnego poematu „Rymy o Sędziwym Marynarzu”. Poeta Samuel Taylor Coleridge, którego cytuję tu za znakomitym przekładem Stanisława Kryńskiego\*, przystąpił do pracy nad swym dziełem niemal dokładnie w pięć lat po straceniu trzech marynarzy z „Bounty”, cztery miesiące tworzył, nim napisał ostatnie zdanie siedmioczęściowego poematu.

Mowa tam o tym — cytuję oryginalne przypisy, biegnące równoległe z wierszem na kształt komentarza — jak „Sędziwy Marynarz spotyka gantów trzech na ucztę weselną zaproszonych i jednego z nich zatrzymuje. Gość Weselny, wzrokiem starego żeglarza urzeczony, zmuszony jest wysłuchać opowieści jego. Marynarz opowiada, jak statek jego na południe płynął przy wietrze pomyślnym i pogodzie pięknej, aż dopłynął do równika”.

Na statku dochodzi do dramatycznych wydarzeń. Fantazja poety czerpie tu pewne szczegóły z „Pamiętników” Beniowskiego, ogłoszonych w przekładzie angielskim w roku 1790.

Nas natomiast zainteresować powinien ten ustęp, gdzie „Sędziwy Marynarz kraj swój ojczysty ogląda”:

O śnie radosny! Czyż ja tam

Latarni widzę czubek?

To wzgórek? To zaś kościół nasz?

To moje strony lube?

Czy dzieje starego żeglarza, wracającego w rodzinne strony, aby tam dożyć swych dni — były wyłącznie tworem wyobraźni poety? Czy może zapowiedzią czegoś, co miało nastąpić? Wiadomo, że Coleridge był zaprzyjaźniony z rodem Christiana, może przewidział pewne wydarzenia? Ale — zgodnie z wybranym przezeń mottem — postarajmy się „oddzielić dzień od nocy”.

Co się stało z Christianem? Pytanie to frapowało już jego współczesnych. W trzy lata po rozprawie czasopismo „True Briton” piórem anonimowego korespondenta informowało swych czytelników, że Christian wysłał do Anglii swoją spisaną wersję buntu na „Bounty”. Sam natomiast przywódca buntu miał po wielu przygodach objąć „intratne stanowisko pod rządami Hiszpanów w Ameryce Południowej, dokąd wyruszał właśnie, kiedy uzyskano od niego ostatnie wieści...” Dalej dowiadujemy się, iż Christian ogłosił w Kadyksie swe wspomnienia, stwierdzające, iż bunt nie był wcale przejawem jakiejś wrogości wobec kapitana Bligha, „Doszło natomiast do buntu na skutek nieprzewycięzonej namiętności, jaką Christian i większość załogi żywili dla uciech, którymi Otaheite wabiła ich lubieżną wyobraźnię”. „To właśnie — cytował dziennikarz rzekome słowa Christiana — wyгнаło na zawsze wspomnienie o starej Anglii z naszych serc. Cierpiałem więcej, niż wyrazić można w słowach z tego konfliktu sprzecznych uczuć. Jednak zaszedłem już zbyt daleko, aby zawrócić. Przeto, robiąc dobrą minę do złej gry, kazałem- odczepić szalupę, zagarnąłem okręt i wziąłem kurs z powrotem na Otaheite...”

A więc znowu urocze dziewczęta i uciechy, które przesłoniły obraz ziemi ojczystej. Czy tak już miało pozostać?

Mamy rok 1808. Kapitan Peter Heywood, tak jest, ten sam, dawny nasz znajomy, wybrał się na przechadzkę w Plymouth. Kroczył z godnością właściwą swej randze przez Fore Street, kiedy ujrzał przechodnia, który...

Nie, nie, to niemożliwe! Przecież Fletcher Christian, jeżeli nawet jeszcze żyje, przebywa gdzieś na Morzach Południa! Jednak podobieństwo było tak wyraźne, iż Heywood przyspieszył kroku, a gdy zrównał się z owym mężczyzną i ten odwrócił ku niemu głowę — nie było już żadnych złudzeń: „oddzielił dzień od nocy”, miał przed sobą starego kolegę z okrętu „Bounty”!

Mężczyzna raptownie skręcił w jakąś bramę i utonął w gąszczu krętych zaułków starego miasta. Heywood zaniechał pościgu, zadumał się głęboko. Czy powiadomić władze? Czy w tyle lat po buncie raz jeszcze zwołać sąd wojenny i postawić przed nim marynarza, który wrócił w ojczyste strony? Nie ulega kwestii, że nieoficjalnie Admiralicja wiedziała o tym powrocie, ale czy w tak przebrzmiałej sprawie należało teraz szukać zemsty wobec „sędziwego żeglarza”? Jak się wydaje, Heywood przekazał swe spostrzeżenia cytowanemu przez nas kilkakrotnie sir Johnowi Barrow.

Jeżeli się wczytać uważnie w opowieści starego Adamsa na wyspie Pitcairn, przekazywane kolejno różnym zagląającym tam kapitanom, to

wychodzą liczne rozbieżności, gdy mowa o losie przywódcy buntu. Pamiętajmy, że Adams sam bał się o siebie, nie miał pewności, czy nie zostanie w kajdanach dowieziony do Anglii i postawiony przed sądem.

Czy Christian przedostał się do Anglii potajemnie jakimś statkiem? Mnie najbardziej prawdopodobna wydaje się wersja, według której zabrał go z Pitcairn jakiś amerykański statek wielorybiczny. Dzieje Australii pełne są relacji o pomocy, jakiej udzielali amerykańscy żeglarze tym, którzy szukali ucieczki przed brytyjską sprawiedliwością. Christian mógł zaciągnąć się na taki statek, był przecież wykwalifikowanym żeglarzem, potem pod przybranym nazwiskiem mógł wrócić w rodzinne strony. Przez lata całe mówiło się o tym powrocie „sędziwego żeglarza”, zaś sir John Langhton stwierdza w Narodowym Słowniku Biograficznym, że „wysoco prawdopodobne” jest, że Christian przybył do Anglii.

Opowiedziałem już o bohaterach naszej opowieści, którzy zostali na Morzach Południowych, a oto koleje losu niektórych pozostałych: Fryer został w marynarce wojennej, miał pod swym dowództwem okręty Jego Królewskiej Mości na różnych morzach. Po Haywarda śmierć przyszła w postaci cyklonu na wodach chińskich, który pochłonął dowodzony przezeń okręt „Swift”. Śmiercią marynarza poległ też Hallet na pokładzie „Penelope”.

Cieśla William Purcell był pewnie ostatnim (jako że niektórych aktorów dramatu straciliśmy z oczu na zawsze) z załogi „Bounty”, który zmarł w Anglii. Był to już rok 1834, przeszło czterdzieści lat od dramatu na Morzach Południowych. Dokonał życia niemal na progu drzwi, przez które „Bounty” wyszedł na spotkanie Wielkiej Przygody i wdarł się na karty Historii — o kilka mil od portu w Spithead.

A William Bligh, tak nienawidzący\*owego cieśli? Bligh dowodził nową wyprawą po sadzonki chlebowca. Kronika okrętu „Providence” stwierdza, że dowódca zachorował, potem jednak doszedł do sił. Po przekroczeniu równika kazał chłostać jednego z marynarzy, czterdzieści batów za nie- • wykonanie rozkazu i kułak wymierzony podoficerowi...

Zawijano do Zatoki Przygody, do Zatoki Burz każda z tych nazw miała swoje pokrycie! Przed Tahiti Bligh przykazał surowo załodze, aby wobec „Indian” przemilczała śmierć kapitana Cooka.

Nie wolno też było wspominać o chlebowcu, nim zostanie ustalone, jak dalece akcja „Pandorry”, odbierająca tahitańskim rodzinom ich brytyjskich ziomków — poszła w zapomnienie.

Na Otaheite „Indianie” byli co prawda zajęci kolejnymi porachunkami międzyplemiennymi, ale jednak przekazali kapitanowi Blighowi to, co sami wiedzieli o losie buntowników. Bligh notuje, iż „Stewart, McIntosh i Skinner mają tu każdy swoją córkę. Burkitt i Millward doczekali się synów.

Nikogo nie oglądałem, powiada się, iż niektórzy z tego potomstwa już nie żyją... Ma też syna Brown, człowiek pozostawiony tu przez kapitana Toxa... Po okręcie »Pandorra« pojawił się tu kapitan Vancouver z porucznikiem Broughtonem... zostali na wyspie przez pięć tygodni. Kiedy. Vancouver odpłynął, zaraza nawiedziła tubylców, powiadają oni, iż zawleczono ją z pokładu tego okrętu...”

Są różne nieścisłości w tej relacji, ale wreszcie wyprawa zbliża się do celu: „Środa, 11 kwietnia 1792 roku. Zajęci gromadzeniem wody słodkiej i nabywaniem wieprzy, owoców, chlebowca, kokosów, drobiu...” Na pokładzie pojawia się młody wódz Otoo, i Bligh stwierdza, iż „przyjaciele nasi niewiele skorzystali z obcowania z Europejczykami. Nasi rodacy nauczyli ich plugawych wyzwisk, którą są w powszechnym użyciu między ludnością Otaheite...”

17 kwietnia peklowano wieprzowinę i suszono żagle, „to był pierwszy dzień, kiedym zaczął zbierać sadzonki chlebowca, o zmierzchu miałem już trzydzieści dwie w donicach...”

Nazajutrz ,dnieliśmy osiemdziesiąt trzy donice z sadzonkami. Pokazano mi dziś piękne dziecię, mniej więcej roczne, córkę Georga Stewarta z „Bounty". Jest ono rzadkiej urody, ale że wystawione na promienie słoń

ca, więc niewiele jaśniejsze niż wyspiarze z Otaheite". Ojciec dziecka — jak pamiętamy — zatonął w katastrofie „Pandorry”, która w kajdanach wiozła go do Anglii.

2 maja: „Zjawiała się kobieta z dzieckiem na ręku liczącym półtora roku. Powiada, iż jest żoną McIntosha... Mary McIntosh, jak ją zwa, ma córkę imieniem Elizabeth. Rzecze, że żony wszystkich marynarzy mają angielskie imiona. Stale wspominała, że McIntosh, Colman, Hillbrant, Newman, Bym i Ellison płakali, kiedy była o mnie mowa.”

Opuszczając wyspę, Bligh miał na pokładzie ponad dwa tysiące sadzonek chlebowca, trochę innych roślin. Potem „ku memu zdumieniu okazało się, że człek który pomagał botanikom w zbieraniu sadzonek, ukrył się pod pokładem. Nie miałem serca, aby kazać mu skakać za burtę, pomyślałem, że może być przydamy na Jamajce. Kazałem, aby był pod opieką botaników. Nazywa się Bobbo...”<sup>v</sup>

Na Timorze, w porcie Kupang, odnalazł Tymoteusza Wanjon, który tak się opiekował rozbitkami z szalupy „Bounty”.

Potem zapędzono Murzynów do roboty, na głowach znosili z pokładu donice z sadzonkami. Miejscowi koloniści obdarowali kapitana upominkiem wartości stu gwinei, załodze dano dwa woły do spożycia. Na pokład wniesiono też rzadkie okazy roślin dla królewskiego ogrodu botanicznego w Kew. Oba okręty zostawiły chlebowce na Jamajce, szczęśliwie wróciły do baz.

Nie bez dumy mógł Bligh wpisać do dziennika pokładowego pod datą 9 września 1793 roku ostatnią notatkę: „Rejs ten uwieńczony powodzeniem, bez wypadków. Przyniósł on pierwszy i jedyny zadowolający opis cieśniny między Nową Gwineą a Nową Holandią, jeśli pominiemy ogólnikowe sprawozdania Torresa z roku 1606”.

Marynarze lubią przewiska, dla oficerów królewskiej floty dawny dowódca „Bounty” znany był jako Bligh-Chlebowiec, ostatecznie dwa razy wyprawiał się dookoła świata po sadzonki tego drzewa. Myślę, że Czytelnik miał w tej opowieści sporo niespodzianek, ale chyba najbardziej zaskakujące dla mnie osobiście w tej całej relacji może być to, co — umówmy się — przewane będzie „figlem historii”.

Otóż teraz, gdy opowieść nasza zbliża się ku końcowi, wiemy dobrze, iż życie pisało ją atramentem z krwi i łez. Tyle cierpień, tyle wyrzeczeń, tyle niedoli ludzkiej!

No a tu tymczasem właśnie ci, którzy mieli czerpać zyski z upraw chlebowca, zaczęli kręcić nosem. A bo to trzeba będzie się wykosztować na założenie plantacji tego drzewa, a to niewolnicy nie bardzo chcą jeść „pieczywo prosto z drzewa”. Innymi słowy, panowie plantatorzy zapomnieli szybko

o chlebowcu i zajęli się uprawą drzewa, dającego owoc podobny do banana zwany po angielsku „plantain”, a po łacinie „Musa paradisiaca”.

Bligh był jeszcze potem dowódcą dwóch po kolei okrętów wojennych, „Warrior” oraz „Director”. Pod Kopenhagą dowodził okrętem „Clatton” (pięćdziesiąt cztery działa), admirał Nelson sam podziękował mu za udział w tej bitwie.

Na jego drodze życiowej widzimy dalsze dwa bunty. W roku 1797 brał czynny udział w tłumieniu słynnej „Mutiny at the Nore”, rewolty marynarzy, buntujących się przeciw nieludzkiemu traktowaniu. I znowu zawisły na rejach ciała zbuntowanych ludzi, wielu było chłostanych, wielu zesłanych do Australii.

Tam też podążamy teraz i my w naszej opowieści, aby opowiedzieć o ostatnim buncie przeciw Williamowi Blighowi, tam, w dole globusa.

Zacząło się to wszystko tak, jak poprzednio. Czytamy w „Narodowym Słowniku Biograficznym”: „W roku 1805 Bligh mianowany został dowódcą

1 gubernatorem Nowej Południowej Walii\*,  
jednakże usposobienie jego przemawiało przeciw tej nominacji, jako że tak cywilni, jak i wojskowi podwładni źle znosili jego surowość sprawowania władzy. Jakkolwiek cele,



jakie mu przyświecały, były godne pochwały, a mianowicie zapobieżenie nieograniczonemu importowi napojów wysokowych do kolonii, i miał on tu jak w innych sprawach poparcie Lorda Castlereagha, to jednak 26 stycznia 1808 roku gubernator Bligh został obalony przemocą przez majora George'a • Johnstona ze 102 pułku piechoty...". : ^^^

Sprawa ta była naturalnie znacznie, znacznie ciekawsza, niż dało się zmieścić w zwięzłej notatce słownika. Odnajdujemy w. niej trochę „naszego” dawnego Bligha. Zostawiam więc ostatecznie sprawy buntowników z „Bounty”. Odchodzę na zawsze z małego pokoiku w starym budynku administracji kolonialnej na wyspie Norfolk, gdzie pan Buffett dał mi do wglądu dawne kroniki potomków marynarzy Jego Królewskiej Mości i ich tahitańskich dziewczyn. Odchodzę z żalem, ciekawa to była praca, gdy miało się przed sobą metryki urodzenia czy akty zgonu wyspiarzy, zaś przez okno — niby dekoracje do opowieści — dostrzegało się palmy i samotne, archaiczne działo, relikwiarz czasów, które przeminęły.

■ -R.M. Younger w ogromnym dziele „Australia and the Australians” pisze, że Bligh przybył w sierpniu 1806 roku po burzliwej podróży, w czasie której wiódł zajadły spór z dowódcą konwoju. Ostatnim aktem ustępującego gubernatora Kinga było przydzielenie okazałych połaci gruntu córce Bligha.

Zaś pierwszą czynnością urzędową nowego gubernatora było przydzielenie gruntu żonie swego poprzednika...

Kylie Tennant wspomina, że Bligh w Australii „pokazał swą energię i upór, kiedy doszło do usunięcia następstw powodzi na terenach uprawnych nad rzeką Hawkesburry.' Udostępnił osadnikom Magazyny Królewskie i przyznał im dogodne warunki spłaty. Szły pod nóż państwowe trzody, aby wyżywić ludzi. A przede wszystkim obniżył do minimum zyski Korpusu Rumowego, który dotąd zarabiał do tysiąca pięciuset procent! Kiedy zaś Macarthur importował gorzelnię, gubernator obłożył ją sekwestrem, ku oburzeniu owego obrońcy własności prywatnej..."

Bligh szybko zorientował się w sytuacji. Mianowicie osadnicy nie mogli sprzedać za gotówkę swych ziemiopłodów, zmuszano ich do brania w zamian herbaty, cukru, a przede wszystkim rumu. Rolnicy tracili na tym, sprytni handlarze osiągnęli zaś takie zyski, jak te półtora tysiąca procent, o których wspomina historyk. A nie byli to tylko kupcy, H.V. Evtt w swej „Rum Rebellion" podaje, że oficerowie stacjonowanego na terenach obecnego Sydney Korpusu Nowej Południowej Walii uprawiali handel wódką na zasadzie monopolu, tak że ich formacje przewano Korpusem Rumowym.

289

PRAWO, MÓJ PANIE? JAM JEST PRAWEM!

Bligh wezwał do siebie sześciu oficerów, każąc, aby wytłumaczyli się z oskarżenia o... podżeganie do buntu.

O zmierzchu 26 stycznia 1808 roku major Johnstone poprowadził swych żołnierzy na pałac gubernatora, aresztował Bligha i mianował się sam jego zastępcą. Dr George Mackaness w „The Life of Vice-Admiral William Bligh" opowiada, że „w czasie Powstania Rumowego Bligh skrył się w bocznym pokoiku pałacu gubernatora. Trwają nadal rozważania, czy istotnie Bligh skrył się wtedy tchórzliwie pod łóżkiem sługi, skąd go wyciągnęli dwaj żołnierze". Plotki takie kursowały po mieście, zachowały się nawet sztychy, mające przedstawiać ową scenę.

A trzeba przypomnieć, że — jak pisze J.A. Allan w „Men and Manners in Australia". ^-około roku 1806 „władza gubernatora była absolutna. Mógł skazać, stracić albo zawiesić karę według własnego uznania. Nie było żadnego odwołania ani nie można było niczego doradzać gubernatorowi — chyba że sam się zwrócił o radę. Mógł nadać ziemię albo odmówić jej przydziału". Słynne jest odezwanie, jakie przypisuje się Blighowi: „Prawo, mój panie? Jam jest prawem!"

Kolejny upadek Williama Bligha był znowu zupełnym zaskoczeniem. Rok spędził pod strażą, „lornetował wody portu w nadziei, iż pojawi się ktoś z dalekiego Londynu, aby obalić dyktaturę wojskową i przywrócić mu władzę".

Anglicy mieli jednak wtedy kłopoty z Napoleonem, nie bardzo mogli znaleźć czas na zajmowanie się intrygami w odległej kolonii. Ale nie wolno było puścić płazem obalenia gubernatora. Dopiero w roku 1809 zjawia się energiczny Szkot — Lachlan Macquarie. Miał aresztować winnych i zaprowadzić ład.

Winni jednak popłynęli sami do Londynu, zaś sytuacja, jaką zastał — była zagmatwana. „Nie sposób jest zrozumieć, co doprowadziło do aresztowania Bligha" — pisał swym przełożonym. Tak, jak już uprzednio inni dostojnicy, którzy byli przyjaźnie nastawieni do Bligha, Macquarie szybko zmienił zdanie, nazywa go „najbardziej bez żadnego wątplenia nieprzyjemną postacią, z jaką dane jest rozmawiać czy załatwiać sprawy urzędowe".

Macquarie odetchnął z ulgą, kiedy wreszcie — po uroczystym balu pożegnalnym — Bligh odpłynął do Anglii. Przed tym jednak jego władza gubernatora została mu przywrócona na... jeden dzień! Tak się ratowało twarz królewskich wysłanników.

25 października 1810 roku William Bligh pojawił się znowu w porcie Spithead. I oto zamknął się krąg jego wędrówek. Nie tak dawno jeszcze przecież śpieszył tu bocznymi uliczkami, aby pożegnać się z „ukochaną Betsy”, gdy okręt „Bounty” sposobił się do dalekiej podróży.

Bligh otrzymał awans na wiceadmirala, ale nie przydzielono mu już żadnych funkcji. 6 grudnia 1817 roku przyszła po niego śmierć.

Jest przenikliwy ziąb w ów mroczny, zimowy poranek, kiedy trafiam na Lambeth Churchyard w Londynie. W nocy prószył śnieg, mija jakiś czas, nim odnajduję nagrobek obojga — Williama i „ukochanej Betsy” Bligh. Na krzyżu nagrobnym wiceadmirala ktoś powiesił mały naszyjnik z muszelek Mórz Południowych.